



PRZEMYSŁAW
PIOTROWSKI

SMOLARZ

KRYMINAŁ

CZARNA OWCA

PRZEMYSŁAW
PIOTROWSKI
SMOLARZ

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Spis treści

Strona tytułowa
Spis treści
Strona redakcyjna
Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35

Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
EPILOG
PODZIĘKOWANIA

Copyright © by Przemysław Piotrowski
Copyright © 2024 for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca
All rights reserved

Redaktorka prowadząca: Agnieszka Radzikowska
Redakcja: Bartłomiej Nawrocki, Jacek Ring
Korekta: Ewa Skibińska, Maciej Korbasiński
Projekt okładki: Piotr Cieśliński (Dark Crayon)
Przygotowanie okładki do druku: Magdalena Zawadzka
Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie pierwsze
Warszawa 2024
ISBN 9788382529906

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, www.czarnaowca.pl

Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl

Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Ukochanej babci Jadzi

Prolog

W starej kozie strzelały polana, a na zewnątrz szumiał wiatr.

Spojrzała na twarz męża. Była całkowicie pokryta sadzą. Podobnie jak szyja, kark, dłonie i ramiona. Włosy przypominały posklejane z gałązek gniazdo, a sztywna broda pędzel pokryty zaschniętą smołą. Jedyne dwa białe punkty kryły się pod krzaczastymi brwiami, które przydawały mu iście diabelskiego charakteru.

Uśmiechnęła się życzliwie, ale mężczyzna nie zareagował. Wiedziała, co to oznacza, bo znała go od lat, i nawet jeśli trudno było cokolwiek wyczytać z pokrytej skorupą twarzy, nie miała najmniejszych wątpliwości, że jego głowę zaprzatają ponure myśli. W lekko drżących tęczówkach odbijały się dwa płomyki stojącej na ławie lampy naftowej. Mężczyzna wyglądał i cuchnął, jakby wrócił z czeluści samego piekła.

Dotknęła jego czoła mokrą szmatą i starła wierzchnią warstwę sadzy. Materiał natychmiast zmienił barwę, więc umoczyła go w wiadrze z wodą, żeby wytrzeć mężowi skronie, policzki i nos. Nie oponował. Poddawał się jej woli. Siedział niemal nieruchomo, tylko od czasu do czasu nalewał sobie kieliszek samogonu. Wychylał go, po czym zastygał w tej samej pozycji i patrzył w mrok za przydymionym oknem.

– Co cię trapi, mężu? – zapytała kobieta, muskając mokrą szmatą jego mięsiste usta.

Mężczyzna uniósł wzrok. W jego tęczówkach znów zapłonął ogień z lampy naftowej.

– Źle się dzieje – wymamrotał i nalał sobie kolejny kieliszek wódki. Wypił. Zapalił papierosa bez filtra. Zaciągnął się i wydmuchał gęstą chmurę dymu. Spojrzał w twarz żony. – Ale nic to. Nie nasza to sprawa. Niech się żrą – dodał, po czym przeniósł spojrzenie na dwójkę śpiących pod kocami dzieci.

Dziewczynka miała trzy latka i zapleciony przez żonę kruczoczarny warkoczyk, a chłopczyk zaledwie dziewięć miesięcy i dopiero pierwsze cienkie włosy nad uszami. Urodził się w lutym, w najtęjsze mrozy, ale choć Bóg naznaczył go

grzechem, chłopak na przekór przeciwnościom losu przetrwał, okrzepł i rósł jak na drożdżach. Gehenna żony, która pomimo nabrzmiałych od mleka piersi nie była w stanie go wykarmić, odeszła w niepamięć, tak jak z czasem w niepamięć odchodzą rzeczy wstydlive albo złe.

Ale to nie był czas, aby do tego wracać.

Mężczyzna pozwolił żonie obmyć resztę swego ciała. Gdy uznał, że wystarczy, zaciągnął się raz jeszcze, wypił kolejny kieliszek i wytarł dłonie w jedną ze szmat. Zgasił peta w szklance z wodą i pożądlwym wzrokiem omiótł pierś żony, którą ta filuternie wysunęła z za głębokiego dekoltu halki w kolorowe kwiaty. Skóra lśniła kropelkami potu, była delikatna, pachnąca i niezwykle kusząca. Ścisnął ją w palcach, po czym przyssał się do sutka niczym głodne niemowlę. Kobieta jęknęła i jeszcze mocniej przycisnęła jego głowę do swojego ciała, a gdy poczuła dłonie męża na pośladkach, splunęła w dłoń i wtarła ślinę w okolice krocza. Wślizgnęła się udami na jego uda i już miała opaść na sterczące przyrodzenie, gdy miłosne igraszki przerwało głośnie szczekanie dobiegające z podwórza. Atmosfera pożądania prysła jak bańka mydlana. Mężczyzna gwałtownie wysunął się spod partnerki, klnąc pod nosem.

– Kogo tu, u diabła, lichy niesie o tej porze? – warknął poirytowany. Z powrotem naciągnął majtki i wyjrzał przez okno. W oddali dostrzegł sunące przy ścianie lasu pochodnie.

– Kto to? – zapytała niepewnie kobieta. W jej głosie można było wyczuć narastający niepokój.

– Ludzie – odparł.

– Jacy ludzie?

– Żli ludzie. Moja wintówka?

– W sieni.

– Czekał tu, pilnuj dzieci, nie wychodź. Ja się tym zajmę.

– Ale...

– Rzekłem!

Ton męża nie pozostawiał pola do dyskusji. To on zawsze podejmował istotne decyzje, bo taka była jego rola. W wyklętej rodzinie od lat panował wyraźny podział obowiązków, a zasady były rygorystyczne, sztywne i niezmiennie. Kobieta zajmowała się chałupą i dziećmi, a mężczyzna zarabiał na chleb ciężką pracą przy wypalaniu węgla drzewnego. I choć jej natura nie zawsze współgrała z filozofią głowy rodziny, to nie miała większego wyboru, a uczucie, jakie z czasem zrodziło się między nimi, sprawiło, że przyswoiła system wartości męża i po pewnym czasie się w nim rozsmakowała, przeszłość i tradycję przodków zamykając w jednej z licznych szufladek na dnie serca, gdzie kryją się najbardziej dyskretne i intymne kobiece tajemnice.

Kobieta obserwowała, jak mąż pospiesznie wkłada spodnie i kufajkę i wsuwa na nogi kalosze. Miał silne, poznaczone śladami po oparzeniach ramiona, na których, niczym pajęczyna, snuła się siatka niebieskich żył. Jędrne pośladki i mocne nogi świadczyły o krzepie i witalności, a dwie krągłe blizny w okolicach prawej łopatki były dowodem niespotykanej woli życia. Co z tego, gdy teraz bała się o niego bardziej niż kiedykolwiek. Ludzie z gruntu byli źli, dlatego mąż rzadko musiał ich dookreślać. Dziś wyartykułował to bardzo wyraźnie. Do ich domu szli „źli ludzie”. I na pewno nie mieli względem nich dobrych zamiarów.

– Mężu... – jęknęła, gdy otworzył drzwi, ale mężczyzna posłał jej tylko krótkie spojrzenie, a następnie z wintówką w ręku opuścił naprędce sklecony barak.

To, co ujrzała później, śniło jej się przez następne miesiące i lata. Często po zmroku słyszała wrzaski i budziła się zlaną potem, a nawiedzające ją duchy każdej nocy złośliwie przypominały o tym, co wydarzyło się tamtej straszliwej nocy. Nie potrafiła też tak namiętnie kochać się z mężem, a jego dotyk zamiast wzbudzać rozkoszne dreszcze, przypominał tarcie skóry papierem ściernym. W wyklętej rodzinie pojawiła się rysa, która z każdym dniem, tygodniem i miesiącem coraz bardziej się pogłębiała, aby w końcu przeobrazić się w rów wypełniony ludzką niegodziwością, bezceństwem i podłością.

A to i tak był dopiero początek bezdenne go koszmaru...

Rozdział 1

W powietrzu unosił się zapach żywicy i parującej gleby.

Igor Brudny włączył kierunkowskaz i skręcił w wąską, nierówną szutrową drogę. Była pełna dziur, w których zbierała się teraz woda, a do tego gdzieś leżały połamane po niedawnej burzy gałęzie. Nie przejmował się tym specjalnie. Jego nissan patrol radził sobie w dużo gorszych warunkach, a że czasem lubił go przeczołgać, to specjalnie pakował się w koleiny w nadziei, że pogłębi je na tyle, aby potencjalnym turystom wybić z głowy głupie pomysły ruszania jego śladem. Zresztą nie mieli takiego prawa. Przed wjazdem do lasu stał znak z wyraźnym zakazem, który jego samego, jako mieszkańca jednej z dwóch znajdujących się w lesie chałup, w ramach wyjątku nie dotyczył.

Komisarz zatrzymał się przy tablicy informacyjnej dla turystów. Wyrzwał przez otwarte okno. Wyglądała na nadpaloną, choć nie było czuć swędu spalenizny. Większość tekstu dotyczącego historii walk pomiędzy carską armią rosyjską a cesarsko-królewską austro-węgierską podczas pierwszej wojny światowej na szczęście się zachowała. Za pierwszym razem sam z zainteresowaniem przeczytał krótką notkę, a następnie pogłębił wiedzę na ten temat. Uważał, że warto wiedzieć, gdzie się mieszka, skoro jedna z krwawych bitew rozegrała się dokładnie tu, pod nieistniejącą już wsią Tyskowa, gdzie dziś znajdowały się jedynie jego chałupa i wpał węgla. Teraz potencjalny turysta nie mógł już jednak przeczytać całości, zwłaszcza zaś obejrzeć załączonych w prawym rogu zdjęć z tamtych czasów. Brudny pomyślał, że to pewnie robota kolejnego znudzonego gówniarza z Warszawki, ale ostatecznie postanowił tego nie roztrząsać, bo po pierwsze równie dobrze mogło to być uderzenie pioruna, a po drugie tak naprawdę wszystko, co zniechęcało turystów do wchodzenia na szlak, było mu na rękę.

O tej porze roku i tak widywał ich rzadko, ale „rzadko” to w jego mniemaniu wciąż było zbyt często. Najlepiej, żeby nie musiał oglądać ich wcale. Potrzebował spokoju, a nie użerania się ze wścibskimi turystami, którzy nie dość,

że potrafili zapukać do jego drzwi bez konkretnego celu, to jeszcze zostawiali po sobie syf, zwłaszcza gdy decydowali się przemocować pod gołym niebem. Nigdy nie był pedantem w kwestiach zachowania czystości, a tym bardziej w nosie miał podejście innych, ale zauważył, że leżąca w ściółce butelka, puszka czy reklamówka irytuje go bardziej, niż mógłby się tego po sobie spodziewać. Może po prostu sama świadomość, że w promieniu kilku kilometrów od jego azylu znajdują się obcy ludzie, burzyła jego spokój? A może trzepocząca na gałęzi reklamówka z „Żabki” czy „Biedronki” nie pasowała do tego miejsca? Sam już nie wiedział, czy się starzeje, że zaczyna zwracać uwagę na takie pierdoły, ale każde świadectwo bytności człowieka wywoływało jego rozdrażnienie. Chandrę czuł na samą myśl, że musi wybrać się do sklepu po zakupy, wobec czego starał się robić je jak najrzadziej. A gdy widział zbliżających się ziomków w czapczkach z daszkiem i z plecakami wypełnionymi dźwięczącymi butelkami piwa, z trudem hamował się, żeby nie wyjść i nie pogonić ich w cholerę.

Pięć minut później zaparkował na wzgórzu pod drewnianą chałupą. Wysiadł, rozprostował kości i spojrzał w niebo, na którym wciąż kotłowały się stalowe chmury. Rozejrzał się po okolicy i wciągnął w płuca świeże górskie powietrze. Było tak inne od tego miejskiego, gęstego, zawiesistego, wypełnionego spalinami i brudnego jak szmata do czyszczenia podłóg. Zawsze myślał, że jest zwierzęciem typowo miejskim, ale od kilku miesięcy zaczynał dostrzegać, jak bardzo się mylił. Jego społeczność i ogólna niechęć do ludzi były w Warszawie wystawiane na ciężką próbę niemal każdego dnia, zresztą ostatnio męczył się nawet w Zielonej Górze. Wakacji „pod palmami”, na które namówiła go Julka, wolał nawet nie wspominać. Ale tu, w bieszczadzskich kniejach, gdzie powietrze po deszczu pachnie tak, że mogłoby zbudzić trupa, a cisza przerywana sporadycznie przez kręcącą się po wzgórzach zwierzynę wydaje się najwspanialszą muzyką, Igor Brudny czuł się tak, jakby w końcu znalazł swoje miejsce na świecie. Tym bardziej rosło jego rozdrażnienie, gdy zdawał sobie sprawę, że w końcu będzie musiał wrócić do rzeczywistości.

– Ile jeszcze będziesz tam siedział? – dopytywała coraz bardziej poirytowana Julka. Nie mógł kwestionować jej punktu widzenia, bo z własnej woli zdecydował się na życie w związku, a to wymagało wyrzeczeń i brania pod uwagę uczuć partnera. Zawadzka od blisko pół roku siedziała w Zielonej Górze sama i miała pełne prawo, aby zacząć naciskać.

– Do lata. Potrzebuję jeszcze trochę czasu – tłumaczył wymijająco. Nie musiał widzieć miny partnerki, aby wiedzieć, że z tej odpowiedzi nie jest zadowolona.

– Najpierw miał być miesiąc, potem do wiosny, a teraz do lata. Dla ciebie rzuciłam wszystko i przeniosłam się z Warszawy do Zielonej Góry, a ty zaraz potem zostawiłeś mnie tu samą jak palec. Myślisz, że jak ja się czuję?

– Chyba trochę przesadzasz, bo...

– Zastanów się, czego ty chcesz, Igor. Nie uciekniesz od świata. Dawno po wyborach i temat Sędziego już tak nie grzeje. Czas się ogarnąć. No chyba że...

W podobnych sytuacjach nigdy nie kończyła myśli, ale nie trzeba było być Sherlockiem Holmesem, aby wywnioskować, co się kryje za tym niedomówieniem. Najwyraźniej ich związek zaczynał przeżywać kryzys, a on – choć dostrzegał objawy – jakoś nie był skory do reakcji. Nigdy nie był wylewny w kwestiach uczuć, więc unikał takich rozmów jak ognia. O miłości, wierności, wspólnych planach, w tym tych dalekosiężnych. Wiedział, że jej zegar biologiczny tyka nieubłaganie, ale myśli, że miałyby sprowadzić na ten podły świat nowe życie, zwykle psuła mu humor na resztę dnia. Własna rodzina jawiła mu się jako coś dziwnaczego, niepasującego do niego w najmniejszym stopniu, wręcz niedorzecznego pod każdym względem. On miałyby mieć syna? Albo córkę? Przecież to brzmiało absurdalnie. Miał nieodparte wrażenie, że byłby złym ojcem i nie potrafiłby dać drugiej osobie tego wszystkiego, co dawali inni rodzice. Poza tym świadomość, że jego dziecku mogłoby przydarzyć się coś złego, podobnie jak kiedyś córce brata, paraliżowała go strachem. Miał przecież wielu wrogów, a dodatkowo kilka razy więcej osób źle mu życzyło.

Odrzucił te myśli, otworzył drzwi od strony pasażera i wyjął dwie torby z zakupami. Miały wystarczyć na cały następny tydzień. Kilka piersi z kurczaka, pół kilo wołowiny, biała kiełbasa, kaszanka, do tego ryż, makaron, kasza gryczana i trochę świeżych warzyw, oczywiście kawa, woda, papierosy i dwie nieodłączne butelki Jamesona. Zabrał wszystko i wszedł do chałupy, a następnie poupychał w szafkach i napędzanej prądem z agregatu lodowce zawartość obu toreb. Ściągnął buty, nalał sobie szklaneczkę whisky, walnął się na sofę i położył nogi na stole. Zapalił. Przez chwilę znów dręczyły go dziwne myśli, więc aby od nich uciec, wychylił szklaneczkę do dna i poszedł do sieni po siekiere. Ponownie wzał buty i wyszedł na dwór. Przez godzinę narąbał drewna co najmniej na tydzień, a potem wsypał do paśnika trochę paszy. Po jego przyjeździe nie nadawał się do użycia, ale z nudów go wyremontował. Wystarczyła garść gwoździ i kilka desek, aby karmnik otrzymał drugie życie. Dzika zwierzyna szybko odwdzieczyła mu się za wykonaną pracę i przez zimę regularnie odwiedzały go sarny, jelenie, dziki i zajęce. Często siadał wtedy przy oknie, nalewał sobie szklanekę whisky i paląc papierosa, patrzył, jak jedzą. Zdecydowanie wolał towarzystwo zwierząt niż ludzi.

Gdy tylko o tym pomyślał, usłyszał z oddali hałaśliwe szczekanie. Znał je doskonale i nigdy nie zwiastowało niczego dobrego. Kundle sąsiada tak witały wszystkich przybyszy, a ci, pogonieni przez niego w diabły, zwykle ruszali w kierunku chałupy Brudnego. Tym razem tradycji również musiało stać się

zadość. Podniósł wzrok znad paśnika i spojrzął w stronę otoczonego wysoką palisadą wypołu węgla, skąd pospiesznie umykały dwie postaci. Prychnął, gdy zdał sobie sprawę, jaka ta karma jest złośliwa. Opróżnił worek z otrębami pszennymi i sięgnął do kieszeni dzinsów po paczkę papierosów. Wsadził jednego do ust. Zapalił. Skupił wzrok. W jego stronę dziarsko maszerowały dwie młode kobiety z plecakami i kijkami do nordic walking. Przez krótką chwilę miał nadzieję, że jednak zrezygnują, ale ta okazała się płonna jak zawsze.

– Dzień dobry! – krzyknęła pierwsza z nich, machając mu ręką. Miała na sobie sportowe buty, czarne legginsy i ciemnozieloną zapinaną na zamek bluzę. Spod czapki z daszkiem wystawały blond kosmyki.

Brudny nie odpowiedział ani nie odmachnął.

Dziewczyn to oczywiście nie zraziło. Podeszły bliżej, wtedy przyjrzał się im dokładniej. Obie były bardzo zgrabne i raczej nie przekraczały dwudziestego roku życia. Druga z nich nosiła bojówki i sportową bluzę z emblematem jednej z polskich firm odzieżowych. Kruczoczarne włosy zaplotła w gruby warkocz, który spływał jej spod kaptura na piersi. Musiał przyznać, że obie były wyjątkowo atrakcyjne i po wystających spod kołnierzy tatuażach można było wnioskować, że pochodzą z dużego miasta.

Komisarz naciągnął kaptur bluzy na głowę. Ostatnim, czego pragnął, była dyskusja z dwoma wścibskimi gówniarzami z Warszawy czy Krakowa o pogodzie albo dupie Maryni. Tylko co zrobić, jeśli człowiek nie ma wyjścia? Wolał załatwić sprawę tutaj, zanim którejs z nich wpadłby do głowy pomysł, aby wprosić się na herbatę.

– Uff... ta górka wcale nie jest taka płaska, jak by się wydawało – oznajmiła blondynka, nieco zbyt teatralnie wycierając nieistniejące krople potu z czoła. Oparła się o jeden z kijków, ewidentnie próbując wyrzucić presję. – Pan tu mieszka? – zapytała.

– A wy dokąd idziecie? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Do cerkwi w Łopience. A potem...

– To w tamtą stronę – uciał, wskazując palcem na południe. – Panie wybaczą, ale...

– A czy mogłybyśmy podładować u pana telefony? – wyrwała się druga z turystek.

Kurwa mać, zaklął w myślach. Drugi raz dał się podejść jak gówniarz. Trzy miesiące temu nie miał wyjścia i musiał wpuścić parkę trzydziestoparolatków, którzy zapukali po tej samej prośbie. Wtedy był środek zimy i tęgi mróz, a do tego szybko zapadał zmrok. Sąsiad jak zwykle opierdolił przybyszy i zagroził, że spuści psy, a ci – nie mając większego wyboru – skierowali się wprost do jego chałupy. Czasem myślał, że Samuel robi mu na złość, bo choć żyli w jakiej takiej

komitywie, to jego własna społeczność wydawała się niczym w porównaniu z tą, którą prezentował smolarz. Facet najwyraźniej szczerze nienawidził ludzi, toteż często zdruzgotani niegościnnością węglarza turyści kierowali się w potrzebie do jedynej chaty na szlaku. Do uciekającego przed światem Igora Brudnego. W przeciwieństwie do sąsiada w nim wciąż tliły się jakieś ludzkie odruchy, sumienie zaś nie pozwalało wywalić ludzi w potrzebie na zбитy pysk. Poza tym nie chciał brać odpowiedzialności za obcych, którzy przez jego niechęć do jakichkolwiek wizyt zamarzliby gdzieś na szlaku. Wpuścił więc parkę, ale oczywiście wpakował się na minę, bo Kamil i Anna szybko rozpoznali w nim tego słynnego komisarza, który uganiając się za niejakim Sędzią, rozpirzył przy okazji w proch całą scenę polityczną. Wtedy oczywiście zaczęło się „sto pytań do”. Szczęściem w nieszczęściu było to, że nie należeli do wyznawców Kryszaka czy Kumidora, więc po godzinie ciągnącej się w nieskończoność gehenny i ciągłego zerkania na zegarek ich smartfony w końcu się naładowały i Brudnemu udało się pozbyć niechcianych gości w miarę kulturalnie.

Podążające wzgórzem panny też nie wyglądały na przesadnie bogobojne, ale tym bardziej nie chciał, aby w tych swoich opiętych legginsach rozsiadły się na jego kanapie. Co z tego, gdy w ostatnich tygodniach wszystkie okoliczne wsie trąbiły o grasującej w okolicy sforze wilków, a do tego dopiero co przeszła ulewna burza i szlak mógł być w kilku miejscach bardziej wymagający niż zwykle. Przeszło mu przez myśl, że Julka też nie byłaby z tej wizyty zadowolona.

– Pliss – jęknęła blondynka, wyciągając przed siebie smartfon. Bateria rzeczywiście była na wyczerpaniu.

– A nie macie tego, no, tej przenośnej ładowarki? – zapytał, chwytając się brzytwy.

– Powerbanka?

– No...

– Gośka gdzieś posiała – rzuciła z lekkim wyrzutem blondynka. – Gdyby nie to, że ma głowę przytwierdzoną do szyi, to pewnie i ją by zgubiła.

– Też swojego zapomniałaś wziąć z domu – skontrowała brunetka. – Gdybyś zabrała, to...

Brudny przez chwilę przyglądał się dogryzającym sobie dziewczynom, co w aktualnej sytuacji niespecjalnie działało na ich korzyść. Zastanawiał się, czy mają tego świadomość, ale w końcu uznał, że po prostu nie są zbyt mądre, a tym bardziej doświadczone w łażeniu po górach. Sumienie nie pozwalało mu jednak puścić ich dalej bez możliwości kontaktu ze światem. W życiu widział zbyt wiele i miał zbyt bujną wyobraźnię.

– Możecie naładować te telefony – mruknął, przerywając sprzeczkę. Dziewczyny zamilkły i spojrzały na niego, jakby dopiero co wyrósł spod ziemi. –

Ale potem mam pracę, czy to jasne?

– Oczywiście – odparły zgodnie, a blondynka dodatkowo szeroko się uśmiechnęła. – Dziękujemy – dodała. – Gdyby nie pan, to ja nie wiem, czy bym Gośkę udusiła. I przepraszam za, no wie pan, głupio wyszło. Naprawdę ratuje nam pan życie, panie...

Nie dokończyła, bo Brudny już zdążył się odwrócić i wyszarpnąwszy po drodze siekierę z pniaka, na którym rąbał kolejne bukowe polana, ruszył w kierunku drzwi. Miał cichą nadzieję, że dziewczyny może jeszcze zmienią zdanie, ale chwilę później za plecami poniósł się odgłos kroków i figlarny chichot. Pomyślał, że obie nie mają w sobie krzty instynktu zachowawczego. Igor Brudny nie mylił się w tej kwestii ani trochę.

Rozdział 2

Samuel Wanzreich był Żydem, ale nigdy nie miał kontaktu z innymi Żydami, a przynajmniej on takich sobie nie przypominał. Nigdy też się z nimi nie utożsamiał, podobnie jak z Polakami, Ukraińcami, Niemcami albo innymi chamami, których miał nieszczęście w życiu poznać i których najchętniej powiesiłby za jajca, aby tak wisieli, dopóki coś takiego, co nazywa się grawitacją, im tych jajec nie urwie albo nie stanie im się inna krzywda, na przykład nie zeżrą ich wilki. Na jego postrzeganie rzeczywistości wpływ miały wydarzenia, do których wolał nie wracać. W jego mniemaniu nie miało to najmniejszego sensu, bo tylko się wtedy zadręczał i psuł mu się humor, który i tak zwykle był dość posepny, jeśli wręcz nie wisielczy. Wychodził więc z założenia, że nie ma sensu tracić energii na głupoty, bo przecież co się stało, to się nie odstanie, tak był ten pojebany świat skonstruowany. Samuel był prostym człowiekiem i miał proste potrzeby, tak też rozumował i swój los przyjmował z otwartą przyłbicą. Nie jęczał, nie narzekał, nie biadolił. Było, jak było, taki się urodził i tak przyszło mu żyć, a kto o tym decydował, tego nie wiedział i w sumie gównem go to obchodziło, bo po co się nad tym zastanawiać, skoro i tak nie da się tego zmienić. Tylko raz przemknęła mu myśl, aby jednak rzucić rękawicę przeznaczeniu, które najwyraźniej kopnęło go w dupę już w momencie, gdy pojawił się na tym świecie jako mały, szkaradny potworek. O znaczeniu swojego nazwiska Samuel dowiedział się grubo po trzydziestce, zupełnie przypadkiem, gdy kupił w sklepie z chemią środek na pluskwy. Słynna niemiecka chemia okazała się całkiem skuteczna i insekty, które zaległy się w jego materacu, udało się poskromić, ale ulotka na opakowaniu dała mu kolejny pretekst, aby świat, w którym przyszło mu żyć, znienawidzić jeszcze bardziej.

Samuel czytał kiepsko, ale nie był analfabetą i dodał dwa do dwóch. Okazało się, że jego nazwisko znaczy mniej więcej tyle co „bogaty w pluskwy”. Z początku mocno się zdenerwował, no bo jaki chuj mógł nadać mu takie nazwisko? Przez jakiś czas zachodził w głowę i nawet próbował rozwikłać tę zagadkę, ale że nie

miał wykształcenia, a książki jawiły mu się jako coś równie zbędnego jak perfumy albo drążek sterowniczy wahadłowca, w końcu uznał, że nie będzie zgłębiał tematu, bo jednak drewno trzeba było porąbać i codziennie do retorty zapakować, z kolejnej to wypalone drewno własnymi rękoma wyjąć i w formie węgla drzewnego do jutowych worów załadować, aby sprzedać i mieć na chleb, jaja i wódkę. Przez kolejne dwadzieścia lat niewiele się w jego życiu zmieniało, ot czasem przyłazł jakiś turysta, aby go powkurwiać, albo poseł Bursztynowicz nasłał na niego patrol policji, bo ktoś poskarżył się, że poszczuł psami. Miał to gdzieś, a mandatami podcierał sobie dupę. Nic nie miał, więc niczego mu nie mogli zabrać, a nikt nie chciał wchodzić w poważny konflikt z jednym z ostatnich bieszczadzkich węglarzy, których obecność na szlakach generowała nie tylko zainteresowanie turystów, ale nawet światowych sieci telewizyjnych pokroju Discovery. To zdecydowanie byłoby nie po chrześcijańsku, a poza tym mogłoby źle wpłynąć na notowania Bursztynowicza, który zawsze pierwszy w kościele klękał i na tacę dawał, choć Samuel wiedział, że to tylko pozory, bo był z posła kawał chuja, jak to z politykami. Wojna ze smolarzem pochodzenia żydowskiego, nawet jeśli zgryźliwym chamem, nie była mu na rękę, więc Samuel Wanzreich żył sobie, niezmiennie w dupie mając wszystko i wszystkich, zwłaszcza zaś takie wypindrzone turystki, które co prawda najchętniej by ostro wydupczył, ale że dalej żyć chciał po swojemu, to tego nie zrobił i czym prędzej, aby nie kusić losu, przepędził je gdzie pieprz rośnie.

Odprowadził je wzrokiem przez szparę między drewnianymi palami. Zarechotał zjadliwie, widząc, że wspinają się wzgórzem do sąsiada. Lubił czasem robić mu na złość, bo był jedynym, któremu mógł to robić regularnie, a przecież komuś trzeba było, aby się nie nudzić, gdy już retorty dymią i poza pić wódkę nie ma się pomysłu, aby ten czas jakoś sobie zorganizować. Co z tego, gdy facet był jakiś dziwny i na zaczepki nie reagował. Siedział w tej swojej drewnianej chałupie po starej Stefanii i albo rąbał drewno, albo siedział na ganku i gapił się w niebo, a czasem odpalał tego ryczącego potwora, który trochę zazdrości w Samuelu wzbudzał. Poza tym chyba też lubił wypić, bo w bieszczadzkiej ciszy głos niesie się daleko i często dało się słyszeć brzęk butelek, choć w sumie nie szło przyłapać go, jak się przewraca albo telepie, co Samuelowi się zdarzało, i to nierzadko. Do tego, co tam kiedyś Halina ze sklepu we wsi mu nagadała, podobno komisarz, co bandytów ścigał i w telewizji go pokazywali, ale Samuel telewizora nie miał, więc sprawdzić jej słów nie mógł, a też nie wierzył we wszystko, co tam stara kwoka gada, bo gadać lubiła dużo i nie zawsze z sensem.

Ale jednak trochę wierzył...

Policjant mieszkający w starej chałupie na wzgórzu, dziwny i osobliwy typ, który jedyny może mu na przykład przez lornetkę zaglądać ponad szczelną

palisadą okalającą jego wpał – wszystko to brzmiało trochę podejrzanie. Wiadomo, poseł Bursztynowicz, kij mu w oko, od lat zatruwał mu życie i nawet kilku kontrahentów kupujących od Samuela węgiel zniechęcił, dopuszczał się też różnych prowokacji. Każda próba kończyła się jednak fiaskiem i z czasem sobie odpuścił. Z początku Samuel się ucieszył, ale w końcu zaczęło mu tego brakować, bo lubił się z nim droczyć, ale że nie był święty i w przeszłości trochę nabroił, to jednak obecność tajemniczego komisarza budziła w nim niepokój. A przecież kilka bab w życiu zbałamucił i nie zawsze po dobroci, kilka mord rozkwasił, a jednemu, co kiedyś Samuelowi za długi kutasa do dupy wsadził, w ramach zemsty w to samo miejsce wcisnął butelkę wódki i kopnął go w jajca buciorem ze stalowym czubem tak mocno, aż ta butelka w dupie pękła i w środku bebechy pokaleczyła, że chłop prawie się wykrwawił, bo przecież starym garusem był i karetki ze wstydu wezwać nie chciał.

Te czasy Samuel zostawił już jednak za sobą. Dziś nie mógł już robić tego, co kiedyś. Miał ku temu jeden powód.

Smolarz charknął, splunął i wysączył z piersiówki ostatnie krople wódki. Zagryzł świeżo obranym jajkiem od pani Haliny i poklepawszy po łbach dwa wciąż poszczekujące psy, z poczuciem dobrze wypełnionego obowiązku wrócił do baraku. Zdrzemnął się godzinę, potem wstał, przeciągnął się, ruszył do wychodka i zrobił to, czego natura od zdrowego chłopca wymaga. Po wszystkim poszedł sprawdzić retorty. Dym wydobywający się z ostatniej zaczynał już przybierać kolor niebieski, a to oznaczało, że czas zająć się wygaszaniem. Napełnił wodą kilka wiader, nałożył grube rękawice i zły, że musi radzić sobie sam, wdrapał się po drabinie na szczyt pieca. Otworzył właz, z którego buchnęły kłęby błękitnego dymu. Odczekał chwilę i opróżnił pierwsze wiadro. Zszedł po kolejne i powtórzył czynność. Gdy podniósł głowę, aby wytrzeć pot z czoła, na drodze za palisadą dostrzegł majaczącą postać. Zaklął pod nosem, przelał do środka wodę z trzeciego wiadra, po czym zszedł na ziemię, zdjął rękawicę i zapalił papierosa. Chwilę później usłyszał szcęk zardzewiałej bramy. Podrapał się po pośladku i splunął w błoto.

– O której miałeś być? – wychrypiał w kierunku młodego chłopaka, który wślizgnął się na teren wpału.

– Miałem... wypadek – odparł krótko przystrzyżony młodzieniec.

– Jaki znowu wypadek? – zagrmiał smolarz. – Ty ostatnio ciągle masz jakieś wypadki. Lepiej mów prawdę, bo jak...

– Wpierdol dostałem. Wystarczy?

Samuel zbliżył się do syna. Ten patrzył na niego spod byka. Miał dopiero szesnaście lat, ale ciężka fizyczna praca wykuła imponującą muskulaturę. Gracjan był niski, ale krępy, a graby miał takie, że mógł arbuzy miażdżyć. Smolarz

przyjrzał mu się z bliska. Rzeczywiście, chłopak nie kłamał. Miał podartą koszulkę, rozcięty plecak i od stóp do głów był umorusany błotem. Jedno oko przypominało dojrzałą śliwkę, a pod nosem i przy prawym uchu widniały zaschnięte skrzepy krwi.

– Ilu ich było? – zapytał.

– Pięciu. Jednemu chyba złamałem nos, ale reszta mnie dojechała. Wybacz, tato.

– Nic się nie stało. To ci sami co ostatnio?

– Nie.

– To kto?

– Młody Kobziński i ten chujek Bursztynowicz. Dorwali mnie krótko po tym, jak wysiadłem z autobusu. Podjechali samochodem zniecka, wysiedli i...

– Skurwysyny... – wciął się Samuel. – Pójdę do sołtysa i chyba sam mu wpierdol spuszczę. Nie będzie jego syn mojemu... – Zacisnął nerwowo obie pięści.

– Nie, tato. Nie rób tego. Wtedy to już w ogóle nie dadzą mi żyć.

– Ech...

Stary smolarz poklepał syna po ramieniu, a potem przycisnął jego głowę do piersi. Wyobraził sobie, jak wpada do chałupy sołtysa, wyciąga za uszy jego nadętego synalka i na oczach ojca spuszcza mu łomot. Był niemal przekonany, że stary Kobziński nie odważyłby się stanąć mu na drodze. Był mięczakiem jakich mało i co najwyżej zadzwoniłby pod 112. A jeśli by jednak zdecydował się zareagować, to jemu też dałby do wiwatu. Co innego Bursztynowicz. Ten gnój wydawał się nietykalny, podobnie jak jego smarkacz. Tu Samuel miał związane ręce.

– Umyj się i coś zjedz. Dziś wybiorę węgiel sam, ale w zamian za to pojedziesz zrobić jakieś zakupy – powiedział i puścił syna. Klepnął go na zachętę w potylicę, ale chłopak najwyraźniej nie odebrał ojcowskiego gestu tak, jak Samuel mógłby tego oczekiwać. Posłał mu pełne pretensji spojrzenie, a potem w milczeniu ruszył do baraku.

Gdy zniknął w jego wnętrzu, Samuel kątem oka dostrzegł na niebie przelatujący cień. Spojrzał na przesuwany się punkt i szybko rozpoznał w nim bielika. Od razu przypomniał sobie wiszące nad łóżkiem godło Polski. Prychnął z niesmakiem na tę myśl. To był najczęstszy widok, gdy przypalali go papierosami, kręcili mu wora albo po prostu spuszczały regularny wpierdol. Od najmłodszych lat miał przesrane i najwyraźniej wszyscy dalej widzą w nim tylko zwykłego śmiecia. Nienawidził ich. Nienawidził ich wszystkich. Tego kraju też.

Jego ponure myśli przerwał dziewczęcy chichot. Zbliżył się do bramy i zerknął przez szparę. Ze wzgórza schodziły te same dwie dziewczuchy, które pogonił jakiś

czas temu. Wyglądały na typowe dupodajki i pomyślał, że sąsiad pewnie wykorzystał okazję, aby nieźle je wygrzmocić. No bo niby co robiły w jego chałupie ponad godzinę?

Nerwowo oblizał wargi, gdy wyobraził sobie te wszystkie bezceństwa. Sprawilo mu to nieliczną przyjemność. Odprowadził dziewczyny wzrokiem, a gdy zniknęły za zakrętem, zaklął szpetnie, splunął i wrócił do pracy.

Rozdział 3

Trzy kolejne dni minęły Brudnemu na beztroskim patrzeniu na lejący za oknem deszcz, popijaniu Jamesona i rozmyślaniu o przyszłości, która już drapieźnie wyciągała po niego szponiaste łapska. Do żadnych satysfakcjonujących wniosków nie doszedł. Do policji niespecjalnie chciał wracać, a robota prywatnego detektywa w momencie, gdy po akcji z Sędzią jego twarz znał praktycznie każdy obywatel, też nie wyglądała na sensowny pomysł. To właśnie z tego powodu uciekł w góry. Od czasu wydarzeń w domu Kumidora najróżniejsi pseudodziennikarze nieustannie się do niego dobijali. Zaczepiali go na ulicy, w sklepie, a niektórzy byli nawet tak nachalni, że wchodzili na teren posesji i zaglądali przez okna. Raz znalazł takie zdjęcia na jednym z portali plotkarskich. Ukazywały go w samych bokserkach i z papierosem w ustach, inne podczas jedzenia pizzy, którą popijał Jamesonem, a jedno w towarzystwie Julki mającej na sobie tylko bieliznę. Wkurwił się wtedy okrutnie i pomimo stanowczego sprzeciwu partnerki wsiadł w samochód, a następnie, z zamiarem spuszczenia gryziopiórkowi solidnego łomotu, pojechał do Warszawy. Po drodze ciśnienie trochę z niego zeszło, ale i tak na miejscu poprosił o spotkanie z facetem, który zrobił zdjęcia. Zza rogu wyszedł miśkowaty typ z ulizanymi do tyłu włosami i uśmiechem tak wrednym, jakby codziennie trenował go przed lustrem. Wyciągnął do Brudnego rękę na przywitanie, wtedy komisarz na oczach pozostałych pracowników złamał mu dwa palce. Oczywiście to wywołało kolejną niepotrzebną medialną burzę, a mądre głowy w telewizji z perfidną satysfakcją zaczęły rozkładać jego psychikę na czynniki pierwsze, wspominać okres jego dzieciństwa u hieronimek, skutki wychowania w tego typu placówce, poprzednio prowadzone śledztwa, generalnie robić wszystko, aby mu tylko ponownie dokopać. Zawisła nad nim nawet groźba procesu, ale pod naporem wciąż sympatyzującej z nim opinii publicznej pseudoreporter schował dumę do kieszeni i wycofał się z pomysłu skierowania sprawy na drogę sądową. Nie zmniejszyło to jednak zainteresowania mediów samym Igorem, dlatego komisarz podjął jedyną

rozsądną w swoim mniemaniu decyzję – usunął się w cień. Umożliwiła mu to stara przyjaciółka, której kiedyś pomógł w odnalezieniu starszej siostry. Co prawda finał poszukiwań okazał się dla niej dość bolesny, ale Justyna Klepacka czuła się w obowiązku spłacić dług wdzięczności.

– Tak się składa, że jedna z moich ciotek niedawno umarła i zostawiła starą chałupę koło Stężnicy – powiedziała. – Nikt z rodziny jej nie chce, bo po pierwsze grozi zawaleniem, a po drugie ciocia Stefania leżała tam prawie tydzień i... no wiesz...

– Gdzie to jest? – zapytał, nie kryjąc zainteresowania.

– Bieszczadzkie knieje. – Zaśmiała się. – I to dosłownie. Chałupa stoi praktycznie w środku lasu, a do tego w pobliżu wypału węgla drzewnego należącego do niejakiego Samuela Wanzreicha, wyjątkowo niesympatycznego smolarza. Facet stroni od ludzi, ale ciocia, no raczej ciocia-babcia, też taka była. Inna, trochę dziwna. Nie miała dzieci. Wolała naturę, rośliny, zwierzęta. Lokalni mieszkańcy widzieli w niej szeptuchę. Wiesz, kim jest szeptucha?

– No, kojarzę...

– Cieszyła się w okolicy ogromnym poważaniem, bo potrafiła leczyć beznadziejne przypadki. Odwiedzali ją wszyscy, w tym biskupi czy ludzie władzy. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale z zaawansowanego raka wyleczyła podobno starego Leopolda Bursztynowicza, zatwardziałego komunistę i posła na sejm pierwszej i drugiej kadencji z ramienia SLD, który od niepamiętnych lat był tu prawie Bogiem.

– Tego, którego syn trzymał tekę ministra rolnictwa za poprzedniej władzy?

– Zgadza się, ale cóż... Ty wiesz najlepiej, jak dwulicowa jest polityka. Ciotka umarła krótko później, co sprawiło, że ludzie zaczęli plotkować i gadać, że aby ratować tak beznadziejny przypadek, sama musiała poświęcić w zamian własne życie. Że niby jakaś wymiana energii i inne bzdury. Słyszałam nawet wersję, że skumała się z samym diabłem, zwłaszcza że krótko po jej śmierci Bursztynowicz spadł ze schodów i skrzył sobie kark. Ludzie wciąż bywają tu naprawdę bardzo zabobonni.

– Lokalny folklor.

– W każdym razie, gdyby to wszystko zebrać do kupy, to nie ma się co dziwić, że nikt z rodziny nie pali się, aby przejąć po niej chałupę, która i tak nie ma prawie żadnej wartości. No może poza muzealną.

– Mógłbym ją obejrzeć?

– Pewnie, wpadaj. Zrobię pierogi bojkowskie, które kiedyś ci obiecałam. A potem pojedziemy obejrzeć chałupę ciotki. Tylko ostrzegam, że to naprawdę dziura, której chyba nawet remont nie pomoże.

Brudnego to nie zraziło i już dwa dni później wspólnie z Justyną i Julką, którą również zabrał ze sobą, stanęli we trójkę przed drewnianym budynkiem z bali. Na jego widok ta ostatnia parsknęła śmiechem. Rudera rzeczywiście wymagała solidnego remontu, ale Igor nigdy nie wymagał od świata zbyt wiele. Wystarczyło mu łóżko, stół, krzesło i jakiś agregat prądotwórczy, aby nocami mógł poczytać. Wychodek też nie był problemem, zwłaszcza że cała otoczka, która tak zniechęcała potencjalnych spadkobierców pani Stefanii, z jego perspektywy lepsza być nie mogła.

– Jest jeszcze jedno – oznajmiła Klepacka, gdy Brudny obejrzał chałupę.

– Mam się bać? – zapytał, nie spuszczać wzroku z rudery.

– No, ty to chyba nie. – Roześmiała się. – Ale lepiej, żebyś dowiedział się tego ode mnie niż od jakichś zabobonnych górali.

Brudny posłał kobiecie podejrzliwe spojrzenie. Miała dziwny wyraz twarzy.

– W lokalnym środowisku od lat funkcjonuje pewna legenda – powiedziała, odgarniając kosmyk blond włosów.

– Brzmi jak tani cliffhanger z horroru klasy B – wtrąciła Julka.

– Jak co? – Igor spojrział na partnerkę, ale ta tylko machnęła ręką i poprosiła Klepacką, aby ta kontynuowała.

– Opowiada o ponurym smolarzu, który poluje na turystów, a potem ich torturuje, zabija i pali zwłoki w piecach. Wiecie, że w takiej retorcie temperatura osiąga nawet tysiąc stopni? Gdyby wrzucić tam ciało człowieka, to nie zostałyby z niego nawet kości. Spaliłoby się doszczętnie.

– Brzmi nieźle. – Brudny zapalił papierosa.

– To tylko legenda wywodząca się jeszcze z czasów wojny, ale w ciągu ostatnich paru dekad naprawdę zniknęło tu bez śladu kilkadziesiąt osób. Sami przyjezdni. Nikt nie wie, co się z nimi stało, więc ludzie powtarzają tę historię. Nie mam pojęcia, na ile sami w nią wierzą, ale wiem, że popularne jest straszenie nimi dzieci. Wiecie, tak na zasadzie, że jak nie będziesz grzeczny, to przyjdzie ponury smolarz i cię zje.

– Może dlatego ci węglarze są tak nieprzyjaźnie nastawieni do obcych?

– Nie, chyba nie. Większość z nich śmieje się z tych głupot. To prości, ale naprawdę mili ludzie. Turyści są nimi zachwyceni i często odwiedzają retorty. Tylko ten Wanzreich... – Klepacka wskazała wpał w dolinie. – Ten rzeczywiście jest jakiś dziwny. Naprawdę nie lubi obcych i wcale tego nie ukrywa.

– Czyli będę miał fajnego sąsiada.

– Ty tak naprawdę? – Julka posłała Igorowi zdziwione spojrzenie.

– To idealne miejsce – oznajmił. – Miesiąc czy dwa na tym odludziu to jest to, czego teraz potrzebuję. A skoro turyści to miejsce omijają szerokim łukiem, to tym lepiej – dodał, wrzucając niedopałek do miejsca po palenisku.

Przez twarz Julki przebiegł nerwowy grymas. Wzięła partnera na stronę i na osobności zapytała, czy aby na pewno nie upadł na głowę. Igor był jednak nieugięty.

– To nie potrwa długo. Po prostu muszę побыć sam – wyjaśnił. – Na spokojnie zastanowię się, co dalej robić, przetrawię cały ten syf. Też na tym zyskasz, bo gdy te dziennikarskie hieny zorientują się, że nie ma mnie w Zielonej Górze, nikt ci nie będzie zawracał gitary. Sprawa przyschnie, a ja wrócę z jakimś pomysłem na życie. Same profity.

– Jakoś nie jestem do tego pomysłu przekonana...

– Facet czasem musi zamknąć się w swojej pieczarze...

Julka westchnęła i omiotła wzrokiem rozległe doliny i porośnięte lasami wzgórza. Nad jednym z nich szybował majestatyczny orzeł, a na skraju lasu trawę skubało kilka saren. Widok doprawdy zapierał dech w piersiach. Pomyślała, że najchętniej sama by się wyrwała ze swojego kieratu. Nie miała jednak szans na urlop, bo ugrzęzła w nawale kilku śledztw, w tym jednego dotyczącego morderstwa. Przygryzła dolną wargę, po czym z powrotem przeniosła wzrok na partnera.

– Jestem aż tak niezdolna? – zapytała, krzywiąc się przepraszająco.

– Trochę.

– Ale jesteś tego pewny? Że chcesz tu, tak, sam?

– Jestem pewny.

– Idzie zima, a ta rudera wymaga remontu...

– Sypiałem w gorszych warunkach.

Nie miała więc argumentów, więc posłała mu słaby uśmiech, a potem wrócili do Sanoka, gdzie mieszkała Klepacka. Pokochali się, przespali, a następnego dnia Brudny podrzucił ją na pociąg i zakupiwszy po drodze kilka niezbędnych narzędzi i materiałów, wrócił do nieistniejącej wsi Tyskowa. Na budowlance znał się średnio, więc zrobił tyle, ile potrafił. Coś tam uszczelnił, aby za mocno nie wiało, załatał schody na ganek, zbił połamane barierki, ogarnął palenisko i przepchał komin, w końcu zamontował nowy agregat prądotwórczy i po kilku dniach dłubaniny z czystym sumieniem mógł nalać sobie szklaneczkę whisky, otworzyć książkę i cieszyć się spokojem.

Dziś przyzwyczał się do życia w tych surowych warunkach na tyle, że prawie zapomniał o wszystkich przyziemnych przyjemnościach, bez których większość społeczeństwa nie wyobrażała sobie normalnego funkcjonowania. Telewizja i internet mogłyby dla niego nie istnieć, podobnie jak bieżąca woda czy ciepły prysznic. Na swój sposób polubił styl życia tak daleki od miejskiego zgiełku, za to tak bliski naturze. Coraz bardziej uzmysławiał sobie, że nie chce wracać, ale szczerze wątpił, aby Julka kiedykolwiek była w stanie zrezygnować z pracy

i zamieszkać w takiej dziczy. A nawet jeśli, to z czego by wtedy żyli? Wciąż miał trochę zaskórniaków, ale nawet tak skromna egzystencja wymagała stałego źródła dochodów. Gdyby Julka nawet zahaczyła się w jakimś lokalnym posterunku, to czuł, że nie byłaby tu szczęśliwa. Uschłaby jak paprotka w pokoju Romka Czarneckiego. I taki byłby koniec.

Pomyślał, że do niej zadzwoni. Na szczycie wzgórza sygnał wciąż łapał niezłe i na rozmowę telefoniczną w zupełności wystarczał. Odebrała po drugim sygnale.

– Cześć – przywitał się.

– Cześć. Dawno nie dzwoniłeś.

Brudny szybko policzył dni. Musiała przesadzać, bo gadali przedwczoraj albo przedprzedwczoraj. Na pewno po wizycie tamtych turystek, bo pamiętał, że czuł lekkie wyrzuty sumienia po tym, jak ukradkiem zerkał na ich jędrne tyłki. Długa wstrzemięźliwość była jednym z niewielu minusów życia na tym pustkowiu i stawała się uciążliwa.

– Chyba nie aż tak.

– Kwestia indywidualna. Co u ciebie? Dalej próbujesz rozwikłać konstrukcję wszechświata czy wspaniałomyślnie ładujesz telefony młodym turystkom?

Cóż, pomyślał, czasem szczerść nie popłaca. Postanowił się nie odgryzać, bo może miała po prostu kiepski dzień w pracy.

– Wszystko pod kontrolą. Żadnych gości, nie licząc kilku saren i dzików.

– To w porządku. U mnie pracy po pachy. Świat zmierza w naprawdę gównianym kierunku. Kradzieże, rozboje. W Suchej facet zarabiał siekierą kolegę, który wygrał z nim w karty. Wyobrażasz sobie?

– Mnie już nic nie zdziwi.

– No tak. A nie chciałbyś, żebyś zrobiła ci laskę?

– Ooo...

Wyobraził sobie, jak wypowiada te słowa pomiędzy przekładaniem kolejnych akt nawarstwiających się spraw. Zresztą wszystko na to wskazywało, bo o tej porze zwykle siedziała w papierach, a w słuchawce wyraźnie słyszał ich charakterystyczny szelest.

– No to jak? Chciałbyś czy nie? – naciskała, choć jej ton w ogóle się nie zmienił. Równie dobrze mogłaby zapytać, czy smakowała mu kanapka, którą przygotowała mu przed wyjściem do pracy.

– Potrafisz dokopać biednemu pustelnikowi... – mruknął.

– Pustelnikowi na własne życzenie, Igor. Na własne życzenie.

– Jesteś sama?

– A myślisz, że tak sobie gadam o zrobieniu ci laski przy kolegach z pracy?

– No właśnie nie wiem.

– Chcesz czegoś konkretnego czy dzwonisz, żeby mnie powkurwić?

Jej ton się nie zmieniał. W tle wciąż szeleściły jakieś papiery.

– Po prostu chciałem usłyszeć twój głos.

– Usłyszałeś. Coś jeszcze?

– Masz okres?

To już groziło eskalacją, ale jakoś nie mógł się powstrzymać. Jedna mała szpilka wobec serii ciosów poniżej pasa nie powinna jednak doprowadzić do końca świata.

Julka na chwilę zamilkła, w końcu westchnęła.

– Zbliża mi się i mam wielką ochotę na seks. Dlatego fajnie by było, gdyby mój facet w końcu wrócił z tej dziczy. – Tym razem jej ton się zmienił. Pobrzmiwało w nim zwątpienie, może nawet brak nadziei. – Myślałam, że potrafisz czytać między wierszami... – dodała z jeszcze większym przygnębieniem w głosie.

Brudny zdawał sobie sprawę, że w podobnych sytuacjach nie jest mistrzem słownej szermierki, ale teraz poczuł, że naprawdę nawalił. Oddalali się od siebie coraz bardziej, a on swoją postawą tylko sprawę pogarszał. Wina była po jego stronie i musiał coś zrobić. Julka była jedyną kobietą, która miała do niego cierpliwość. Jedyną, która go rozumiała i kochała. Nie chciał i nie mógł jej stracić.

Gdy już planował coś powiedzieć, jego wzrok przykuł jakiś ruch za chałupą. Uniósł lekko czapkę z daszkiem. W oddali dostrzegł dwie wyłaniające się z mgły postaci. Pomyślał, że turyści mają naprawdę fatalny timing.

– Przepraszam – powiedział. – Zadzwonię wieczorem, to pogadamy, okej?

– Nie wiem, czy będę miała ochotę.

– Mimo wszystko... – Brudny zmarszczył brwi. To nie byli turyści. – Poczekaj chwilę. Oddzwonię.

Rozłączył się i skupił wzrok na dwóch wspinających się wzgórzem mężczyznach w przeciwdeszczowych płaszczach. Siąpiło, widoczność była fatalna, a na dodatek w dolinie osiadła mgła, więc nie był w stanie dostrzec, co dzieje się kilkadziesiąt metrów za ich plecami. Instynkt podpowiadał mu jednak, że ich wizyta nie zwiastuje nic dobrego. Nauczył się go słuchać, więc wszedł do chałupy tylnym wejściem i na wszelki wypadek wyjął z szuflady walthera. Wcisnął go za pasek spodni. Odczekał jeszcze kilkadziesiąt sekund i otworzył frontowe drzwi. Mężczyźni właśnie weszli na schody.

– Panowie w jakiej sprawie? – zapytał, ale szybko zorientował się, z kim ma do czynienia. Dobry pies od razu wyniucha innego psa.

– Komisarz Igor Brudny? – zapytał jeden z przybyszy.

– To zależy, kto pyta – zagrał głupa.

– Komisarz Marian Kmita, a to aspirant Łukasz Szmajda z komendy miejskiej w Sanoku – przedstawił siebie i kolegę. – Wpuści nas pan do środka? Pogoda

jest, jaka jest, a chcielibyśmy zadać panu kilka pytań.

– W jakiej sprawie?

– Zaginięcia Małgorzaty Dąbrowskiej i Eweliny Matejczuk. Podobno mógł być pan jedną z ostatnich osób, które miały z nimi kontakt.

Brudny poczuł ucisk w żołądku, a potem jego myśli automatycznie powędrowały w stronę Julki. Z wieczornej rozmowy nici, pomyślał, a chwilę później zadźwięczały mu w uszach słowa Justyny Klepackiej opowiadającej legendę o ponurym smolarzu.

Pomyślał też, że chyba naprawdę nie nadaje się do bycia w związku. Igor Brudny przyciąga zbyt wiele kłopotów.

Rozdział 4

Zbudził ją wilczy skowyt.

Gwałtownie otworzyła oczy, ale ciemność była nieprzenikniona. Poczuła, że uniosły się włoski na całym jej ciele, zadrżała, a z ust wyrwał się cichy jęk. Oddech przyspieszył, do umysłu zaczęły docierać sygnały o zagrożeniu.

Szarpnęła się, a gdy usłyszała brzęk łańcuchów, pojęła, że sytuacja, w której się znalazła, jest naprawdę zła. I że grozi jej ogromne niebezpieczeństwo.

Wilczy skowyt wypełniał ciemne pomieszczenie niemal nieustannie. Jakby wataha była blisko, niemal na wyciągnięcie ręki. Jakby w każdej sekundzie mogła się spodziewać, że jedna z bestii chwyci ją za ramię albo wgrzyzie się w udo. Z jej ust dobył się cichy jęk, gdy zdała sobie sprawę, że jest zupełnie naga. Pomyślała, że wilk miałby ułatwione zadanie. Wgryzłby się w tkankę, wyszarpał wnętrzności, pożarł ją żywcem. Ta świadomość nagle kompletnie ją przytłoczyła. Zapragnęła wołać o pomoc, ale nie miała odwagi. Zamilkła i zaczęła się trząść, bo nagle wydało jej się, że krzykiem może jedynie rozjuszyc sforę. Czytała, że wilki mają doskonały słuch.

Wycie nie ustawało, ale niosło się dziwnym pogłosem. Rezonowało, odbijając się od ścian, przesywało na wskroś, w końcu wsiąkało w zimne mury. A może skały? Gdzie była? W jakiejś grocie? Pieczarze? Skowyt nie był naturalny i zdała sobie sprawę, że to nagranie. Dlaczego ktoś miałby ją unieruchomić, rozebrać i puszczać z głośników wilczy skowyt?

Przez jej głowę przewaliły się wszystkie możliwe horrory, jakie do tej pory oglądała. Kolejne przemykające klatki nie pozostawiały złudzeń, że znalazła się w naprawdę złym położeniu, a wspomnienie tego, co wydarzyło się, zanim została ogłuszona, tylko ją w tym przeświadczeniu utwierdziło. Chryste, pomyślała, to przecież nie może się tak skończyć. To przecież był tylko film. Owszem, realny, ale...

Wrzasnęła. Aż do bólu. A potem jeszcze raz i jeszcze. Wołała o ratunek, ale z czasem jej krzyki zaczęły przypominać już tylko rżenie wycieńczonej ofiary.

W końcu opadła z sił i zalała się łzami. Co z tego, gdy echo jej wrzasków i wilczy skowyt wciąż wyły w jej głowie. Błagania o ratunek nie ustawały, ale jej głos się zmienił. Stał się ostrzejszy, bardziej piskliwy i przejmujący. Jak to możliwe? Przecież nie miała już sił i ledwo oddychała.

W końcu zamilkła. Chwilę później wilcza wataha też przestała ujadać. Zapadła dojmująca cisza.

Małgorzata Dąbrowska zrozumiała, że nie jest sama. Wytężyła słuch w nadziei, że to nie jedna z bestii. Ciężko oddychała, ale obok oddychał ktoś jeszcze. Równie ciężko, jakby walczył o każdy kolejny haust powietrza.

– Halo... – zaryzykowała. – Czy ktoś tu jest?

– Gośka? – usłyszała.

– Ewela?

Oba imiona, choć wymówione półgłosem, zabrzmiały w ciszy głośno i wyraźnie. Odbiły się echem, w końcu wsiąkły w mury.

– Co tu się dzieje? Gdzie jesteś? Gdzie jesteście? – kontynuowała jedna z dziewczyn. Jej głos załamywał się przy każdym słowie.

– Nie wiem. Nie mogę się ruszyć. Jestem... Boże, on mnie rozebrał. Jestem naga i...

Zamilkła, gdy ciszę przerwał głęboki bas, który po chwili ułożył się w prymitywny, ale niepokojący rytm wybijany na bębnach. Niósł w sobie coś niewysłowienie złego, a Małgorzacie skojarzył się z plemiennymi rytuałami dzikich ludów.

Bam, bam bam, bam, bam bam, bam, bam bam...

Dziewiczy, prastary, pierwotny rytm wżerał się w ciało, rezonował z narządami wewnętrznymi i w jakiś niewytłumaczalny sposób dostrajał się do częstotliwości uderzeń jej serca. Pomyślała, że to jakaś totalna aberracja rzeczywistości, i zamknęła oczy w nadziei, że zaraz się obudzi i koszmar się skończy.

Nic z tego.

Bębny wciąż biły, a chwilę później znów dołączył do nich wilczy skowyt. Poczła na ciele serię lodowatych dreszczy. Rytm w połączeniu z wyciem wilków wydawał się absolutnie przerażający, obiecywał jakąś trudną do wyartykułowania makabrę, coś, przed czym natura pragnęła uchronić człowieka, uzbrajając go w jeden z najważniejszych instynktów – strach. Przez upiorne echo bębnów przebijały się słowa przyjaciółki, ale nie rozumiała ich znaczenia. Nie była pewna, czy chce je słyszeć, bo w tonie pobrzmiwała niezmierna groza.

I wtedy nagle zapadła cisza.

Wydała się jeszcze bardziej przerażająca.

Jeszcze nigdy tak wyraźnie nie słyszała bicia własnego serca. Waliło jej w piersi w zgasły rytm bębnów.

Bam, bam bam, bam, bam bam, bam, bam bam...

Pomyślała, że zaraz zwariuje. Wtedy usłyszała kroki. Plusk wody, pisk szczura.

Chciała zawołać o pomoc, ale zabrakło jej odwagi. Doskonale wiedziała, że ten, kto kryje się w mroku, nie przyjechał tu po to, aby im jej udzielić. Co gorsza, opuściły ją ostatnie wątpliwości, że przybył tu w dokładnie przeciwnym celu. Ten ktoś chciał je skrzywdzić.

Ewelina również milczała. Małgorzata słyszała jej płytki, świszczący oddech. Wtedy mrok rozświetlił oślepiający strumień światła. Jeden, drugi, trzeci. Instynktownie zmrużyła oczy i odwróciła głowę, a gdy znów rozsunęła powieki i oczy choć trochę przyzwyczały się do jasności, dostrzegła unoszącą się nad podłogą zawieszistą mgłę. Przełknęła ślinę, a chwilę później jej wzrok powędrował na przykutą do ławy Ewelinę. Jej skóra wydawała się biała jak papier, a przyjaciółka drżała z przerażenia. Nie to jednak sprawiło, że poczuła silne parcie na pęcherz. Zaledwie metr obok stała druga drewniana ława, a na niej dziesiątki złowrogo połyskujących narzędzi. Biały opar muskał je delikatnie, potęgując wrażenie nadciągającego horroru.

Małgorzata zamknęła oczy. Wyobraziła sobie, że po raz ostatni zmusi się do wysiłku, aby jednak obudzić się z tego koszmaru. Gardłowy pomruk przybysza ostatecznie pozbawił ją nadziei, że to tylko zły sen. Z kącików jej oczu spłynęło kilka kolejnych łez. Powoli otworzyła powieki.

Na granicy, gdzie światło spotykało się z mrokiem, mgła nienaturalnie zafalowała, a chwilę później z ciemności wyłoniła się krępa dwunożna postać. Jakkolwiek irracjonalnie to brzmiało, nie przypominała człowieka. Ona nie miała z człowiekiem nic wspólnego.

Rozdział 5

Brudny wpuścił funkcjonariuszy do wnętrza chaty. Nie prezentowali się zbyt poważnie, ale lata pracy nauczyły go, aby aż tak bardzo nie ufać pierwszemu wrażeniu. Starszy stopniem Kmita wyglądał jak egzemplarz wyjęty z lat słusznie minionych. Po pięćdziesiątce, spora nadwaga, bujne wąsy i czerwony nos, sugerujący, że jego właściciel za kołnierz nie wylewa. Szmajda był sporo młodszy i Igor ocenił jego wiek na jakieś trzydzieści pięć lat. Nieco wyższy od kompana, na pewno szczuplejszy, ze sporymi zakolami i włosami zaczesanymi na bok. Nie wiedzieć czemu nosił krótko przystrzyżony wąsik, który – gdyby nie kozia bródka – z pewnością upodabniałby go do młodego Hitlera.

Przyglądał się im dość natarczywie, gdy ściągali i wieszali na gwoździach płaszcze przeciwdeszczowe. W końcu komisarz Kmita prostackim uśmiechem wymusił na Brudnym, aby wskazał im drogę, gdzie mogliby spocząć. Igor zaprosił ich na kanapę. Usiedli, rozglądając się niepewnie. Nie zaproponował im niczego do picia, podobnie nie poczęstował ich papierosem, gdy sam usiadł w fotelu i wyjął paczkę. Zapalił.

– Będziemy tak sobie patrzeć w oczy czy zaczniecie panowie zadawać pytania? – odezwał się, gdy wydmuchał dym nosem.

– Tak, przepraszam – mruknął Kmita. – Łukasz...

Aspirant z dziwacznym zarostem wyjął z kieszeni sprzęt nagrywający. Włączył przycisk nagrywania, położył i przesunął na środek ławy.

– Chyba się, panowie, nie zrozumieliśmy – rzekł Brudny, kładąc swoją dłoń na urządzeniu. Wcisnął przycisk stop i odsunął je w stronę Szmajdy. – Przyszliście tu panowie porozmawiać, a widzę, że próbujecie mnie przesłuchać. Wszyscy wiemy, że to tak nie działa.

Krępy wąsacz pociągnął nosem i posłał karcące spojrzenie młodszemu kompanowi. Ten od razu schował dyktafon do kieszeni.

– Wiemy, kim pan jest, komisarzu Brudny – odezwał się Kmita. – Dlatego nie chcemy wprowadzać niepotrzebnego zamieszania.

- Właśnie panowie wprowadziliście.
- Proszę wybaczyć. Aspi...
- Wybaczam.

Zapadła niezręczna cisza i Brudny pomyślał, że tu chyba próżno szukać drugiego dna. Tym razem pierwsze wrażenie chyba jednak nie próbowało zwieść go na manowce. Patrzył, jak Kmita wyciąga z marynarki notes, otwiera go, przeciera wąsy.

- Od jak dawna pan tu mieszka? – zapytał po chwili zastanowienia.
- Od końca października.
- Pamięta pan dokładny dzień?

Brudny tylko utwierdził się w przekonaniu, że ma do czynienia z amatorami. Gdyby był podejrzany, to mogliby go pytać nawet o kolor ulubionych skarpetek, ale w tym wypadku tego typu informacja kompletnie nic im nie dawała. Mimo wszystko wbrew sobie założył, że jednak nie są idiotami. Postanowił odpowiadać na pytania konkretnie i zwięźle, a potem, gdy już poznają swoje miejsce w szeregu, samemu wyciągnąć od nich maksimum informacji.

– Dwudziestego dziewiątego albo trzydziestego – odparł, strzepując popiół do popielniczki.

- Mieszka pan sam?
- Sam.

Facet coś zapisał i podrapał się za uchem. Na skroniach zaperliły mu się krople potu. W mieszkaniu panowała temperatura oscylująca w granicach dwunastu, może trzynastu stopni Celsjusza, więc na pewno nie pocił się z przegrzania organizmu. Ewentualnie z przegrzania mózgu, pomyślał Brudny.

- Czy miał pan bezpośredni kontakt z panem Samuelem Wanzreichem?
- Nie.
- A jakikolwiek kontakt pan z nim miał?
- Miałem.
- Czyli?
- Raz machnąłem mu ręką.
- Tylko raz?
- Raz.
- Dlaczego tylko raz?
- Bo mi nie odmachnął.
- Hmm...

Facet znów coś zanotował, ale Brudny miał wrażenie, że zamiast zapisywać konkretne informacje, facet kreśli jakieś bazgroły albo rysuje bałwany. Pomyślał, że byłby w stanie założyć się o flaszkę Jamesona, że się w tej kwestii nie myli. Czerwony kinol Kmita i świadomość zarobków policjantów na tym stanowisku

sugerowały jednak, że chłop raczej nie gustuje w whisky. Brudny stawiał na wódkę, a najpewniej samogon.

– Wszedł pan z nim w kontakt werbalny? – ciągnął wąsacz.

– Nie.

– A dlaczego?

– Uznałem, że nie ma sensu.

– No tak...

Długopis znów zadrżał mu w dłoni. Brudny powoli zaczął mieć dość tej zabawy. Chciał ich wybadać, a tymczasem wyszło na to, że nie ma czego. Bez ostrzeżenia wstał z fotela i podszedł do kominka, skąd ściągnął napoczętą butelkę jamesona. Z szafki wyjął trzy czyste szklanki, które postawił na ławie. Oczy Kmita od razu rozbliły się pożądaniami.

– Panowie... – oznajmił, nalewając im bez pytania. – Skoro wiecie, kim jestem, to wiecie też, że nie lubię takiego pierdolenia na okrętkę. Mieszkam tu i pewnie jeszcze trochę pomieszkam, więc jeśli zaginęły jakieś dziewczyny, to lepiej wyłóżcie karty na stół. Co wy na to?

Brudny przesunął szklanki w stronę obu funkcjonariuszy. Szmajda ewidentnie miał ochotę na kielicha, ale na wszelki wypadek poszukał potwierdzenia u starszego stopniem. Kmita skinął na znak, że jeden nie zaszkodzi. Wypili.

– Marian jestem. – Kmita wyciągnął rękę przez ławę.

– A ja Łukasz.

Igor pomyślał, że jest jednak gorzej, niż mógłby przypuszczać. Nie miał zamiaru się aż tak spoufalać, ale najwyraźniej Kmita źle zinterpretował jego gest. Mimo wszystko uściśnął wyciągnięte dłonie.

– Brudny... – powiedział. – A teraz do rzeczy, panowie. Kim są te dziewczyny, kiedy zaginęły i dlaczego sądzicie, że mogłem je widzieć?

Rozmowa od razu stała się luźniejsza, ale już na jego zasadach. W kilku miejscach Kmita postawił jednak wyraźną granicę. Brudny nie naciskał, bo znał reguły, tym bardziej nie chciał wyjść na jakiegoś napaleńca. Ogólnie to nie była jego sprawa. Nie mógł jednak opędzić się od myśli krążących wokół legendy o ponurym smolarzu. Owszem, Klepacka podkreślała, że to tylko historyjka mająca na celu straszenie dzieci, ale przez lata pracy w pionie kryminalnym Brudny nauczył się nie wykluczać żadnej, nawet wydawałoby się najbardziej absurdalnej hipotezy, zwłaszcza że w każdej historii kryje się ziarno prawdy. A przecież wyraźnie wspominała też o tym, że na przestrzeni kilku dekad w okolicznych lasach zaginęło bez wieści kilkadziesiąt osób. Świadomość, że nagle znalazł się na kursie kolizyjnym z tak tajemniczą sprawą, sprawiła, że obudził się w nim instynkt, który w ostatnim czasie tak bardzo w sobie tłumił.

– Kim jest ten chłopak, który je widział? – spytał, gdy rozmowa zesłała na wizytę poszukiwanych dziewczyn w jego chałupie.

– To... – zaczął Szmajda, ale od krępego otrzymał pod ławą pouczającego kopniaka. Było już jednak za późno.

– Albo rozmawiamy poważnie, albo nie – rzucił Brudny. – Decydujcie, panowie.

– Kobziński Łukasz – mruknął Kmita, ale Brudny od razu wyczuł w jego tonie zawahanie. Nie to nazwisko miało paść z jego ust.

– Syn sołtysa?

– Tak.

– Tylko on? Czy było ich więcej?

Kmita chwycił butelkę i rozlał następną kolejkę. Wyglądało to dość żałośnie, bo wybrał najgorszy możliwy sposób, aby ukryć swoje zakłopotanie.

– To ten od GLS-a? – podpuszczał dalej Brudny. Oczywiście wiedział, że syn sołtysa nie może rozbijać się tak drogim samochodem. Kojarzył jednak grupę młodzieńców, którzy regularnie wozili się od wsi do wsi, jakby byli królami szos.

– Nie, ale wracając do tematu...

– A z czystej ciekawości. Kto tu jeździ takim cackiem?

Kmita za wszelką cenę próbował ukryć nerwowość, ale wychodziło mu koszmarnie. Na jego wniosek wypili.

– Ten samochód należy akurat do Wiktora Bursztynowicza – odparł niechętnie, co też nie uszło uwagi Brudnego.

– Syna Macieja Bursztynowicza? – docisnął Igor. Wiedział, że Kmita coś kręci, a ten nie miał wyjścia, bo uzyskanie tego typu informacji w dziurze pokroju Stężnicy wydawało się banalnie łatwe. – Tego, co w rozwiązanym rządzie trzymał tekę wiceministra rolnictwa?

– Tak, tego – przyznał wyraźnie niepocieszony Kmita. – Ale wracając do tematu. Chłopak widział je, gdy przejeżdżał z kolegami samochodem obok skrzyżowania na szlak do cerkwi w Łopience. A on przebiega obok wypału Wanzreicha i pańskiego domu. Stąd nasza wizyta.

To miało sens, bo Brudny wielokrotnie natykał się na tych gówniarzy. Zwykle jeździli tym potężnym SUV-em od Mercedesa, a że nie było tu wiele asfaltówek, to przy okazji drobnych zakupów albo wizyty na stacji benzynowej czasem się mijali. Klasyczna banda szczyli pod wodzą synalka bogatego tatusia. Skóra, czapeczka z daszkiem i kilka kilogramów złota na szyi i paluchach. Lider musiał się wyróżniać, a reszta jadła mu z ręki. Brudny nie znosił takich wypacykowanych smarków, więc na wszelki wypadek udawał, że chłopak nie istnieje. Tak czy siak, ta historia się kleiła, choć miał przekonanie graniczące z pewnością, że zamiast nazwiska Kobziński pierwotnie miało paść Bursztynowicz. Postanowił więc

odpuścić, bo swoje już wiedział. Aby trochę obniżyć temperaturę dyskusji, opowiedział o wizycie obu dziewcząt, z pamięci opisał też, jakie nosiły ubrania, i zaznaczył, że po naładowaniu telefonów i opuszczeniu chałupy dalej ruszyły szlakiem w kierunku cerkwi w Łopience. Uznał też, że dopóki na spokojnie nie odtworzy, a następnie nie przeanalizuje wątków, które podjął w rozmowie z zaginionymi, chwilowo pominie to milczeniem.

– I tak siedzieliście tu i patrzyliście sobie w oczy? – upewnił się Kmita.

– Nie jestem wylewny. Miałem robotę – odparł Brudny, choć odniósł wrażenie, że węsacz wcale mu nie uwierzył.

Nie mogąc dopytywać o szczegóły śledztwa, dyskretnie skierował rozmowę na starą legendę. Gliniarze połknęli haczyk, zwłaszcza Szmajda, który nie dość, że zaczął gadać jak nakręcony, to jeszcze po drodze chlapanął coś o Wanzreichu, którego przypadkiem nazwał podejrzanym. Nie to, żeby Brudny przy pierwszych skierowanych do niego pytaniach nie postawił takiej roboczej tezy, ale mając atut w postaci wypowiedzianej na głos teorii o możliwym popełnieniu przestępstwa przez swojego sąsiada, oczywiście od razu podjął dalsze rozważania. Trzecia nalana porcja whisky była jego mocnym sprzymierzeńcem.

– Zatem podsumujmy. – Brudny zapalił kolejnego papierosa. – Podejrzewacie Wanzreicha, u którego byliście, ale nikt nie otworzył wam drzwi. Retorty są wygaszone, więc najprawdopodobniej rzeczywiście nie ma go na wypale i według waszej hipotezy to świadczy przeciwko niemu. Informację o tym, że Małgorzata Dąbrowska i Ewelina Matejczuk mogły mnie odwiedzić, otrzymaliście od... – Brudny zrobił krótką pauzę – ...Łukasza Kobzińskiego, syna sołtysa, który to chłopak widział, jak kobiety skręcają na szlak do starej cerkwi w Łopience. Zgadza się?

– Tak.

– Ile osób zostało włączonych w poszukiwania?

– Aktywnie udział bierze czterdziestu policjantów i pewnie jacyś miejscowi wolontariusze, w tym przewodnicy. Przeszukują szlak i okolice, ale to jednak wciąż ogromny teren.

– Czy zatem mogę wam jeszcze jakoś pomóc?

Wzrok Kmity odruchowo przeskoczył na butelkę z niedopitą resztką whisky, ale szybko przeniósł go na Szmajdę. Aspirant nie miał nic więcej do powiedzenia, więc węsacz ospale podniósł z się z kanapy, otrzepał poły marynarki z nieistniejących paproszków i wyciągnął rękę w kierunku Brudnego.

– Dziękuję, komisarzu Brudny – powiedział. – Bardzo nam pan pomógł. Jeśli coś jeszcze by się panu przypomniało, to...

Kmita najwyraźniej zorientował się, że zagadał jak policyjny zgred z taniego kryminału, więc tylko machnął ręką i po prostu położył swoją wizytówkę na

ławie. Pospieszył aspiranta i lekko chwiejnym krokiem obaj funkcjonariusze ruszyli do sieni.

– Raz jeszcze dziękujemy za poświęcony czas – powiedział.

Brudny otworzył drzwi i mężczyźni wyszli na ganek. Kmita nabrał w płuca powietrza, omiół spojrzeniem skąpane w półmroku wzgórze, odchrząknął i odwrócił się w stronę gospodarza.

– Tylko taka mała uwaga – mruknął. – Wiemy, że jest pan dobrym gliną, ale proszę się w to śledztwo nie wpierdalać.

Powiedział to tonem, którego Brudny by się po nim w tym stanie nie spodziewał. Nagle wydało mu się, że Kmita jest trzeźwy jak szczupak i całe to przedstawienie jednak ma jakieś drugie dno.

– Jasne – odparł i zamknął drzwi.

Gdy Kmita żwawym krokiem schodził ze zbocza, Szmajda lekko chwiejnym podążał za nim, a Brudny z mieszanymi uczuciami odprowadzał ich obu wzrokiem, gdzieś niedaleko ktoś kończył robotę. Wiedział już wszystko i świadomość tej wiedzy wcale mu się nie podobała. Teraz należało działać szybko i efektywnie.

– Zagotuj smołę i kończ z nią – poniósł się władczy głos z głębi piwnicy.

„Ktoś” był niepokieszony, mimo to mocniej zacisnął palce na skrwawionym trzonku siekiery. Spojrzał w udęczone oczy oskalpowanej dziewczyny i pomyślał, że przez niekorzystne okoliczności stracił kilka godzin dobrej zabawy. Chwilę później zamachnął się i dokończył dzieła.

Rozdział 6

Dobre wino nie jest złe.

Zwłaszcza w samotności, pomyślała Julka, gdy nalała sobie drugą lampkę półwytrawnego białego barkana. Odgarnęła świeżo umyte włosy i upiła słuszny łyk. Nie była jakąś wielką koneserką, ale ostatnio coraz częściej spędzała wieczory z butelką jakiegoś wynalazku w rękach. Tym razem padło na wino z Izraela. Kupowała je w niewielkim sklepiku „Wina Świata” przy Kupieckiej, próbując znaleźć te, które spełniłyby jej oczekiwania. Nie miała ich specjalnie rozdmuchanych zarówno w kwestii doboru kolejnych nut smakowych, jak i w większości błahych spraw życia codziennego. Tym bardziej nie mogła pogodzić się z tym, że mężczyzna, z którym była, po prostu zniknął z jej życia.

Dziś nastrój Julki zanurkował na samo dno.

„Poczekaj chwilę, oddzwonię”, powiedział Brudny, gdy rozmawiali po raz ostatni. Chwila minęła, potem druga i trzecia. Miała na głowie mnóstwo pracy, ale i tak co rusz zerkała na zegarek.

Igor nie oddzwonił.

Gdy skończyła papierkową robotę, zaszła po drodze do biura komendanta. Inspektor Romuald Czarnecki był kimś więcej niż tylko przełożonym i chyba jako jedyny potrafił dotrzeć do Brudnego. W chwili słabości postanowiła zapytać go o radę. Przed drzwiami jednak stchórzyła i czym prędzej, próbując się nie rozpłakać, pospiesznie opuściła komendę. W drodze do domu trochę się uspokoiła. Swój emocjonalny wybuch tłumaczyła sobie nawałem pracy i zbliżającym się okresem, ale podświadomie wiedziała, że się okłamuje. Jej związek przechodził poważny kryzys i musiała jakoś zareagować, aby wszystko się do reszty nie posypało. Tylko jak rozmawiać z takim człowiekiem jak Igor Brudny?

Nie mogła mieć do niego pretensji, co najwyżej do siebie. Znała go od lat. Decydując się na tę relację, zdawała sobie sprawę, że na partnera życiowego wybiera faceta pokiereszowanego psychicznie, skrajnie zamkniętego w sobie,

który zamiast burzyć mury, woli je wokół siebie budować. Jego introwertyczność miała swoje dobre strony, bo przynajmniej nie potrzebował uwagi, przede wszystkim zaś nie szlajał się po knajpach z kolegami, którzy w pionach kryminalnym czy dochodzeniowo-śledczym zwykle w ten sposób odreagowywali stres związany z pracą, często silnie destrukcyjnie wpływającą na psychikę. Co z tego, skoro nawet gdy był w domu, wydawał się nieobecny. Kiedy przegapiła moment, gdy znów zaczął klecić swój kokon?

Nie miała pewności, czy znów będzie potrafiła go przebić. Po tym, gdy najpierw runęły mury sierocińca, a potem dzięki jego działaniom w zapomnienie odeszli wszyscy ci, których podświadomie oskarżał o systemowe wspieranie pedofilii w Kościele, w końcu zaś nowo wybrana przez suwerena władza zaczęła sprzątać cały ten syf po poprzednikach, Julka myślała, że Brudny w końcu doświadczy ukojenia. Z początku wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze. Polecieli na wakacje do Hurghady, co – może poza kilkoma wyjazdami służbowymi do sąsiednich krajów – było dla Igora pierwszym tak dalekim wypadem za granicę. Problemy zaczęły się już na egipskim lotnisku, gdzie bramka wykrywająca elementy metalowe przy Brudnym po prostu oszalała. Strażnicy graniczni wpadli w popłoch i dopiero po kilku godzinach tłumaczenia, że Igor jest naszpikowany tytanowymi śrubami, nitami czy płytkami niczym RoboCop, oraz po dokładnym sprawdzeniu go w systemie ostatecznie puścili ich do hotelu. Julka robiła wszystko, aby obrócić to w żart, ale on niespecjalnie potrafił cieszyć się urlopem. Wnerwiali go inni turyści, kręcił nosem na jedzenie, o alkoholu serwowanym w ramach all inclusive nawet nie wspominając. Tylko dwa razy dostrzegła, że coś naprawdę go poruszyło. Za pierwszym razem po wyjściu z morza uśmiech nie schodził mu z twarzy. Mieli dużo szczęścia, bo oprócz możliwości obejrzenia samej rafy koralowej, która notabene też zrobiła na nim spore wrażenie, przypląły do nich delfiny, z którymi pływali blisko godzinę. Drugi raz wezbrały w nim silne emocje, gdy wybrali się na wycieczkę do Kairu i Igor stanął pod piramidą Cheopsa. Gapił się na nią w milczeniu, ale w jego oczach widziała, że w środku aż kipi. Co wtedy czuł? Co mu chodziło po głowie? Nigdy jej tego nie powiedział, ale od tamtej pory znów stał się duchem. Niby był, ale tak naprawdę go nie było. A krótko po powrocie z urlopu, po akcji z tym tabletem, oznajmił, że musi wyjechać w dzicz. Co prawda jego argumenty, choć trochę naciągane, wydały jej się przekonujące, jednak i tak miała do niego lekki żal. Nie zapytał jej o zdanie, po prostu postanowił, dogadał się z Klepacką i zamieszkał w jakiejś odseparowanej od cywilizacji ruderze. Po miesiącu wpadła do niego w odwiedziny i nawet było miło. Pochodzili po górach, pokochali się przy kominku. Potem jednak Igor zaczął swój pobyt przeciągać, ona miała urwanie głowy w pracy i jakoś nie było okazji. Swoimi wizytami nie

chciała też sankcjonować tego niemądrego w jej mniemaniu pomysłu. Z czasem więc w ich rozmowach telefonicznych dało się wyczuć pewną niezręczność, może nawet wzajemną pretensję. Stały się coraz rzadsze. Nie była pewna, jaki miałoby dziś kontakt, gdyby sama do niego co jakiś czas nie dzwoniła. Teraz dotarło do niej, że wszystko poszło nie tak, bo zamiast przemyśleć pewne sprawy, Igor najwyraźniej znów oblekł się w skorupę.

Tylko czy miała jakiegokolwiek prawo zabronić mu tego wyjazdu? Czy Igorowi Brudnemu można było w ogóle czegoś zabronić? Ten facet był po prostu niesterowalny i – z czym niechętnie zaczynała się godzić – niereformowalny.

Wychyliła lampkę wina i dla odmóżdżenia włączyła Netfliksa. Ostatnio wciągnął ją serial *Breaking Bad* i właśnie zaczynała czwarty sezon. Pomyślała, że nie będzie już więcej Igora naciskać. Między słowami powiedziała mu dziś więcej niż przez ostatnie kilka miesięcy. Jeśli to nie wzbudzi w nim jakiejś refleksji, to chyba wywiesi białą flagę.

Ta myśl sprawiła, że z kącika jej oczu oderwała się łza. Wytarła ją i nalała sobie kolejną lampkę. Włączyła ikonkę play. Wtedy usłyszała znajomy dzwonek smartfona. Był przyporządkowany do jednej, tak ważnej dla niej osoby.

– Cześć – przywitał się Brudny.

– No cześć...

Zmarszczyła brwi. Od razu wychwyciła, że ton jego głosu jest inny niż zwykle. Pomyślała, że ta zmiana jest raczej na plus.

– Już w domu?

– W domu. Oglądam serial.

– Przepraszam, że nie oddzwoniłem od razu. Chciałem pogadać o tym... no wiesz... o tym wszystkim, ale sprawy trochę się... skomplikowały.

Julka nerwowo przełknęła ślinę. Co miał na myśli, mówiąc, że sprawy się skomplikowały? I dlaczego tak nienaturalnie to zaakcentował? Poczowała lekki ucisk w sercu.

– Słucham... – zaryzykowała, próbując przygotować się na najgorsze.

– Chciałbym, abyś coś dla mnie sprawdziła.

– Sprawdziła?

– Tak jak mówię. Sprawy trochę się skomplikowały. Niedawno miałem wizytę dwóch lokalnych gliniarzy z dochodzeniowo-śledczej. Zagięły dwie turystki, które tuż przed zniknięciem były u mnie. No te, o których ci mówiłem...

W normalnej sytuacji taka informacja pewnie byłaby powodem do niepokoju, ale Julce paradoksalnie poprawiła nastrój. Igor znów mówił jak stary on. Jakkolwiek by to absurdalnie zabrzmiało, miała wrażenie, że znów w jego tonie wyczuwa chęć do życia.

Odstawiła lampkę wina na ławę i odgarnęła włosy.

– Te turystki, którym naładowałaś telefony? – dopytała.

– Te, które naładowały sobie same – uściślił. – Ale tak, o nie chodzi. Zgłoszenie o zaginięciu zostało złożone dwa dni temu, więc wychodzi na to, że zniknęły krótko po wyjściu ode mnie. A tym ówcom, którzy dziś do mnie przyszedli, jakoś nie ufam. Mogłabyś ich sprawdzić? I jeszcze tego mojego sąsiada smolarza, co ma wypał w dolinie. Facet zniknął i chyba to w nim widzą głównego podejrzanego.

– Poczekaj... – Zrobiła krótką pauzę, aby na szybko przeanalizować słowa partnera. Nie takiego rozwoju wypadków się spodziewała, ale uznała, że lepszy taki scenariusz niż ten, który jeszcze kilka minut temu doprowadził ją do łez. Cały Igor, pomyślała. Oczywiście musiał wpakować się w jakąś kabałę.

– Sprawdzasz? – zapytał, gdy cisza się przedłużała.

– Analizuję – odparła i odłożyła laptop. – W co ty się znowu wpakowałeś, Igor? Dlaczego mówisz o „głównym podejrzanym”? To jakaś poważna sprawa?

– Nie wiem, czy poważna, ale... – Teraz on na chwilę zawiesił głos. Usłyszała, jak się zaciąga. – No po prostu coś mi tu nie pasuje. Wiesz, jak jest. Może i odznaki nie noszę, ale psem zostaje się na całe życie. Czuję, że będzie z tego jakiś gnój.

– I postanowiłeś się zaangażować?

– Postanowiłem wy badać temat.

– A ci śledczy to na starcie nie straszili cię krzyżem? Albo nie chcieli na tobie odprawiać egzorcyzmów? Podkarpackie to bastion poprzedniej władzy, a ty...

– Daj spokój. Nie ma w tym nic śmiesznego.

– Trochę jest.

– Może dla ciebie. A tak w ogóle to skończmy ten temat, bo mnie wkurwia. Mogłabyś zrobić, o co cię proszę?

– No nie wiem, nie wiem... – Ton Julki wyraźnie wskazywał, że się z nim droczy.

– Widzę, że wrócił ci humor.

– Jeszcze nie wrócił. Zastanowię się, ale najpierw musisz ładnie poprosić.

– Ja pier...

Brudny nie dokończył. Tylko Julka potrafiła go tak wnerwiać. Sytuacja wyglądała na poważną, tymczasem ona próbowała ją wykorzystać, aby go podreżyć. Owszem, zasłużył sobie, ale przecież mogli wrócić do tematu później. Pokajałby się, przeprosił i pewnie za kilka dni, góra tydzień, spakowałby manatki i wrócił do domu. I tak miał już dość. Zasedział się i zdawał sobie z tego sprawę. Ale wyszło, jak wyszło. Nie prosił się o to. Co miał poradzić, że taki jego urok i przyciąga kłopoty?

– No... – ciągnęła Julka. – To nie jest aż takie trudne. Jest takie jedno czarodziejskie słowo, które...

– Proszę cię bardzo, moja ty wredna, ukochana Juleczko – przemógł się w końcu. – Jesteś moim słońcem i tęsknię, i no... i w ogóle...

– Mmm... nie poznaję pana Brudnego. – Julka poczuła przypływ endorfin. Czasem parę słów wystarczyło, aby kobiecie poprawić nastrój. – Pamiętasz, kiedy ostatni raz się tak do mnie zwróciłeś? – dodała filuternie.

– Wcale nie tak dawno.

– Czyli nie pamiętasz?

– Julka, no proszę cię...

– Niech ci będzie. Daj mi te nazwiska i jakieś pół godziny. Coś tam pogrzebię.

– Dzięki, jesteś wielka i... Kocham cię.

– Też cię Kocham, Igor.

Brudny podał jej nazwiska śledczych, zaginionych dziewczyn i dane sąsiada. Usłyszał, jak Julka zaczęła klepać w klawisze klawiatury.

– No to super. W takim razie czekam. Na razie – rzucił.

– Ale przecież nie musimy się rozłączać...

– Musimy.

– Bo?

– Bo muszę iść do wychodka, a tam jest problem z zasięgiem.

– Ty to... – Julka nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. – Ty to potrafisz spieprzyć każdą... zresztą, ech...

– Co poradzę, jak muszę?

– Dobra, idź. Tylko sobie ptaka nie odmroź.

– Ptaszora chyba. Orła, kurwa, bielika.

– Ty jesteś jebnięty. Idź już i zadzwoń, jak skończysz.

– Całuję w dupkę.

– Pa.

Julka się rozłączyła. Gdy nagle zaburczało jej w żołądku, uśmiechnęła się. Wciąż miała motyle w brzuchu, a ten głupek też ją kochał. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Musiała tylko wykonypować, jak go stamtąd wyciągnąć. Przemknęła jej myśl, aby zrobić mu niespodziankę i do niego przyjechać, ale gdy przypomniała sobie stos akt na biurku, jej dobry nastrój znów zapikował w dół.

Pomyślała, że wróci do tematu później, a teraz trochę poszpera w sieci. Nie musiała się jednak spieszyć. Jak znała partnera, to bita godzina z głowy.

Julka Zawadzka poszła najpierw do lodówki, aby zrobić sobie kanapkę z serem i pomidorem.

Rozdział 7

– Ja pierdolę. Zaraz się zrzygam – jęknął Szmajda, który chwilę później odwrócił głowę i zwymiotował przez palce.

– Pojebało cię? – warknął Kmita, który sam nie czuł się lepiej. Był blady jak ściana i nawet jego nos stracił karmazynowy kolor. – Zanieczyszczasz miejsce zbrodni, debilu! Won stąd, ale już! – warknął i na odchodne kopnął aspiranta w tyłek.

Poczuł, że i jemu treść żołądkowa podchodzi do gardła. Jak na złość telefon o odnalezieniu zwłok otrzymał w momencie, gdy skończył jeść śniadanie. Nie zdążył się nawet wypróżnić, a jak na złość dzień wcześniej obiad zjadł tuż przed pójściem spać. Kwasówka z ziemniakami i grzybami, a na drugie czulent – też z grzybami. Teraz te wszystkie jebane borowiki, podgrzybki i maślaki, zwłaszcza że podlane setką wódki, za wszelką cenę pragnęły wyrwać się na wolność. Nie mógł jednak dawać złego przykładu młodym. Musiał trzymać fason.

Aby jeszcze zyskać na czasie, Kmita na wszelki wypadek udał, że rozgląda się po okolicy. Ledwo tu doszedł, bo wspinaczka wąską i błotnistą po opadach deszczu drogą na stary cmentarz przy cerkwi w Łopience była wyzwaniem dla dużo młodszych i sprawniejszych niż on. Oczywiście po drodze wywinął orła i teraz wyglądał, jakby wytarzał się w gnojowniku. Wtedy też grzyby przypomniały o sobie pierwszy raz. Jakoś się ogarnął, chwilę odsapnął, zapalił, wytarł pot z czoła. Widok twarzy przybyłych przed nim policjantów nie pozwalał jednak czuć się pewnie. Wezwani na miejsce zdarzenia byli zieloni, jakby przećpali całą zawartość sklepu z dopalaczami. Trzęsącymi się rękami rozwieszali taśmę policyjną, próbując powstrzymać torsje. Przed nim i Szmajdą dotarło w sumie sześciu mundurowych: czterech z Baligrodu i dwóch z Cisnej akurat znajdujących się na patrolu w pobliżu Łopienki. Nieźle znał tylko starego Mielechę, a młodzi wyglądali jak klony. Ale przynajmniej zapierdalali i nie gadali. Zastanawiał się, kiedy dotrą technicy, patomorfolog i prokurator. I kto nim będzie...

Po raz ostatni odcharknął, splunął w chusteczkę, którą trzymał przy nosie, i żeby jak najmniej ingerować w miejsce zbrodni, zbliżył się do zwłok młodych kobiet. Na szczęście jeszcze nie cuchnęły, ale wyglądały doprawdy koszmarnie. Leżały przy starym kamiennym krzyżu, zupełnie nagie, jedna twarzą skierowana ku ziemi, a druga ze wzrokiem wbitym w wiszące powyżej konary starego buka. Ręce i nogi rozrzucone jakby rytualnie, ale jednocześnie zbyt niechlujnie, wręcz tandetnie. Obie były też oskalpowane, a na udach, ramionach i korpusie straszyły głębokie rany, w których już zadomowiło się robactwo. Nie trzeba było mieć dyplomu doktora medycyny sądowej, aby rozpoznać, że zadano je siekierą albo maczetą, ewentualnie innym dużym i ostrym narzędziem. Podobnie nie trzeba było kominiarza, aby rozpoznać na nich liczne ślady smoły i sadzy.

Ani smolarza...

Kmita nie miał wątpliwości, że to poszukiwane od kilku dni studentki. Co prawda w zasięgu wzroku nie było ich ubrań ani plecaków, których zawartość mogłaby potwierdzić ich tożsamość, ale komisarz nie widział innej możliwości. Na tych terenach trupa znajdowano raz, może dwa razy do roku, i to głównie w najcieńsze mrozy. Zwykle był to zamarznięty na kość nielegalny imigrant, rzadziej lekkomyślny turysta, który zboczył ze szlaku. Tak upiornego widoku Kmita nie widział jednak nigdy w życiu. I żałował, że trafiło akurat na niego, bo choćby po tej interwencji wypił wannę wódki, to zdawał sobie sprawę, że te obrazy pozostaną z nim już do śmierci.

– Jaki psychol mógł zrobić coś takiego?

Głos Szmajdy pojawił się znikąd. Albo Kmita tracił czujność, albo aspirant potrafił fruwać nad pełnym opadłych liści i gałęzi leśnym poszyciem. Jako człowiek twardo stąpający po ziemi postawił na to pierwsze i już chciał podwładnego dla zasady ponownie zrugać, gdy zza krzaków, za którymi wiła się w dół kręta ścieżka, poniosły się znajome ryki. Ktoś rzucał kurwami. Kmita odetchnął z ulgą, bo zrozumiał, że to głos prokuratora Jarosława Krogulewskiego, a to oznaczało, że prawdopodobnie przejmie śledztwo. Trudno było go lubić, bo był wyjątkowym skurwysynem, ale przynajmniej znał się na robocie. Zastanawiał się tylko, jak ten stary komuch się tu dotarabanił. W tym swoim szytym na miarę garniturku za dziesięć tysięcy złotych, biało-czerwonym krawaciku za co najmniej dwa i połyskujących butach z cielęcej skóry za pięć albo więcej. Jeśli jego przydupasy nie niosły go w lektyce, to musiał być ujebany błoćkiem po pachy.

Krogulewski nie przestawał przeklinać. W końcu wyłonił się zza krzaków, a za nim wtoczyło się czterech techników ze sprzętem. Na nogach mieli kalosze, ale ich nogawki wyglądały, jakby właściciele przed wizytą na miejscu zbrodni uznali, że przycupną w szambie. Prokurator miał co prawda na sobie płaszcz przeciwdeszczowy, ale i tak nie odstawał od reszty. Porozstawiał ludzi po kątach,

nie szczczędając im kolejnych „kurew” i „chujów”. Gdy technicy zaczęli się przebierać, skupił uwagę na Kmicie.

– To one? – zapytał, zerkając na zwłoki.

– Tak.

– Kurwa mać. Niedobrze.

Prokurator zrobił kilka kroków w kierunku trupów. Omiótł je wzrokiem, potem popatrzył na grząską ściółkę i błoto przy starym krzyżu, w końcu na labirynt konarów i gałęzi nad głowami.

– Woda pewnie zmyła większość śladów – mruknął, wyciągając papierosa. Zapalił. – A to? Co to jest? – Wskazał na kałużę z fragmentami niestrawionych pierogów.

Kmita przeniósł wzrok na Szmajdę, który pokornie przyznał się do winy. Oczywiście zarobił soczystą „kurwą” i usłyszał parę innych, bardziej wymyślnych inwektyw. Wycofał się, aby bardziej nie drażnić Krogulewskiego.

– Poróbcie dokładne zdjęcia i pozbierajcie materiał. Sprowadźcie też ludzi z psami – rozkazał kończącym przygotowania technikom. – Patomorfolog nie przyjedzie, bo jest chory, a na stanie nie ma zastępstwa. Zresztą i tak gównem by tu wymyślił. Jak skończycie, pakujcie je do worów i wieźcie do Sanoka. Do wieczora kogoś znajdziemy.

– Na ciałach jest smoła i sadza... – rzekł Kmita.

– Ślepy, kurwa, nie jestem. Możesz jechać i zgarnąć tego Wanzreicha.

– Facet zniknął.

– To go, kurwa, znajdź!

Krogulewski zaciągnął się po raz ostatni i zgasił niedopałek na podeszwie buta. Dla zasady puścił kolejną szpetną wiązankę i wydawszy jeszcze kilka poleceń mundurowym i technikom, ruszył w drogę powrotną do zaparkowanego przy cerkwi samochodu. Kmita skinął na Szmajdę i nakazał, aby aspirant pomógł prokuratorowi na najbardziej wymagających fragmentach ścieżki. Okazało się, że zejście po tak śliskiej nawierzchni jest jeszcze trudniejsze niż wspinaczka pod górkę. Cała trójka poruszała się z największą ostrożnością, mimo to każdy zaliczył przynajmniej jeden upadek. Po wyjściu z lasu wyglądali, jakby wrócili z kąpieli błotnej na Woodstock.

– Jak dorwę tego sukinsyna, który im to zrobił, to przysięgam, że zanim wsadzę kurwia za kratki, to najpierw każę mu zjeść własne jaja – oznajmił po dłuższej chwili milczenia Krogulewski.

– Mogę liczyć na posiłki? – zapytał niepewnie Kmita.

– Na posiłki to możesz liczyć w jadłodajni u Mietka. – Prokurator zarechotał zjadliwie, jakby własny żart wyjątkowo go rozbawił. – Ale dobra. Dostaniesz kilku ludzi. Z marszu masz zgarnąć tego przygłupa Wanzreicha i jego przyjebanego

synalka, a do tego przepytając innych węglarzy, w pierwszej kolejności tego z Łopienki. Ale dyskretnie. Nie możemy pozwolić, aby śmierć tych dziewczyn trafiła do mediów, bo dobre czasy się skończyły i te hieny rozszarpią mnie na strzępy. Jeśli nastąpi jakiś przeciek, osobiście dobiorę się wam do dupy. Czy to jasne?

– A świadkowie, którzy znaleźli zwłoki?

– Wmów im, że nawąchali się lokalnych chwastów i mieli halucynacje. A właśnie... – Prokurator rozejrzał się po okolicy cerkwi, przy której krążyło kilku zaniepokojonych turystów. – Gdzie oni są?

– Poprosiłem jeden z patroli, aby zabrał ich na komendę. Zwłoki znalazł jakiś piętnastolatek i chyba doznał szoku, bo nie szło się z nim dogadać.

– Miał jakiegoś opiekuna?

– Ojca. Podobno zrobili sobie męski wyjazd w góry.

– Skąd są?

– Z Poznania. Facet się stawiał, ale jakoś go urobiłem, aby pojechali do komendy. Obiecałem pomoc psychologiczną.

– Kurwa, niedobrze.

Prokurator się zasepił. Psychiatrzy policyjni, z których większość stanowiły kobiety, zwykle pracy w takich sytuacjach nie ułatwiali, a gdy trafiali do nich niepełnoletni, potrafili bronić ich jak lwice swoich młodych.

– Dasz radę to odkręcić? – zapytał prokurator.

– Ale co?

– Tę pomoc psychologiczną?

– No... nie bardzo. Takie są procedury.

– Pierdolić procedury. Zadzwoń do szwagra i niech się tym zajmie. Nie mam zamiaru brać wszystkiego na siebie, a jeśli mamy przesłuchać ich jeszcze w tym tygodniu, to po wizycie u takiej Kwietniowej czy Andruszewiczowej mamy gwarantowanego bana na kilka dni.

Kmita dawno nie współpracował z Krogulewskim, ale najwyraźniej stary zaczynał mylić poczucie humoru z groteską. Może i w PRL-u tak się załatwiała różne sprawy, ale dziś takie numery nie przechodziły. Facet ewidentnie czuł się zbyt pewny siebie. Cokolwiek by mówić, dobre czasy rzeczywiście się skończyły i tacy jak on szybko mogli znaleźć się pod lupą nowej władzy. Ale może jednak nie? Może lokalny układ wciąż był wystarczająco mocny? Kmita postanowił tego dalej nie roztrząsać.

– Mam wolną rękę w poszukiwaniu Wanzreicha? – zapytał.

– Przekażę naczelnikowi wydziału, że oczekuję, abyś to ty zajął się śledztwem. Poza tym w świetle tego, co wiem, sprawa jest raczej prosta, a sprawca oczywisty, w związku z czym na moje polecenie wyśle też kolejnych techników na

ten jego wypał. Ty do nich dołączysz. – Ostatnie zdanie skierował do Szmajdy, po czym znów skupił uwagę na Kmicie. – Twoim zadaniem jest dostarczenie mi Wanzreicha. Jeśli zrobisz to w ciągu dwudziestu czterech godzin, to zadbam, abyś dostał awans. Pasuje?

– Pasuje.

Prokurator zerknął na krążących w pobliżu cerkwi turystów. Wyglądali na niezdrowo zainteresowanych tym, co dzieje się na porośniętym lasem wzgórzu. Na szczęście z takiej odległości i przy tak kiepskiej widoczności mogli dostrzec jedynie gęstwinę splątanych gałęzi. Ściągnął płaszcz przeciwdeszczowy i wcisnął go w ręce zaskoczonego Szmajdy.

– Ty też dostaniesz awans, ale jak następny raz zrzygasz się na miejscu zbrodni, to wykorzystam te dowody i oskarżę cię o współudział, rozumiano?

– Tak jest, panie prokuratorze. Przepraszam, panie...

– Zamknij się i zajmij się robotą. Turystom powiedzcie, że mają wypierdalać, bo zamykamy atrakcję z powodu... – Zrobił krótką pauzę. – Nie wiem, wymyślcie coś, ale żeby to miało sens i nie przyciągało uwagi. Zrozumiano?

– Jest jeszcze jeden mały problem, o którym nie wspomniałem... – dodał Kmita.

– Jaki znowu problem?

– Igor Brudny.

– Kto, kurwa? – Prokurator szeroko otworzył oczy.

– Ten sam Igor Brudny, o którym pan teraz myśli.

– A co on niby ma z tym wspólnego?

– Od blisko pół roku mieszka koło wypału Wanzreicha.

– I ja się, kurwa, o tym dowiaduję dopiero teraz? – Na twarzy prokuratora wykwitł grymas najszczerzej nienawiści. W jednej chwili poczerwieniał jak zarzynany prosiak. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale tylko się zapowietrzył. Przełknął kolejną wiązaną przekleństw. – Ktoś za to beknie – mruknął w końcu i nie dodawszy nic więcej, wsiadł do samochodu i odjechał.

Kmita w milczeniu odprowadził go wzrokiem. Przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad kolejnym krokiem. Pomyślał, że sprawa tych studentek odbije się na jego zdrowiu psychicznym bardziej niż wszystkie dwadzieścia sześć lat służby razem wzięte.

– Idź i wygoń tych turystów – rzucił w końcu do Szmajdy.

– A co mam im powiedzieć?

– Masz, kurwa, mózg, to coś wymyśl! – warknął. – Za dziesięć minut ma ich tu nie być. Potem jedziemy na wypał.

Padający kapuśniak zaczął przybierać na sile, a do tego zerwał się wiatr. Kmita poprawił kaptur kurtki i zapalił. Przez chwilę z oddali obserwował

podkomendnego, który pouczał turystów, aby zeszli ze szlaku. Myślał nad kolejnym ruchem, bo prokurator tak namieszał mu w głowie, że nie wiedział, czy najpierw zająć się Wanzreichem, czy przepytac smolarza z nieodległego wypadu pod Łopienką. Pomyślał, że ten drugi miał na cmentarz zdecydowanie bliżej. Ale czy Broniek mógłby zrobić coś takiego? Wątpił w to. Może i był prostym człowiekiem, może i chłał, ale z pewnością należał do najpoczciwszych ludzi, jakich poznał w życiu. No i jeszcze ta pomoc psychologiczna dla świadków...

Tak, pomyślał, to musi załatwić w pierwszej kolejności. Chwilę później Marian Kmita wyjął telefon i wybrał numer do szwagra. Bądź co bądź szwagier był tu małym bogiem i mógł załatwić wszystko.

Rozdział 8

Brudny zbudził się grubo przed świtem. Oporządził się w toalecie, napalił w kominku i wykonał krótki, ale intensywny poranny trening. Dwieście pompek i brzuszków to była norma, której trzymał się mniej więcej od dwunastego roku życia. Bez wypełnienia tego planu nie wychodził z domu i nigdy nie szukał dla siebie usprawiedliwień. Jeśli akurat nie leżał połamany w szpitalu, nie był w stanie zastopować go nawet kac morderca. Od jakiegoś czasu dołożył ćwiczenia rozciągające, które zalecili mu lekarze, aby przez liczne kontuzje nie porobiły mu się zwyrodnienia.

– SKS, panie Brudny – powiedział mu pewnego dnia jeden z fizjoterapeutów, do których chodził, gdy zaczynało go łupać w krzyżu albo odzywał się jakiś stary uraz.

– Co takiego?

– Starość, kurwa, starość. – Trener się zaśmiał. – I nie chcę pana martwić, ale lepiej już nie będzie. I tak zachodzę w głowę, jak pan funkcjonuje na co dzień. Z taką ilością żelastwa w organizmie rzadko kto jest w stanie normalnie chodzić. Do tego te wszystkie zrosty i masa mikrourazów. Musi się pan zacząć oszczędzać, bo ból będzie się tylko nasilał i...

– Jak boli, to znaczy, że człowiek żyje – uciął Brudny.

– No tak. To samo mówił mój świętej pamięci dziadek. Tylko że on miał wtedy z osiemdziesiąt lat, a piętnaście z nich spędził w rosyjskim łagrze.

Brudny pomyślał, że w pewnych kwestiach pewnie by się z tym dziadkiem dogadał. Nie śmiał porównywać życia pod batem Gwidony do ciężkiej harówki na syberyjskich mrozach, ale podejrzewał, że poziom zezwierżenia mógł być porównywalny. Życie nauczyło go jednak jednej rzeczy, z którą nie szło dyskutować. Co cię nie zabije, to cię wzmocni. I jeśli dziadek tego fizjoterapeuty nie skarżył się na ból, to nie bez przyczyny. On po prostu go znał i wiedział, jak się z nim obchodzić.

Po treningu na stół wjeżdżała zwykle jajecznicą na boczku albo biała kiełbasa, do tego pajda chleba albo buła, gdy akurat chciało mu się wyskoczyć do sklepu po świeże pieczywo. Tu bywało z tym różnie, więc chleb mroził, aby przed pójściem spać jeden z nich zostawić na ciepłym kominku, co zazwyczaj wystarczało, aby zachował chrupkość. Tym razem postawił na białą, którą zjadł z musztardą sarepską i dwoma bułkami z pasztetem. Gdy już przełknął ostatni kęs i zapił wszystko kawą, z przyjemnością zapalił papierosa i oddał się analizie tego, co usłyszał od Julki poprzedniego wieczoru.

– Od kogo zacząć? – zapytała, gdy zdzwonili się po jego wizycie w wychodku.

– Od zaginionych.

– Małgorzata Dąbrowska i Ewelina Matejczuk, obie lat dwadzieścia, na drugim roku arabistyki Uniwersytetu imienia Adama Mickiewicza w Poznaniu. Dąbrowska to rodowita pyra, a Matejczuk urodziła się w Kościanie, ale od liceum, gdzie dziewczyny się poznały, mieszka w Poznaniu. Obie raczej grzeczne, bez poważniejszych wykroczeń, choć Matejczuk raz dostała mandat za uprawianie seksu w miejscu publicznym.

– No proszę...

– Z dwoma facetami naraz.

– Jeszcze lepiej.

– W środku dnia na wydmie jednej z plaż w Dźwirzynie.

– Hmm...

– Co znaczy to „hmm”?

– Nic.

– No ja myślę.

– Ich rodziny?

– Obie to dziewczyny z tak zwanych dobrych domów. Raczej nie narzekały na brak pieniędzy. Ojciec Dąbrowskiej jest znanym w Poznaniu hurtownikiem. Obraca sporą kasą, choć do najbogatszych sporo mu brakuje. Matka ma salon piękności. Rodzice Matejczuk to raczej artystyczne dusze. On podrzędny aktor, ona wicedyrektorka w galerii sztuki. Dziesięć lat po rozwodzie, ale nie dopatryłam się jakiejś wojny między nimi, więc chyba żyją w zgodzie.

– Jeśli mają kasę, mogą zadbać, aby rozdmuchać sprawę w mediach... – W tonie Brudnego dało się wyczuć lekkie rozczarowanie.

– Prawdopodobieństwo jest spore.

Julka usłyszała, jak Igor mocno zaciąga się papierosem. Wiedziała, że teraz walczą w nim dwa wilki. Ten, który aż rwie się, aby zająć się sprawą, i ten, który widzi wszystkie konsekwencje tej decyzji.

– Czego dowiedziałaś się o Wanzreichu?

– Cóż... – Julka ugryzła jabłko. – Tu zaczyna się prawdziwa zabawa.

- Zamieniam się w słuch.
- Samuel Wanzreich, lat pięćdziesiąt sześć, wychowany w krakowskim sierocińcu. Rodzice nieznani, ale nie ma żadnej informacji, jak tam trafił. Mam jedynie jego wypis z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego. Trochę to dziwne, bo wcześniej tylko biała plama.
- U hieronimek też było sporo białych plam...
- No tak...
- A coś na temat samej placówki?
- Już nie istnieje. Została zlikwidowana w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym, więc pozyskanie dodatkowych danych na temat wychowanków wydaje się praktycznie niemożliwe. Tym bardziej że natknęłam się na informację, że tam też nie było różowo.
- Stąd likwidacja?
- Być może, ale oficjalnie z braku finansowania. Upadła krótko po przemianie ustrojowej i taka wersja nawet wygląda na prawdopodobną, ale znając życie, sprawa ma pewnie drugie dno. Jak chcesz, to mam nazwiska kilku osób, które były tam zatrudnione. Kilka z nich jeszcze żyje.
- Na razie nie trzeba. A sam Wanzreich? Jak potoczyło się jego życie po wyjściu z biduła?
- Szybko wpadł w tarapaty. Jeszcze tego samego roku złapano go na próbie kradzieży w Sanoku. Dostał dwa lata w zawiasach, ale kara została odwieszona, gdy wdał się w bójkę pod jednym z barów i zrobił z faceta miazgę. Później nie było lepiej. Kradzieże, pobicia, dwa razy został oskarżony o gwałt, ale akurat z tego się wybronił, bo nie było twardych dowodów. W sumie odsiedział dziewięć lat za różne drobne przestępstwa. Po trzecim wyroku trochę się uspokoił, a ostatnia wzmianka pochodzi z dwa tysiące szóstego roku, gdy został oskarżony o pobicie dwóch mężczyzn. Udało mu się jednak z tego wybrnąć, bo podobno działał w obronie siebie i swojej kobiety. Nazywała się Żenia Łajuk i pochodziła z Ukrainy. Zmarła przy narodzinach Gracjana. Od tego czasu cisza, co najwyżej kilka mandatów i skarg na jego charakter, o którym wspominałeś.
- A syn?
- Póki co bez zatargów z prawem, ale po śmierci matki ze względu na trudne warunki bytowe opieka społeczna dwukrotnie odbierała go ojcu i umieszczała w placówkach wychowawczych. Dwukrotnie trafił też do rodzin zastępczych, ale w żadnej nie zapuścił korzeni.
- Jakie jest twoje zdanie?
- Na temat Wanzreicha?
- No...

– Z papierów wynika, że to prosty chłop, który mógłby posunąć się do morderstwa, ale żeby coś więcej, to szczerze wątpię. Uprzedzając pytanie o te tajemnicze zniknięcia na przestrzeni lat, to jestem na nie. To nie jest typ, który przez tak długi czas mógłby porwać turystów w taki sposób, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

– Też odnoszę takie wrażenie.

– Teraz ci dwaj z dochodzeniowo-śledczej. W ich sprawie zadzwoniłam do koleżanki Hanki, tej... no nie wiem, czy ją pamiętasz. Mała, ruda, z dużymi cyckami. W latach dwutysięcznych pracowałyśmy razem w prewencji, a potem wyjechała za mężem w Bieszczady i tam dostała przydział w Sanoku.

– Pamiętam.

– No więc Hanka dwa lata temu przeszła na wcześniejszą emeryturę, ale trochę z Kmitą i Szmajdą popracowała. Generalnie ma do nich raczej neutralny stosunek, choć Szmajdy nie trawiła, bo straszny był z niego mizogin. Obaj w jej ocenie są nijacy, niczym w czasie służby się nie wykazali, a pierwszy z nich tak szybko awansował głównie dzięki koligacjom rodzinnym.

– To znaczy?

– Chajtnął się z córką zmarłego przed czterema laty Leopolda Bursztynowicza, byłego członka PZPR i posła na sejm pierwszej i drugiej kadencji, oraz siostrą Macieja Bursztynowicza, obecnego posła na sejm twojej „najulubieńszej” partii. Podobno w ciągu ostatnich ośmiu lat awansował błyskawicznie. Hanka twierdzi, że to nazwisko otwiera tu wiele drzwi. I nawet jeśli władza się zmieniła, to na tym terenie Bursztynowicz wciąż rozdaje karty.

– Iluż to zatwardziałych komuchów w ostatnich latach odnalazło Boga?

– Nie każ mi liczyć.

– Nie zamierzam.

– A co zamierzasz?

To pytanie dźwięczało Brudnemu w uszach prawie całą noc. Oczywiście nie dał Julce jasnej odpowiedzi, bo wstępne dane tylko rozbudziły jego ciekawość, a intuicja podpowiadała mu, że w ciszy bieszczadzkiej kniei dzieje się coś, co już dawno powinno znaleźć swój finał na sali sądowej. Partnerka na szczęście nie naciskała. Przyjęła do wiadomości, że Igor musi się z tym przespać, a decyzję podejmie w najbliższych dniach. Przez pół nocy walczył z własnymi demonami, ale im bardziej starał się negować potencjalne hipotezy, tym mocniej wsiąkał w temat. W nocy nawet przyśniła mu się twarz łudzaco podobna do tej, która nękała go od najmłodszych lat. Niewyraźna, wykrzywiona w paskudnym grymasie udręczenia, pełna pogardy, może nawet jawnej wrogości. Obudził się zlany potem, co nie zdarzało mu się od dłuższego czasu. Miał wrażenie, że ponownie dotknęło go zło w czystej postaci, więc aby stłamsić głupie skojarzenia, wyszedł w samych

bokserkach na ganek i zapalił papierosa. Przez jakiś czas wpatrywał się w skapaną we mgle dolinę. Odgłosy lasu, zamiast go uspokoić, tylko wzmogły irracjonalny, wydawałoby się, niepokój. Pękające gałęzie, wycie wilków, pohukiwanie sowy. Odniósł wrażenie, że jego azyl nagle stał się pułapką, a w mroku czai się coś, z czym nie chciałby się spotkać twarzą w twarz. To wszystko wydawało się absurdalne, ale żeby uspokoić samego siebie, wrócił do domu po latarkę i omiółł strumieniem światła okolicę wychodzącą na dolinę. Wzdrygnął się, gdy we mgle błysnęło kilka par błyszczących oczu, ale tylko przeklął własną głupotę, zgasił drugiego papierosa i włożywszy do kominka kilka polan, wrócił do łóżka. Zasnął szybko i do rana już nic mu się nie przyśniło, choć zaraz po przebudzeniu znów poczuł nieprzyjemny dyskomfort.

Śniadanie, poranny trening i mocna kawa skierowały jego myślenie na dobre tory. Instynkt jednak nie odpuszczał i szeptał mu do ucha, że bieszczadzkie knieje kryją jakąś mroczną tajemnicę, a dwie studentki, które kilka dni wcześniej wpuścił do swojego domu, do swoich rodzin już raczej nie wrócą. To nawet nie było wrażenie. Brudny był tego pewny, mimo to wciąż bił się z myślami, czy w ogóle ruszać tę sprawę. Tylko czy byłby sobą, gdyby zbagatelizował niepokojące sygnały? Czy mógłby spojrzeć w lustro, gdyby okazało się, że te dwie w sumie całkiem sympatyczne dziewczyny zagięły bez wieści albo – co gorsza – po jakimś czasie znaleziono je martwe? Wszystko wskazywało na to, że rzeczywiście mógł być ostatnią osobą, która widziała je przed zaginięciem, i coraz bardziej zaczynały dręczyć go wyrzuty sumienia, że w ogóle pozwolił im ruszyć na szlak. Było już późno, do zmroku pozostały może dwie godziny, mimo to nawet ich nie ostrzegł przed czyhającymi w lesie niebezpieczeństwami, tak bardzo chciał się ich pozbyć. Obie nie wyglądały na specjalnie rozsądne, w jego ocenie były raczej mało doświadczone w tego typu wyprawach i bez wątpienia nie cechowała ich nadmierna odpowiedzialność. Zbagatelizował jednak sprawę i dla własnej wygody nawet się nie zająknął, aby choć spróbować wybić im dalszą podróż z głowy.

Na analizie spędził czas do obiadu, a po posiłku zapadł w drzemkę. Zbudziło go dochodzące z dworu szczekanie psów. Podniósł się z sofy i rozprostował kości. Podeszedł do okna. Dolina znów tonęła w gęstej mgle. Wtedy ujadanie się nasiliło. Zmarszczył brwi i wyjął z tylnej kieszeni paczkę papierosów. Otworzył drzwi wejściowe i zapalił. Przez chwilę nasłuchiwał, w końcu z białej zawiesziny zaczęły wyłaniać się kontury postaci. Zaciągnął się, zamknął oczy i głęboko odetchnął. Już wiedział, co się dzieje. Tak na złapany trop reagowały psy policyjne. Wyrzucił niedopałek i wrócił do domu. Nastawił wodę na kawę. Pomyślał, że skoro wrócili do niego już następnego dnia w towarzystwie szkolonych czworonogów, to nie po to, aby zapytać o pogodę. Ostatnie

wątpliwości uleciały. Śledczy odnaleźli zwłoki i teraz nie będzie już ostatnią osobą, która miała kontakt z poszukiwanymi. Igor Brudny od teraz będzie ostatnią osobą, która widziała dziewczyny żywe.

Rozdział 9

– Tak to jest z babami, synu. Samo zło – powiedział Samuel. – Naprawdę niczego nie pamiętasz?

Gracjan Wanzreich nie odpowiedział. Siedział na przednim fotelu pasażera ze wzrokiem wbitym w przemykające na poboczu drzewa. Droga była kręta, a stary uaz trząsał, jakby zaraz miał się rozpaść. Wciąż bolało go całe ciało. Na głowie miał bandaż, a twarz, ręce i nogi były posiniaczone i podrapane. Czuł się źle i chciało mu się wymiotować, bo szeptucha, do której zabrał go ojciec, przez trzy dni faszerowała go jakimiś ziołami, przez co miał wrażenie, że pomieszało mu się w głowie. Rzeczywiście niewiele pamiętał, poza tym, że najpierw dostał łomot od chłopaków, a potem poszedł za tymi dziewczynami. W uszach wciąż słyszał echo słów tego małego skurwiela.

– Zachciało ci się podglądać turystki? Nie dla psa kiełbasa – prowokował go Łukasz Kobziński, niezwykle wredny gnojek, który przy każdej okazji próbował mu bruździć.

– Spierdalaj – rzucił Gracjan i przyspieszył kroku.

– Tobie się chyba coś w głowie popierdoliło, śmierdzielu jebany. – Kobziński ruszył za nim. – Ej, szmaciarzu! Słyszysz, co mówię, czy mam ci to wbić do tej pustej łepetyny?

– Zostaw go! – krzyknął przez otwarte okno samochodu Wiktor Bursztynowicz.

To była niespodziewana reakcja, bo syn posła był wybitnym sukinsynem. Pastwił się nad każdym, kto na dzień dobry mu się nie kłaniał. Był nieformalnym liderem grupy najlepiej sytuowanych chłopaków z okolicy i choć zdarzało mu się dać komuś w ryj, to wyspecjalizował się w znęcaniu psychicznym. Każdego, kogo nie lubił albo kto jego zdaniem niewystarczająco głęboko wsadzał mu język w tyłek, potrafił upodlić do cna. Robił to w wyjątkowo perfidny sposób, często na oczach innych rówieśników, nieważne, czy w szkole, czy poza nią. Niestety, dziewczyny, a przynajmniej większość z nich, uganiały się za nim i były gotowe dać się sprowadzić do poziomu przydrożnych lachociągów, aby tylko zwrócił na

nie uwagę. Zawsze świetnie ubrany, przypakowany, z grubym portfelem. Bzykał je na lewo i prawo i rzadko przepuszczał okazję. Dlatego gdy tylko wraz ze swoimi kompanami zauważył maszerujące poboczem dwie młode i atrakcyjne turystki, od razu zatrzymał się, aby spróbować szczęścia.

– Opowiedz jeszcze raz – zasugerował Samuel. – Może przypomni ci się cała reszta.

– No już mówiłem to chyba ze sto razy – obruszył się Gracjan, ale widząc srogie spojrzenie ojca, postanowił nie dokładać sobie problemów. – Po wyjściu z autobusu zajarzałem i ruszyłem za tymi dwoma laskami. Poboczem doszliśmy do skrzyżowania na szlak, wtedy z naprzeciwka nadjechał Bursztynowicz z Kobzińskim. Zatrzymali się i coś tam z nimi pogadali, ale nie wysiedli z samochodu. Chyba ich spławiły, bo odjechali. Mijając mnie, pokazali faka, ale nie zareagowałem, mimo to zawrócili i złapali mnie akurat w momencie, gdy skręcałem na szlak. Tamte laski już zniknęły za zakrętem, wtedy się do mnie przyjebali.

– Kto pierwszy cię zaatakował?

– No ten Kobziński. „Bursztyn” chyba się gdzieś spieszył, więc nawet chciał go powstrzymać, ale „Kozik” się wziął. Gdy zacząłem się bronić, to z samochodu wyszła reszta i mnie skopali.

– Bursztynowicz, Kobziński, Plutecki i Grabarz, czy tak?

– Tak.

– I co było potem?

– Odjechali, a ja wstałem i przyszedłem do domu.

– Miałeś pojechać na zakupy.

– I pojechałem. Kupiłem, co chciałem, ale znów natknąłem się na te laski.

– Poszły w kierunku Łopienki, więc niby jak...

– No tak, ale zrobiłem sobie jeszcze rundę po górkach.

– Szukałeś ich. Czuję to, więc nie kłam ojcu.

Gracjan przełknął ślinę. Samuel potrafił czytać w nim jak w otwartej księdze. Rzeczywiście zrobił zakupy, ale nie wrócił od razu do domu, bo chciał je zobaczyć raz jeszcze. Bardzo mu się spodobały i pomyślał, że skoro spławiły bandę „Bursztyna”, to może nie są typowymi blacharami. Na swoim przedpotopowym romecie nie miał szans zrobić na nich większego wrażenia, ale potrzeba ich zobaczenia była silniejsza. Jadąc w stronę cerkwi w Łopience, wyobrażał sobie najróżniejsze rzeczy. Jak trafia na nie, gdy są w potrzebie, a on im pomaga, jak jedna przypadkowo łamie sobie nogę, a on zawozi ją do szpitala, albo przegania sforę wilków, która czai się na nie, gdy rozbijają obozowisko. Potem one mu dziękują za pomoc, a wszystko kończy się dzikim i wyuzdanym seksem. On jeden i one dwie. Pieszczą go, liżą, w końcu brutalnie wchodzi w jedną z nich, następnie w drugą, i tak na zmianę, one jęczą i krzyczą z rozkoszy,

bo takiego twardego kutasa jeszcze w sobie nie miały. Strasznie go podobne myśli nakręcały. Często w samotności włączał na smartfonie filmy porno i masturbował się przy nich, ale do tej pory nie miał okazji w realu zaliczyć choćby pierwszej bazy. Tylko jak miał o tym powiedzieć ojcu? Wstydział się i był pewny, że tego nie zrozumie, mimo to odnosił wrażenie, że wszystkie te kosmate myśli ma wypisane na czole. Postanowił, że nie będzie kłamał, ale ograniczy się do ogólników.

– No tak – przyznał niechętnie.

– Ruchać ci się zachciało, co? – Samuel posłał synowi szelmowskie spojrzenie. Chłopak speszył się, bo ta reakcja mocno go zaskoczyła.

– Nooo... – Gracjan się zarumienił.

– Nie kłam ojcu. Mów prawdę.

– No tak.

– Trzeba było tak od razu. – Stary Wanzreich zarechotał. – Ale o takich to ty se możesz pomarzyć. Widać, że miastowe i na kasiorę lecą. Pomachałbyś plikiem z Jagiełłą, to pewnie zaraz by nogi rozwarły. Ale pliku nie miałeś i pewnie jeszcze długo mieć nie będziesz, więc ja ci dam jednego jagiełkę, żebyś nie musiał już dłużej oglądać tych filmów i mógł spuścić z krzyża, jak prawdziwy mężczyzna.

– Ale...

– Masz już tyle lat, że powinieneś poczuć, jak to jest być z babą sam na sam. Znam kilka miejsc, gdzie można użyć swojego naganiacza. Tanio i solidnie. Co ty na to?

– Mam iść na kurwy?

– Od razu tam kurwy. Panienci lekkich obyczajów, jak to mówią. I tak taniej wyjdzie niż takiej miastowej kino, obiad czy jeszcze pierścionek kupować. Niestety, ale tak jest ten świat zbudowany. Chcesz podupczyć, to musisz zapłacić. W tej czy w innej formie.

Sama myśl, że mógłby w końcu uprawiać seks z kobietą, sprawiła, że w spodniach zrobiło mu się ciaśniej. Dla niepoznaki położył lewą dłoń przy pachwinie, bo choć bardzo ucieszyła go propozycja ojca, wciąż czuł się zażenowany.

– Ale najpierw doprowadź się do porządku – dodał Samuel, dostrzegwszy reakcję syna. – Trzeba też będzie rozładować drewno, bo załatwiłem dwie duże dostawy. Jak będziesz czuł się na siłach, to mi pomożesz. Wtedy będę miał pewność, że i z babą pójdzie jak trzeba.

Dwie duże dostawy oznaczały przynajmniej czterdzieści kubików drewna, może więcej. Przerobienie takiej ilości materiału oznaczało harówkę w pocie czoła co najmniej do następnego popołudnia, ale ojciec zawsze wychodził z założenia, że na kaca najlepsza jest praca. Co do obitej mordy i amnezji to Gracjan już nie miał takiej pewności, ale świadomość, że na koniec czeka go tak

słodką nagrodą, sprawiła, że ból przestał doskwierać tak bardzo. Ponownie zatopił się w swoich fantazjach.

Ostatnie kilometry do wypału pokonywali w milczeniu. Ojciec mruknął coś pod nosem, dopiero gdy w bocznym lusterku zobaczył terenowy radiowóz. Gracjan wiedział, że stary gardzi policją, bo uważał, że wszyscy mundurowi są na smyczy Bursztynowicza, z którym od niepamiętnych lat miał najróżniejsze zatargi. Suka siadła im na ogonie i nawet gdy Samuel wyraźnie zwolnił, nie zamierzała ich wyprzedzić. Co gorsza, w Bukowcu dołączyła do niej druga, a przy wyrębie na wysokości szlaku do wodospadu Czartów Młyn z lasu wyjechała trzecia.

Twarz ojca wyraźnie stężała. Nic jednak nie mówił. W końcu skręcił w zjazd do wypału, a trzy radiowozy podążyły za nimi. Gdy zatrzymał się pod bramą, policyjne wozy okrążyły ich, a zza winkła wyłonił się czwarty, nieoklejony policyjnymi oznaczeniami. Na dachach zabłyśły koguty.

– Skurwysyny – zaklął pod nosem Samuel. Zacisnął palce na kierownicy. – Jak będą cię o coś pytać, to milcz jak grób. Wywróciłeś się, i tyle, rozumiesz?

– Tak, ale...

– Nie ma żadnego „ale”!

Gracjan przełknął ślinę. Ton głosu ojca nie pozostawiał mu najmniejszego wyboru. Już dawno nie widział go tak zdenerwowanego. Sprawę zaogniła wydana przez megafon komenda, aby nikt nie wysiadał z wozu. Z radiowozów wysypali się mundurowi. Do ich samochodu podeszli dwaj ubrani po cywilnemu. Jeden starszy, z wyraźną nadwagą i bujnymi wąsami, zaszedł uaza od strony kierowcy, a drugi, wyższy, szczuplejszy, z kocią bródką, zatrzymał się przy oknie Gracjana. Pozostali w odległości kilku metrów ubezpieczali ich z dłońmi przy kaburach. Ten, który wyglądał na najwyższego stopniem, nakazał Samuelowi otworzyć okno. Ojciec nie dyskutował i wykonał polecenie.

– Pan Samuel Wanzreich? – zapytał komisarz, gdy sam się przedstawił.

– Przecież wiesz pan, że to ja – odwarknął ojciec.

– Proszę wysiąść z samochodu, stanąć w rozkroku i położyć ręce na masce samochodu.

– A niby na jakiej podstawie?

– Zaraz się pan dowie. Proszę wysiąść.

Ta sama komenda została skierowana również do Gracjana. Chwilę później obaj mężczyźni zostali przeszukani.

– Mój syn ma dopiero szesnaście lat! – syknął Samuel, gdy jeden z wezwanych mundurowych sprawdzał jego kieszenie.

– Z naszych informacji wynika, że już siedemnaście.

Samuel spojrział na syna. Próbował zachować godność, ale w jego oczach widział niezrozumienie i narastający strach. On najwyraźniej naprawdę niczego

nie pamiętał. Poczł się fatalnie, gdy zdał sobie sprawę, że to przecież już dziś. Dziś jego syn kończył siedemnaście lat.

– Zostają panowie zatrzymani do wyjaśnienia – powiedział w końcu komisarz Kmita.

– Chuja tam możecie – warknął Samuel, próbując się odwrócić. W tej samej chwili poczuł, jak na jego rękę jest zakładana dźwignia, a sekundę później jego prawy policzek wylądował na wciąż ciepłej masce samochodu. Na jego nadgarstkach zatrzasnęły się obejmmy kajdanek.

– Możemy i to zrobimy – oznajmił spokojnie Kmita. – Jest pan zatrzymany do wyjaśnienia w związku ze śmiercią Małgorzaty Dąbrowskiej i Eweliny Matejczuk.

Samuel Wanzreich pomyślał, że teraz to naprawdę wpięprzył się po uszy w gównno. To nie tak miało wyglądać. Nie tak miało się to potoczyć. Skarcił się w myślach za to, że nie potrafił zapanować nad żądzą. Gdy mundurowi prowadzili go do radiowozu, modlił się, aby pamięć synowi nie wróciła. Najlepiej nigdy.

Rozdział 10

Brudny odprowadził wzrokiem odjeżdżające radiowozy, a potem spojrzał na wypał Wanzreicha. Zostało na nim czterech policjantów, którzy w majestacie prawa przetrząsali teraz każdy zakamarek przybytku smolarza. Ze szczytu wzniesienia wyglądali jak małe, zagubione robotnice w pełnym zakamarków mrowisku. Przez chwilę im się przyglądał, w końcu wyrzucił niedopałek do paleniska i wrócił na werandę.

Wciąż nie wiedział, co o tym myśleć. Druga wizyta policji utwierdziła go w przekonaniu, że sprawa nie jest oczywista. Według Kmita doszło do wyjątkowo brutalnego morderstwa, a wszystkie dowody wskazują na sąsiada. Na pytanie, o jakie dowody chodzi, Kmita zasłonił się tajemnicą śledztwa. Oczywiście miał do tego pełne prawo, tak samo mógł poprosić Brudnego, aby przez najbliższe dni nie opuszczał chałupy, bo może zaistnieć sytuacja, w której będzie poproszony o dodatkowe wyjaśnienia. Między słowami dało się jednak wyczuć wyraźną niechęć, a nawet coś, co Igor zinterpretował jako zawołaną groźbę.

– Te lasy są gęste i łatwo się w nich zgubić. Dlatego niech pan lepiej zostanie w domu i zostawi to nam – powiedział na odchodne Kmita. – Zajmiemy się sprawą i doprowadzimy winnego przed oblicze sprawiedliwości.

– A winnego zaginięć pozostałych turystów? – odgryzł się Brudny.

Na twarzy Kmita wykwitł grymas irytacji.

– Nie rozumiem, co...

– No tak. Nieważne. To przecież nie to śledztwo.

Rozstali się pokojowo, ale w poczuciu niespecjalnie skrywanej alergii na siebie nawzajem. Brudny nie zamierzał wchodzić facetowi w drogę, ale nie planował też grać na jego zasadach. Potraktował więc wizytę Kmita jak okazję do przekazania mu w zawołany sposób nękających go wątpliwości co do zaistniałej sytuacji. Miał też nadzieję, że ten zrozumie, iż w jego najbliższym otoczeniu znalazł się ktoś, kto będzie patrzył mu na ręce.

Brudny zjadł jagodowy jogurt, dołożył do kominka i jeszcze przez chwilę zastanawiał się nad kolejnym krokiem. Uznał, że najlepszym sprawdzianem dla Kmita będzie subtelne zagranie mu na nosie. Jeśli facet ostrzegł go, żeby nie wałęsał się po lasach, on zrobi dokładnie na odwrót.

Włożył buty, wcisnął za pasek walthera, narzucił płaszcz i wyszedł z chałupy. Pod bramą do wypału Wanzreicha wciąż stały dwa radiowozy, a w środku kręcili się mundurowi, w tym Kmita ze Szmajdą. Do tej pory nie dotarli technicy i to wydało się Brudnemu co najmniej dziwne, zwłaszcza wobec tak silnego przekonania obu kryminalnych co do winy sąsiada. Na wszelki wypadek upewnił się, że Kmita go dostrzegł, a następnie, zaraz po dotarciu do ścieżki przy wypale, odbił w kierunku lasu. Obrął kierunek do cerkwi w Łopience, od czasu do czasu zerkając przez ramię, czy nie ma towarzystwa. Nie zauważył niczego podejrzanego, co oznaczało, że Kmita jednak nie chce zaognić sytuacji. Droga do przełęczy Hycza po ostatnich deszczach była grząska i momentami naprawdę wymagająca. Prowadziła pod górę, a las na tym odcinku nie był gęsty, dzięki czemu przeciętny turysta mógł zachwycać się zapierającymi dech widokami. Na nim nie robiły już większego wrażenia. Minął więc ruiny dawnego zakładu karnego z epoki wczesnego PRL-u, zapomniany cmentarz i stary wyręb. Nie zdziwił się, gdy dostrzegł dwie jadące z naprzeciwna policyjne terenówki. Ich paki były wypełnione po brzegi, co oznaczało, że przypuszczalnie coś znaleźli. O dziwo, nie zatrzymali się, aby udzielić mu kolejnej „dobrej rady”, po prostu go minęli, więc założył, że Kmita mógł ich o jego obecności uprzedzić.

Po kolejnym kwadransie dotarł do starej, skrytej pomiędzy drzewami kapliczki. Wędrował już tą drogą kilkakrotnie i zdążył zapoznać się z jej historią. Niewielki budynek z kamienia był pokryty gontem, a w środku znajdowała się figurka Maryi oraz prawie naturalnej wielkości drewniana rzeźba Chrystusa siedzącego na krześle. Na ścianach powieszono obrazy wizualizujące jego drogę krzyżową, a na stole i dwóch półkach znajdowało się kilka dewocjonaliów: różańców, zużytych i przydymionych zniczy czy pomniejszych figurek, najprawdopodobniej pozostawionych przez turystów.

Brudny wszedł po kamiennych schodkach i omiół wzrokiem okolicę przed wejściem. Sam nie wiedział, czego szuka, ale nie miał wątpliwości, że obie dziewczyny musiały tu zajrzeć w drodze do cerkwi w Łopience. Wyjął papierosa i zapalił. Rozejrzał się i obszedł kapliczkę dookoła. Szybko odnalazł odciski policyjnych buciorów i towarzyszących im psów tropiących. Spodziewał się tego, bo podobne dostrzegł po drodze i tylko utwierdził się w przekonaniu, że kobiety tu były. Postanowił przeczesać okolicę w nadziei, że znajdzie coś, co mogli przeoczyć funkcjonariusze. Szybko natknął się na leżący w trawie kawałek szkła z fragmentem etykiety. Przykucnął obok, a następnie wyjął z kieszeni płaszcz

jednorazowe rękawiczki, naciągnął je i podniósł znalezisko na wysokość oczu. Poznał od razu. Meksykańska corona raczej nie należała do tanich, a tym bardziej popularnych na tych terenach trunków. Chwilę później za wystającym korzeniem znalazł kolejną butelkę po piwie – tym razem ursa maior. Widział podobne w lokalnych sklepikach. Na etykiecie widniały dwa przytulające się niedźwiadki, a zawartość alkoholu wynosiła aż sześć procent. Wyglądała na opróżnioną niedawno, bo nie była zaśniedziała, a etykieta pozostała czytelna, podobnie jak ta na fragmencie po coronie. Szperając w trawie, natknął się jeszcze na kilka niedopałków po elektronicznych papierosach, jak sądził na pierwszy rzut oka – heetsach, na które już jakiś czas temu przerzuciła się Julka. Te fanty mógł pozostawić tu każdy, ale po pierwsze w ostatnim czasie nie widział żadnego turysty poza zamordowanymi kobietami, a po drugie nie kojarzył, aby w ich plecakach dzwoniły jakieś butelki. Co do papierosów to sprawa miała się już jednak inaczej, bo Dąbrowska paliła właśnie heetsy.

Zaintrygowany własnymi odkryciami, raz jeszcze podszedł do drzwi. Uklęknął i przyjrzał się pozostawionym przez gości śladom. Teren był podmokły, więc podczas marszu wytyczonymi szlakami do spodu butów musiało przyklejać się mnóstwo błota, założył więc, że przed przekroczeniem progu kapliczki takie miastowe dziewczyny z dużą dozą prawdopodobieństwa mogły wytrzeć albo przynajmniej obstukać podeszwy. Choć sień znajdowała się pod dachem, wszystko wskazywało, że deszcz zdołał sięgnąć śladów, a te dodatkowo zostały zdeptane przez funkcjonariuszy. Wyglądały na rozmyte i nieczytelne, mimo to Brudny zrobił smartfonem kilka fotek i wszedł do środka. Tam natrafił na kilkanaście kolejnych odcisków. Większość była świeża i sądząc po rozmiarze i fakturze podeszwy, należała zapewne do mundurowych. Natknął się też na kilka innych. Nie były wyraźne, ale po dodaniu odrobiny światła i zrobieniu zdjęcia pod odpowiednim kątem wydały mu się całkiem solidnym materiałem dowodowym dla profesjonalnego traseologa. Poza tym w środku nie dostrzegł nic więcej, na wszelki wypadek obfotografował całe wnętrze, aby mieć materiał poglądowy na najbliższe wieczory, i po zapakowaniu znalezionych potencjalnych dowodów do woreczka strunowego opuścił kapliczkę.

Przysiadł na jednym z dwóch podniszczonych krzesełek i zapalił papierosa. Spróbował postawić się na miejscu dziewczyn. Jakie mogły mieć plany? Czy spędziły tu więcej czasu, a jeśli tak, to dlaczego? A może tu przenocowały – stąd tyle niedopałków i butelek po piwach? Pomyślał, że to możliwe, wszak z jego domu wychodziły zaledwie około półtorej godziny przed zmrokiem, który w górach zapada wyjątkowo szybko. Gdy dotarły do kapliczki, mogły się zorientować, że nie zdążą do cerkwi przed zapadnięciem ciemności, i postanowiły zostać do rana. Może jednak nie były takie głupie?

Nie znał dokładnej daty ich śmierci, bo Kmita mu tego nie zdradził. Pewnie nawet sam tego jeszcze nie wiedział, bo jeśli znaleźli zwłoki dziś rano, to patomorfolog, nawet jeśli stawiał się na miejscu zbrodni, nie ustaliłby czasu zgonu tak dokładnie bez wykonania sekcji zwłok. Podejrzewał jednak, że skoro słuch o nich zaginął po wyjściu z jego chaty, to coś musiało wydarzyć się w ciągu następnych kilku, kilkunastu godzin, a więc najpewniej tamtej nocy. W innym wypadku kobiety zapewne zameldowałyby się w jakimś schronisku czy hotelu, czego najwyraźniej nie zrobiły. Nie znał też wielu innych szczegółów, w tym logowania ich telefonów do sieci, czy innych dowodów, które Kmita mógł znaleźć na miejscu odkrycia zwłok. Irytowało go to, ale ponieważ nic nie dało się na to poradzić, skupił się na próbie odtworzenia ich ostatnich godzin.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła osiemnasta i powoli zaczynał zapadać zmrok. Pogoda była podobna do tej z dnia, w którym zginęły. Niebo zachmurzone, do tego lekki wiatr, wysoka wilgotność i temperatura oscylująca w granicach ośmiu, może dziesięciu stopni Celsjusza. Spojrzał na rozległy, niezalesiony fragment wzgórza. Jaką decyzję by podjął, gdyby znalazł się na miejscu dwóch dziewiętnastoletnich poznanianek?

Dwie minuty później stał już na ogromnej polanie po drugiej stronie drogi. Widać stąd było kilka porośniętych lasem szczytów, a na najwyższym znajdowała się śniegowa czapa. Pomyślał, że gdyby był młodą dziewczyną z dużego miasta, to pewnie tu chciałby rozbić namiot, zapalić skręta i rozkoszować się zjawiskową panoramą bieszczadzkich kniei. Instynkt go nie zawiódł. Przy trzech rozłożystych dębach strzegących rozległej łąki dostrzegł ślady po obozowisku. Wygnieciona trawa, kamienny krąg pod palenisko, kilka niedopałków i papierek bo batoniku. Tu też nie brakowało odcisków psich łap i policyjnych buciorów. W świetle latarki zebrał kilka rzeczy i zaczął rozważać, czy powinien pomaszerować na miejsce odkrycia zwłok. Dziwny ryk od strony ciemnego lasu rozwiął szargające nim wątpliwości. Nie sądził, aby trafił akurat na niedźwiedzia, ale wolał ograniczyć ryzyko, bo to była pora, gdy te bestie zaczynały budzić się z zimowego snu i wyłazić z gawr w poszukiwaniu pożywienia. Natknięcie się na wygłodniałe zwierzę po zmroku, nawet gdy miało się broń za paskiem, w jego mniemaniu byłoby raczej wątpliwą przyjemnością, a finał takiego pojedynku wcale nie byłby z góry przesądzony.

Siąpic zaczęło w momencie, gdy znalazł się z powrotem na grząskiej drodze do wypału. W połowie lało już jak z cebra i do chałupy dotarł przemoczony do suchej nitki. Po przekroczeniu progu od razu rozebrał się do naga i przykucnął przy kominku. Przez kilkanaście minut ogrzewał przemarznięte dłonie i stopy, zastanawiając się, kto mógł zabić dziewczyny. Zapalił, napił się whisky i długo patrzył w ogień. Z czasem jego myśli zaczęły zbaczać w rejony, których nie chciał

odwiedzać. Znow poczuł się tu obcy, a w głowie pojawiły się niechciane obrazy. Wicher wzmógł się jeszcze bardziej, zmuszając stare i częściowo spróchniałe krokwie do walki o przetrwanie. Wszystko zaczęło trzeszczeć i przez krótką chwilę Brudny miał wrażenie, że dom zaraz się rozleci. Na szczęście po kilkunastu minutach grozy wiosenna burza powędrowała na wschód. Pozostał jedynie monotony odgłos kropel uderzających o strzechę.

Po trzecim drinku Brudny wyjął z kieszeni płaszcza worek z zebranymi rzeczami i rozłożył zawartość na ławie. Pomyślał, że żadna z nich nie pasuje do Samuela Wanzreicha i choć to wciąż nic nie znaczyło, nie mógł opędnąć się od wrażenia, że wpadł na trop. Tylko co z tego, skoro nie dało się rozwinąć skrzydeł? Gdyby tylko miał dostęp do akt i miał możliwość przesłuchać sąsiada...

Czwarty drink sprawił, że go zmogło, więc nakrył się kocem i zasnął. Obudziło go bzyczenie telefonu. Odebrał, będąc przekonany, że to Julka.

– Cześć – przywitał się.

– Cześć, komisarzu.

Brudny zmarszczył brwi i spuścił nogi na zimną podłogę.

– To ty... – mruknął, wciąż lekko zaspany.

– Dzwonię nie w porę?

– Nie. Zdrzemnąłem się tylko. Trochę mnie... zaskoczyłeś.

– Dawno nie rozmawialiśmy i pomyślałem, że zadzwonię zapytać, co u ciebie.

Dalej przebywasz na wygnaniu?

Brudny spojrzął na zegarek. Dochodziła dwudziesta trzecia. W kominku pozostał już tylko ledwo tłący się żar, a po burzy nie było już śladu.

– No... – przyznał. – I powiem ci, że... – Komisarz zawahał się, ale nagle poczuł, że musi się komuś wygadać. Rozmówca po drugiej stronie był jedyną osobą, która mogła mu udzielić rady, nie kierując się uczuciami ani podtekstami. – Chyba wdepnąłem w kolejne gówno.

– Wiesz, że jakoś mnie to nie dziwi.

– No tak. Igor Brudny przyciąga kłopoty czy jakoś tak.

– Z tym trzeba się urodzić. A tak poważnie, wpadłem dziś w komendzie na Julkę. Gdy zapytałem, co u ciebie, to poradziła, żebym sam do ciebie zadzwonił.

– Powiedziała coś jeszcze?

– Nie, ale nie wyglądała na szczęśliwą.

– No bo nie jest.

– A co to za kupa, w którą niby wdepnąłeś? – Mężczyzna zmienił temat.

– Śmierdząca.

– A jak bardzo?

– Moim zdaniem bardzo. Dlatego skoro już dzwonisz, to chciałbym poznać twoje zdanie.

– Zamieniam się w słuch.

Gdy Igor Brudny opowiadał inspektorowi Romualdowi Czarneckiemu o tym, co mu się przydarzyło, gdzieś niedaleko chałupy komisarza niepozorna postać klęczała pod przybitym na ścianie krzyżem i żarliwie modliła się o to, aby sytuacja, której niedawno była świadkiem, okazała się tylko złym snem. Powtarzała to w kółko niczym mantrę, jakby wierzyła, że kłamstwo wypowiedziane tysiąc razy w końcu stanie się prawdą. Gdy w końcu opadła z sił, wślizgnęła się pod kołdrę i zamknęła powieki, zdała sobie sprawę, że właśnie tak rodzą się legendy. A każda legenda zawiera ziarno prawdy...

Rozdział 11

Marian Kmita był pięćdziesięciosześcioletnim policjantem o zerowym dorobku, ale lubił myśleć, że jest inaczej. Nie było to łatwe, ale jakoś sobie radził, bo nie należał do ludzi o przesadnie wysokim ilorazie inteligencji, a im człowiek głupszy, tym mniej zdaje sobie sprawę z własnej głupoty. Kmita miał jednak cechy, które predestynowały go do pracy w służbach mundurowych. Cenił sobie porządek, był obowiązkowy, zdecydowany i potrafił podporządkować się funkcjonariuszom z wyższym stopniem. Cechy te wyniósł z domu, gdzie jego ojciec – sołtys wsi i ubek w jednym – nie tolerował najmniejszych oznak nieposłuszeństwa, a gdy takowe dostrzegał albo wydawało mu się, że dostrzega, od razu sięgał po pas i lał po plecach i dupie z taką zajadłością, że czasem mały Marianek nie mógł siadać na tyłku przez kilka dni. Niestety dla syna, córki i zahukanej żony często mu się wydawało, bo oprócz tego, że na co dzień donosił na sąsiadów, większość czasu przesiadywał, pijąc na umór, wtedy zaś w głowie pojawiały mu się różne myśli i wizje, które niekoniecznie miały potwierdzenie w świecie rzeczywistym. Dla pozostałych członków rodziny oznaczało to regularny łomot, no chyba że Wacław zapił tak mocno, że zasypiał w objęciach jednej z podłych bieszczadzskich kurew albo w rowie, co też od czasu do czasu mu się zdarzało.

Surowe wychowanie z czasem wydało jednak plony. Kilkunastoletni Marian stał się silnym i odpornym na stres mężczyzną, do tego ambitnym, posłusznym i karnym; jednym słowem idealnym kandydatem do służby w Milicji Obywatelskiej. Po odbyciu szkolenia trafił tam w wieku dwudziestu lat i miał nadzieję, że dzięki wsparciu wysoko postawionego ojca uda mu się szybko awansować, nawet pomimo wyraźnych braków w edukacji, która nigdy nie była jego mocną stroną. Wacław Kmita miał jednak inne plany, a w zasadzie to, co w nim zamieszkało, bo dopadło go raczysko jelita grubego, które szybko dało przerzuty, i ojciec tuż po zmianie ustrojowej w okropnych boleściach odszedł

z tego świata, jak sam twierdził, ani do nieba, ani do piekła, tylko w pizdu do piachu, i chuj.

Marian z jednej strony się cieszył, bo ojca nie kochał, z drugiej trochę żałował, bo polityka państwa wobec służb mundurowych zaczęła ewoluować w niepewnym kierunku, zwłaszcza wobec synów ojców uwikłanych we współpracę z władzą komunistyczną. Uratował go spadek, bo jak się okazało, w ciągu pięćdziesięciu trzech lat swojego podłego życia Waclaw zdołał uzbierać mały majątek liczony nie tylko w walucie, ale i różnych kosztownościach. Początkowo Marian zdecydował się nie drażnić, skąd te wszystkie cuda znalazły się w zamykanym na klucz sejfie, ale pewnego razu przypadkiem albo prawie przypadkiem podsłuchał rozmowę swojej matki Bożeny Kmity z domu Wiselka, którą odwiedził Leopold Bursztynowicz w sobie tylko znanym celu. Co usłyszał, to usłyszał, ale potem jakoś tak dziwnie się złożyło, że oko puszczać do niego zaczęła Waleria, córka Leopolda, młoda, bardzo zgrabna, z piersiami mogącymi wykarmić niejedno dziecko, więc choć prawda na temat ojcowskich kosztowności wydawała mu się co najmniej paskudna, uznał, że nie ma sensu się biczować, bo co się stało, to się nie odstanie i lepiej skupić się na przyszłości. Ta na początku lat dziewięćdziesiątych wydawała się niepewna, zwłaszcza dla młodych mundurowych, ale jakoś trzeba było żyć dalej, dostosować się i walczyć o swoje. W tym czasie hormony grały w jego lędźwiach jak świerszcze w letnią noc i wszystko wskazywało, że Waleria również jest skora do czegoś więcej, w związku z czym młoda para szybko stanęła na ślubnym kobiercu, a przy wymiernej pomocy teścia zorganizowano wesele na dwieście osób i sto jeden fajerek.

Potem bywało różnie, jak to w życiu, raz na wozie, raz pod wozem. Zamieszkali w Baligrodzie, gdzie Marian podjął pracę na miejscowym posterunku, ale to była dziura, więc szybko przeniósł się do komendy w Sanoku. W tym czasie Waleria powiła syna i dwie córki. W pracy działał się niewiele, ale awanse przychodziły, bo wysoko postawiony teść dbał o to, aby im się wiodło. Były też lata chude, gdy władza się zmieniła, ale przez ostatnie osiem, tym razem głównie za sprawą Macieja, brata Walerii, Marian dorobił się stopnia komisarza, choć poza pierdzeniem w stołek sanockiej komendy miejskiej nie robił nic, no może poza piciem wódki, bo to mu jakoś tak po ojcu w genach zostało, że wysokoprocentowymi trunkami nie gardził. Dobre czasy zawsze jednak się kończą, bo tak jest ten świat zbudowany, że fortuna kołem się toczy, i Marian żałował tylko, że nie dochrapał się inspektora i nie wskoczył na stołek naczelnika wydziału, bo to zawsze było jego celem, wszak inspektor i do tego jeszcze naczelnik wydziału brzmią dumnie. Niestety, po zmianie władzy do Sanoka zrzucono spadochroniarza z krakowskiej, nadkomisarza Ferdynanda Hałasa, więc

szanse na awans zmalowały niemal do zera. Dlatego tak wkurwiała go obecność tego buca, pieprzonego Igora Brudnego, który przecież w pewnym sensie rękę do tego przyłożył i teraz jeszcze węszy przy sprawie śmierci tych dziewczyn.

Myśl o nim sprawiła, że wychylił kieliszek wódki, aby się uspokoić. Ten gliniarz drażnił go nie mniej niż coraz bardziej dokuczające mu hemoroidy. Przetarł wąsy wierzchem dłoni i od razu nalał sobie kolejną porcję. Wypił.

– I co chcesz z nim zrobić? – zapytała żona, która siedziała po drugiej stronie dębowego stołu z ręcznie dzierganym obrusem.

– A co niby mam zrobić? Będzie bruździł – odparł, przypalając papierosa.

– Przecież już nie nosi odznaki. Rozmawiałeś z Maciejem?

– Powiedział, żeby przeczekać. W jego ocenie facet jest zbyt cwany i niebezpieczny, a on akurat wie, co mówi. W końcu był ministrem u Kumidora...

– Coś zrobić trzeba...

– No to coś wymyśl, jakieś taka mądra. Ja mam dość, bo wszystko skupia się na mnie. Najpierw wkurwił się Maciej, a teraz jeszcze wszedł mi na głowę ten kutas Krogulewski. Nie wiem... on chyba dalej myśli, że żyje w poprzednim układzie. Ktoś za to beknie, powiedział, wyobrazasz sobie? Niby kto? Może ja?

– Nie denerwuj się.

– Jak mam się nie denerwować? Zaraz pewnie zjadą się tu media. Jak jeszcze wyniuchają, że Brudny kręci się wokół tematu, to... – Kmita odetchnął głęboko i głośno wypuścił powietrze z płuc – ja nie wiem, co to będzie. Naprawdę nie wiem. To będzie jakiś jebany armagedon.

– Myślę, że trochę przesadzasz. – Żona wstała i obeszła stół. Położyła dłonie na jego karku i powoli zaczęła rozmasowywać napięte mięśnie barków. – Media to nie twój problem, tylko Krogulewskiego. A w razie czego Maciej pomoże. Dasz sobie radę.

– Oby.

– A... – Waleria na chwilę wstrzymała oddech. – Jakby tak temu Brudnemu jednak dać do zrozumienia, że nie jest tu mile widziany?

– Co masz na myśli?

– No nie wiem. Tylko rzucam pomysł.

– Tak najłatwiej. Rzucić, kurwa, pomysł. – Kmita strząsnął jej dłonie i podniósł się z krzesła. Przez chwilę krążył od ściany do ściany jak dziki zwierz w klatce, w końcu podszedł do stołu i patrząc na obruszoną jego zachowaniem żonę, nalał sobie kolejny kieliszek wódki. Wypił. Jej pomysł wbrew pozorom wcale nie był taki głupi, tylko należało go dokładnie przemyśleć. – Trzeba się go pozbyć – oświadczył w końcu. – Nikt w okolicy by nie chciał, żeby zaczął grzebać w przeszłości.

– Mówisz o...

– O tym właśnie mówię. Myślę, że twój brat powinien skorygować swoje plany. Czekanie nic tu nie da, bo ten facet to nie byle krawężnik, który zadowolony się wręczoną w dowodzie rejestracyjnym stową.

– Maciej zawsze powtarza, że każdy ma swoją cenę. I ja się z nim zgadzam.

– A ja nie. Brudny udowodnił, że nie da się go przekupić. Gdyby było inaczej, Kumidor dalej rządziłby krajem.

– Nie możesz wysłać za nim swoich ludzi? Tak żeby mieli go na oku?

– Nie żartuj. Kałużyński nie był w stanie go upilnować, to myślisz, że upilnuje go dwóch pacanów z drogowki? Nie. Tego nie da się tak załatwić. To go co najwyżej rozjuszy.

– No to co?

– Nie wiem. Myślę!

Sytuacja rzeczywiście zaczynała się komplikować. Kmita był na siebie trochę zły, bo czuł, że kiepsko to rozegrał. Brudny zaś ewidentnie rzucił mu rękawicę. Ile minęło od ich drugiej rozmowy, zanim wyszedł z chałupy? Pół godziny? Może godzina? A on, pomimo wyraźnej sugestii, aby nie węszył przy temacie, po prostu pokazał mu środkowy palec. Nawet nie próbował tego ukryć, bo z pełną premedytacją najpierw zszedł ze wzgórza w okolice wypału, a gdy upewnił się, że Kmita i jego ludzie go zobaczyli, ruszył w kierunku cerkwi w Łopience. Czy mógł dotrzeć na miejsce odnalezienia zwłok? To akurat było wątpliwe, bo już po godzinie zaczął zapadać zmrok, a do tego lunęło jak z cebra. Poza tym poruszanie się po lesie w takich warunkach graniczyło z szaleństwem, a Kmita na miejscu zostawił dwóch ludzi, którzy na wszelki wypadek mieli pilnować zamkniętego terenu.

– Idzie w waszą stronę, więc bądźcie czujni – ostrzegł podległych mu funkcjonariuszy. – Żadnego siedzenia w radiowozie i obżerania się pączkami. Zrozumiano?

Przed dwudziestą drugą zameldowali mu, że nikt nie dotarł, więc uznał, że Brudny jednak odpuścił. Kolejna wyprawa na stary cmentarz nie miała już dla niego większego sensu, bo taka ulewa musiała doszczętnie zniszczyć wszelkie dowody. Wezwani technicy na szczęście zdążyli zebrać jakieś próbki, a ciała zostały zabrane do prosektorium, więc w zasadzie Brudny nie miał już tam czego szukać. Pozostawała kwestia obozowiska, które w pobliżu kapliczki rozbiły ofiary w noc zaginięcia. Znajdowało się mniej więcej w połowie drogi z jego chaty do cmentarza w Łopience. Tam Brudny mógł dotrzeć, ale nawet jeśli, to co? Mundurowi z psami dotarli na miejsce wcześniej i wszystko posprząтали, razem z namiotami ofiar i całym ich dobytkiem. Teraz wszystkie te dowody leżały bezpiecznie w sanockiej komendzie.

Na myśleniu Kmita spędził jeszcze godzinę, a gdy niepostrzeżenie wybiła północ, strasznie go zmogło. Odnalezienie zwłok, przeprawa z Krogulewskim i Brudnym, przeszukanie wypału Wanzreicha, w końcu przesłuchanie świadków, którzy pierwsi znaleźli się na starym łopieńskim cmentarzu – to wszystko dało mu mocno w kość. Świadomość, że jutro od rana będzie musiał maglować smolarza i jego syna, zapewne w obecności prokuratora, sprawiła, że opuściły go ostatnie siły. Zasnął na kanapie, nawet nie myjąc zębów. Śnił koszmary o ojcu brutalu i jego ponurej tajemnicy, o strasznej historii i znowie milczenia. Przebudził się mokry od potu i pomyślał, że musi zrobić wszystko, aby prawda nigdy, przenigdy nie wyszła na jaw.

Rozdział 12

Poranek był rześki i słoneczny.

Brudny wysiadł z wozu i rozejrzał się po okolicy. Po froncie burzowym z poprzedniego wieczoru nie było już śladu. Spomiędzy sunących po niebie białych chmur coraz śmieiej wyglądało słońce, a nad dachami domostw niewielkiego Baligrodu latały jaskółki. W powietrzu unosił się zapach nadciągającej wiosny i choć temperatura wciąż nie przekraczała kilku stopni, można było odetchnąć pełną piersią.

– Dzień dobry – przywitał się mały chłopczyk w zielonej czapce. Szedł obok mamy, która prowadziła wózek z opatulonym kocami bobasem.

– Dzień dobry – odpowiedział i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Przysiadł na ławeczce w niewielkim parku naprzeciwko dwóch sklepów spożywczo-przemysłowych. Bardziej przypominały większe budy dla psa, ale najważniejsze, że można było zaopatrzyć się w nich w artykuły pierwszej potrzeby, a on tylko takich potrzebował. Rozsiadł się, wyjął papierosa i zapalił. Rozpostarł ręce na oparciu i wystawił twarz do słońca, rozkoszując się chłodną górską bryzą.

– Kopsnie szef papierocha?

Brudny otworzył oczy. Już wcześniej zauważył podążającego w jego stronę facecika, który wyglądał, jakby przy pierwszym podmuchu wiatr miał go porwać w siną dal. Można było odnieść wrażenie, że przy ziemi trzyma go tylko wypełniona pustymi butelkami reklamówka.

– Ile ma pan lat? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Siedemdziesiąt siedem, szefuniu. Dwie siekierki, jak to mówią. – Mężczyzna uśmiechnął się, prezentując szereg ubytków w jamie ustnej.

– Mieszka pan tu?

– Od czterdziestego szóstego, gdy zem przyszedł na ten świat. W marcu to było. Podobno dwudziestego ósmego, bo tak mi matula w papiery wpisała.

Bajerę ma, pomyślał Brudny. Dziś był dwudziesty ósmy marca. Uśmiechnął się pod nosem i wysunął z paczki dwa papierosy. Skinął, aby facet śmiało zabierał, co jego.

– Dziękuję, szefie. Niech szefowi Bóg w dzieciach wynagrodzi – rzekł mężczyzna, znów szczerząc resztki zaniedbanych zębów. Brudny wyjął zapalniczkę i przystawił mu płomień do papierosa.

– Jest pan stąd... – zaczął, gdy mężczyzna łapczywie się zaciągnął. – Pewnie zna pan ludzi i okolice.

– Ano pewnie, że znam. Mnie też znają. Starego Gruchołę wszyscy znają.

– Chętnie bym posłuchał, bo ja jestem tu nowy.

Mężczyzna spojrział spode łba na Brudnego, następnie na jego zaparkowanego po drugiej stronie ulicy patrola, w końcu znów na niego.

– Dobry samochód szef ma. Drogi pewnie i koni pod maską jak Sobieski pod Wiedniem.

– Sprawdza się tam, gdzie mieszkam.

– Tylko ja nie wiem, co szef tak wypytuje. Znam ten ton, bom swoje w życiu przeżył. A ja nie konfitura, jak reszta, co się teraz w kościelne szaty ubiera. Ja nigdy nie nadawałem i nie mam zamiaru.

Na twarzy Brudnego wykwitł szczerzy uśmiech. Pomyślał, że trafił na właściwego człowieka.

– Wyznajemy te same wartości, panie Gruchoła – powiedział. – Mieszkam w starej chałupie szeptuchy Klepackiej. Jak pan będzie miał ochotę na drinka, to zapraszam. Picie do lustra jest dobre, ale z czasem przyjemnie byłoby otworzyć do kogoś gębę.

Mężczyzna podrapał się po rozczochranej brodzie. Raz jeszcze posłał mu kose spojrzenie.

– Koło wypału Wanzreicha?

– Dokładnie tam.

– Aha...

Na czole mężczyzny pojawiła się gruba kreska, sugerująca, że zachodzący w jego głowie proces dogłębnej analizy wszedł na najwyższe obroty. To jego „aha” świadczyło, że obecność nowego pustelnika została w okolicy dostrzeżona. Pytanie brzmiało, czy mieszkańcy wiedzieli, że nazywa się Igor Brudny. Do tej pory unikał ludzi jak ognia, specjalnie zapaścił brodę, a głowę zwykle nakrywał kapturem albo nosił czapkę z daszkiem. Zdawał sobie jednak sprawę, że w takich małych miejscowościach wieści roznoszą się lotem błyskawicy, a plotki natychmiast obrastają w „fakty”, które nie mają z rzeczywistością nic wspólnego. W oczach lokalnych mieszkańców mógł być każdym, a po zachowaniu Gruchoły

wnioskował, że facet go nie kojarzył i co najwyżej wzbudził jego ciekawość. Poza tym oferta niewątpliwie była kusząca.

– Zapraszam dziś wieczorem. – Brudny wcisnął prawie całą paczkę papierosów w rachityczną dłoń Gruchoły i wstał z ławki. – Opowie mi pan o górskich szlakach, tutejszym folklorze i lokalnych legendach. Jeśli oczywiście, panie Gruchoła, znajdzie pan dla mnie czas...

– O cmentarzu w Łopience...?

Brudny pomyślał, że stary wciąż jest bystry. Jeśli on wiedział o odkryciu ciał zaginionych turystek, to pewnie wiedzieli już wszyscy mieszkańcy okolicznych wsi. Chyba że Gruchoła miał na myśli coś zupełnie innego.

– Może być i o cmentarzu w Łopience – odparł i nie czekając na reakcję mężczyzny, przeszedł na drugą stronę jezdni.

W sklepie kupił papierosy, kawę, papier toaletowy i trochę jedzenia. Pomiedzy ciasnymi regałami znajdowały się tylko dwie osoby: nastolatek buszujący w lodówce z napojami i filigranowa młoda kobieta w bluzie z kapturem. Kucała i przebierała ziemniaki, a jego uwagę zwróciły blond włosy dziewczyny, które choć niknęły pod kapturem, wydawały się niezwykle długie i puszyste. Sam starał się nie przyciągać uwagi, więc pozbiierał z półek interesujące go artykuły i podszedł do kasy. Stała za nią korpulentna kobieta w kolorowym dzierganym swetrze, na oko po pięćdziesiątce. Bywała gadatliwa, ale w stosunku do niego zwykle nie strzepiła języka po próżnicy, co było głównym powodem, że na podstawowe zakupy wybrał właśnie jej sklep. Brudny wyłożył artykuły na ladę.

– Chciałbym kupić jeszcze paczkę jasnozielonych heetsów, piwo Corona i to lokalne... no... Ursa Maior. Podobno dobre. – Zmusił się do dodania ostatniego zdania.

– Ooo, panie. – Kobieta aż machnęła rękami. – Te diabelskie IQOS-y to tu jeszcze nie dotarły, a żadnej korony to my tu nie sprzedajemy. Ursa maior stoi na tamtym regale. – Wskazała ponad jego ramieniem.

Brudny podziękował i podszedł do odpowiedniej półki. Musiał precyzyjnie się obok przebierającej ziemniaki dziewczyny w kapturze. Chwycił butelkę i wrócił do lady. Przy drzwiach wejściowych minął się z dojrzałą kobietą w krzykliwym futrze. Oczy miała skryte za okularami przeciwsłonecznymi.

– A gdzie w najbliższej okolicy dostanę te heetsy? – zapytał, gdy postawił butelkę na ladzie.

– A pan pali jedno i drugie? – Kobieta wymownie skinęła na cztery paczki skasowanych już papierosów.

– Chciałem spróbować – skłamał.

– A po co nowym się truć. Podobno to jeszcze niesprawdzone przez naukowców, a ludziom już dają. Mnie tam już dostawcy proponowali, żebym

wzięła, ale ja nie chcę. Poza tym komu bym to tu sprzedawała? Tylko młody „Bursztyn” je kopci, a dla jednego, choćby nawet był synem posła, nie będę zagracać sobie magazynu, bo mały mam.

– Syn posła je pali?

– Co tydzień mnie nachodzi, żebym w końcu zamówiła, ale chłopak młody i na prowadzeniu biznesu się jeszcze nie zna. Poza tym to wie pan, ja...

Kobieta zamilkła, a Brudny dostrzegł, że jej spojrzenie na chwilę powędrowało ponad jego lewym ramieniem. Nie obrócił się, ale w lustrzanej ścianie z alkoholami za plecami sprzedawczyni zauważył wpatrującą się w nich kobietę w futrze. Grymas na jej twarzy mówił więcej niż tysiąc słów.

– Zresztą nieważne. Każdy pali, co chce – ucięła sprzedawczyni. – Coś jeszcze?

– Gdzie mógłbym kupić te heetsy? – Brudny wciąż dyskretnie zerkał w lustro na ścianie z alkoholami.

– Wiem, że zamawiają je do Cisnej, ale to daleko – odpowiedziała, ale ton jej głosu wyraźnie się zmienił. Tak mówili ludzie przyłapani na gorącym uczynku albo ci, którzy się czegoś obawiali. – Bliżej będzie na stację benzynową, ale nie tę naszą, bo tam to tylko paliwo leją. Najbliższy Orlen, jak mnie pamięć nie myli, to w Lesku jest. Ze dwadzieścia kilometrów będzie, ale może pan i tę koronę tam kupi.

– Dziękuję.

– Razem będzie sto czterdzieści siedem dziewięćdziesiąt osiem.

Atmosfera wyraźnie zgęstniała, ale Brudny udawał niewzruszonego. Zapłacił gotówką, następnie powoli, wciąż dyskretnie zerkając na lustrzaną ściankę, włożył wszystkie zakupione artykuły do lnianej siatki, w końcu uklonił się i ruszył w kierunku drzwi. Zanim je otworzył, złapał kontakt wzrokowy z dziewczyną w kapturze. Blondynka speszyła się i niemal natychmiast spuściła głowę, a następnie pospiesznie przemknęła na drugą stronę sklepika. Na jej twarzy też dostrzegł ten charakterystyczny grymas. Strach trudno było ukryć, tym bardziej permanentny lęk.

Brudny chwycił klamkę i delikatnie szarpnął za drzwi. Nad uchem rozległ się charakterystyczny sygnał dźwiękowy. Zatrzymał się na chwilę, dostrzegłszy w szybie postać w futrze. Kobieta stała teraz przy kasie i świdrowała go wzrokiem. Chwilę później komisarz wyszedł ze sklepu.

Od razu skierował się do zaparkowanego samochodu. Obok stało masywne audi Q6. Wyglądało na takie, co to dopiero wyjechało z salonu. Perfekcyjnie połyskujący w promieniach słońca czarny lakier zaburzała jedynie biała ptasia kupa na przedniej szybie. Brudny spojrzął w niebo, na którym pocieszenie hasały jaskółki, po czym dyskretnie zrobił zdjęcie tablicy rejestracyjnej. Wsiadł do

swojego patrola, włączył silnik, otworzył szybę i zapalił. Z głośników poniósł się barwny głos lokalnej dziennikarki, która prowadziła luźny poranny program. Przełączył stację, a potem zmienił na jeszcze inną. Nikt nawet nie zająknął się o śmierci Małgorzaty Dąbrowskiej i Eweliny Matejczuk. Pomyślał, że to dziwne, a gdy kątem oka dostrzegł otwierające się drzwi sklepu, wcisnął wsteczny i powoli wycofał na pustą jezdnię.

Kobieta w futrze ruszyła dumnym krokiem do swojego samochodu. Na nosie miała okulary przeciwsłoneczne i wyglądała, jakby patrzyła przed siebie, ale nie miał wątpliwości, że jej spojrzenie skupione jest na nim. Skinął jej nieznacznie, ale nie zareagowała, więc wrzucił jedynekę i delikatnie wcisnął pedał gazu.

Po drodze zajechał do sołtysa. Bogdan Kobziński był mężczyzną po pięćdziesiątce, choć wyglądał na dziesięć lat więcej. Niski, otyły, z okazałymi wąsami, jego twarz była pełna dziobów po przebytej ospie. Na głowie nosił kaszkiet, więc albo właśnie dokądś się wybierał, albo się z nim nie rozstawał nawet w domu. Dom, choć zadbane, tylko utwierdził Igora w przekonaniu, że jego syn nie ma prawa rozbijać się tak drogim mercedesem.

– Dzień dobry – przywitał się Brudny, gdy Kobziński ruszył w kierunku furtki.

– Dzień dobry – mruknął sołtys, wydawał się nastawiony konfrontacyjnie. Stanął po drugiej stronie płotu i zapalił papierosa. Brudny zmusił się do krzywego uśmiechu, ale nie zamierzał bawić się w ceregiele. Sołtys wsi musiał wiedzieć, kim jest i gdzie mieszka.

– Przyszedłem porozmawiać o morderstwie tych dwóch dziewczyn – oznajmił bez owijania w bawełnę. – Wczoraj byli u mnie panowie z policji i wypytywali...

– Słuchaj pan – przerwał mu Kobziński. Zaciągnął się mocno. – Nie wpierdalaj się pan w nie swoje sprawy. Tyle mam do powiedzenia – dodał, po czym skierował się do bramy wjazdowej. Otworzył ją, posłał Brudnemu nieufne spojrzenie, wsiadł do samochodu i wyjechał na jezdnię. Zatrzymał się obok komisarza. – Coś jeszcze? – rzucił przez otwarte okno.

Brudny go zignorował, wiedząc, że to wymusi na sołtysie konieczność dodania czegoś jeszcze. Nie pomylił się.

– Nie stój pan tak pod moim domem, bo jeszcze ludzie zaczną gadać – warknął poirytowany. – No co pan nic nie mówisz? Dlaczego pan nie idziesz?

Przez chwilę obaj mężczyźni świdrowali się spojrzeniami. Cisza zrobiła się na tyle niezręczna, że sołtys w końcu burknął coś pod nosem i ruszył z miejsca. Brudny odprowadził samochód wzrokiem, po czym z kolejną porcją przemyśleń wsiadł do swojego patrola, uruchomił silnik i również włączył się do ruchu. Obrął kierunek na wypał Zbigniewa Kozobury.

Gdy wyjeżdżał ze Stężnicy, komisarz Marian Kmita i prokurator Jarosław Krogulewski właśnie przygotowywali się do przesłuchania zatrzymanego Samuela

Wanzreicha. Do stołu siedli z przekonaniem, że mają mocne dowody i sprawę da się załatwić szybko, a delikwenta bezproblemowo wsadzić do aresztu. Nie mieli pojęcia, że właśnie wszystko mocno się skomplikowało, a ich problemy dopiero się zaczynają.

Rozdział 13

– Wiemy, że to ty. Nie wywiniesz się z tego – rzucił na odchodne Kmita i przepuściwszy prokuratora, zamknął za sobą drzwi. – Co teraz? – zwrócił się do Krogulewskiego.

– Idę do kibla, a ty to nie wiem.

Prokurator ewidentnie nie był w humorze, ale to nie usprawiedliwiało takiego paskudnego podejścia do ludzi, z którymi pracował. Kmita odprowadził go wzrokiem, wymyślając mu od starego ubeka i życząc takiego rozwolnienia, żeby mu dupę rozsadziło. Krogulewski przypominał mu ojca. W jego oczach był takim samym wrednym i bezbożnym sukinsynem, który był w stanie wejść w dupę każdemu, byleby tylko osiągnąć jakieś korzyści. Tylko co mógł poradzić, skoro ten komuch był protegowanym Macieja Bursztynowicza? Myśl, że jego własna żona jest siostrą posła, wkurwiała go przez to jeszcze bardziej, bo czysto teoretycznie dzięki tej relacji to on tu powinien rozdawać karty. Tymczasem jakoś tak to się wszystko poukładało, że małżeństwo z Walerią nie przełożyło się na jego życie zawodowe tak, jak by sobie tego życzył. Owszem, nie mógł narzekać, bo teść przez wiele lat go wspierał, ale od jego tragicznej śmierci relacje z Bursztynowiczami wyraźnie się ochłodziły. Co prawda nie były wrogie, ale prawie się nie widywali, a Maciej, nawet w czasach największej prosperity, nie był już taki skory do pomocy jak jego świętej pamięci ojciec.

Kmita poszedł do swojego biura i zaparzył kawę w stojącym pod ścianą ekspresie. Przynajmniej tutaj miał spokój. To był jego azyl. Wciąż nie dochrapał się stołka naczelnika, ale od lat był jego prawą ręką. Nadkomisarz Ferdynand Hałas, który dzięki koneksjom z rodziną Bursztynowiczów przyspawał się do stołka już lata temu, leniem był okrutnym, ale przynajmniej dawał mu wolną rękę, aby swoich za bardzo nie brudzić, dzięki czemu Kmita często rozdzielał zadania. To śledztwo wymykało się jednak poza ten prosty schemat. To nie była kolejna bójka ze skutkiem śmiertelnym dwóch chamów, znalezione w lesie zwłoki nielegalnego imigranta czy kolejnej ukraińskiej dziewczyny, która w nadziei na

znalezienie bezpieczeństwa w Polsce trafiła w ręce handlarzy żywym towarem. Sprawa śmierci Małgorzaty Dąbrowskiej i Eweliny Matejczuk była na tyle poważna, że mogła doprowadzić do rozgrzebania haniebnej przeszłości wielu mieszkających tu ludzi, z jego rodziną włącznie. W tym wypadku dużo osób miało zbyt wiele do stracenia, więc presja, aby znaleźć i wsadzić za kratki winnego podwójnego morderstwa dwóch turystek, rosła z każdą godziną wykładniczo. Najbardziej bał się tego, że prędzej czy później zjadą się tu żądni krwawej historii dziennikarze, a ich uwaga skupi się na nim, zwłaszcza że stary układ przy obecnej władzy już nie był tak stabilny i Bursztynowicz nie mógł kontrolować wszystkiego.

Przez na wpół rozsunięte rolety do gabinetu nachalnie wdzierały się jasne promienie słońca. Pomyślał, że miło byłoby wybrać się z synem nad Solinę i połowić ryby, ale wyraz zaciętej twarzy Wanzreicha szybko wybił mu podobne wizje z głowy.

Smolarz milczał od początku do końca przesłuchania. W sumie trudno było to nazwać przesłuchaniem, bo chociaż maglowali go ponad dwie godziny, wykorzystując wszystkie możliwe socjotechniczne sztuczki, nie powiedział ani słowa, syn zaś – choć przepytany na wpół legalnie w drugim pokoju – albo doskonale kłamał, albo naprawdę niczego nie pamiętał. Bandaż na jego głowie niczego nie dowodził i nawet trudno było ocenić, czy działa na jego korzyść czy niekorzyść. Wydawało się też, że Gracjan ma mocne alibi, bo twierdził, choć oczywiście należało to jeszcze sprawdzić u źródła, że dzień po zniknięciu Dąbrowskiej i Matejczuk ojciec zawiózł go do lokalnej znachorki, która przez kolejne dni miała go leczyć. To akurat było łatwe do sprawdzenia i wystarczyło wysłać tam ludzi. Z samym Wanzreichem sprawa wyglądała zgoła inaczej. Wszystko to trzeba było ustalić, gdyż facet nie chciał odpowiadać na najprostsze pytania. Teoretycznie mieli mocne dowody, a sędzia po ich przedstawieniu bez problemu powinien wydać nakaz aresztowania na najbliższe trzy miesiące. Tylko czy posadzenie smolarza załatwiało sprawę? Kmita podskórnie czuł, że sprawa ma drugie dno i najmniejszy błąd może rozpętać piekło, nad którym trudno będzie zapanować. Pojawienie się w tle młodego Bursztynowicza tylko go w tym przekonaniu utwierdzało.

No bo jeśli syn posła miał z tym coś wspólnego?

Sama myśl, że chłopak w jakiś sposób mógł przyczynić się do śmierci tych turystek, sprawiała, że oblewał go zimny pot. Przecież w pewnym sensie byli rodziną, nawet jeśli Wiktor nigdy nie zwracał się do niego „wujku” i ewidentnie nim gardził. Maciej też wyraźnie naciskał, aby syna w tę sprawę nie wciągać, choć Kmita odnosił nieodparte wrażenie, że szwagier wywiera tak silną presję nie z powodu miłości, a głównie dla zabezpieczenia własnej reputacji. Tak naprawdę

nigdy go nie lubił, bo widział w nim typowego dwulicowego, bezwzględnego i zakłamanego polityka, który – a zdarzyło mu się kilka razy wysłuchać wygłaszanych przez niego kwestii – jedno mówił przed kamerami, a coś przeciwnego przy stole. Nigdy też nie nadawali na tych samych falach, nawet gdy pili wódkę. W jego obecności czuł się nieswojo i choć trudno mu to było przyznać przed samym sobą, chyba nawet trochę się go bał.

– Maciej już taki jest – tłumaczyła go Waleria. – Polityk na takim stanowisku musi mieć charyzmę, być władczy i czasem cóż... bezwzględny dla wrogów. Chyba niekiedy trudno mu wyjść z tej roli, stąd takie wrażenie. Ale sam powiedz. Ty w pracy nie bywasz surowy dla swoich podwładnych?

Pewnie, że bywał, to rozumiałe. U Macieja chodziło jednak o coś innego. Coś, czego nie potrafił jednoznacznie nazwać, ale czuł, że przebywanie w jego otoczeniu nie sprawia mu przyjemności. Bił od niego trudny do wytłumaczenia chłód, który od czasu śmierci Leopolda, ojca Macieja, tylko się nasilił. Czy właśnie tak na ludzi działała władza? Czy tak ich zmieniała? Tragiczny wypadek seniora rodu zbiegł się akurat z otrzymaniem przez Macieja teki wiceministra rolnictwa, a co za tym idzie dodatkowej władzy. Na tych terenach, gdzie poparcie dla partii Kumidora przebijało szklany sufit, praktycznie nieograniczonej. I nawet jeśli teraz znajdował się w opozycji, tu wciąż mógł czuć się bogiem.

Kmita miał wrażenie, że znalazł się między młotem a kowadłem. Dowody wyraźnie wskazywały, że Wiktor Bursztynowicz spotkał się z zamordowanymi kobietami w dzień ich zaginięcia, ale wpisanie tych wniosków do raportu byłoby jawnym nieposłuszeństwem wobec Macieja z nieprzewidzianymi konsekwencjami w relacjach rodzinnych, nie wspominając o zawodowych. Nie miał też przekonania, czy o swoich wątpliwościach informować naczelnika. Pominięcie nazwiska Bursztynowicz narażało go jednak na wiele problemów w przyszłości. Jedno słowo za dużo, jeden pominięty świadek albo jakaś nieścisłość w papierach i jakiś dociekliwy dziennikarz mógłby wywlec prawdę na wierzch. Nawet nie chciał myśleć, co mogłoby się wtedy wydarzyć, a miał przekonanie graniczące z pewnością, że w razie kłopotów Bursztynowicz i Hałas poświęciliby go bez mrugnięcia okiem. Biuro Spraw Wewnętrznych, dyscyplinarka, być może nawet wyrok i utrata emerytury. Rozwód? Marian Kmita zostałby z niczym.

Pomyślał, że w najgorszym razie mógłby zrzucić winę na prokuratora. Tylko czy nie był na taką wojenkę za chudy w uszach? Krogulewski i Bursztynowicz znali się od niepamiętnych lat, tak samo jak ich ojcowie, którzy przed laty pracowali dla ubecji. Razem się wychowywali, razem opróżniali pierwsze butelki, podrywali pierwsze dziewczyny i kręcili pierwsze wałki. Hałas pojawił się później, ale on też wypił z nimi morze wódki i wszystko wskazywało, że jest wobec nich lojalny i należy do układu, dlatego zdaniem Kmity tak trudno było go

wygryźć ze stanowiska. On sam natomiast, nawet jeśli był mężem Walerii, nigdy nie czuł się w rodzinie poważany, raczej wykorzystywany, gdy zaszła taka potrzeba. Układ wydawał się szczelny i zamknięty, a dla niego, pomimo kilku dowodów lojalności, którymi swojego czasu się wykazał, miejsca nigdy w nim nie było. Czy zatem mógł stawiać jakieś warunki? Może powinien?

Z zamyślenia wybił go chrobot otwieranych drzwi. Krogulewski wszedł jak do siebie. Pomimo długiej wizyty w toalecie wyglądał na spiętego i zasepionego. Stał naprzeciwko Kmity, jakby chciał go solidnie opierdolić.

– Co tak, kurwa, siedzisz jak chuj na kazaniu? – zapytał.

– Ale o co ci chodzi? – Kmita poczuł, że pewne granice zostały przekroczone. Chciał jeszcze coś dodać, ale ostatecznie ugryzł się w język.

– O gówno! – syknął Krogulewski, po czym opadł na krzesło naprzeciw komisarza. – Wiesz, że sytuacja jest do dupy i trzeba coś z tym zrobić. A tego Wanzreicha jak najszybciej wsadzić za kratki.

– No... ja swoje zrobiłem – zaryzykował niepewnie Kmita. – O jedenastej jeszcze sekcja tych kobiet, ale to chyba wiesz. Potem wszystko pozbieram i sporządzę raport z całości.

– Zleciłeś badania toksykologiczne?

– Tak. I wszystkie inne też.

Krogulewski spuścił z tonu, ale wciąż wyglądał, jakby przez ostatni kwadrans nie siedział na desce klozetowej, ale na średniowiecznej kołysce Judasza. Na skroniach perliły mu się krople potu.

– No dobra... – powiedział i podrapał się po czole. – Mamy podejrzanego, który nie chce się przyznać. Wanzreich na razie nie ma alibi, a dowody są stosunkowo mocne, więc Klucha nie powinien robić problemu, aby wydać nakaz aresztowania. Gorzej, bo przed chwilą dzwoniła do mnie Tyszka. Podobno sprawa już wyciekła do mediów i hieny zaczynają gryźć, dodatkowo będziemy mieli na głowie rodziców ofiar. Jeśli tego szybko nie ogarniemy, to zrobi się straszna kołomyja.

Kmita nie był pewny, co prokurator miał na myśli, więc nie skomentował ostatniego zdania. W ogóle niczego nie skomentował. Zamiast tego wyjął z kieszeni marynarki dzwoniący telefon. Spojrzał na wyświetlacz i odłożył go na blat biurka.

– Gadałeś z tym Brudnym? – ciągnął Krogulewski, gdy upił pierwszy łyk kawy.

– Gadałem.

– I co?

– Może stwarzać problemy.

– Co to niby ma znaczyć? Mów, kurwa, konkretnie.

Smartfon na biurku wciąż domagał się uwagi. Kmita wiedział, kto dzwoni, ale nie zamierzał odbierać. Złośliwie nie zamierzał też wyciszać, bo miał dobrą wymówkę. Żony, zwłaszcza żony, która jest siostrą Macieja Bursztynowicza, nie wypadało odbijać.

– Wiesz dobrze, że Brudny to rasowy pies – powiedział. – Na moje oko tak tego nie zostawi.

– Kurwa mać. – Krogulewski nerwowo złożył palce w piramidę. – Co mu powiedziałeś?

– Żeby się nie wtrącał. Ale najwyraźniej olał mnie, a w zasadzie nas wszystkich, ciepłym moczem. Krótco po moim wyjściu poszedł w kierunku cerkwi w Łopience.

Kmita zerknął na smartfon, na który tym razem przyszła wiadomość. Żona prosiła o pilny kontakt. Poczuł ukłucie niepokoju, bo rzadko się zdarzało, aby tak usilnie zawracała mu głowę w pracy. Oddzwonił.

– Coś się stało? – zapytał. – Jesteś pewna? Tak. Z kim? Ale na pewno? Aha. Cholera. No. O kurwa. Dzięki. Oddzwonię. Pa.

Komisarz odłożył telefon na blat biurka i podniósł wzrok na Krogulewskiego. Prokurator wpatrywał się w niego jak głodny sęp w padlinę.

– Wywołaliśmy wilka z lasu... – powiedział niepewnie.

– Jakiego znowu wilka?

– Brudny jednak zaczął węszyć.

– Ale że co? – Policzki Krogulewskiego zadrżały.

– Żona widziała, jak rozpytuje ludzi we wsi. I w jednej z rozmów padło nazwisko młodego Bursztynowicza.

Twarz prokuratora poczerwieniała. Kmita przez krótką chwilę spodziewał się, że facet zaraz eksploduje, ale Krogulewski tylko zacisnął szczęki, policzył w myślach do dziesięciu, po czym dopił kawę i wstał z krzesła.

– Zjebałeś, to teraz dzwoń do Macieja – rzucił. – Niech on podejmie decyzję, co z nim zrobić. Ja umyвам ręce – dodał i wyszedł z pokoju.

Rozdział 14

Droga do wypału Zbigniewa Kozobury była kręta, wyboista i najeżona głębokimi koleinami wypełnionymi wodą. Od wysłużonej asfaltówki prowadzącej ze Stężnicy do Woli Górzańskiej i dalej dzieliło ją jeszcze wzniesienie, na którym zwykle parkowali turyści chcący obejrzeć dymiące retorty. Brudny przez chwilę się zastanawiał, czy nie podjechać pod sam wypał, ale ostatecznie zrezygnował. Nie znał innych smolarzy poza Wanzreichem i nie wiedział, czego się po nich spodziewać. Podobno byli nastawieni do obcych dużo bardziej przyjaźnie, ale wolał dmuchać na zimne, zwłaszcza że sytuacja była skomplikowana, a zatrzymania ich kolegi po fachu nikt z nich się nie spodziewał.

Komisarz wysiadł z wozu, przeciągnął się, zapalił i ruszył w kierunku unoszącego się nad lasem dymu. Wciąż nie mógł pogodzić się z tym, jak został potraktowany przez sołtysa. Irytowało go to, ale nie mógł wyciągnąć legitymacji, bo jej nie miał, więc chwilowo musiał pogodzić się z porażką. Przyspieszył kroku.

Do celu dotarł po tym, jak niedopałek wylądował w błocie. Trzy z czterech retort pracowały pełną parą. Wokół walało się mnóstwo rozrzuconych bali drewna i jutowych worków, do których pakowano gotowy węgiel drzewny. W oczy rzuciło mu się też kilka beczek, połamane palety, wiadra, a nawet zardzewiała wanna. Pod lasem stał wysłużony traktor z przyłączoną doń naczepą, a kawałek dalej mieścił się drewniany barak. Przez chwilę Brudny myślał, żeby to tam zacząć poszukiwania gospodarza, ale kilka sekund później smolarz wyłonił się z ostatniej retorty. Dostrzegł go, ale zignorował jego obecność, chwycił kilka porąbanych polan i zniknął w piecu. Komisarz podszedł bliżej.

– Chyba dużo dziś roboty? – zagaił.

Mężczyzna wyłonił się ze stalowego pieca. Na nogach miał kalosze, był przygarbiony, nosił brudne łachmany, a twarz i ręce szczelnie pokrywała czarna sadza. Z potarganą czupryną i dziko wijącą się brodą sięgającą klatki piersiowej,

w której posklejanych strąkach można było dostrzec kawałki liści i kory, wyglądał, jakby właśnie skończył ucztować z samym diabłem.

– Robota jak robota. Trzeba przerobić – odparł i zaczął chwycić kolejne kawałki drewna. – Turysta? – zapytał, zerkając z ukosa.

– I tak, i nie – odparł Brudny, próbując tym razem poszukać złotego środka. – Ale jakby pan znalazł chwilę, żeby pogadać, to byłbym wdzięczny za poświęcony czas.

– A o czym chcesz pan gadać?

– O tym tutaj. – Brudny zatoczył koło ręką. – O wszystkim...

Smolarz posłał mu kose spojrzenie i znów zniknął w piecu. Po wyjściu popatrzył w niebo, wyjął pierśiówkę i wychylił do dna. Podszedł do Brudnego.

– Nie wyglądasz mi pan na turystę – mruknął. – Poza tym Zbycha nie ma. Tylko go zastępuję, a ja nie lubię kłapać dziobem jak on. Ale gość w dom, Bóg w dom. Chodź pan, bo przerwę sobie robię. Napijemy się.

Jeśli tak miała wyglądać otwartość smolarzy na obcych, to Brudny brał ją z całym inwentarzem. Zdziwiło go tylko, że facet nie jest tym, za kogo wziął go na początku. Gdzie był zatem właściciel wypału?

– Nazywam się Brudny – powiedział, gdy ruszył za smolarzem.

– Brudny? He, he, to dobrze żeś pan trafił.

– A pan?

– A ja wolę nie gadać. Bo po co mi to? Napijemy się, jak Pan Bóg przykazał, i starczy. Ja nie Zbychu. Nie spoufalam się.

Brudny postanowił nie naciskać. Facet i tak zaskoczył go pozytywnie. Nastawił się raczej na wymuszoną pogawędkę o procesie wypalania węgla, podczas której podjąłby próbę wyciągnięcia kilku informacji na temat Wanzreicha i lokalnego folkloru, w tym niesławnej legendy. Tymczasem nie dość, że przywitał go ktoś inny, to jeszcze zaprosił na wódkę. Pomyślał, że nie ma prawa narzekać.

Barak wyglądał, jakby wyciągnięto go żywcem z jakiegoś horroru klasy B. Z zewnątrz przypominał własnoręcznie skleconą chatkę z byle czego i bez żadnego pomysłu. Ściany i dach wykonano z drewna, które w kilku miejscach wyglądało już na spróchniałe. Na powbijanych gwoździach wisiały brudne szmaty, na ziemi wały się butelki i słoiki, a w rogu znajdowała się mała przedpotopowa lodówka częściowo przykryta upačkaną płachtą. Pod zadaszeniem z blachy falistej kryły się jeszcze stolik i dwa krzeselka, a kawałek dalej pniak z wbitym weń siekierą. Do tego łopata, widły, bela sznura i jeszcze kilka drobiazgów, których przeznaczenie mógł znać tylko gospodarz. Podtrzymująca tę ryzykowną konstrukcję drewniana kolumna była upstrzona kolorowymi naklejkami wszelkiej maści, począwszy od etykiet po wódcę, a kończąc na pozdrowieniach z nadmorskiego Dźwirzyna.

Brudny dał się poprowadzić do środka baraku. Od razu uderzył go nieprzyjemny zapach stęchlizny. W przedsionku panował niewyobrażalny bałagan. W rogu znajdowały się jakieś stare koce i ciuchy przemieszane z gazetami, nadgniętymi pudłami i skrzyniami z zawartością wszelaką. Na ziemi pokrytej pomarszczonym dywanem stały zużyte pojemniki po farbie, miotła, puszki po piwie, rozpałka i butla z gazem, przy oknie packa na muchy, robocze rękawice, jakieś pudełka i spreje, a na maleńkim stoliku – lampa naftowa, kilka upakowanych szklanek i talerz z resztkami niedojedzonej jajecznicy. Wszystko to sprawiało wrażenie totalnego chaosu, który trochę ustąpił, gdy Brudny przekroczył próg „salonu”.

Oczywiście z salonem nie miało to wiele wspólnego, ale pomieszczenie, gdzie według wszelkich znaków na niebie i ziemi smolarz sypiał, mogło przypominać urządzonej pokój. Okna, choć niemyte od miesięcy, wpuszczały do środka sporo światła. Na samym końcu znajdowało się łóżko z grubym materacem i z kilkoma niepasującymi do siebie kołdrami i kocami, a wzdłuż obu ścian ciągnęły się szafki, na których stały przenośna kuchenka gazowa, prehistoryczne radio typu jamnik, duża butla z wodą, podłączony do niej wiadomo czego akumulator, do tego patelnia, garnki, kubki i paczki z kawą i herbatą. Było tu jednak zdecydowanie schludniej i nawet blaty szafek wyglądały, jakby gospodarz od czasu do czasu używał tych wszystkich powieszonych na zewnątrz szmat.

– Siadaj pan – rozkazał smolarz, wskazując Brudnemu jedyne znajdujące się w środku krzesło. Sam przysiadł na łóżku. Z najbliższej szafki wyjął dwa słusznym rozmiarów kieliszki i butelkę z granatowym płynem.

Brudny aż uniósł brwi. Z racji wykonywanej pracy wielokrotnie widział ludzi raczących się denaturatem, ale sam nigdy tego trunku nie próbował. Pomyślał, że zawsze musi być ten pierwszy raz, a jedna lufa jeszcze nikogo nie zabiła. Smolarz dostrzegł jego wahanie, ale gdy komisarz skinął na znak, że może polewać, wyraźnie się ucieszył.

– Swój chłop pan jesteś – powiedział, gdy podniósł kieliszek. – Dziś większość ludzi to takie francuskie pieski. Zobaczą kolorek i od razu im się odechciewa. Ha, ha, ha.

Wypili.

Gardło Brudny miał wyrobione, ale po przełknięciu zaoferowanego trunku omal nie spadł z krzesła. Na moment odebrało mu dech, jakby zapłonęła cała przepona, a gdy denaturat w końcu osiadł w żołądku, przez chwilę musiał walczyć, aby nie zwymiotować.

– Ma jebnięcie – przyznał, wzdrygając się obrzydliwie.

– No to na drugą nogę.

Nie czekając na pozwolenie, smolarz wypełnił kieliszki. Brudny nabrał w płuca powietrza i pomyślał, że dwie lufy też jeszcze nikogo nie zabiły. Chyba, dodał w myślach, gdy przystawił szkło do ust.

– No to zdrówko.

– Zdrówko.

Wypili.

Reakcja organizmu nie była już tak gwałtowna, choć żołądek i tak wyraźnie zaprotestował. Brudny stłumił torsje i poszukał w kieszeni paczki papierosów. Poczęstował towarzysza i gdy tylko się zaciągnął, poczuł się trochę lepiej.

– Co tam chcesz pan wiedzieć, to ci powiem – oznajmił smolarz, wygrzebując z szuflady pęto suszonej kiełbasy. Wyciągnął ją w kierunku komisarza. Brudny urwał kawałek i od razu zagryzł. Pomyślał, że najgorsze za nim.

– Teraz to już nie wiem, o co pytać, tak mi w głowie zaszumiało – rzucił, aby jeszcze trochę skrócić dystans.

– Szumieć to dopiero będzie – zarechotał węglarz. – A teraz... – posłał Brudnemu szelmowskie spojrzenie – chcesz pan zobaczyć, jak działają te retorty, czy pan będziesz pytać o Samuela i czy chłop zaciukał te dziewczuchy?

Brudny odchrząknął. Chyba tracił formę, bo był przekonany, że facet niczego nie podejrzewa. Zaciągnął się, cmoknął.

– Zacznijmy od Wanzreicha – zaryzykował.

– Ha... – Smolarz sięgnął po kieliszki. – Myślałeś pan, że gadasz z głupim dziadem, co?

– Tak nie myślałem.

– Od początku wiedziałem, kim pan jesteś. Ale musiałem sprawdzić, czyś pan tylko ten celebryta z telewizji, czy jednak swój chłop. Jak celebryta, to bym pogonił, ale pan jesteś normalny. A o Wanzreichu to powiem tylko tyle, że się na niego uwzięli. Święty nigdy nie był, babie też potrafił po łbie dać, jak sobie zasłużyła, ale jakichś miastowych dzierlatek to raczej by nie skrzywdził. Takie moje zdanie na ten temat. Pijemy.

Wychylili i Brudny od razu zagryzł kiełbasą. Pomyślał, że musi się sprężyć, bo przy takim tempie to za godzinę nie będzie czego z niego zbierać.

– Kto się na niego uwziął? – zapytał, gryząc kawał mięcha.

– Wszyscy.

– To znaczy?

– Sołtysy, wójt, burmistrze, klechy. No i Bursztynowicz. Dzieciakiem byłem, ale pamiętam, co przy wódce gadali, gdy w sześćdziesiątym ósmym Żydów stąd przepędzali. Na jego wypale działały się bardzo złe rzeczy. A potem bach! I nagle kariery się porobiły.

– W sześćdziesiątym ósmym też był dzieckiem...

– Wtedy to w pieluchy robił, ale kilka lat później tośmy razem statki rzeką puszczali. On taki berbeć, ja ciut starszy. Nasi ojcowie razem interesy na wypale robili, więc czasem myśmy się widywali. Ale potem mój się zapił, a jego staremu w głowie się poprzewracało i babę swoją zajeł. Chociaż po prawdzie to nie wiem, bo smark byłem. Tak w każdym razie gadali. Samka i jego starszą siostrę zabrali, ale on wrócił. Nie wierzyłem. Chyba nawet o nim zapomniałem. Ale wrócił na ojcowiznę i pokazał wszystkim środkowy palec. Chyba dlatego tak go nienawidzą.

– Kto go nienawidzi? – Brudny poczuł się mocno zaintrygowany.

– Wszyscy ci, co brali w tym udział.

– W czym? I kto?

– Wypijmy.

Po czwartej lufie Brudny przestał sobie wmawiać, że kolejna go nie zabije. Zaczynał mieć co do tego coraz większe wątpliwości.

– Ja nie wiem, czy powinienem dalej gadać... – Smolarz poprosił o kolejnego papierosa. Zapalił i podrapał się po posklejanej sadzą brodzie. Jego powieki lekko opadły, a ruchy stały się wolniejsze. Zaczął cedzić słowa. – No bo w sumie po co mam gadać? Po co? I tak nic to nie zmieni. To jak pajęczyna. Albo rak. Wiesz pan, wszyscy w tym siedzą. Wszyscy, którzy coś zyskali. A ci, co ozorem mełli, to ich dziwne wypadki spotykały. Takie śmiertelne znaczy się.

– Jednak ze mną pan gadasz...

– Boś pan swój chłop. Te kurwy, co kraj rozkradały, pogonił, i klechów, co gwałcą dzieci, też na amen załatwił. Bo ja może i stąd, ale zło od dobra rozróżnić potrafię. Może i katolik, i w Boga wierzę, ale godzić się ze skurwysyństwem nie umiem. Dlatego z panem gadam.

– Zatem czego pan się boi powiedzieć?

– Pan uczciwy człowiek jesteś, a do tego nie gardzisz takimi jak ja – ciągnął smolarz, jakby w ogóle nie usłyszał pytania. – Bo ja też człowiek jestem. Zapierdalam tu jak ten koń, no... jak ten, no kurwa, jak ten Łysek z pokładu Idy. Ręce i gęba czarne jak u diabła, gorąco jak w piekle, a pieniądz z tego żaden. Jakiś szacunek przynajmniej przynależy się. A te turyści tu przychodzą i człowiek jak małpa na drucie jeszcze musi skakać. Dzieciaki palcami pokazują. Ja tego nie lubię. Zbychu jest inny, ale ja nie lubię. Zastępuję go tylko dlatego, że mu winny jestem. A długi spłacam zawsze.

– A gdzie jest Zbychu?

Brudny zrozumiał, że to ostatni moment, aby coś od faceta wyciągnąć. Sam zaczynał czuć skutki spożycia tak mocnego alkoholu, więc smolarz – jeśli był uzależniony, a wszystko na to wskazywało – prawdopodobnie zaczynał już odpływać. Dodatkowo przypomniał sobie, że tuż po wyjściu z pieca opróżnił do

końca piersiówkę. Uważnie przyjrzał się mężczyźnie. Jego oczy zdążyły już zasnuć się pijacką mgłą.

– Gdzie jest Zbychu? – powtórzył.

– Serducho... – Mężczyzna uderzył się w klatkę piersiową. – O tu. Tu. Wsiadło mu serducho. Z udręki chyba... albo... no... Zresztą nieważne. To jego sprawa. Pijemy.

Umorusana dłoń sięgnęła po butelkę, ale tym razem Brudny nie pozwolił już rozlać następnej kolejki. Przechwycił naczynie i odstawił je na sąsiadującą szafkę. Smolarz próbował protestować, ale denaturat dosłownie zwałił go z nóg. Nagle zaczął niezrozumiale bełkotać, a jego ciało ogarnął bezwład. Brudny pomógł mu ułożyć się na materacu.

– Wiesz pan, ile s-s-stopni w takim p-p-piecu jest? – wymamrotał ostatkiem sił. – T-t-tysiąc nawet. Z cz-cz-człowieka nie zostaje nic. Nawet k-k-kości... – dodał i stracił przytomność.

Brudny na wszelki wypadek sprawdził mu tętno. Smolarz spał.

– Ciekawe rzeczy opowiadasz, kolego – mruknął i podniósł się z krzesła. Niemal od razu poczuł, że świat zawirował, a jego błędnik oszalał. Zerknął na etykietę. Dziewięćdziesiąt dwa procent alkoholu z domieszką trującego metanolu to była moc, z którą zmierzył się pierwszy raz w życiu. Zanim opuścił barak, stwierdził, że wyszedł z tego pojedynku z tarczą. Gdy potknął się o wystający korzeń i runął twarzą w błoto, pokornie odszczekał pyszałkową myśl. Denaturat jednak zwyciężył.

Gdy Igor Brudny chwiejnym krokiem oddalał się od wypału węgla drzewnego Zbigniewa Kozobury, komisarz Marian Kmita i prokurator Jarosław Krogulewski w minorowych nastrojach opuszczali sanockie prosektorium. Wyniki sekcji obu młodych kobiet nie napawały optymizmem, bo wyraźnie kłóciły się z ich hipotezą dotyczącą mordercy, i według prokuratora istniało prawdopodobieństwo, że przeprawa z sędzią Dominikiem Kluską, nawet jeśli dobrze się znali, wcale nie będzie taka oczywista. Sprawa miała też drugie dno, które jeszcze bardziej zaczynało ciążyć obu mężczyznom. Zapalili przy zaparkowanych samochodach.

– Nie mamy wyjścia – przyznał Krogulewski. – Wypuść Wanzreichów, bo nie chcę przed Kluchą zrobić z siebie idioty. Potrzebujemy mocniejszych dowodów.

– A laboratorium?

– Laboratorium, laboratorium... – przedrzeźniał prokurator. – To nie *CIA Las Vegas* czy inne banialuki, którymi karmią pospólstwo. Żyjemy w Polsce i do tego w samym jej odwłoku. W dupie Polski, rozumiesz?

Kmita nie skomentował. Przez chwilę nieco zbyt teatralnie wpatrywał się w przejeżdżające ulicą pojazdy, po czym wyrzucił na chodnik w połowie wypalonego papierosa i przygasił go butem.

– Nie możesz ich docisnąć? – zapytał, z powrotem przenosząc wzrok na prokuratora.

– Już to zrobiłem, ale wyniki będą najwcześniej za trzy dni. Do tej pory nic na Wanzreichów nie mamy. Gdybyś przynajmniej znalazł to cholerne narzędzie zbrodni, to... a chuj zresztą, bo nie chce mi się gadać. Wypuść ich i pilnuj jak oka w głowie. I ciesz się, że biorę na siebie rodziców tych lasek.

– A co z Brudnym?

– Gadałeś z Maciejem?

– No...

– To po chuj się pytasz? – Prokurator otworzył drzwi swojego land rovera. – Jedź do aresztu i wypuść Wanzreichów. Potem zobaczymy, co się z tego urodzi – dodał i wyrzuciwszy kiepa na chodnik, usiadł za kierownicą.

Kmita zaklął pod nosem i skierował się do firmowej kii. W drodze na komendę zastanawiał się, co powie podwładnym, aby nie wyjść na skończonego kretyna.

Rozdział 15

Brudny obudził się na swojej kanapie z potwornym bólem głowy. Z duszą na ramieniu otworzył najpierw jedno oko, potem drugie. Do chałupy wciąż wpadało światło, więc nie spał długo. Spojrzał na zegarek. Dochodziła siedemnasta. Zdał sobie sprawę, że powinien coś zjeść, ale sama myśl, że miałby teraz coś przełknąć, sprawiła, że żołądek zaprotestował silnym skurczem. Usiadł. Miał na sobie spodnie, a koszulka wisiała przerzucona przez jedno z krzeseł. Buty leżały obok.

– To żeś odjechał, Brudny – mruknął pod nosem i z trudem podniósł się z kanapy.

W pierwszej kolejności poszedł przemyć twarz i umyć zęby, a potem skorzystał z wychodka. Siedział dłużej niż zwykle, bo żołądek nie pogodził się z tym, czym został uraczony. Nie chciał jednak tracić czasu i podjął próbę przypomnienia sobie spotkania ze smolarzem. Przez chwilę szukał w pamięci jego imienia, ale gdy klatki zaczęły wskakiwać na swoje miejsce, zdał sobie sprawę, że facet mu się nie przedstawił. Przez szparę między deskami upewnił się też, czy pod domem na pewno nie stoi jego samochód. Patrola na szczęście nie było. Odetchnął z ulgą, wtedy kolejne klatki zaczęły układać się w spójną całość. Gdy przypomniał sobie, że nie tylko wrócił do domu piechotą, ale był na tyle ogarnięty, że z tylnego siedzenia zabrał jeszcze siatkę z zakupami, pomyślał, że w sumie to poświęcenie się opłacało. W domu na wszelki wypadek sprawdził lodówkę. Kilka białkowych jogurtów i kabanosy kusiły, ale ewidentnie szerzej uśmiechała się do niego stojąca na najwyższej półce butelka ursa maior. Decyzja mogła być tylko jedna, wypił piwo duszkiem. Beknął i od razu zrobiło mu się trochę lepiej. Napalił w kominku, usiadł na kanapie i zapalił.

Zerknął w smartfon. Dwa nieodebrane połączenia. Jedno z nieznanego numeru, a drugie od Julki. Przemógł się i oddzwonił.

– Cześć – przywitała się Zawadzka.

– Cześć.

- A co to za głosik?
- Nie pytaj.
- Właśnie zapytałam.
- Możesz trochę spuścić z tonu, bo naprawdę jestem nie w formie...
- Biedaczek.

Zapadła cisza. Brudny nie miał ochoty na kontynuowanie tej rozmowy, bo miał wrażenie, że Julka tylko czeka, aby wbić mu kolejną szpilkę.

- Wypiłem prawie połówkę denaturatu – powiedział w końcu.
- Denaturatu? – Julka nie dowierzała.
- Też nie wierzyłem, że kiedyś mnie to spotka. A jednak życie potrafi zaskakiwać.
- Zamieniam się w słuch.

Brudny pokrótce opowiedział, co go spotkało. Zaczął od rozmowy z Gruchołą, następnie opisał sytuację w sklepiku i przesłał Julce zdjęcie z numerami rejestracyjnymi samochodu wypacykowanej pani w kozuchu. W końcu wytłumaczył, jak doszło do tego, że przy okazji wizyty u bezimiennego smolarza wlał w siebie prawie pół litra denaturatu. Rozmowa dobrze mu zrobiła, bo wszystko sobie w głowie poukładał, Julka zaś przestała się czepiać, mało tego, obiecała, że bliżej przyjrzy się historii rodziny Wanzreicha i dodatkowo powęszy przy takich nazwiskach jak Bursztynowicz czy Krogulewski.

– Ściągnij mi też nazwiska tych zaginionych turystów z ostatnich, powiedzmy, dwudziestu, nie, trzydziestu lat – poprosił. – Kto, gdzie, kiedy, jak. Chcę mieć pełną listę. Popytaj też chłopaków z Archiwum X. Może natknęli się gdzieś na jakiegoś trupa, kości albo no nie wiem, cokolwiek.

- Czyli już nie odpuścisz?
- Te dziewczyny nie zasłużyły na to, co je spotkało. Poza tym ta sprawa robi się coraz ciekawsza. Dziś może dowiem się więcej, bo mam wrażenie, że ten Gruchoła też chce pogadać. Ale pewnie zabiję klina, więc zgadamy się dopiero jutro.

- Tylko nie przesadz. I uważaj na siebie, okej?
- Jak zawsze.
- Pff... – prychnęła. – To mnie teraz uspokoiłeś.
- Nic gorszego już mnie nie spotka.
- Oby.

Brudny rozłączył się, odsiedział jeszcze chwilę, patrząc się w ogień, po czym podniósł się i podszedł do lodówki. Wcisnął w siebie jogurt, zagryzł kabanosem i upewniwszy się, że w kieszeni ma kluczyki do patrola, narzucił na siebie płaszcz i wyszedł z chałupy.

Wypał Kozobury na szczęście nie był daleko. Znajdował się około dwóch i pół kilometra na północ od jego chaty. Skrótem droga zajęła mu niecałe czterdzieści minut. Wydeptana ścieżka prowadziła przez porośnięte niskimi trawami pola, gdzie za jednym z polnych skrzyżowań poszerzyła się na tyle, aby zmieściła się na niej osobówka, a nawet większy sprzęt w rodzaju traktora czy ciężarówki. Tu wyraźnie można było dostrzec głębokie koleiny, które – jak Brudny zakładał – zostały wyryte przez dostawców drewna i odbiorców węgla. W bardziej grząskich fragmentach dostrzegł swoje ślady, które świadczyły, że z wypału wracał wyjątkowo chwiejnym krokiem. Ostatni fragment drogi do wypału był już zalesiony i jak na złość stosunkowo stromy, co w aktualnym stanie psychofizycznym okazało się dla Brudnego nie lada wyzwaniem. W pewnym momencie nawet przysiadł na pniaku, aby zapalić i napić się wody. Wtedy z gęstwiny wyłoniło się stadko saren. Przez chwilę je obserwował, ale gdy zdał sobie sprawę, że powoli zaczyna się ściemniać, zmusił się, aby wstać i ruszyć w dalszą drogę. Na miejscu czekała go niemiła niespodzianka.

– Sukinsyny – mruknął, gdy dostrzegł na drzwiach kierowcy kilka głębokich rys na lakierze. Wyglądały, jakby zostały zrobione sporych rozmiarów narzędziem w postaci łomu albo śrubokręta z szerokim grotem. Przyjrzał się zamkom, ale nie były naruszone, za to reflektory rozbito i to samo próbowano zrobić z bocznymi szybami, na których widoczna była gęsta siatka pęknięć. Opon też nie oszczędzono, ale akurat tu zniszczenia nie były duże, bo próby ich przebicia okazały się nieskuteczne.

Brudny rozejrzał się po okolicy i poszukał śladów intruza, ale że zatrzymał się na ubitej, a do tego porośniętej trawą ziemi, nie dostrzegł żadnych odcisków. Obszedł jeszcze samochód z każdej strony, posłał kilka spojrzeń w ciemniejące krzaki i linię drzew, po czym wsiadł do samochodu i włączył silnik. Przemknęło mu przez myśl, czy nie zajrzeć do smolarza, ale zrezygnował z pomysłu. Jeśli on był w takim stanie, kumpel od kielicha z pewnością jeszcze spał twardym, pijackim snem. Odpalił silnik bez problemu, więc nie chcąc kusić losu, wrócił do domu drogą, którą przyszedł. Patrol sprawił się bez zarzutu i po niecałym kwadransie przebijania się przez polne drogi Brudny w końcu zaparkował pod chałupą. Wsiadł i omiół spojrzeniem dolinę, gdzie swój wypał miał Wanzreich. Znów tonęła we mgle, która wydała mu się jeszcze gęstsza niż zazwyczaj. Mleczny opar leniwie przelewał się nad koronami drzew i w bladym świetle księżycy zdawał się żyć własnym życiem. Efekt skojarzył mu się z powolnym oddychaniem ciężko umierającego człowieka. To było naprawdę głupie i pomyślał, że musi oczyścić umysł z tych bzdur, przede wszystkim zaś zjeść coś tłustego, bo jeśli Gruchoła miał skorzystać z zaproszenia, to lepiej być na nie dobrze przygotowanym.

Zaraz po wejściu do domu wyjął z lodówki cztery swojskie kaszanki i zabrał się do przygotowywania posiłku. Usmażył je na patelni i od razu zjadł dwie. Gdy już pomyślał, że Gruchoła jednak odpuścił, z zewnątrz poniosł się charakterystyczny warkot starego jednoślada. Wyszedł na zewnątrz i zapaliwszy papierosa, w milczeniu obserwował, jak kierowca wyciska ze swojej motorynki siódme poty. Jakimś cudem Gruchoła ostatecznie zdołał wspiąć się na szczyt wzgórza. Postawił swoją maszynę przy palenisku i pokračującym krokiem ruszył w kierunku schodków na ganek. Spod pazuchy wyjął butelkę samogonu.

– Nie musiał pan, panie Gruchoła – rzekł Brudny, odbierając prezent z jego rąk.

– Inaczej się nie godzi – odparł stary i uściśnił sobie dłonie.

Komisarz pomyślał, że jutro o poranku czeka go mały armagedon, ale zaraz się usprawiedliwił, że poświęcenie wymaga ofiar. Tym razem do rozmowy był przygotowany dużo lepiej i miał zamiar wycisnąć z tego spotkania tyle, ile tylko się da. Pomyślał też, że gnoje, którzy ewidentnie chcą się go pozbyć, podjęli najgorszą decyzję w życiu. Zamachu na patrola im, kurwa, nie odpuści.

Rozdział 16

Postać odprowadziła patrola wzrokiem. Siedziała ukryta w głębokich chaszczach przy wiekowym dębie, w którego konarach gniazdował pohukujący puszczyk. Dopiero zmierzchało i ptak odpoczywał przed wyruszeniem na łowy. Postać kucająca przy zmurszałej korze miała inne plany.

Gdy pojazd zniknął w lesie, przemknęła pomiędzy drzewami w kierunku retort. Dym z ich licznych kominów unosił się ponad koronami drzew, rozpylając zapach palonej bukowiny. I wskazywał jej drogę.

Najpierw przysiadła przy jednym z krzewów. Rozglądała się w milczeniu, mocno zaciskając palce na zardzewiałym łomie. Nie chciała go użyć, ale była gotowa, aby to zrobić. Rozumiała, że sytuacja wymaga drastycznych kroków. Czasem po prostu tak bywa. Trzeba rozwiązać sprawę w sposób, który nie jest do końca społecznie akceptowalny. Zrobić to, co należy.

Nie dostrzegłszy obecności gospodarza wypału, postać zakradła się do jedyne miejsce, skąd dochodziło światło. Okna baraku rozświetlał żółty płomień lampy naftowej. Przycisnęła się i przez kilka minut bacznie obserwowała drewnianą konstrukcję. Żadnego ruchu, żadnego dźwięku. Prócz chrapania.

Gdy upewniła się, że w pobliżu nie ma niepożądanych gości, podeszła do baraku i delikatnie nacisnęła na kłamekę. Drzwi ustąpiły z cichym zgrzytem, a chrapanie się wzmogło. Poczła odstręczającą mieszaną woni stęchlizny, dymu papierosowego i przetrawionego alkoholu, mimo to zgrabnie wślizgnęła się do przedsionka. Omiotła wzrokiem chaotycznie urządzone wnętrze. Przypominało melinę, których widziała w swoim życiu więcej niż powinna. Brudna, cuchnąca, odstręczająca. Wiedziała, że odnalezienie tu jakichkolwiek śladów jej bytności – jeśli będzie ostrożna i zachowa wszelkie zasady bezpieczeństwa – będzie praktycznie niemożliwe. Nie pomogą nawet psy tropiące.

Poprawiła rękawiczki i naciągnęła na uszy czapkę, a następnie wcisnęła pod materiał kilka wystających kosmyków. Wyjrzała zza winkła. Smolarz – tak jak zakładała – spał twardym snem. Był zwinięty w kłębek i przykryty kocem, a przy

łóżku leżała opróżniona butelka po denaturacie. Postać rozluźniła się trochę, bo okazja wydawała się wymarzona. Podeszła do głośno chrapiącego mężczyzny i przez chwilę przyglądała mu się z zaciekawieniem. Przez głowę przemknęła jej myśl, jak wyglądałaby jego twarz, gdyby z całej siły uderzyła w nią łomem. Strata dla społeczeństwa byłaby żadna, pomyślała. O, kolejny dziadyga trafiłby do piachu. Koniec historii. Poza tym widywała już gorsze rzeczy. I też niczego to nie zmieniło. Ludzi bez ręki, bez głowy, czasem rozparcelowanych na części jak zużyte manekiny. Krew lała się wtedy strumieniami, więc postać zdążyła się na takie widoki uodpornić. Zresztą nawet je lubiła. Niby tylko trochę, ale jednak. Lubiła.

Dziś nie będzie krwi, pomyślała z nutą nostalgii. Sprzyjające warunki pozwalały załatwić sprawę w bardziej wysublimowany sposób, co w aktualnej sytuacji było na wagę złota. Postać otworzyła szafkę przy łóżku. Znalazła w niej dwie pełne butelki z denaturatem, tak jak się tego spodziewała. Wyjęła jedną i zerknęła na stojącą obok lampę naftową. Wystarczyłoby rozlać trochę płynu, a potem...

– Wypadki chodzą po ludziach – szepnęła.

Na twarzy postaci w czapce wykwitł zjadliwy uśmiech. Korciło ją, aby tak właśnie to zakończyć. Spalić tę budę wraz z tym parszywym dziadem. Odrzuciła jednak tę myśl, bo warunki były na tyle sprzyjające, że należało je wykorzystać i zadziałać w bardziej wyrafinowany sposób. Kolejna szansa, aby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, mogłaby się już nie powtórzyć.

Postać nachyliła się nad śpiącym mężczyzną i delikatnie dotknęła jego policzka. Nie zareagował, więc napała mocniej, w końcu uderzyła go w twarz. Smolarz na chwilę otworzył oczy, ale zaraz je zamknął, coś burknął i zaczął chrapać jeszcze głośniej. Kompletny zgon, pomyślała i raz jeszcze się uśmiechnęła. Chwilę później zdjęła nakrętkę butelki, wbiła palce w policzki i siłą zaczęła wlewać do otwartych ust fioletowy płyn. Gdy ofiara w końcu zaczęła walczyć o życie, było już zdecydowanie za późno.

Rozdział 17

Śmierć po raz kolejny zajrzała Brudnemu w oczy.

Nikt do niego nie strzelał, nikt nie chciał go usmażyć, zakłuć, nawet pobić. Poczuł, że jest na granicy, w momencie gdy skończył trzecią serię pompek. Poczuł się na tyle źle, że wyszedł na zewnątrz i zwymiotował. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie miał nawet ochoty na papierosa. Trochę pomógł kubek zimnej wody, który w akcie desperacji wylał sobie na głowę, mimo to miał wrażenie, że pod jego czaszką harcuje stado dzikich słoni.

Gdy w końcu dołożył do kominka i wmusił w siebie kawę z suchą bułką, postanowił przeanalizować, czego dowiedział się poprzedniego wieczoru. Wrócił pamięcią do spotkania z Gruchołą. Chwilę gadali o niczym, ale Brudny uznał, że skoro facet zdecydował się przyjść, to nie po to, aby snuć rozważania na temat pogody.

– Co tu się wydarzyło w sześćdziesiątym ósmym? – zapytał, gdy wypili na drugą nogę.

– Wiem tyle, co ja usłyszał od ojca, a on od kolegi – zaczął Gruchoła. – To był czas, wiesz pan, że Żydów w Polsce gonili. Komuchy chciały ich wszystkich na zbity pysk wypieprzyć na ten Madagaskar czy gdzie tam. A tu mieszkała taka jedna rodzina. Nazwisko mieli Goldmann. Legendy głosiły, że są bardzo bogaci, bo jeszcze przed wojną znaleźli jakiś skarb. Ludzie gadali różne rzeczy, nawet takie, że w zamian za przechowanie jakiegoś rannego gestapowca w czasie marszu Armii Czerwonej przez te tereny ten obiecał im nagrodę w postaci zrabowanego złota.

– Zrabowanego komu?

– Innym Żydom, co ich do pieców na śmierć Niemcy wysyłali. Takie plotki chodziły, ale wiesz pan, ja tylko powtarzam to, co zasłyszałem, bo wtedy to ja smark byłem. W każdym razie podobno nikt ich tu nie lubił, bo nie dość, że bogaci byli, to jeszcze biednych tłamsili. A bieda wtedy była straszna. Człowiek skórki od ziemniaków wpieprzać musiał, a mięsa to na oczy nie widział. Pamiętam, że ja

na grzyby i jagody chodził, a gdy ojciec raz sarnę nielegalnie ubił, to tak jakby człowiek prawie w totalotka trafił.

– Wróćmy do Goldmannów...

– Najpierw wypijmy, bo jakoś tak sucho w gardle się robi, jak o tym gadam.

Brudny poczuł, jakby przeżywał *déjà vu*. Na szczęście samogon przyniesiony przez Gruchołę podobno nie przekraczał pięćdziesięciu procent i w sumie smakował całkiem przyzwoicie. Polali, wypili, zagryźli pajdą ze smalcem i ogórkiem. Zapalili.

– No więc te Goldmanny nie były tu lubiane i gdy Gomułka zaczął gadać, żeby Żydy wyjechali, to ludzie wyczuli szansę – kontynuował Gruchoła. – Ja powtarzam, że do końca to nie wiem, ale z tego, co ja przypadkiem usłyszał, to doszło tu do jakiegoś samosądu. Podobno sobie zasłużyli, nie wiem, ale wiesz pan, zlincowano ich, a potem coś trzeba było zrobić, żeby zniknęli na zawsze...

– Zostali zabici?

– Tego nie wiem, ale Goldmanny jak byli, tak już później ich nie było. Pamiętam, a przypominam, że ja smark był, jak tu przyjeżdżały te czarne wołgi i coś w powietrzu się unosiło. Plotki takie chodziły, że spalili trupy u starego Wanzreicha, żeby nic po nich nie zostało. W każdym razie Goldmanny zniknęli, a ich dobytek przejęły komuchy.

– Tacy jak Leopold Bursztynowicz?

– Podobno był jednym z prowodyrów. Stary ubek, bandyta, chuj mu na grób. I to on zyskał na tym najwięcej, bo to jemu przypadł pałacyk po Goldmannach. A że potem miał to jak utrzymać i nowe kariery się porobiły, to wiesz pan, można sobie dodać dwa do dwóch. Może rzeczywiście był tam jakiś skarb?

Gruchoła sięgnął po butelkę i rozlał następną kolejkę. Brudny przełknął ostatni kęs ogórka i wypili.

– Dlaczego chcesz pan ze mną o tym gadać?

– Boś pan obcy, nie stąd, spoza układu. A do tego facet z jajami, co nie boi się tych sukinsynów, bo ja przecież telewizor mam i głowę nawet zarośniętą rozpoznam. Pan jesteś Igor Brudny.

Brudny westchnął i tym razem to on rozlał. Stuknęli się i wypili.

– Miło poznać, panie Gruchoła.

– I wzajemnie. Mów mi pan Bodzio albo Grucha. Tak na mnie wołają przyjaciele. A dla mnie pan jesteś gość. Może jeszcze nie przyjaciół, ale...

– Może wróćmy do Bursztynowicza... – uciął Brudny. – Miał kilka lat temu wypadek, zgadza się?

– Ano miał. Podobno spadł ze schodów w tym swoim pałacyku i sobie kości pogruchotał. A że ze sto lat już chyba miał, to szlag go trafił. I dobrze.

– A ten jego syn?

– Maciej taki sam chuj jak ojciec. Tak to jest, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Zresztą widzisz pan, komuch z krwi i kości, a po dojściu do władzy Kumidora to od razu się przyoblekł w bogoojczyźnianą kufajkę, żeby ludziom po wsiach wodę z mózgu robić. I rządzi tu twardą ręką, a tym, co mu się sprzeciwiają, problemy robi.

– Jakie problemy?

– Niszczy. Masz pan rację, to lepsze słowo, bo problemy to są, jak człowiek ma sraczkę albo wódki brak. Bursztyn ludzi upadła, a potem niszczy. Dlatego taka tu zmowa milczenia. Jak u mafii, tej, no... włoskiej kamorry. Nikt nie chce gadać, bo ludzie trzęsą portkami.

– Pan się nie boisz...

– A bo ja to nie mam już nic do stracenia. Ojca i matkę to mi już Leopold psychiatrycznie wykończył, srał go pies. Baba mnie zostawiła, a dzieci wyjechały za granicę do Anglii i tam chyba jakoś sobie żyją, choć w sumie to nie wiem, bo kontaktować się ze mną nie chcą i wnuków też nie przywożą. Mówią, że ja pijak, i w sumie to mają trochę rację, bo pić lubię, ale co mi z tego życia zostało. Pieniędza przecież też nie mam żadnego, tyle co, żeby coś tam do gara włożyć i z głodu nie zdechnąć. A i na wódkę zawsze jakiś grosz się znajdzie, a jak nie, to samemu sobie upęczę. Mnie już Bursztyn nic zrobić nie może.

Wypili następną kolejkę, zagryźli chlebem ze smalcem, a Brudny wyjął jeszcze pęto kabanosów. Powoli zaczynał rozumieć, że w okolicy od lat dzieje się źle, ale historia z sześćdziesiątego ósmego, nawet jeśli prawdziwa, wciąż nijak miała się do śmierci Moniki Dąbrowskiej i Eweliny Matejczuk. Podskórnie czuł, że to wszystko może się jednak jakoś ze sobą łączyć.

– A ta lokalna legenda? – zapytał, gdy zagryźli. – O ponurym smolarzu? Znasz jej genezę?

– Ech tam, legendy – mruknął Gruchoła. – Ja tam w to nie wierzę, bo to bajki dla niegrzecznych dzieci. Sam moją dziatwę straszył smolarzami, gdy coś tam zbroiły. Ale wiesz pan, jak to w każdej legendzie, jest w tym pewnie ziarno prawdy. Podobno historia jeszcze sprzed wojny i dotyczy takiego jednego, co tu ze Kresów przyjechał węgiel wypalać. Straszny był, mówili, głowę miał jak smok wawelski i ludzkie mięso jadał. Ale to bujda chyba, bo ani zdjęcia jego nie ma, ani innych dowodów, a starzy, co go mogli pamiętać, to już powymierali.

– Co się stało ze starym Wanzreichem?

– Mówią, że po wydarzeniach w sześćdziesiątym ósmym to mu się w głowie pomieszało i kilka lat później zastrzelił z wintówki swoją babę, a potem sobie samemu w łeb dał. Pochowano ją podobno na starym cmentarzu w Łopience. Tam gdzie znaleźli te miastowe dziewczuchy.

Tę informację Brudny dodatkowo zanotował.

– Co się stało z dziećmi?

– Z Agnieszką to nikt nie wie, ale Samuel po latach wrócił i wpał po ojcu odbudował. Wkurzył tym kilka osób, ze starym Bursztynem, niech się w piekle smaży, na czele. Razem z sołtysem i innymi robili mu koło dupy, ale co mogli, jak nic nie mogli?

– Może czekali na taką okazję?

– Nie wiem, może. Od lat rozsiewali plotki, że ci zaginieni turyści to jego robota. Że ich porywa, a potem pali w tych piecach. Bo wiesz pan, że jak taką retortę rozhajcować, to po człowieku nawet kości nie zostaną. Popiół może, a reszta przez kominy do nieba idzie. Jak u Niemca.

To by miało sens, pomyślał Brudny. I w pewien sposób tłumaczyło awersję Wanzreicha do ludzi, zwłaszcza turystów. Nie chciało mu się wierzyć, że smolarz mógł być odpowiedzialny za ich znikanie na przestrzeni lat, bo z taką reputacją policja już dawno dobrałaby mu się do skóry. Dziwne było natomiast, że zwłoki znaleziono na cmentarzu, gdzie podobno pochowano jego matkę. W takie zbiegi okoliczności Brudny – nie tylko z racji wykonywanej profesji – nie wierzył ani trochę.

Pomyślał, że to jest trop, który powinien sprawdzić w pierwszej kolejności, a że kac morderca nie odpuszczał, postanowił, że zrobi sobie spacer na cmentarz w Łopience. Podniósł się z kanapy, wyjął z szuflady walthera i wcisnąwszy go za pasek, poszukał wzrokiem zapinanej bluzy. Gdy poszedł do sieni, aby wzuć buty, jego wzrok przykuł złożony na kilka części kawałek białego papieru, który leżał tuż obok drzwi wejściowych. Nie przypominał sobie, żeby widział go wcześniej, ale równie dobrze mógł go przeoczyć, gdy wybiegał na ganek, aby zwymiotować. Podniósł go i powoli rozłożył. Poczuł, jak przeszywa go dreszcz podniecenia.

Chyba wiem, co się stało z tamtymi kobietami. Czekam na pana dziś o północy pod wodospadem Czarciego Młyna.

Brudny schował karteczkę do kieszeni i otworzył drzwi. Wyszedł na ganek, głęboko odetchnął górskim powietrzem i otaksował wzrokiem okolicę. Nie dostrzegł nikogo, kto mógłby zostawić wiadomość. Wpał Wanzreicha znów tonął we mgle, która powoli rzedła pod naporem wschodzącego słońca. Jego ciepłe promienie przyjemnie łaskotały policzki, a szum drzew i jazgot przemykających nad głową jaskółek wlały w niego dodatkową energię. Spojrzał na „okaleczonego” patrola.

Opłacało się, pomyślał i zasunawszy zamek bluzy pod szyję, zważym krokiem ruszył w kierunku cmentarza w Łopience.

Rozdział 18

Rozalia Czubaj była kobietą, której życie nie oszczędzało. Miała dwadzieścia osiem lat i paskudną bliznę na czole, której bardzo się wstydziła, dlatego zawsze nosiła fryzurę z grzywką albo zasłaniała ją kapturem. Nie była też zbyt lotna, co lubiła sobie tłumaczyć tym, że to Baśka odebrała jej szansę na szczęśliwe życie. Miała wtedy dziewięć lat i chodziła do trzeciej klasy, a szkoła w Baligrodzie z okazji święta 3 Maja zorganizowała wiejski festyn, podczas którego uczniowie mieli włożyć stroje ludowe i zatańczyć krakowiaka. Rozalka wyróżniała się na tle rówieśniczek, bo była od nich sporo wyższa i nosiła długi warkocz koloru świeżo ściętego sianka, a że bardzo się zaangażowała, wychowawczyni wybrała ją na liderkę, która dodatkowo wygłosiła patriotyczne przemówienie. Z trybun przez długi czas niosły się „ochy” i „achy”, a burza oklasków zdawała się nie mieć końca. Dziewczynka czuła się wtedy bardzo szczęśliwa. Niestety, zazdrosna koleżanka podczas schodzenia ze sceny popchnęła ją, a mała Rozalka spadła z podestu tak niefortunnie, że uderzyła czołem w jeden z ostrych kamieni okalających niewielki sztuczny stawik. Zapamiętała tylko trzask i ciepłą krew zalewającą jej twarz, a potem długi pobyt w szpitalu.

– Złamanie kości czołowej z przemieszczeniem, które spowodowało uszkodzenie płatu czołowego i wyciek płynu mózgowo-rdzeniowego. Na szczęście opanowaliśmy sytuację i życiu pani córki nie zagraża niebezpieczeństwo. Choć musi być pani przygotowana, że Rozalia nie będzie już tą samą osobą – powiedział zapłakanej matce wąsaty doktor o imieniu Leszek.

Nic wtedy z tego nie rozumiała, ale gdy pan Leszek w końcu zdjął szwy i mała Rozalka stanęła przed lustrem, zrozumiała, że już do końca życia będzie nosiła piętno tego niefortunnego występu na baligrodzkim festynie. Po powrocie do szkoły zaczęły się problemy, bo po pierwsze miała zaległości w nauce, a po drugie tak zwane koleżanki wciąż dogryzały jej z powodu długiej, brzydkiej i lśniacej blizny. Szybko przyłgnęło do niej przezwisko Frankenstein, które wymyśliła sprawczyni nieszczęścia. Baśka czuła się przy tym bezkarnie, bo jej

rodzice byli lepiej sytuowani, a ojciec dodatkowo służył ojczyźnie. Jako nowa liderka w szkolnej hierarchii Baśka znęcała się więc nad swoją ofiarą przez następne lata, przez co Rozalka zamknęła się w sobie i jeszcze bardziej opuściła w nauce. Rodzice starali się jej pomóc, ale że nie należeli do zamożnych i nie mieli koneksji, nie byli w stanie zapobiec nakręcającej się spirali nienawiści i przemocy w stosunku do córki, tak jak nie mogli jej przenieść do innej szkoły, bo takowej w Baligrodzie nie było. Rozalka ledwo skończyła szóstą klasę, a w gimnazjum, które mieściło się w tym samym budynku co szkoła podstawowa, jej dramat tylko się pogłębił. Z powodu nieustannych szykan dziewczyna wpadła w depresję i zaczęła się okaleczać, bredząc przy okazji o czarnych mszach i szatanie, w końcu po raz pierwszy targnęła się na życie. Zrobiła to nieumiejętnie i płukanka w szpitalu załatwiła sprawę, ale niecały rok później ponowiła próbę samobójczą – tym razem po połknięciu garści tabletek podcięła sobie żyły. I tym razem skończyło się na strachu, ale rodzice, nie chcąc dłużej kusić losu, w akcie desperacji wysłali ją do zamkniętego ośrodka dla młodzieży z problemami psychicznymi. Wyszła po czterech miesiącach w zdecydowanie lepszej formie, szkołę ukończyła rok później niż rówieśnicy, ale po odebraniu świadectwa znów zamknęła się w domu, gdzie regularnie i na głos zaczęła rozmawiać z Bogiem. Rodzice byli wychowani w głębokiej wierze, dlatego uznali, że córka doznała objawienia, i dłużej jej nie niepokoili. Pojawił się nawet pomysł, aby złożyła przysięgę wierności Jezusowi Chrystusowi i poszła do klasztoru, ale jej przeszłość i liczne blizny po samookaleczeniach okazały się zaporą nie do przeskoczenia, w związku z czym przez następne lata swój pokój opuszczała tylko po to, aby skorzystać z toalety albo zjeść niedzielny obiad.

– Musisz w końcu wyjść do ludzi, kochanie – naciskała matka. – Nie możesz całego życia spędzić w czterech ścianach. Pan Bóg na pewno chciałby, abyś mogła podziwiać to, co stworzył.

– Widzę przez okno – odpowiadała oschle.

– Ale Rozalko...

– Nie!

Rozalia nic sobie z gadania matki nie robiła, ojciec zaś wolał się nie wtrącać, bo szybko popadał w irytację i niepotrzebnie podnosił głos, co zwykle kończyło się karczemną awanturą. Sytuacja zmieniła się krótko po tym, gdy na rodzinę Czubajów spadło kolejne nieszczęście – ojciec podczas żniw wpadł pod kombajn sąsiada i nic z niego nie zostało, co najwyżej trochę poszarpanego mięsa, które wstyd było kłaść do trumny. Z powodu braku pieniędzy pogrzeb był skromny, wobec czego ksiądz powiedział, co powiedzieć należało, pobłogosławił trumnę i rodzinę zmarłego, a potem wrócił na plebanię. I tak zakończyła się historia

Mieczysława Czubaja, męża Bogumiły z domu Wiśniewskiej i ojca Rozalii, dziewczyny z blizną.

– Musisz mi pomóc, bo ja sama domu nie utrzymam – prosiła matka, ale Rozalia jeszcze przez jakiś czas słuchać jej nie chciała. Dopiero gdy nogi Bogumile zdrętwiały i posłuszeństwa odmówiły, a na stole po raz pierwszy zabrakło chleba, dziewczyna zrozumiała, że to nie przelewki.

– Mogę sprzątać – zaoferowała się, patrząc w zalane łzami oczy rodzicielki.

– Sprzątanie nam, Rozalko, brzuchów nie napełni – odparła i załkała.

– U ludzi, mamó. U ludzi będę sprzątać. Za pieniądze.

I tak Rozalia Czubaj w wieku lat dwudziestu czterech zajęła się sprzątaniami chałup, obejść i wychodków, a czasem też chlewów i obór, gdy jakiś bogaty gospodarz sobie tego zażyczył. Jakość jej usług okazała się bardzo zadowalająca, więc na chleb już nie brakowało, a czasem i kawał soczystego antrykotu się na stole pojawił. Matka była wniebowzięta, bo córka wstała z martwych, do ludzi wychodziła, a nawet wyjeżdżała, bo po dwóch latach ciężkiej harówki na szmacie uzbierała na używanego golfa i w ekstatycznym uniesieniu Bogumiła zamarzyła, aby Rozalię z jakimś mężczyzną zeswatać.

– Kocham tylko Jezusa Chrystusa – odpowiadała córka i zdania zmienić nie chciała, więc matka w końcu się poddała i cieszyła się jej szczęściem, bo Rozalia chyba rzeczywiście była szczęśliwa, a przynajmniej na taką wyglądała.

Do czasu...

– Widzę, że cię coś dręczy, Rozalko – zagaiła, gdy przez ostatnie trzy dni córka nie wychodziła z pokoju. – Do pracy nie jeździsz, jeść nie chcesz, tylko w kółko się modlisz. Leków żadnych nie bierzesz, gorączki też nie masz...

– Zostaw mnie, proszę. Chcę być sama.

– Mnie możesz powiedzieć.

– Nie mogę. Odejdź, proszę. Chcę się pomodlić.

– Sama poszłabym na zakupy, ale...

– Jak się pomodlę, to pójdę, ale teraz chcę być sama.

Matka wyszła, bo wiedziała, że gdy córka się uprze, to nic z niej nie wyciągnie, choćby sam Pan Bóg zagroził, że ześle na chałupę dziesięć plag egipskich. Rozalia rzeczywiście żarliwie się pomodliła, następnie zrobiła zakupy i ugotowała obiad, a potem skryła się w swoim pokoju, aby raz jeszcze poprosić Jezusa Chrystusa o opiekę i odwagę. Gdy wybiła północ, wymknęła się z chałupy i pod osłoną nocy ruszyła tam, gdzie podpowiadało jej serce.

W tej chwili czuła już tylko ból.

– Po coś u niego była, wstrętna zdiro?! Co mu, kurwa, powiedziałaś?

Postać uderzyła Rozalię w twarz z taką siłą, że jej głowa odskoczyła, a z nosa chlusnęła krew. Dziewczyna miała pod oczami dwie wielkie śliwy i rozerwaną

wargę, a na nagich piersiach i brzuchu skrzyły się krople zastygłej smoły. W powietrzu unosił się zapach palonego mięsa.

Powiedziała wszystko, zdążyła wypłakać morze łez, ale postać powtarzała te same pytania bez ustanku. Jak nakręcony robot, diabelska machina bez krzty sumienia i litości. Dopiero po czasie zrozumiała, że robi to dla zabawy. Bo mogła. Jej cierpienie ją podniecało, inspirowało i dopingowało do jeszcze bardziej wymyślnych tortur. Marzyła, aby to się już skończyło, aby jej serce przestało bić, a jej dusza uleciała do Jezusa Chrystusa. Wierzyła, że przyjmie ją do swojego królestwa. I doceni poświęcenie, na które się zdobyła. Nie miała już jednak sił, aby wypowiedzieć choćby słowo. Nawiązać jakikolwiek kontakt z oprawcą. Ponownie zaczęła się w myślach żarliwie modlić.

– Wystarczy – usłyszała znajomy głos. – Ona już nic więcej nie powie. Zakończ to i zabieraj stąd to ścierwo.

– Ale ja się dopiero rozkręcam...

Rozalia usłyszała metaliczny zgrzyt. Potwornie się bała, ale nie była w stanie czekać w niewiedzy. Gdy delikatnie uniosła powieki i dostrzegła zbliżający się do jej twarzy rozgrzany do czerwoności pogrzebacz, zacisnęła zęby i po raz ostatni poprosiła Jezusa Chrystusa o siłę.

Rozdział 19

Droga do cmentarza w Łopience była dość wymagająca, ale Brudny w ciągu ostatniego półrocza przebył ją kilkakrotnie, więc nie miał problemu z jego odnalezieniem. Na miejsce dotarł tuż przed południem. Podczas wcześniejszych spacerów nigdy się tym miejscem nie zainteresował, bo łatwo było je przeoczyć. Od stromej kamienistej ścieżki cmentarz dzieliło kilkanaście metrów gęsto zalesionego terenu, którego w żaden sposób nie oznakowano. Żadnej tabliczki czy informacji, choćby strzałki kierującej na skryty w roślinności wydeptany trakt. Rozwieszona taśma policyjna nie pozostawiała jednak marginesu dla spekulacji.

Komisarz upewnił się, że Kmita nie zostawił w pobliżu żadnych funkcjonariuszy, i wszedł na teren cmentarza, który spowijał półmrok rzucany przez konary rozłożystych dębów. Przez gałęzie prześwitywały promienie słoneczne, a grzaskie podłoże było upstrzone wystającymi korzeniami. Sam cmentarz był już tylko echem historii. W zasięgu wzroku znajdowało się jedynie kilka wgłębień po mogiłach i rozrzuconych fragmentów nagrobków, ale aurę niesamowitości wznagał widok potężnej sosny z licznymi dziwnie poskręcany konarami. Wyglądała jak żywcem wyjęta z planu filmowego jakiegoś horroru, w którym drzewa ozywają i pożerają nieostrożnych wędrowców. Miał na końcu języka jeden z takich tytułów, ale nie mógł sobie przypomnieć, więc przestał zaśmiecać umysł głupotami i skupił się na odnalezieniu miejsca, gdzie mogły znajdować się zwłoki zamordowanych kobiet. Nietrudno było je zlokalizować. Już po kilku krokach natrafił na jedyny zachowany grób, wokół którego widać było ślady bytności ekipy śledczej.

Przykucnął przy wiekowej mogile. Kamienny blok, na którym leżał wykuty krzyż, pokrywała gruba warstwa zielonego mchu, w kilku miejscach wyraźnie naruszonego, zapewne przez techników. Dostrzegł ślimaki, jakieś larwy, dżdżownice, pająki i kilka innych stworzeń, których nawet nie potrafił nazwać. U podstawy leżały dwa częściowo rozbite znicze. Fakt, że nie zostały zabrane przez techników, też dawał do myślenia. Na wszelki wypadek wyjął z kieszeni

lateksowe rękawiczki i po ich założeniu rozgrzebał mech w kilku miejscach. Sam nie wiedział, czego szuka, po prostu podążał za instynktem. Gdy w pewnym momencie zdrapał trochę mchu z kamiennego bloku, pod palcami wyczuł nienaturalne wgłębienie. Zeskrobał więcej i dostrzegł, że pod naturalną barierą znajduje się wykuty w kamieniu napis. Czym prędzej pozbył się reszty mchu i odczytał napis.

*Serhij Dmytrowicz Konowałow,
ur. 05.1896 – zm. 14.02.1944.
Zastrzelony przez Niemców.
Świeć Panie nad Jego duszą.*

Przez chwilę dopalał papierosa, szukając w pamięci, czy to nazwisko nie przewinęło się w rozmowach z Gruchołą albo tamtym bezimiennym smolarzem. Niczego takiego sobie nie przypominał, choć z racji spożywanych trunków nie mógł tego jednoznacznie wykluczyć. Na wszelki wypadek wyjął smartfon i zrobił kilka zdjęć. Upewnił się, że są dobrej jakości, po czym zgarnął jeszcze oba znicze i po ich zabezpieczeniu schował wszystko do plecaka. Obszedł dokładnie cały teren, szukając czegokolwiek, co mogłoby naprowadzić go na dodatkowy trop, ale ostatecznie niczego nie znalazł. Niestety, grobu matki Wanzreicha również. Zirytował się, bo zdał sobie sprawę, że Gruchoła nie jest wiarygodny i jego słowa musi dzielić przynajmniej przez dwa. Przysiadł pod poskręcaną sosną i wyjął z plecaka butelkę z wodą. Napił się, podziwiając przebijające się przez gąszcz konarów promienie słońca. W ich świetle roiło się od pyłków i owadów, wszystko to nadawało temu miejscu nieco magiczną aurę. Brudny dał się ponieść refleksji i przez chwilę zastanawiał się nad kruchością życia, jego sensem i tym wszystkim, co sprawiło, że pokręcone koleje losu finalnie zaprowadziły go właśnie na ten cmentarz, pod tę upiorną sosnę, w miejsce znalezienia zwłok Małgorzaty Dąbrowskiej i Eweliny Matejczuk. Przeznaczenie? Siła wyższa? A może po prostu fatum, które wisi nad nim od urodzenia?

Z zamyślenia wytrącił go odgłos wibrującego w kieszeni smartfona. Wygrzebał go i spojrział na wyświetlacz. Sygnał był kiepski, mimo to odebrał.

- Cześć – przywitał się.
- No cześć – odpowiedziała Julka. – Sprawdzam, czy żyjesz.
- Żyję.
- To co się nie odzywasz?
- Musiałem się przewietrzyć. Nie mam już zdrowia do takiego picia.
- Gdy kierunkowy zaczyna się od czwórki, to tak już jest. To tak dla przypomnienia, gdyby znowu jakiś głupi pomysł wpadł ci do głowy.

– Jestem na cmentarzu w Łopience i trochę kiepsko cię słyszę.

Rozmowę rzeczywiście zaczęło lekko rwać, a w słuchawce niósł się dziwny pogłos. Nie zakładał, że może być podsłuchiwany, i stawiał raczej na słaby zasięg.

– Dogrzebałam się do... kilku cie... wych historii. Jeśli... jes... mam w...

– Tu jest kiepski zasięg, Julka. Ledwo cię słyszę.

– A t...

– Nie słyszę. Opowiesz, jak wrócę do chaty. Oddzwonię.

– No dob... Całuję. Pa.

– Pa.

Brudny wypił jeszcze kilka łyków wody, zarzucił plecak na ramię i ruszył w kierunku samej cerkwi. Wybudowano ją kilkaset metrów w dole zbocza przy drodze, obok której znajdował się kolejny wpał węgla drzewnego. Najpierw jednak postanowił zajść do starej świątyni, którą do tej pory omijał szerokim łukiem.

Cerkiew może nie była imponujących rozmiarów, ale prezentowała się naprawdę okazale. Jako jedyna na tych terenach była murowana, a do tego odnowiona, pomalowana na biało, z drewnianą wieżą zwieńczoną prawosławnym krzyżem i przyjemną dla oka strefą dla zwiedzających. W świetle ostrych promieni słonecznych wydawała się niczym wyjęta z jednej z prawosławnych baśni.

Jak dowiedział się z tabliczki informacyjnej, jej pełna nazwa brzmiała cerkiew św. Męczennicy Paraskewii w Łopience i według źródeł została wybudowana w pierwszej połowie osiemnastego wieku. Podobno doszło wtedy do cudu i na jednej z lip ukazała się twarz matki Chrystusa. Skwitował tę wiadomość zapaleniem papierosa i po doczytaniu niedługiej historii zaryzykował i poszukał wejścia. O dziwo, boczne drzwi były otwarte. Z pewnymi oporami przekroczył próg i wszedł do przestronnej i jasnej sali. Na ścianach z kamienia wisiało mnóstwo obrazów z drogi krzyżowej Chrystusa, ale ten najważniejszy, Maryi z Dzieciątkiem, za przykrytym świeżym obrusem ołtarzem. Po przeciwległej stronie znajdowała się krótka nawa z dwoma rzędami ław, a przy głównym wejściu drewniana nadbudówka dla wiernych. Jego wzrok przykuła drewniana rzeźba Chrystusa otoczona posępnie sterczącymi konarami, na których wisiały setki, jeśli nie tysiące kolorowych różańców. Skojarzyły mu się ze swoistą wariacją korony cierniowej, a cała ta konstelacja wydała mu się wyjątkowo nieprzyjemna w odbiorze. Miała w sobie coś upiornego, a patrzenie na te zwisające z konarów różańce przyprawiało go o gęsią skórę.

Wyszedł, uznając, że niczego więcej tu nie wymyśli, i ruszył wprost do wpału, należącego do – jak wcześniej ustalił – najpopularniejszego smolarza w Bieszczadach. Facet nazywał się Bronisław Szmugiel i podobno regularnie

odwiedzały go tłumy turystów. Po kilkuset metrach marszu zwirową drogą dotarł do dymiących retort. Gospodarz akurat kończył opróżniać jedną z nich. Dostrzegłszy Brudnego, podniósł wzrok, ale nie zaprzestał pakować węgla do jutowych worków.

– Dzień dobry – przywitał się komisarz.

– Bo ja wiem, czy dobry – odparł smolarz.

Brudny zbliżył się do mężczyzny, który widząc, że tak łatwo nie wywinie się od rozmowy, w końcu odłożył szufłę i wyjął z upačkanej sadzą kufajki paczkę papierosów. Włożył jednego do ust i zaczął szukać zapalniczki, ale komisarz przyszedł mu z pomocą.

– Teren podobno zamknięty – mruknął, gdy się zaciągał. – Pan z policji jesteś? Bo jeśli tak, to ja już wszystko powiedział. I nic więcej gadać nie będę.

– Nie jestem na służbie – odparł Brudny, zapalając swojego papierosa. Przyjrzał się smolarzowi. Całą gębę miał w sadzy, ale w przeciwieństwie do tego, który urzędował na wypale u Kozobury, był gładko ogolony i wydawał się bardziej otwarty na ludzi.

– Czyli z policji.

– Już nie.

– No to pan ryzykujesz srogi mandat.

– Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana. – Komisarz ugryzł się w język. Myśl, że smolarz mógłby opacznie odebrać jego słowa, aż go zmroziła. Żadnego alkoholu, pomyślał i natychmiast zmienił temat. – Nie jestem z policji, ale gdyby znalazł pan chwilę na rozmowę, to byłbym bardzo wdzięczny. W ramach zadośćuczynienia za stracony czas jestem w stanie się zrewanżować.

Brudny ściągnął plecak i rozsunął suwak, aby smolarz mógł dostrzec połyskującą etykietę Jamesona. Ku jego zaskoczeniu widok ten nie zrobił jednak na mężczyźnie wielkiego wrażenia.

– Jak nie policja, to kto? Pismak? Papuga?

– Po prostu chcę pogadać.

Smolarz przez chwilę bacznie przyglądał się komisarzowi. Brudny wyjął z plecaka butelkę i bez pytania wręczył ją rozmówcy. Ten po chwili wahania owinął na niej swoje czarne paluchy, obejrzał z każdej strony, cmoknął i odstawił na stojącą obok skrzynię.

– Jak się pan nazywasz?

– Igor.

– Mnie dano Bronisław. Bronisław Szmugiel.

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce i Brudny nabrał wiary, że facet go nie rozpoznał. Pomyślał, że w tym kraju musi być jakieś miejsce, gdzie nie znają jego facjaty, ale nie robił sobie wielkich nadziei, bo poprzedni rozmówcy też przez

długi czas udawali, że go nie kojarzą. Postanowił, że nie będzie wychodził przed szereg, ale nie będzie też brnął w jakieś głupie uniki. Omiótł wzrokiem dymiące retorty.

– Długo pan pracuje na wypale? – zapytał na próbę.

– Z pięćdziesiąt lat będzie. Od takiego. – Szmugiel przyłożył dłoń w okolice swojego pępka. – Wiesz pan, tradycja rodzinna. Dziadek wypalał, ojciec wypalał, to i ja wypalam. Ale to chyba koniec, bo synowie to już nie chcą. Wolą za granicą siedzieć.

– Bardzo ciężka praca?

– Ludzie mówią, że ciężka, ale ja przywykłem. Jak mnie szlag trafi i Bóg nie przyjmie, to w piekle sobie jakoś poradzę. – Smolarz zaśmiał się szczerze i wskazał jeden z pieców. – Chodź pan, pokażę, jak to się robi.

Przez następne pół godziny Brudny przyglądał się procesowi rozpalania retorty. Najpierw Szmugiel pokazał mu wnętrze pieca, który był już wypełniony równo poukładanymi polanami, głównie bukowiny. Następnie, przygotowując się do jego rozpalenia, opowiedział, jak wygląda proces. Komisarz słuchał z zaciekawieniem, od czasu do czasu popijając wodę z butelki i zadając dodatkowe pytania.

– Więc gdy już pan zapakujesz piec po dach, to się bierze worek, trochę ropy... – Smolarz wdrapał się po drabinie na dach retorty. – Otwiera się klapę i zapala. O tak. – Szmugiel podpalił nasączoną ropą szmatę i wrzucił ją do środka. Przez chwilę nic nie mówił, patrząc w buchający dymem otwór. W końcu uśmiechnął się do Brudnego i zszedł na dół. – Teraz trzeba czekać, aż się rozpali. Potem nakładamy kominy, zamykamy właz i czekamy dwa dni. Tamten – wskazał na trzeci z kolei piec – dziś pod wieczór powinien zacząć kopcić niebieskim dymem. To znak, że trzeba zacząć wygaszać. Jeszcze doba, żeby węgiel ostygł, a potem do worów i do ludzi.

– Da się na tym zarobić?

– Dwieście złotych za jeden piec. Mało, panie, mało, ale mnie wiele nie trzeba, więc nie narzekam. Dasz pan papierocha, bo ja paczkę w kanciapie zostawiłem i...

Brudny pospiesznie wręczył mu swoją. Nie chciał ryzykować wizyty w baraku smolarza, bo to groziło kolejną konsumpcją, a tego za wszelką cenę chciał uniknąć. Zapalili.

– A kojarzy pan nazwisko Konowałow?

– Pewnie, że kojarzę. – Szmugiel wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Tam leży, przy cerkwi. – Wskazał palcem w kierunku, gdzie mieścił się stary cmentarz. – Dziadek mi kiedyś opowiadał, że podobno dobry smolarz z niego był. Gębę złego mu dorobili, ale węgiel robił najlepszy.

– Gębę złego?

– Pytasz pan o niego, więc pewnie znasz pan legendy. – Smolarz zerknął na Brudnego spođe łba. – Żydem był, i to ze Wschodu, a tu wtedy Żydów nie chcieli. A wiesz pan, jak to z Żydami. Plotki poszły, że dzieci zjada. Porywa, krwistą macę z nich robi i zjada. Bujdy takie.

– Ponury smolarz, co pożera dzieci? – Brudny poczuł dreszcz ekscytacji.

– Tak ludzie gadali, bo go nie lubili. Mój dziadek też miał z nim na pieńku, bo węgiel robił lepszy i nawet Niemcy od niego kupowali. Niemcy od Żyda. Wyobrażasz pan sobie?

– Niemcy podobno go zabili...

– Pecha miał, to go zabili. A ja tam wiem, o co im poszło?

– Miał rodzinę?

– Tego to ja nie wiem. Nie wnikałem. Ale jak miał, to pewnie też ubili albo do Auschwitz wywieźli i kominami puścili.

– A Wanzreich?

– Wanzreich... – Szmugiel zaciągnął się po raz ostatni, wygiął usta w dziwnym grymasie i przeniósł wzrok na szybującego na niebie orła. Przez chwilę mu się przyglądał. – Coraz głupsze pytania pan zadajesz – odparł po chwili namysłu. – O Wanzreichu to ja gadać nie będę. Nie moja to sprawa. O tych cmentarnych trupach też nie.

Mężczyzna powiedział to tonem, który nie pozostawiał pola do manewru. Doświadczenie liczone w setkach przesłuchanych świadków podpowiadało Brudnemu, że właśnie poruszył temat, którego poruszać nie powinien. Temat tabu.

– Czy mógłbym jeszcze kiedyś pana odwiedzić? – zapytał. Uznał, że w tej chwili nic więcej od faceta nie wyciągnie.

– A przychodź pan. Co mi szkodzi.

Niecałą godzinę później Brudny był już przy wypale Wanzreicha. Zdziwił się, że retorty znów dymią, ale choć bardzo go korciło, chwilowo postanowił nie niepokoić sąsiada. Prawdziwa niespodzianka czekała go na ganku własnej chałupy. Skrzywił się, gdy ją zobaczył. Obejrzał się przez ramię, otaksował linię drzew, splunął na ziemię i z powrotem przeniósł wzrok na deski.

Przy drzwiach leżał wielki, czarny kruk – miał szeroko rozpostarte skrzydła i rozpruty brzuch.

Rozdział 20

Prokurator Jarosław Krogulewski przekroczył próg salonu państwa Bursztynowiczów. Był tu już wiele razy, więc nie zrobił na nim wrażenia niebывały przepych, z jakim urządzone nie tylko przestronny pokój dzienny, ale też resztę wnętrza wielgachnego pałacyku z osiemnastego wieku. Umościł się w fotelu przy bogato zdobionym kominku i odebrał z rąk służącej herbatę z goździkami i cynamonem. Nie podziękował, bo w domu Bursztynowiczów służbie się nie dziękowało. Naprzeciwno siedzieli gospodarze. Ich miny sugerowały, że nie są w najlepszym nastroju.

– Jak sytuacja? – zapytał Maciej, sięgając po karafkę z wysokogatunkową whisky. Miał gładko ogolone policzki, na których rysowała się pajęczyna zmarszczek, na nosie rogowe okulary i zaczesane na bok posrebrzone siwizną włosy. Spodnie od garnituru wyglądały, jakby dopiero odebrał je od krawca, podobnie biała koszula, której dwa ostatnie guziki były rozpięte pod szyją. Na mankietach połyskiwały złote spinki. Jego ton był szorstki i władczy, a spojrzenie przewiercało na wskroś.

– Póki co mamy wszystko pod kontrolą – odparł prokurator. Sam wyczuł, że w tonie dało się wyczuć brak przekonania, mimo to kontynuował: – Na tę chwilę nie pojawiła się w papierach żadna wzmianka na temat waszego syna i...

– Co znaczy „na tę chwilę”? – przerwał mu Bursztynowicz.

– Wiktor nie ma z tym nic wspólnego – dodała towarzysząca mu żona.

Krogulewski zdał sobie sprawę, że gorzej zacząć nie mógł. Tyle razy przygotowywał się do tej rozmowy, ale nie zdołał opanować zdenerwowania. Łucja Bursztynowicz była mistrzynią w wyprowadzaniu go z równowagi. Piękna, zgrabna, z nienagannie spiętym kokiem i szerokim uśmiechem pełnym śnieżnobiałych zębów, w mediach pozowała na dobrą i lojalną żonę, ale prokurator wiedział, że to tylko pozory. Żona posła była cwana jak lisica i bezwzględna jak modliszka. Wszyscy w okolicy wiedzieli, że lepiej nie stawać jej na drodze, bo można zderzyć się z rozpędzonym pociągiem.

– Oczywiście, że nie ma – podjął próbę złagodzenia niefortunnej wypowiedzi. – Wiktora tam nie było i nigdy nie będzie. Niestety... – zrobił krótką pauzę – sprawą coraz bardziej interesują się media. Rozmawiałem z rodzicami tych dziewczyn i są gotowi rozpętać piekło, jeśli szybko nie znajdziemy sprawcy. Ja wiem, że...

– Wróćmy do Wiktora... – wtrącił się Maciej. – Doszły mnie słuchy, że ten cały Brudny węszy po okolicy i rozpytuje ludzi. Podobno był u sołtysa, a Waleria twierdzi, że w rozmowie ze sprzedawczynią padło imię naszego syna. Wiesz, co to oznacza, Jarku?

Maciej podniósł szklanę do ust. Ze stoickim spokojem przełknął słuszną porcję osiemnastoletniego szkockiego dalmore'a. Nie otrzymawszy odpowiedzi, kontynuował:

– To oznacza, że ten facet coś już znalazł. I jeśli jeszcze nie dogrzebał się do prawdy, to znając jego zacierzewienie, prędzej czy później się do niej dogrzebie. Wyobrażasz sobie, jaki to by miało wpływ na wizerunek mojej rodziny? Na moje nazwisko?

Ton Bursztynowicza wciąż był nadzwyczaj spokojny, ale Krogulewski zdawał sobie sprawę, że to cisza przed burzą. Znał Macieja nie od dziś. Upił łyk herbaty.

– Podjąłem środki mające na celu zniechęcić go do węszenia przy sprawie – powiedział,

– To za mało. Mówiłem ci, co trzeba zrobić.

– I tak zrobiłem. Wypuściłem Wanzreicha.

– To wciąż za mało. Brudny nie może poznać prawdy, i tu nie chodzi tylko o te kobiety i mojego syna. Tu chodzi o życie wielu ludzi. W tym twoje.

– Masz na myśli... – zaczął, ale się zatrzymał. – Nie, to niemożliwe – zaprotestował. – Ta sprawa na żadnym polu nie łączy się z tym, co wydarzyło się przed laty. Nie ma na ten temat żadnych akt, żadnej wzmianki. Sprawdzałem to wielokrotnie, służby zresztą też. Twój ojciec zadbał, aby prawda nigdy nie ujrzała światła dziennego.

– Jest jeden świadek... – Przez twarz Macieja przemknął wyraz pogardy.

– I właśnie dlatego musimy działać racjonalnie, a każdy ruch powinien być dobrze przemyślany. Gdybym się z tobą nie zgadzał w sprawie wypuszczenia Wanzreicha, tobym ci o tym powiedział. Przecież dowody są solidne, a wyobraź sobie, że przed godziną otrzymałem z laboratorium wyniki daktyloskopijne. Gołdapski, szef techników, nie ma wątpliwości, że na powerbanku znalezionym w kieszeni spodni młodego Wanzreicha są odciski palców obu ofiar.

– Hmm... – Maciej zmarszczył brwi i upił łyk whisky. – Myślisz, że to by wystarczyło, aby go skazać? – zapytał.

– Tego nie wiem. Chłopak jest niepełnoletni, a do tego chyba naprawdę nic nie pamięta.

– Jesteś tego pewny?

– Tak, ale to może być chwilowa amnezja. W łeb dostał solidnie, więc...

– Czas nie gra na naszą korzyść.

– Wiem, ale nie mogę ci nic zagwarantować. Przy odrobinie szczęścia jeszcze dziś wieczorem spłyną kolejne wyniki z laboratorium, ale na razie dowody są, jakie są. Jeszcze rok temu nie byłoby z tym problemu, ale dziś? Czasy się zmieniły. Sędziowie już nie są tak...

Bursztynowicz uciszył go gestem dłoni. Świadomość, że nie jest już posłem partii rządzącej, która to w pierwszej kolejności zajęła się usunięciem zależnych od poprzedniej władzy sędziów, musiała być dla tak apodyktycznej osoby jak Maciej wybitnie irytująca.

– Ja chciałabym, żeby wyjaśniło się coś z tym gliniarzem – przerwała ciszę Łucja. – On musi przestać węszyć przy sprawie tych kobiet. Bo jeśli już wspominał o Wiktorze, to najprawdopodobniej wie, że nasz syn tam był. A jeśliby to wypłynęło, to... – Łucja sięgnęła po heetsa. – To byłaby katastrofa. Nawet nie chcę o tym myśleć. Media by nas przecież rozszarpały...

– Sprawdziłem go bardzo dokładnie – dodał Maciej. – Facet jest nieprzekupny, a do tego uparty w dążeniu do celu.

– Czy mam rozumieć, że zmieniamy plany? – zapytał Krogulewski.

Pytanie prokuratora zawisło nad ławą bez odpowiedzi. Przez dłuższą chwilę dało się słyszeć jedynie skwierczące w kominku polana.

– Nie – odparł po chwili namysłu Bursztynowicz. – Planów nie zmieniamy, ale pewne kosmetyczne korekty są niezbędne.

– A konkretnie?

– Przede wszystkim trzeba znaleźć niepodważalne dowody świadczące o winie Wanzreicha. I jak najszybciej wsadzić go za kratki. Co do reszty to...

Maciej zamilkł, gdy z korytarza poniósł się odgłos zatraskiwanych drzwi. Chwilę później w progu pojawił się Wiktor. Miał na sobie modnie wytarte dżinsy, koszulkę znanego projektanta i obcisłą skórzaną kurtkę. Wyglądał na zmęczonego i nieobecnego, więc gdy zobaczył, że rodzice mają gościa, bez słowa obrócił się na pięcie i opuścił salon. Maciej chciał go zawołać i skarcić za brak wychowania, ale odpuścił w obawie, że nie wytrzyma i znów wybuchnie. Pomyślał, że ma naprawdę głupiego syna.

– Resztę omówimy na zewnątrz – oznajmił i skinął na znak, że czas opuścić salon.

– Czy on wie? – zagaił Krogulewski, podnosząc się z fotela.

– O czym? – wyrwała się Łucja.

– O sześćdziesiątym ósmym.

– Nie wie i dowiedzieć się nie może. Jest za młody i za głupi, aby to zrozumieć. Zresztą cały ten gnój jest przez niego. Najchętniej przetrzepałbym gówniarzowi skórę pasem, to może coś by to tej durnej łepetyny dotarło i...

– Maciej! – zaprotestowała Łucja.

– Co? – warknął.

– Nie rozumiesz, że nasz syn się w tym wszystkim pogubił?

– Przestań go bronić! Gdybyś tak na niego nie dmuchała i chuchała, to może by do tego nie doszło. Idziemy – zwrócił się do Krogulewskiego.

Chwilę później obaj mężczyźni przysiedli na jednej z ławek, otoczonej z trzech stron okazałym żywopłotem. Obok znajdowała się odnowiona fontanna przedstawiająca sikającego cherubinka. Bursztynowicz odetchnął, dopił zabraną z ławy whisky i spojrzał w oczy prokuratora.

– Zatem wracając do tematu, zrobimy to tak...

Gdy poseł Maciej Bursztynowicz tłumaczył prokuratorowi Jarosławowi Krogulewskiemu zawilości swojego planu, a komisarz Igor Brudny kończył jeść własnoręcznie przygotowaną potrawkę z kurczaka, całkiem niedaleko zakapturzona postać pakowała do jutowego worka zwłoki Rozalii Czubaj. Gdy ostatni raz spojrzała w puste oczodoły, po raz pierwszy pomyślała, czy czasem tego nie pożałuje.

Rozdział 21

Po raz pierwszy od blisko dwóch lat Brudny szczerze pożałował, że już nie nosi odznaki. Z blachą wszystko wydawało się proste jak drut. Przychodził do danego delikwenta, rozpytywał, a jeśli czuł, że kłamie, to go dociskał. Miał na to swoje sposoby i większość ludzi się na nie łąpała. Wystarczyło pogrozić jakimś paragrafem, wspomnieć o współudziale albo możliwych świadkach i z przesłuchiwanego zwykle uchodziło powietrze. Do tego pełny dostęp do akt sprawy, protokołów, wyników z sekcji i laboratorium, niemal nieograniczony kontakt z innymi śledczymi, w tym technikami kryminalistycznymi. Prowadzenie sprawy o zabójstwo było ekstremalnie wielopłaszczyznowym i skomplikowanym procesem, ale mając wsparcie w postaci licznych ekspertów, można było stworzyć sobie mapę, z którą dużo łatwiej się poruszać.

W tej chwili Brudny był jedynie zarośniętym dziadem z lasu, co dobitnie udowodnił mu sołtys, w dwóch zdaniach spuszczaając go na drzewo.

Po zjedzeniu potrawy z kurczaka i wypaleniu kilku papierosów wybrał numer do Julki.

– Cześć – przywitał się, gdy usłyszał głos partnerki.

– No hej. Jak tam wyprawa w leśną dzicz?

– Dobrze.

– Dobrze i...

– Trafiłem kolejny temat. Sprawdź mi nazwisko Konowałow. Serhij Dmytrowicz Konowałow. Urodzony w... – Brudny zerknął na zdjęcie. – W maju tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego szóstego, zmarły czternastego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego. Podobno został zastrzelony przez Niemców i...

– Hola, hola... – wtrąciła Julka. – Jestem w firmie, to po pierwsze. Zawalona robotą, to po drugie. I mógłbyś być choć odrobinę miłszy, to po trzecie.

– Poczekaj, zaraz wyślę ci kwiaty.

– Jasne...

Brudny usłyszał jej sarkastyczny rechot. Nie miał humoru, a ona jak zwykle brała wszystko do siebie i do tego łapała go za słówka. Jakby go nie znała.

– Kocham cię – powiedział, gdy cisza zrobiła się wystarczająco niezręczna. Julka zaśmiała się jeszcze głośniej.

– Naprawdę potrafisz być romantyczny – rzuciła, gdy w końcu się opanowała.
– Prawdziwy, kuźwa, Romeo.

– Powiedziałem to poważnie.

– No dobrze, dobrze. Też cię kocham. Ale kwiaty nie zaszkodzą. Adres znasz.

Brudny pomyślał, że naprawdę będzie musiał jej wysłać te cholerne badyle. Pamiętał, że kilka razy już jej to obiecał i nigdy tego nie zrobił. Tylko że sam nie mógł rozgryźć, czy ona naprawdę ich oczekuje, czy tylko się z nim droczy. Znała go przecież. Wiedziała, że taki tani romantyzm to zupełnie nie w jego stylu. Wolał przygotować jej kolację albo wysprzątać chatę, ale kupować kwiaty tylko po to, aby przez dzień czy dwa usychały na stole lub parapecie?

– To znajdziesz teraz chwilę czy mam zadzwonić później? – zapytał, gdy podjął decyzję, że po rozmowie zadba, aby jednak wysłać jej ten bukiet.

– Dla mojego Romea? – Usłyszał, jak odgryza kawałek jabłka.

– Julka... – westchnął.

– No dobra już, dobra. Przecież Julia zawsze znajdzie czas dla swojego Romea. Daj mi tylko kwadrans, bo muszę pilnie skończyć jedną rzecz. W tym czasie zerknij na maila. Właśnie wysłałam.

Pożegnali się i Brudny otworzył skrzynkę. Pogoda była dobra, więc zasięg łapał jako tako, ściągnięcie dokumentów jednak chwilę trwało. Wykorzystał ten moment, aby przypomnieć sobie jakieś nazwy kwiatów, ale poza różą, bratkiem i stokrotką niewiele przychodziło mu do głowy. Gdy w końcu załączniki się załadowały, zatopił się w lekturze.

Julka jak zwykle wykonała kawał dobrej roboty. Poczł wyrzuty sumienia, że znów zachował się jak pajac, i pomyślał, że życie pustelnika przestaje mu służyć. Co z tego, gdy z każdym kolejnym otwieranym plikiem jego szansa na szybki powrót do Zielonej Góry malała, a chęć rozwikłania sprawy śmierci Dąbrowskiej i Matejczuk rosła.

Jeśli chodziło o Wanzreicha, to poza tym, co było w KSiP-ie, Julka nie znalazła prawie niczego, czego by wcześniej nie ustalili. Nic na temat jego rodziców, dziadków, krewnych. Po prostu biała plama. Tak jakby faceta znaleźli w kapuście. Nigdy wcześniej się na Julce nie zawiódł, więc w ciemno mógł zakładać, że ktoś musiał grzebać w jego życiorysie. W kwestii Bursztynowicza sprawa miała się zgoła inaczej. Prześwietliła go bardzo dokładnie, ale choć według wszystkich, z którymi do tej pory rozmawiał, lokalny baron był wyjątkowym sukinsynem, na papierze wydawał się bez skazy. Był niczym Janosik, Robin Hood i Edmund

Dantès w jednym. Bogaty, ale hojny, prawy i sprawiedliwy, dbający o potrzeby lokalnej społeczności, inwestujący w młodzież i pomagający chorym. Ciekawostką w jego życiorysie był fakt, że w wieku dwudziestu czterech lat stracił matkę. Według ustaleń prokuratury Helena po długo leczonej depresji w końcu popełniła samobójstwo, wieszając się na klamce od drzwi. Trauma, jaką przeżył syn, w zasadzie działała na jego korzyść, bo młody facet nie tylko szybko się pozbierał, ale z każdym kolejnym rokiem odnosił coraz większe sukcesy. Tak naprawdę trudno było mu nie kibicować, bo wszystko, do czego Julka się dokopała, świadczyło na jego korzyść. Jako że przez ostatnie lata Maciej był prominentnym politykiem, to pozostawała jeszcze kwestia teczek, ale te równie dobrze mogły leżeć w jakimś tajnym archiwum ABW, jak i pod podłogą u Kumidora. Tak czy siak, w świetle dostępnych dokumentów facet wydawał się świętszy od papieża.

- Nawet mandatu nigdy mu nie wlepili – powiedziała, gdy znów się zdzwonili.
- Tylko źli ludzie nigdy nie dostali mandatu – skonstatował Brudny.
- Otóż to.

Kmita i Krogulewski na tle Bursztynowicza nie prezentowali się już tak kryształowo. Pierwszy był zwykłym gliniarzem chowanym pod kloszem przez swojego teścia, raczej mało robotnym, bez spektakularnych sukcesów, z kilkoma drobnymi incydentami, które udało się przykryć dzięki patronatowi Leopolda, a następnie – już w mniejszym stopniu – Macieja. Drugi też był wygumkowany, choć Julka wygrzebała kilka nieprzynoszących mu chluby spraw z czasów, gdy zaczynał karierę jeszcze w połowie lat osiemdziesiątych. A to oskarżał lokalnych opozycjonistów, a to przyczynił się do zamknięcia w więzieniu człowieka, którego później uniewinniono, jeszcze innym razem zatrzymano go, gdy pod wpływem siedział za kółkiem z nieletnią. Niby dawno temu, ale te wszystkie sprawy pokazywały, że nie należy do ludzi przesadnie prawych.

Brudny nie zdziwił się także w kwestii samochodu należącego do kobiety, która tak nienaturalnie zachowywała się w sklepie. Podskórnie czuł, że będzie należał do kogoś, kogo nazwisko już wcześniej mu się przewinęło. Intuicja go nie zawiodła, bo obsrane audi Q6 należało do Walerii Kmity, żony komisarza Mariana Kmity i siostry Macieja Bursztynowicza.

- Gdy sprzedawczyni wspomniała imię młodego Bursztynowicza, dosłownie spiorunowała ją wzrokiem – wytłumaczył powód zapisania numerów.
- Czyli jest coś na rzeczy – mruknęła Julka.
- Bez dwóch zdań. Kobieta za ladą wyraźnie się przestraszyła i natychmiast zmieniła temat.
- Masz jakąś hipotezę?
- Na razie jeszcze nie. Za mało wiem, ale tyle tych osób...

Wisienką na torcie była lista nazwisk zaginionych. Julka z początku zawężyła przedział czasowy do ostatnich dwudziestu lat, ale wyniki poszukiwań okazały się tak nieprawdopodobne, że najpierw wydłużyła go o dziesięć lat, a następnie zebrała dane od lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Okazało się, że przez nieco ponad siedemdziesiąt lat w Bieszczadach zginęło bez wieści prawie tysiąc trzysta osób. Statystycznie rzecz biorąc, rocznie nie była to liczba mogąca budzić większe podejrzenia, zwłaszcza wzięwszy pod uwagę charakter tego obszaru. Górzystego, dzikiego, niedostępnego, słabo zaludnionego, a do tego przygranicznego i pełnego dzikiej zwierzyny. Diabeł jednak tkwi w szczegółach. Według wyliczeń Julki z tysiąc dwustu dziewięćdziesięciu sześciu zaginięć udało się wyjaśnić tylko trzysta dwadzieścia siedem. Tyle ciał bądź ludzkich szczątków, niekoniecznie ostatecznie zidentyfikowanych, odnaleziono na dnie wąwozów, w czeluściach jaskiń, w zakolach rzek czy choćby w niedźwiedzich gawrach. W zdecydowanej większości były to albo nieszczęśliwe wypadki, albo wynik nieprzygotowania się wędrowców do panujących warunków. Pozostałe dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć przypadków zostało uznane za niewyjaśnione.

– Jak to w ogóle mogło zostać przeoczone? – zastanowił się Brudny.

– Wiesz... – zaczęła Julka. Słyszał, jak zaciąga się swoim heetsem. – Zaokrąglając, prawie tysiąc niewyjaśnionych zaginięć na siedemdziesiąt lat to zaledwie czternaście na rok. Nie brzmi to specjalnie szokująco jak na Bieszczady, a dodatkowo w PRL-u przez długi czas o takich rzeczach głośno nie mówiono, bo system komunistyczny miał być nieskalany, idealny, najlepszy, itepe, itede. Ludzie tu mieszkający mogli uznać, że to nic nadzwyczajnego, przyjmując to jako coś naturalnego, bo takie są góry. Niebezpieczne. Potem po prostu nikt już nie zwracał na to specjalnej uwagi.

– A sprawdzałaś, jak to wygląda w innych częściach Polski?

– Nie zagłębiałam się, ale tych zaginięć bez śladu, powtarzam bez śladu, jest na pewno mniej. Tylko... – Dla odmiany Julka ugryzła kawałek jabłka. – Wiesz, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze?

– Że zaginięcia nasiliły się pod koniec lat sześćdziesiątych?

– Skąd wiesz?!

– Opowiem ci wieczorem, bo to dość długa historia. Ale to nie jest normalne, Julka. Jestem prawie pewny, że w innych rejonach Polski wyniki będą niewspółmiernie różne.

– Sprawdzę to. – Brudny usłyszał, jak Julka palcem opukuje element, do którego wkładało się pseudopapierosa. – Posłuchaj, muszę wracać, bo mam jeszcze kilka rzeczy do zrobienia. Wyślij mi tego Konowała, czy jak mu tam...

– Konowałowa – poprawił ją.

– Konowałowa. Wieczorem do tego przysiądę i wtedy się zdzwonimy.

- Jest jeszcze jedno.
- No...
- Ktoś rozwalił mi patrola, a pod drzwiami zostawił rozprutego kruka.
- Ooo...
- Samochód jeździ, ale...
- Ale się wkurwiłeś.
- Powiedzmy, że ten ktoś wybrał kiepski kierunek.
- Chyba jednak do ciebie przyjadę. Przestaje mi się to podobać.
- Mnie nie podoba się to od samego początku. Do wieczora.
- Kocham cię.
- I ja ciebie. Pa.

Brudny odłożył smartfon na stół i wstał z kanapy. Wyszedł na ganek, aby zapalić. Spojrzał na dymiące u podnóża wzgórza retorty Wanzreicha. Sąsiad kręcił się przy jednej z nich, a syn mitrężył się z ostatnim z kominów. W pewnym momencie odwrócił się w kierunku komisarza i przez kilkadziesiąt sekund nie spuszczał z niego wzroku. Dziwne to było uczucie, bo dzieliło ich przynajmniej dwieście metrów i teoretycznie trudno było jednoznacznie ocenić, czy na pewno patrzą na siebie, ale Brudny nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Dlaczego go wypuścili, skoro wtargnęli mu na wypał? Czyżby nie znaleźli żadnych dowodów? Kmita wydawał się pewny swego, więc albo był kompletnym amatorem, albo sprawa miała drugie dno. Nie mógł przestać o tym myśleć i drażnił go fakt, że nie ma dostępu do akt sprawy.

Gdy smolarz w końcu z powrotem skupił się na robocie, Brudny wyrzucił niedopałek do stojącego na drewnianej balustradzie słoika i wrócił do chałupy. Postanowił dać sobie jeszcze chwilę, aby wszystko przemyśleć, bo musiał otwarcie przyznać, że kilka razy przemknęło mu nawet przez głowę, aby olać temat i wyjechać. Wiedział, że gdy to zrobi, a następnego ranka obudzi się u boku Julki, to nie będzie mógł spojrzeć jej w oczy, a patrząc na swoje odbicie w lustrze, będzie zmuszony plunąć na własny ryj. Po rozmowie z Julką tylko się w tym przekonaniu utwierdził.

Jeszcze przez chwilę bił się z myślami, czy zrobić to, co planował. W końcu chwycił za telefon i wybrał numer.

- Dzień dobry, komisarzu.
- Dzień dobry, inspektorze.

Te przywitania już na tyle weszły im w krew, że rzadko kiedy witali się w inny sposób. Wymienili kilka kurtuazyjnych zdań. Komendant Czarnecki akurat skończył jeść obiad i po powrocie z kantyny parzył sobie kawę.

- Jak tam bieszczadzkie śledztwo? – zapytał, gdy upił pierwszy łyk.
- Zaangażowałem się – odparł Brudny.

– Mnie to nie dziwi. Ale to dobrze. Cieszę się, że wracasz do pracy.

– To lekka nadinterpretacja, ale okej. W każdym razie powęszyłem u lokalsów i zrobiło się naprawdę interesująco. Na tyle, że ktoś rozwalił mi samochód i podrzucił truchło kruka pod drzwi.

– Hmm...

Czarnecki przez chwilę milczał. Brudny stanął przy oknie i zerkał na ścianę lasu.

– W ciągu siedemdziesięciu lat zginęło tu bez wieści prawie tysiąc osób – zmienił temat Brudny. – Ludzie czegoś się boją. Kultuwują legendę o smolarzu, który porywa i zabija turystów. A nawet zjada dzieci.

– Lokalny folklor?

– I tak, i nie. Nie wiem. Brzmi to absurdalnie, ale chyba jest coś na rzeczy. Rozmawiałem z kilkoma smolarzami i opowiadali przedziwne historie. Ale długo by gadać, więc na razie nie będę cię zanudzał. W każdym razie... – Brudny zrobił krótką pauzę. – Potrzebowałbym twojej pomocy.

– Wiesz, że na mnie zawsze możesz liczyć.

– Znasz kogoś z wojewódzkiej?

– Znaczący z podkarpackiej?

– Tak.

– Tak się składa, że znam komendanta. Jeszcze z czasów szkolenia. Poza tym z Ryśkiem, gdy jeszcze urzędował w Krakowie, regularnie spędzaliśmy urlopy w Zakopanem. Porządny i uczciwy glina.

Czasem trzeba mieć fart, pomyślał Brudny. Odsunął firankę przy drugim oknie i zlustrował okolicę porośniętą wysoką trawą na zachód od chałupy.

– A mógłbyś z nim pogadać, aby dali mi wgląd do akt sprawy tych zamordowanych kobiet?

– Jasne. Niczego nie gwarantuję, ale Rysiek bardzo sobie ceni twoje dokonania. Moje zdanie również. Ufam, że da się to załatwić.

– Ostrzegam tylko, że może spodziewać się dużego oporu.

– Jeśli Rysiek wyda rozkaz, to w tym Sanoku nie będą mieli nic do gadania. Ale tak jak powiedziałem, nie chcę niczego przesądzać.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Co poza tym?

– W porządku. A jeśli nie macie tam jakiegoś kociokwiku, to miej proszę na uwadze, że Julka trochę mi pomaga.

– Domyślam się.

– Mógłbyś po cichu przekazać naczelnikowi, żeby jej nie cisnął?

– To już brzmi jak eskalacja żądań. – Ton Czarneckiego wyraźnie sugerował, że pozwolił sobie na żart.

- O więcej nie poproszę.
- Przestań się tym przejmować. Jak chcesz, to mogę nawet pogadać z Ryśkiem, aby ją tam wysłać. W ramach merytorycznego wsparcia.
- Dzięki, ale... – Brudny się zawahał. Propozycja brzmiała kusząco, ale nie był pewny, czy chce mieszać w to Julkę. Podskórnie czuł, że nie powinien. – Na razie nie trzeba – dodał.
- Gdybyś zmienił decyzję, to dzwoń śmiało. Będziemy działać. Jeszcze dziś spróbuję załatwić sprawę. Będę cię informował.
- Raz jeszcze dzięki.
- Uważaj na siebie.
- I wzajemnie.

Brudny się rozłączył i zerknął za zegarek. Dochodziła siedemnasta. Pomyślał, że czeka go długa noc i warto byłoby sobie strzelić małą drzemkę. Ale najpierw wyczyści broń. Miał nieodparte przeczucie, że dziś może mu się przydać.

Gdy komisarz rozkładał swojego walthera, młody Wiktor Bursztynowicz siedział w swoim pokoju i przypominał sobie te wszystkie okropieństwa, inspektor Romuald Czarnecki próbował się dodzwonić do inspektora Ryszarda Hyżego z Komendy Wojewódzkiej w Rzeszowie, a jeden z techników odpowiedzialnych za zweryfikowanie próbek pobranych z namiotu ofiar właśnie otrzymał wyniki DNA. Gdy porównał je z zapisanymi wzorcami, z wrażenia omal nie spadł z krzesła.

Rozdział 22

Niebo było upstrzone gwiazdami, a w powietrzu unosił się zapach palonej bukowiny.

Gracjan Wanzreich dopił piwo i podniósł się z pniaka. Chwycił latarkę i raz jeszcze skontrolował pracujące piece. Nie dostrzegł niedociągnięć, które mogły wpłynąć na jakość wypalonego węgla. Ojciec zawsze wbijał mu do głowy, że najważniejsza jest wygaszana retorta, którą po zalaniu wodą należy bardzo dokładnie uszczelnić, w przeciwnym razie do pieca dostanie się tlen i ogień zapłonie na nowo. To byłyby niepowetowane straty, bo w takiej temperaturze z węgla zostałyby jedynie nic niewarty miał.

Piec był zabezpieczony.

Zerknął na ciemny barak. Ojciec zdążył się już napić i położyć, a w ciszy dało się słyszeć jego głośne chrapanie. Jemu nie chciało się spać. Nie dość, że bolała go głowa, to wciąż zżerał go stres związany z zatrzymaniem przez policję. Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć, bo nie czuł się niczemu winny. Owszem, prawie nic z tamtej nocy nie pamiętał, ale przecież nie zabiłby tych dziewczyn. On chciał z nimi tylko uprawiać seks. W końcu poczuć, jak to jest, gdy wsadza się kutasa do środka, a partnerka jęczy z rozkoszy. Może byłby w stanie ją zmusić do uległości, nawet uderzyć, gdyby sobie na to zasłużyła, ale zabić? Oskalpować? Nie wierzył, że byłby do tego zdolny. Chyba był zbyt empatyczny, a przynajmniej tak mu się wydawało. W smartfonie na kartę oglądał czasem filmiki z egzekucji, nagranych morderstw czy wypadków drogowych. Z jednej strony wywoływały obrzydzenie, ale z drugiej – fascynowały. Zastanawiał się wtedy, co czuł mężczyzna, którego gdzieś w Brazylii żywcem obdzierano ze skóry, co miała w głowie ofiara, po której zaraz miał przejechać czołg, albo leżąca pod tirem kobieta, którą koła dosłownie przecięły na pół. Czy ci ludzie myśleli trzeźwo, czy napędzała ich jedynie adrenalina? Czy zdawali sobie sprawę z tego, że zaraz umrą? Czy mieli rodziny i w którą stronę kierowali ostatnie słowa? Do ojca, syna, matki, córki? Może do Boga?

Gracjan lubił zastanawiać się nad wieloma rzeczami, bo choć był na bakier z szeroko pojętą edukacją, to na pewno nie był tak głupi, jak zdawało się innym. Potrafił obserwować i analizować, czego nauczył się głównie w bidulu, gdzie zabierano go, gdy ojciec niedomagał w kwestii jego wychowania i zapewnienia mu niezbędnych warunków do życia. Nie miał o to do niego pretensji. Zdawał sobie sprawę, że tak już jest ten świat skonstruowany. Że jedni rodzą się w złotych pałacach, a drudzy na śmierdzącym wypale. I tak mógł uważać się za szczęściarza, że w ogóle miał ojca, bo w placówce poznał wiele sierot, które nie miały nikogo. Porzuconych jak stare lalki albo po prostu śmieci, niepotrzebne i zbędne.

Nie mógłbym ich zabić, pomyślał i podreptał w kierunku baraku. Doskoczyły do niego dwa psy, które od razu po zwolnieniu z aresztu odebrali ze schroniska. Od powrotu nie odstępowały go na krok. Horus i Ozyrys – tak nazwał je na cześć egipskich bogów, o których usłyszał na lekcjach historii. Pierwszy był władcą nieba, a drugi podziemi. To wystarczyło, poza tym te imiona po prostu mu się podobały. Miały w sobie magnetyzm i siłę, których jemu zawsze brakowało.

Gdy już miał otworzyć drzwi do baraku, Horus nagle znieruchomiał i postawił uszy. Kilkakrotnie poruszył nozdrzami.

– Co tam czujesz, brachu? – Gracjan kucnął i położył mu dłoń na karku. Wtedy poczuł, jak pies się zjeżył. Zanim się obejrzał, Horus z Ozyrysem popędziły w kierunku ogrodzenia po drugiej stronie wypału.

Młody smolarz skierował strumień światła z latarki w tamtą stronę. Psy szczekały i warczały, skacząc i drapiąc drewnianą palisadę. Zwykle rzadko się tak zachowywały, nawet jeśli wyczuły kręcących się przy wypale ludzi, więc Gracjan trochę się zaniepokoił. Budzenie ojca miało się z celem, więc powolnym krokiem ruszył śladami swoich pupili. Wdrapał się na jedną ze skrzyń stojących przy płocie i wyjrzał na zewnątrz. W świetle latarki migąły jedynie konary krzaków i drzew, a gdy skierował je bardziej na prawo, w niewielkim zagłębieniu dostrzegł refleksy żwawo płynącego strumienia.

– Cicho! – rzucił w kierunku rozjuszonych owczarków, a gdy te z oporami umilkły, sam nastawił uszu.

Trzask gałązki. Pękający konar. Pohukujący puszczyk i pisk jakiegoś gryzonia. Tutaj o każdej porze dnia i nocy trwała walka o przetrwanie. Z odległej około kilometra drogi poniósł się warkot silnika jakiegoś samochodu. Raz jeszcze omiótł latarką ścianę drzew i już miał zejść ze skrzyni, gdy wydało mu się, że w gąszczu dostrzegł jakiś ruch. Instynktownie przeniósł tam wiązkę światła. Skupił wzrok i znów ujrzał to coś. Daleko w gęstwinie wychynęło zza drzewa, a potem natychmiast znów się za nim skryło. Gracjan poczuł przyływ adrenaliny. Sam nie wiedział dlaczego, bo nigdy nie bał się tego, co kryje się w mroku. Był przyzwyczajony i wielokrotnie chodził po lesie w nocy.

Wtedy postać znów na ułamek sekundy wyjrzała zza drzewa. Tak, to musiała być postać, bo zwierzę by się tak nie zachowywało.

– Hej, człowieku! Dlaczego się kryjesz?! – ryknął, próbując udawać przed samym sobą, że nie czuje strachu. – Lepiej stąd idź, bo spuszczę psy. A tego, gwarantuję ci, człowieku, na pewno byś nie chciał.

Postać nie zareagowała, a gdy tylko na krótką chwilę przeniósł wiązkę światła na pobliskie drzewa, wykorzystwała sytuację i wyskoczyła zza drzewa. Dostrzegł tylko jej cień, który chwilę później zniknął w gęstwinie niewysokich świerków. Gracjan jeszcze przez moment obserwował las, w końcu zszedł ze skrzyni, przywołał psy i ruszył w kierunku bramy.

Gdy ją otworzył, Horus i Ozyrys wyrwały do przodu niczym wyścigowe charty, a chwilę później zniknęły za rogiem palisady ogradzającej wypał. Przyspieszył kroku i po kilkunastu sekundach znów je dostrzegł. Węszyły zawzięcie przy jakichś krzakach w pobliżu strumienia, niedaleko miejsca, gdzie dostrzegł zakapturzoną postać. Ruszył brzegiem koryta w kierunku swoich pupili, czując narastający lęk. Starał się zachować spokój, ale miał wrażenie, że nie jest sobą. Zdał sobie sprawę, że drży mu ręka, w której trzyma latarkę, a stawiane kroki nie są tak stabilne jak zazwyczaj. Gdy w pewnym momencie dostrzegł na jednym z konarów dwa jasne punkty, a oślepiąca sowa sfrunęła i przeleciała tuż nad jego głową, omal nie krzyknął.

– Wyluzuj – mruknął do siebie, przykładając dłoń do miejsca, gdzie znajdowało się serce. Biło bardzo szybko i bardzo mocno. Odetchnął i dla uspokojenia nerwów zapalił papierosa. – No dobra, co tam macie, dzieciaki? – zwrócił się do przebierających nogami owczarków.

Wtedy znów usłyszał głośny trzask pękającego konara. Niósł się z głębi lasu, ale z innego kierunku. Gracjana przeszył gwałtowny dreszcz i pożałował, że nie zabrał ze sobą młotka albo chociaż trzonka od łopaty. Niby w towarzystwie Horusa i Ozyrysa czuł się bezpiecznie, ale teraz miał wrażenie, że to tylko złudna iluzja. Zacisnął zęby, próbując sobie wmówić, że to jedynie szczeniackie strachy na lachy. Chwycił kawał drąga i podszedł do kupy gałęzi, która budziła takie zainteresowanie psiaków. Rozgrzebał gałęzie i iglaki. Zamarł.

Przełknął ślinę, wtedy z mroku znów poniósł się trzask. A potem kolejny. I złowrogi, przeciągły pomruk.

Horus i Ozyrys zjeżyły się i zrobiły kilka kroków wstecz. Odsłoniły zęby, warknęły.

Gracjan na bezdechu przeniósł światło latarki ze skrytej w gałęziach ludzkiej stopy na gęstwinę, z której dochodziły gniewne pomruki. Odniósł wrażenie, że grawitacja niemal przyspawała go do ziemi, a serce wali tak mocno, że zaraz wyrwie się z piersi. Gdy wiązka w końcu spoczęła na kudłatym cieniu,

a pomiędzy drzewami błysnęły dwa białe ślepie, chłopak zrozumiał, że to ostatni moment, aby ratować skórę.

Nie robić gwałtownych ruchów, przypomniał sobie nauki ojca. Wycofywać się powoli, nie patrzeć w oczy niedźwiedzia, ale jednocześnie nie spuszczać go z pola widzenia. Do wypału miał nie więcej niż sześćdziesiąt metrów, do samej bramy może osiemdziesiąt, więc szanse, że zdoła uciec, wydawały się stosunkowo duże. Ale nogi miał jak z ołowiu, a psy nie pomagały, jeząc się i wściekle warcząc.

Niedźwiedzi pysk uniósł się w górę, a z jego nozdrzy buchnęły kłęby pary. Kolejny konar trzasnął pod ciężką łapą. Mruknął, otarł się grzbietem o gruby dąb i powoli zaczął kroczyć w ich kierunku. Gracjan zmusił się, aby zrobić kilka kroków wstecz. Szło mu opornie, ale robił wszystko, aby nie ulec panice. Skarcił psy, które jednak nie zareagowały, a gdy Horus zaczął szczekać, niedźwiedź stanął na dwóch łapach, wydał z siebie przerażający ryk i ruszył na nich niczym rozpedzona, dysząca parą lokomotywa.

Instynkt przetrwania kazał Gracjanowi wyrzucić wszystkie rady ojca na śmietnik i chłopak ruszył na złamanie karku w kierunku wypału. Biegł, grzęznąc w błotnistym korycie potoku i potykając się o wystające korzenie, nie bacząc na gałęzie rozdrapujące mu skórę na twarzy i ramionach. Co z tego, gdy przy każdym upadku słyszał, że bestia jest kilka metrów bliżej. Ściga go. Wściekła i głodna. Że jest tuż za jego plecami.

W pewnym momencie coś majtnęło nim z nie ludzką siłą. Stracił równowagę, a świat zawirował. Upadł, a jego twarz znalazła się w niecce potoku. Jęknął, próbował wstać, ale na jego głowie wylądowała potężna łapa, która konsekwentnie zaczęła wbijać ją w grząskie dno. Na jego czaszce zakleszczyły się długie pazury, a na łopatce poczuł, jak jego ciało jest rozrywane. Tuż przed śmiercią pomyślał, że po zimie niedźwiedzie są głodne, a on zaraz zostanie zabity i pożarty. Chwilę później Gracjan Wanzreich osunął się w ciemność.

Rozdział 23

Otworzył oczy i od razu chwycił leżącego na ławie walthera. Przez kilka sekund trwał w niepewności, w końcu opadł z powrotem na jasiek. Co mu się śniło? Nie był pewien, ale gdy przetarł dłonią czoło, na palcach zaperliły się krople potu. Zerknął na zegarek, zaklął pod nosem i spuścił nogi na podłogę.

– Weź się w garść – mruknął i poszukał butelki z wodą.

Do północy pozostały niecałe dwie godziny, więc nie miał wiele czasu. Nawigacja wskazywała, że droga do wodospadu Czartów Młyn zajmie mu piechotą około godziny, więc musiał się sprężyć. Podniósł się z kanapy i dorzucił parę polan do kominka, w którym ledwo tlił się żar. Kilka razy dmuchnął, aby rozniecić ogień, a gdy ten zapłonął, skierował się do lodówki, aby poszukać czegoś do jedzenia. Wybór był nawet spory, ale nie wydziwiał. Wyjął kiełbasę i ser, które położył na suchą pajdę chleba i niemal na raz wepchnął ją do ust, następnie nastawił wodę na kawę. Aby ostatecznie zrzucić z siebie senną pajęczynę, wyszedł na ganek, chwycił wiadro z deszczówką i wylał ją sobie na głowę. Była orzeźwiająco lodowata. Otrząsnął się, czując ożywczy przypływ energii. Przetarł brodę i oparł się o poręcz. Wtedy z głębi lasu poniósł się gniewny ryk.

Podniósł głowę i spojrzał w skąpaną w świetle księżyca dolinę. Dym z kominów retort snuł się leniwie ponad korony drzew. Było bezwietrznie, a powietrze niemal stało w miejscu. Już dwukrotnie zdarzyło mu się usłyszeć niedźwiedzi pomruk. Po raz pierwszy zaledwie kilka dni po wprowadzeniu się do chałupy, a drugi całkiem niedawno, w pobliżu starej kapliczki. Zwierz musiał mieć w pobliżu swoją gawrę i niewątpliwie obudził się po długiej i mroźnej zimie. Ta myśl sprawiła, że stracił ochotę na wycieczkę do wodospadu, zaraz jednak postawił się do pionu. Nie mógł wystawić osoby, która dysponowała informacją o śmierci Dąbrowskiej i Matejczuk. No chyba że to była podpucha...

Mruknął pod nosem, gdy zdał sobie sprawę, że równie dobrze to może być pułapka. No bo dlaczego ten ktoś na miejsce spotkania wybrał akurat wodospad

położony w środku lasu? Mógł zrozumieć, że zależało mu na dyskrecji, ale przecież istniały inne możliwości nawiązania kontaktu. Skoro informator zdecydował się przyjść pod jego drzwi, aby zostawić kartkę z wiadomością, to mógł zrobić to po raz drugi. Wystarczyło zapukać.

Kolejny pomruk sprawił, że na jego rękach pojawiła się gęsia skórka. Podrapał się po bliźnie na klatce piersiowej, przetarł moką brodę i wrócił do chałupy. Wytarł się, zalał kawę i zrobił sobie jeszcze dwie kanapki, po czym przysiadł obok kominka, aby się ogrzać.

Gdy wybiła jedenasta, wziął z kredensu latarkę i wyszedł na ganek. Wsłuchał się w dobiegające z lasu odgłosy. Pękający w oddali konar, trzepot skrzydeł nietoperza, pohukujący puszczyk, skrzek nocnego ptaka. Wzdrygnął się, gdy kątem oka dostrzegł ruch przy paśniku, ale gdy zorientował się, że to tylko sarny, sklął pod nosem własną głupotę. Przecież nie wyruszyłby na szlak bez broni, a jego walther P99 wersji DAO miał w magazynku dwanaście naboń .40 Smith & Wesson, których moc i siła obalająca były zdecydowanie większe od klasycznej „dziewiątki”. Nawet jeśli przypadkowo spotkałby niedźwiedzia, to jeśli zwierze nie umknałoby na odgłos samego wystrzału, to z taką siłą ognia nie miałyby większych szans. Chyba, dodał w myślach i raz jeszcze nadstawił uszu. Miał wrażenie, że znów usłyszał jakiś pomruk, ale równie dobrze to mógł być jedynie wytwór jego przebudźcowanej wyobraźni. Wszystko wskazywało na to, że jeśli jakiś niedźwiedź jeszcze niedawno kręcił się w pobliżu, to najpewniej już sobie poszedł.

Brudny wrócił do chałupy, włożył bluzę i kurtkę, wzał buty i wcisnął walthera za pasek spodni. Ostatecznie zrezygnował z godzinnego spaceru i wsiadł do patrola. Nie włączając świateł, pokonał drogę do asfaltówki, następnie skręcił w kierunku Stężnicy i mniej więcej na wysokości zjazdu na wypań Kozobury skręcił w polną drogę do jednego z licznych w okolicy wyrębów. Tam się zatrzymał i zgasił silnik. Wysiadł z samochodu, zapalił i przez kilka minut wsłuchiwał się w odgłosy lasu, próbując wychwycić każdy, nawet najdrobniejszy szmer. Wątpił, aby ktoś próbował go śledzić, bo na takim odludziu, o tej porze i na dodatek podczas pełni zakrawałoby to na skrajną głupotę, mimo to wolał zachować ostrożność. Gdy do północy pozostał kwadrans, zarzucił na ramię plecak i ruszył wąską górską ścieżką w kierunku wodospadu Czartów Młyn.

Miał do pokonania zaledwie pół kilometra, więc do celu dotarł przed czasem. Charakterystyczny szum wody usłyszał chwilę wcześniej. W ciszy niósł się echem, które kojarzyło mu się z szeptem albo swoistym zaproszeniem. Tak jakby las chciał mu coś powiedzieć, przyciągnąć go albo... zwabić?

Słumił durne myśli i przysiadł na jednym z głazów. Wodospad nie był zbyt efektowny. Zaledwie kilka niewysokich kaskad, którymi spływała woda wąskiego

strumienia. Samo miejsce miało w sobie jednak coś magicznego, a szept wody potrafił zamącić w głowie. Trudno mu było skupić się na celu, dla którego tu przybył, ale mimo to robił wszystko, aby utrzymać wzmożoną czujność. Wzdrygnął się, gdy od strony wsi poniósł się paskudny koci skrzek. Marcujące koty, które dokarmił już kilka razy, dały mu się we znaki, ale ten zabrzmiał, jakby sam Freddy Krueger przejechał swoimi nożami po masce jego samochodu.

I tę myśl odrzucił, próbując wychwycić potencjalne zagrożenia. O północy wyjął z plecaka latarkę, ale jej nie włączył. Pomyślał, aby zapalić, ale uznał, że w tej chwili to raczej kiepski pomysł. Po dziesięciu minutach bez kontaktu poczuł narastający niepokój, tym bardziej że instynkt zaczął dawać mu sygnały. Tym najbardziej dokuczliwym było wrażenie, że jednak nie jest sam i ktoś cały czas bacznie mu się przygląda. Trudno było z tym walczyć, więc po kolejnych dziesięciu minutach w końcu się podniósł i włączył latarkę. Omiótł porastające okolice krzaki, grube pnie drzew i nieliczne wyrastające z ziemi skały. Upiorne wrażenie nie odpuszczało, mimo to poczekał jeszcze pięć minut, w końcu wyraźnie poirytowany ruszył z powrotem do samochodu.

W połowie drogi wydało mu się, że coś słyszy. Jakiś trzask, szelest w gęstwinie po jego prawej ręce. Przystanął, wstrzymał oddech i poświecił latarką, ale w wiązce światła mignęły jedynie dwa białe punkciki i duże kudłate uszy. Chwilę później zając zniknął z pola widzenia.

Mruknął pod nosem i poszedł dalej. Gdy w końcu jego patrol wyłonił się za krzaków, od razu sięgnął po walthera. Przeładował go i skrył się za drzewem. Przez dłuższą chwilę taksował okolicę, ale nie dostrzegł przy wyrębie żadnego ruchu. Zaklął i z bronią w pogotowiu wyszedł na niewielką polanę. Nie tracąc czujności, obszedł samochód, w końcu stanął naprzeciwko maski.

Leżał na niej zdechły kot, z którego rozprutych trzewi wciąż wylewała się parująca krew. Ktoś ewidentnie bawił się jego kosztem, co nie tylko zaczynało go irytować, ale powoli budziło coraz silniejszy gniew. Musiał ochłonać, więc zapalił papierosa i teatralnie wsunął pistolet z powrotem za pasek. Przez kilka minut po prostu wpatrywał się w ścianę lasu, a gdy zgasił pod butem niedopałek, chwycił truchło za nogę i bezceremonialnie zrzucił z maski.

Wracając do domu, czuł, że zaczyna tracić cierpliwość. Czuł też, że jest coraz bliżej prawdy, a tchórzliwy gnojek, który stroi sobie z niego żarty, prędzej czy później popełni błąd. Wtedy to on się z nim zabawi. Po swojemu.

Rozdział 24

Nadkomisarz Ferdynand Hałas był puciołowatym mężczyzną, który pocił się nawet wtedy, gdy inni z powodu zimna siedzieli ubrani w ciepłe swetry. Podobno kiedyś był dobrym gliną, ale dziś już nikt tego nie pamiętał. Sam zdawał sobie sprawę, że lata świetności ma za sobą. Kiedyś z lubością ganiał przestępców po krakowskich ulicach i nawet miał na koncie kilka pomniejszych sukcesów, ale szanse na naprawdę dużą karierę zaprzepaścił przez zamiłowanie do hazardu, głównie zaś obstawiania zakładów sportowych. Był wielkim fanem Cracovii, co dość istotnie wpływało na jego kondycję psychiczną, gdyż z racji wykonywanej pracy często musiał zamykać za kratkami byłych kolegów z osiedla. Zнали go dobrze, a nawet lepiej, niż mogło mu się wydawać, poza tym wieści o skłonnościach policjantów do najróżniejszych nałogów zwykle rozprzestrzeniały się po mieście lotem błyskawicy. Fakt, że Hałas był niezłym gliną i zarazem zatwardziałym kibicem piłki nożnej, odbił mu się czkawką już wcześniej. Dzięki pokątnie otrzymanym informacjom udało mu się dowiedzieć, że jego zespół sprzedawał mecz, na który kurs wynosił równe sześć do jednego. Cynk wydawał się pewny, więc Hałas zapożyczył się u znajomego bukmachera na sporą sumę i postawił na przegraną swojego zespołu. Nie przewidział jednak, że walczący o awans rywale z innego klubu w ostatniej chwili zaoferują więcej za uniknięcie porażki, a dodatkowo dorzucą coś sędziemu. Pożyczone sto tysięcy złotych trafiło do skarbonki bukmachera, a to sprawiło, że w jego życiu pojawiły się istotne komplikacje.

Hałas nie był złym człowiekiem, po prostu trochę się w tym wszystkim pogubił. Miał młodą i atrakcyjną żonę, dwie cudowne córeczki i musiał się z tego jakoś wykaraskać, w związku z czym, aby oddać dług, kilkakrotnie pohańbił mundur, starając się robić to tak, aby plamy na materiale nie były zbyt trwałe i można je było sprać. Raz dał cynk w sprawie przewozu tira z trefnym towarem, raz z przechowalni dowodów zniknął jeden fant, a jeszcze innym razem oskubał zabitego dilera z dwudziestu kawałków. Po blisko dwóch latach od feralnego meczu udało mu się spłacić dług i gdy szedł do komunii swojej młodszej córki

Amelii, obiecał Bogu, że już nigdy nie unurza się w błocie. Trzymał się obietnicy twardo, zwłaszcza że Bóg nad nim czuwał i jego drobne przysługi dla kilku ludzi związanych z półświatkiem nigdy nie ujrzały światła dziennego. Pokątne plotki jednak krążyły i choć nikt nigdy nie złapał go za rękę, to Hałas stracił zaufanie części kolegów, w związku z czym dzięki pomocnej dłoni Antoniego Zyguty, starszego stopniem przyjaciela rodziny, dostał drugą szansę i trafił za biurko. Choć z początku traktował to jako degradację, z czasem zaczął dostrzegać plusy nowej roboty. Zamiast ganiać przestępców po ciemnych uliczkach Krakowa, większość czasu spędzał na sporządzaniu raportów w ciepłym biurze i z kubkiem kawy w dłoni, dzięki czemu zwykle kończył pracę o ustalonej godzinie i miał więcej czasu dla dorastających córek. Mijały lata i Hałas przyzwyczał się do nowej pracy na tyle, że coraz rzadziej odchodził od biurka, a że zawsze lubował się w śmieciowym żarciu, kolejne kilogramy przybywały w tempie rosnącej inflacji. Z czasem chęć do powrotu na ulicę zniknęła bezpowrotnie.

Nadkomisarz pracował uczciwie i choć rzadko wstawał od biurka, to praca analityka w wydziale dochodzeniowo-śledczym sprawiała mu sporo przyjemności. Czas płynął nieubłagane, tusza nadkomisarza się powiększała, córki rosły jak na drożdżach, a żona zaczęła dorabiać mu rogi, bo z takim grubasem już nie chciała uprawiać seksu. Kiedyś wypomniała mu to podczas jednej z kłótni.

– Popatrz na siebie. Masz lustrzycę. Wiesz, co to za choroba? – rzuciła w nerwach, gdy zasugerował, że mogłaby założyć seksowne pończochy, bo ma ochotę na miły wieczór.

– O co ci chodzi? – odparł, odstawiając piwo.

– Masz taki bebzon, że swojego małego to możesz zobaczyć tylko w lustrze.

Żona od dłuższego czasu zachowywała się inaczej i podejrzewał, że znalazła sobie jakiegoś gacha, ale jakoś nigdy nie podchodził do tego zbyt poważnie. Może dlatego, że po pracy chciał mieć tylko święty spokój, a może dlatego, że od jakiegoś czasu żyli w swoim mieszkanku z wielkiej płyty bardziej jak lokatorzy niż jak mąż i żona. Sam nie miał wielkich potrzeb seksualnych, podobnie zresztą żona, która seks sprowadzała głównie do prokreacji, ewentualnie do niekoniecznie miłego obowiązku małżeńskiego. Kochali się więc rzadko, zwykle od święta albo gdy po kilku miesiącach wstrzemięźliwości po prostu wypadało. Tym bardziej trudno mu było uwierzyć, że po tylu latach żonie coś się w głowie poprzestawiało i zachciało jej się kutasa. Bolesna uwaga na temat jego tuszy skłoniła go w końcu, aby bliżej przyjrzeć się sprawie, a że kiedyś był niezłym operacyjniakiem, a dziś całkiem solidnym analitykiem, stosunkowo szybko dogrzebał się do prawdy. Odkryte przez niego filmiki, na których napakowany trener fitnessu obraca mu żonę jak podstarzałą gwiazdkę porno, wystarczyły

w sądzie, aby rozwiązać małżeństwo na jego zasadach. Żal mu było jedynie córek, z których jedna miała czternaście, a druga siedemnaście lat, bo jednak to się na ich psychice dość mocno odbiło, a żadna zemsty Ilona przekabaciła je tak, że o wszystko zaczęły obwiniać ojca. Po dwóch latach wojenek podjazdowych ostatecznie poprosił o przeniesienie i w tym wydatnie pomógł mu poseł Maciej Bursztynowicz, któremu kiedyś wyświadczył „przysługę”. Jakoś tak się złożyło, że w spokojnym Sanoku na stanowisku naczelnika wydziału kryminalnego akurat pojawił się wakat, więc w Krakowie postanowiono pozbyć się problemu i zrzucić go jako spadochroniarza. Miał odpocząć, wczekać awansu na inspektora i wypracować wyższą emeryturę, spychając na podległego mu Kmitę większość obowiązków. Wiedział, że facet za nim nie przepada, bo sam miał chrapkę na stołek naczelnika wydziału, ale starał się robić dobrą minę do złej gry, a jemu samemu pozwalał się wykazywać. Tak aby po jego odejściu w końcu mógł zająć jego miejsce. Jakoś to funkcjonowało. Do dziś.

Dzisiejszy telefon z wojewódzkiej zupełnie wytrącił go z równowagi.

– Siadaj! – ryknął w kierunku Kmity, gdy ten w końcu stawiał się na wezwanie.

– Co się stało? – zapytał niepewnie komisarz.

– Stało się, stało. Co się odpierdala z tym śledztwem Dąbrowskiej i Matejczuk?

Na czole Kmity zarysowała się głęboka bruzda. Szerzej otworzył oczy i rozchylił usta.

– Wczoraj wieczorem wysłałem raport – odparł po chwili wahania. – Zresztą rozmawialiśmy o sprawie i powinieneś być na bieżąco. Nie rozumiem...

– Myślę, że jednak rozumiesz. Raport przeczytałem. Gównem w nim jest. Jeśli coś ukrywasz, to lepiej mów teraz.

Kmita spojrzał na okrągłą twarz Hałasa. Poczł narastającą panikę. Przyzwyczał się, że facet zwykle nie wtrąca się w prowadzone przez niego śledztwa. Głównie siedzi w swoim biurze i żre, pije kawę i znów żre, a z pomieszczenia wychodzi tylko po to, aby skorzystać z toalety. To miało swoje dobre strony, bo w większości wypadków miał wolną rękę. Tym bardziej poczuł się zaskoczony tak gwałtowną reakcją naczelnika. Coś musiało się stać. Coś, o czym nie wiedział.

– Wciąż nie rozumiem – bąknął, próbując grać na czas.

– Ja też, kurwa, nie rozumiem, dlaczego o dziewiątej rano osobiście dzwoni do mnie komendant wojewódzkiej i nakazuje mi dołączyć do śledztwa Igora Brudnego. Możesz mi to wytłumaczyć?

Kmita zbladł. Spodziewał się wszystkiego, ale nie czegoś takiego. Przez kilka sekund nie był w stanie wykrztusić słowa, a gdy uzmysłowił sobie, co to może oznaczać, poczuł, jak robi mu się gorąco.

– Ale jak to?

– Tak to! Wiesz, jaki jest w tym ukryty przekaz?

– No...

– Że moi ludzie sobie nie radzą, a... – Hałas aż poczerwieniał. – A ja nie panuję nad sytuacją.

– Ale to przecież nie ma żadnego logicznego wytłumaczenia – miotał się Kmita.

– W jakiej roli? Jako kto?

– Eksperta, konsultanta, specja od chuj wie czego. Dostałem jasny rozkaz. Ma otrzymać pełny dostęp do akt śledztwa prowadzonego w sprawie śmierci Małgorzaty Dąbrowskiej i Eweliny Matejczuk. Pomijając już kwestię tego, że ten celebryta będzie łąził po mojej komendzie jak jebane panisko, to czy ty sobie wyobrażasz, co się stanie, gdy dowiedzą się o tym media?

– Ja...

– Co ja? – warknął Hałas. – Nie wkurwiał mnie, Marian, i mów, co się dzieje, bo jeszcze dziś wpięrdolę ci naganę. A jak okaże się, że coś nawywijałeś, to nawet żonka cię nie uratuje. Gadaj!

Kmita był tak zszokowany, że przez pierwszych kilka minut plątał się w zeznaniach. Co prawda samej obecności Brudnego nie ukrywał, bo tego po prostu zrobić się nie dało, ale komisarz w raportach często pomijał wątki jego zdaniem mało istotne bądź te, które mogłyby jego udział w śledztwie przedstawić w gorszym świetle. Teraz na gwałt szukał w pamięci wszystkiego, co mógł pominąć i co miało szansę przypadkowo wypłynąć na powierzchnię. Hałas słuchał uważnie, od czasu do czasu dokręcając podwładnemu śrubę. Nietrudno było wychwycić, że Kmita nie mówi całej prawdy, ale Hałas – choć zły na siebie, że tak bardzo poluzował podwładnemu – uznał, że musi zachować zimną krew. Te kilka lat w komendzie pozwoliło mu poznać realia i wiedział, że musi uważać, aby nie narazić się Bursztynowiczowi, który nawet po zmianie władzy wciąż był tu niekwestionowanym królem. I, niestety, był szwagrem Kmity, a na tych terenach rodzina to rzecz święta.

– Pieprzysz mi tu jakieś farmazony, a ja chcę konkretów – uciął w końcu tłumaczenia podwładnego. – Dlatego zapytam raz i oczekuję szczerzej odpowiedzi. Czy miałeś jakiś zatarg z Brudnym?

– Nie – odparł z pełnym przekonaniem. – Poinformowałem go jedynie, aby trzymał się z daleka od sprawy. Nie posłuchał.

– A Krogulewski?

– Co Krogulewski?

– Obaj wiemy, jaki on jest. Nadęty bufon, a do tego cham i prostak. Może on?

– Nic nie wiem na temat, żeby mieli jakiś kontakt. Ale... – Przypomnienie osoby prokuratora sprawiło, że Kmita poczuł ucisk w żołądku. To przecież na jego

wniosek nie grali czysto i robili wszystko, aby ukryć obecność przy sprawie młodego Bursztynowicza. – Trzeba coś z tym zrobić. Brudny nie może, ot tak, zacząć grzebać w aktach. Czy Krogulewski wie?

– Jeszcze nie wie, a jeśli chodzi o Brudnego, to facet może wszystko. Przed chwilą sekretarka przyniosła mi rozkaz podpisany przez samego Hyżego, a chyba wiesz, że Rysiek nie toleruje jakiegokolwiek sprzeciwu. Jak Brudny tu przyjdzie i zażąda dostępu do akt sprawy, będziesz musiał mu je udostępnić bez gadania. – Hałas oparł łokcie o blat biurka i nachylił się w stronę Kmita tak blisko, że ten mógł poczuć bijący od niego zapach potu. – Dlatego pytam po raz ostatni. Czy jest coś, o czym nie wiem, a co powinienem wiedzieć, zanim zjawi się tu Igor Brudny?

– Nie – skłamał Kmita.

– Wracaj do roboty.

Kmita wstał z krzesła i wyszedł z biura naczelnika. Gdy przekroczył próg łazienki i zobaczył swoje odbicie w lustrze, zrozumiał, że smród potu niekoniecznie musiał pochodzić od rozmówcy. Przemył zimną wodą spoczone czoło, a następnie całą twarz. Miał straszny mętlik w głowie i nie był w stanie podjąć decyzji, jak zareagować na zaistniałą sytuację. Dzwonić do Krogulewskiego? Do żony? A może bezpośrednio do Macieja?

Po krótkim namyśle uznał, że najlepiej będzie najpierw poinformować prokuratora. Wyszedł na zewnątrz, aby uniknąć wścibskich uszu. Zapalił i wybrał numer.

– Miałem właśnie do ciebie dzwonić – zaczął Krogulewski. – Sam jestem wstrząśnięty, ale...

– To znaczy, że wiesz?

– Nasienie Samuela Wanzreicha na próbce pobranej z namiotu ofiar wykazało zgodność z jego DNA. Możesz zbierać ludzi i go zgarniamy. Zastanawiam się, czy nie zaprząć do roboty kominiarzy, a nawet nie poinformować o akcji mediów. Chcą pokazówki, to będą ją mieli. Może się wtedy od nas odpiardolą i...

– Technicy znaleźli spermę Wanzreicha? – Kmita nie dowierzał.

– Wynik został jednoznacznie potwierdzony. Sędzia nawet nie pierdnie.

– Cholera, to znakomita wiadomość, ale...

Komisarz zawahał się, próbując na szybko analizować, czy w aktualnej sytuacji powinien dzielić się informacją o Brudnym. Ostatecznie uznał, że lepiej powiedzieć to teraz, niż potem świecić oczami.

– Przed chwilą byłem u Hałasa i powiedział, że dostał bezpośredni rozkaz z Rzeszowa, aby dołączyć do sprawy Brudnego.

– To jakiś jebany żart?

– To nie żart.

– Kurwa mać!

Dobry nastrój Krogulewskiego zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Kmita słyszał, jak prokurator mruczy pod nosem kolejne przekleństwa. Dał mu chwilę, aby wyrzucił z siebie wszystkie negatywne emocje.

– Dzwonimy do Macieja? – zapytał z wahaniem w głosie.

– Nie – odparł hardo Krogulewski. – Zbieraj ludzi i wjeżdżamy na wypał. Ma być ostro i efektownie. Jeszcze dziś przed obiadem chcę mieć tego dziadygę za kratkami.

– A co z Brudnym?

– Jebać go. Chce mieć dostęp do akt, to mu je daj. Tylko podkreśl wyniki próbek DNA. Z takim dowodem nawet ten zasraniec nie będzie mógł polemizować. Zresztą... – Prokurator ugryzł się w język. – Nieważne. Dzwon do kominiarzy. Za pół godziny chcę oddział w pełnej gotowości.

Gdy komisarz Marian Kmita pędził do biura nadkomisarza Ferdynanda Hałasa, aby powiadomić go o planach zatrzymania mordercy Małgorzaty Dąbrowskiej i Eweliny Matejczuk, prokurator Jarosław Krogulewski kłął na komisarza Igora Brudnego, ten ostatni kończył robić serię porannych pompek, a Samuel Wanzreich, wiedziony złością na nieobecnego przy retortach syna i wściekle ujadające psy, właśnie otwierał bramę wypału. Kilka minut później stracił ochotę, aby dalej żyć.

Rozdział 25

Brudny stał na werandzie i palił papierosa. Poranny telefon od Czarneckiego wprowadził go w dobry nastrój.

– Załatwione – powiedział inspektor. – Sanok dostał jasne wytyczne. Masz pełny wgląd w akta i prawo udziału w śledztwie. W razie problemów wysyłam ci namiar do Ryszarda Hyżego z wojewódzkiej.

Brudny podziękował i obiecał się zrewanżować. W odpowiedzi usłyszał, żeby po prostu na siebie uważał, bo wygląda na to, że sprawa rzeczywiście ma drugie dno. Komisarz zrobił poranny trening, zjadł śniadanie, pogadał z Julką, ubrał się i nalawszy do wiadra wody, wyszedł, aby wyczyścić samochód z resztek kocich wnętrzności. Pogoda zachęcała do przebywania na świeżym powietrzu. Pomimo rześkiej temperatury słońce przyjemnie przygrzewało, a na niebie baraszkowały jaskółki. Gdy skończył, wrócił do chałupy po broń. Wtedy usłyszał, jak pod wypał podjeżdża cała armada radiowozów.

Palił i patrzył, jak kontrterrorysty wyskakują z wozów i obstawiają wypał Wanzreicha. Z tego punktu miał idealny widok na rozgrywające się wydarzenia. Zastanawiał się, po co cały ten szum, ale gdy zobaczył wóz transmisyjny telewizji publicznej, zrozumiał, że to zwykła pokazówka. Co sprawiło, że Kmita jednak zdecydował się ponownie zatrzymać smolarza zaledwie kilkadziesiąt godzin po jego wypuszczeniu? To należało bezwzględnie wyjaśnić, bo całość ani trochę nie trzymała się kupy.

Wydawało się, że akcja wypadnie dość blado, bo na wypale nie odnaleziono żadnego z Wanzreichów. Samuel zjawił się krótko po tym, jak policjanci zabezpieczyli teren. Dopiero wtedy zrobiło się nerwowo.

Kontrterrorysty doskoczyli do smolarza, wykrzyczeli wszystkie regulaminowe polecenia, ale ostatecznie zgłupieli i nie do końca wiedzieli, jak się zachować. Mieli do tego pełne prawo, bo widok Samuela mógł przyprawiać o ciarki. Stary węglarz był cały unurzany we krwi, a na rękach niósł zmasakrowane zwłoki. Nie

stawiał oporu, ale też nie reagował na wypluwane przez policjantów rozkazy. W końcu klęknął, ułożył ciało na ściółce i wydał z siebie ryk rozpaczny.

Brudny aż się rwał, aby zbiec ze wzgórze i wziąć udział w akcji, ale ostatecznie zrezygnował, nie chcąc podnosić temperatury, która i tak wydawała się bliska wrzenia. Równie dobrze mogli go przepuścić, jak pogonić w cholerę, dlatego postanowił, że nie będzie przeszkadzał w pełnieniu obowiązków przynajmniej do momentu, gdy nie dokonają zatrzymania. Zaczekał, aż Samuel został skuty i zaprowadzony do jednego z radiowozów. Dopiero wtedy zszedł na dół.

Na jego widok kilku funkcjonariuszy zaczęło protestować, ale Kmita – choć niechętnie – nakazał im Brudnego przepuścić. A więc już dostał instrukcje, pomyślał z zadowoleniem. Mijał kolejnych policjantów bez słowa, wpatrując się w komisarza. Ten od momentu wydania polecenia nie spojrzał na niego ani razu, wdawszy się w rozmowę z jakimś szpakowatym facetem pod krawatem, najpewniej prokuratorem. Dopiero gdy Brudny podszedł do nich na odległość, która nie pozwalała go dalej ignorować, Kmita zaszczyił go spojrzeniem.

– Czego chcesz? – warknął.

Brudny nie odpowiedział. Stał obok, zapalił. Zerknął na lamentującego w radiowozie Wanzreicha, a potem na leżące kilkanaście metrów dalej zwłoki.

– Już po sprawie – wtrącił mężczyzna w szarym garniturze. – Może pan wracać do domu, komisarzu Brudny.

Prokuratora też zignorował. Na podstawie informacji zebranych przez Julkę zdążył już sobie zbudować obraz Krogulewskiego, a jego szurzy ryj idealnie wpisywał się we wzorzec wrednego, dwulicowego sukinsyna, jakim bez wątpienia był ten facet.

– Nazywam się Jarosław Krogulewski i dowodzę akcją. – Prokurator wyciągnął dłoń w kierunku Brudnego. Ten ją uchwycił i uściskał.

– Igor Brudny – przedstawił się.

– To zaszczyt pana poznać. Dużo o panu słyszałem, ale to chyba nie najlepszy czas na konwenanse. Mamy sporo roboty, więc...

– To jego syn? – wtrącił Brudny. Uznał, że ma na tyle mocne karty, że nie musi udawać. Pomimo braku odznaki w tej chwili był praktycznie równorzędnym śledczym.

– Chciałem powiedzieć, że już po sprawie – ciągnął prokurator. – Może pan wracać do domu i zająć się czymś pożyteczniejszym niż utrudnianie nam pracy.

Brudny podniósł wzrok na Krogulewskiego. Wydmuchał dym przez nos. Najwyraźniej facet też nie miał zamiaru kryć się ze swoją niechęcią w stosunku do jego osoby. I dobrze, pomyślał.

– Chcę zobaczyć ciało – odparł, przenosząc wzrok na leżące na trawie zwłoki.

Nie musiał patrzeć mężczyźnie w oczy, aby widzieć, jak czerwienieje na twarzy. Gdy ruszył w kierunku trupa, niemal usłyszał syk pary wydobywającej się tamtemu z uszu. Pilnujący zwłok gliniarz w kominiarce zmierzył go surowym wzrokiem, ale gdy jego spojrzenie powędrowało w kierunku przełożonych, ostatecznie zrobił mu miejsce.

Brudny przykucnął przy zwłokach. Wyglądały, jakby przeleciały przez nie do końca sprawną maszynkę do mielenia mięsa. Ubranie było w strzępach, spomiędzy których straszyły głębokie rany po pazurach i kłach. W miejscach, gdzie tkanki ucierpiały najbardziej, widniały białe kości, czaszka zaś była wgnieciona do środka, brakowało w niej jednego oka i żuchwy, która wyglądała na wyrwaną. Obrażenia na kikucie prawej ręki sugerowały, że ta została odgryziona. Resztki pozostałej na zwłokach brunatnej sierści nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości, że chłopak padł ofiarą niedźwiedzia.

– Miał pecha – usłyszał za plecami znajomy głos. Brudny obrócił się, mrużąc oczy przed ostrym porannym słońcem. – Nazywamy go Bartek i zwykle trzyma się z dala od ludzi. Ale najwyraźniej zgłodniał – dodał aspirant Szmajda, pocierając nos palcami.

W jego tonie zabrzmiały szydercze nuty. Jakby drwił z całej tej sytuacji, jakby go to bawiło. W przeciwieństwie do Kmity i Krogulewskiego, którzy wciąż nie palili się, aby podejść bliżej, on wpatrywał się w trupa z niezdrową fascynacją.

– Ma gawrę kilka kilometrów stąd. O tam. – Skinął głową w kierunku lasu na wschód od wypału. – Po zimie miśki czasem są lekko zdezorientowane i podchodzą pod ludzkie siedziby, więc rzadko, bo rzadko, ale zdarzają się ataki. Coś jednak... – zawahał się – coś musiało go tu przyciągnąć...

Niemal w tym samym momencie dało się słyszeć nawoływanie z lasu. Brudny podniósł się bez słowa, zerknął przez ramię na Szmajdę, a potem na nieco chaotycznie wydającego rozkazy Kmitę, po czym ruszył w kierunku, z którego dochodziły ludzkie głosy. Wszedł pomiędzy drzewa i kilkadziesiąt metrów dalej dostrzegł w korycie strumienia dwóch umundurowanych funkcjonariuszy. Jeden z nich podpierał rosnące obok drzewo, trzymając się za brzuch. Pospieszył w ich stronę, czując na plecach oddech Szmajdy. Z nimi ruszyli pozostali śledczy.

– Proszę uważać, aby nie zdeptać śladów. Zanim przyjadą technicy, musimy...

– Jasne, jasne... – uciał sugestie Szmajdy.

W kilku miejscach rzeczywiście musiał stawiać kroki ostrożniej. Gdzieś na wystającym korzeniu leżał kawałek materiału, o gałąź zahaczony był fragment ludzkiej skóry, a jeszcze gdzieś indziej na suchym konarze lśnił krwawy rozbryzg. W niektórych miejscach widać było ślady walki, zwłaszcza na brzegach koryta płytkiego strumienia. Obszedł te miejsca i ostatecznie do dwóch młodych funkcjonariuszy dotarł po kilkudziesięciu sekundach. Jeden wymiotował, drugi

rozmawiał przez radio. Nie musiał zajmować ich uwagi. Białe zwłoki nagiej kobiety wyraźnie wyróżniały się na tle ciemnej ściółki. Przystanął obok i pociągnął nosem. Lewa noga miała wyraźne ślady po ucicie, jaką urządził sobie Bartek, ale reszta obrażeń ewidentnie wskazywała na dzieło człowieka.

– O kurwa! – rzucił Szmajda, który znalazł się przy zwłokach chwilę po Brudnym.

– To też pokażecie mediom? – zapytał Brudny, wskazując gestem na przerzucony przez gałąź płat skóry, który najwyraźniej zdążył już przykuć uwagę dwóch facetów przebijających się przez chaszczę od drugiej strony. Jeden z nich pospiesznie szykował sporych rozmiarów kamerę, a drugi ścisnął w dłoni mikrofon z logo telewizji publicznej.

Szmajda krzyknął coś w stronę Kmita, a ten wydał odpowiednie rozkazy. Dwóch rosyjskich kontrterrorystów natychmiast doskoczyło do mężczyzn, którzy po chwili bezsensownego protestowania musieli się wycofać. W ciągu kolejnych kilkudziesięciu sekund przy zwłokach zjawiała się już spora grupa funkcjonariuszy, w tym dowodzący akcją Kmita i prokurator Krogulewski. Przestrzeń wypełniły jęki i szpetne przekleństwa.

– Młody chyba sobie zasłużył – zasugerował w końcu prokurator. Zwłoki już cuchnęły trupem, a nad ciałem unosiły się muchy. Brudny od razu zrozumiał, że ofiara zginęła wcześniej od młodego Wanzreicha.

– Młody albo stary – dodał Kmita, zakrywając dłonią nos. – Przecież to... kurwa mać... co za zwyrodnialec mógł zrobić coś takiego? – dodał, walcząc z torsjami.

Brudny postanowił, że nie dołączy do tego chóru. Zawsze irytowało go, gdy inni śledczy pochopnie wygłaszali swoje hipotezy dotyczące winy potencjalnego podejrzanego. Takie podejście do sprawy cechowało amatorów, którzy albo nie mieli doświadczenia, albo po prostu nie nadawali się do tej roboty. Owszem, nie zdążył poznać szczegółów śledztwa, zwłaszcza powodu ponownego zatrzymania Wanzreicha, więc mógł o czymś nie wiedzieć, ale w jego ocenie doświadczony gliniarz, a tym bardziej prokurator mimo wszystko powinien w takich sytuacjach pohamować się z wygłaszaniem tego typu prawd objawionych. Przed oczami stała mu sprawa kanibala z Zielonej Góry. Wtedy początkowe założenia okazały się stekiem bzdur, a wydawałoby się absurdalne teorie, że to człowiek może być odpowiedzialny za śmierć ofiar, nawet pomimo twardych dowodów w postaci śladów po ludzkich zębach i DNA na tkankach ofiar, długo były wykluczane. A jednak prawda okazała się straszniejsza od najbardziej wyrefinowanych teorii. Tym bardziej hipoteza, że za śmiercią leżącej tu kobiety stał jeden z Wanzreichów, którzy kilkadziesiąt godzin wcześniej zostali zatrzymani jako podejrzeni

o zabójstwo dwóch innych, brzmiała co najmniej naiwnie. No chyba że sprawca był chory umysłowo. Ten argument jednak do Brudnego nie trafiał.

– A pan, komisarzu. Co pan o tym sądzi? – zagaił Krogulewski.

Brudny poczuł na sobie kilka par oczu. Pomyślał, że najchętniej wyrwałby facetowi ten złośliwy jęzor, ale powstrzymał się. Nadarzyła się jednak znakomita okazja, aby wsadzić kij w mrowisko i trochę w nim pogrzebać.

– Sądzę, że już niedługo dowiem się, kto za tym stoi – odparł wymijająco. – I ani kruk – powiódł wzrokiem po twarzach zebranych mężczyzn – ani kot tego nie powstrzymają.

Cuchnące trupem powietrze zgęstniało jeszcze bardziej. Jeden z młodych policjantów zrobił się zielony, Kmita zmarszczył brwi i bezwiednie podwinął wąs, a przez twarz Krogulewskiego przemknął dziwny grymas. Tylko patykowaty Szmajda wciąż łakomie wpatrywał się w zmasakrowany korpus oskalpowanej kobiety.

– Nie rozumiem – rzekł po dłuższej chwili Krogulewski. – Jaki kruk? Jaki kot?

– Nieważne – odparł Brudny i krzywo się uśmiechnął.

Gdy oddalał się, aby zapalić, miał już podejrzenie graniczące z pewnością, kto za tym wszystkim stoi. Wciąż jednak był sam przeciw wszystkim i musiał działać ostrożnie. Uśmiechnął się do siebie, gdy zdał sobie sprawę, że ma w tym całkiem spore doświadczenie. Gwidona kiedyś o to zadbała.

Rozdział 26

Salę sekcijną wypełniała cuchnąca woń trupa.

– Jesteście gotowi? – zapytał Mieczysław Gołąb, utykający na jedną nogę lekarz medycyny sądowej. Miał na sobie upačkany krwią biały fartuch, a na nosie wielkie rogowe okulary, które uwydatniały owal gładko ogolonej twarzy.

Zebrani w niewielkiej salce skinęli, a prokurator Krogulewski rzucił, że doktor ma brać się do roboty. Brudny podpierał ścianę z butelką soku z czarnej porzeczki w dłoni i przypatrywał się, jak barczysty asystent rozpina czarny worek ze zwłokami znalezionej przy strumyku kobiety. Miał mętlik w głowie. Trzy godziny wcześniej zapoznał się z aktami śledztwa i co najmniej jeden dowód mocno go zaskoczył.

– Wcześniej go wypuściliśmy, bo nie mieliśmy niepodważalnego dowodu winy – tłumaczył Kmita, z którym wypalił papierosa przed wejściem do budynku prosektorium. – Krogulewski może wydawać się bufonem, ale zawsze podejmuje decyzje na chłodno. Nie chciał stawiać Wanzreichowi bezpodstawnych zarzutów i wyjść przed sędzią na kretyna. Jego nasienie, które technicy ściągnęli z namiotu ofiar, zmieniło wszystko o sto osiemdziesiąt stopni. To on, komisarzu Brudny. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Rzeczywiście, dowód wydawał się mocny. Może nie był niepodważalny, ale mógłby przekonać o winie Wanzreicha niejednego sędziego. Decyzja o wypuszczeniu smolarza, a następnie ponownym zatrzymaniu go po uzyskaniu wyników z laboratorium też się broniła. To się po prostu kleiło. Miało sens. Próby podawania w wątpliwość zamiarów ekipy śledczej i doszukiwania się w ich działaniu drugiego dna – choć Brudny na oczekaniu nakreślił sobie kilka ewentualnych teorii – w najlepszym razie prezentowały się mało wiarygodnie. Komisarz założył nawet, że dowód mógł zostać spreparowany, ale w takim wypadku w oszustwo musiałoby być zaangażowanych zbyt wiele osób, w tym technicy kryminalistyczni, co zakrawałoby już na olbrzymią znowę w zasadzie obcych sobie ludzi. Odrzucił więc i tę hipotezę. Wciąż pozostawało jednak wiele

do wyjaśnienia, w tym udział w zdarzeniu Wiktora Bursztynowicza. Niestety, na temat syna posła w aktach nie było najmniejszej wzmianki, choć według ustaleń Brudnego chłopak z dużym prawdopodobieństwem widział się z kobietami na polanie przy kapliczce, gdzie te rozbiły namiot. I tu miał powody sądzić – choćby z powodu powiązań rodzinnych – że sprawa rzeczywiście ma drugie dno, a młody Bursztynowicz jest najzwyczajniej w świecie kryty. Korciło go, aby wprost zapytać o to Kmitę, ale uznał, że w obecnej chwili nic tym nie osiągnie, a poza tym warto byłoby mieć w przyszłości jakiegoś asa w rękawie.

– Rzadko się zdarza, żebym nie wiedział, od czego zacząć – oznajmił Gołąb, przyglądając się ofierze.

Pierwsze oględziny zrobił już na miejscu odnalezienia ciała, ale wciąż był pod nielichem wrażeniem tego, co zobaczył. Zmasakrowane przez niedźwiedzia zwłoki Gracjana Wenzreicha, którym zajmował się godzinę wcześniej, nie wzbudziły w nim niemal żadnych emocji. Ot trochę zadrapań, ugryzień, odgryziona ręka i oderwana żuchwa. Widywał gorsze przypadki, na dodatek nie znalazł żadnych śladów działalności człowieka. Ale to? Na samą myśl, co musiała przeżywać ta dziewczyna, czuł mrowienie na całym ciele.

– Najlepiej od początku – rzucił Krogulewski.

– Łatwo powiedzieć – mruknął Gołąb. – Ja po prostu nigdy nie spotkałem się z takim przypadkiem. Skala okrucieństwa zadanego ofierze wykracza poza... – przez chwilę szukał odpowiedniego słowa – poza wszelkie wyobrażenie. Nawet dwie poprzednie ofiary, choć niewątpliwie musiały cierpieć potworne katusze, przy tej dziewczynie... – Znow się zawahał, jakby nazbyt ostrożnie pilnował dobieranych słów.

– Konkretnie, Mietek – wtrącił się prokurator. – Znamy już ostateczną przyczynę zgonu?

Krępy patomorfolog nachylił się nad pozbawionym skóry korpusem. Poprawił opadające mu na nos okulary, a potem przeniósł wzrok na spuchniętą i pokiereszowaną twarz. Powyrywane zęby, wycięty język, wydłubane oczy, wiele ran ciętych.

– Kobieta niewątpliwie była długo torturowana – zaczął po dłuższym namyśle.

– Oczy i język zostały usunięte poprzez kontakt z rozgrzanym narzędziem metalowym, najprawdopodobniej ostrzem noża. Zęby wyrwane, zapewne cęgami. Skórę z klatki piersiowej i pleców zdarto, używając dużej siły.

– To znaczy? – zapytał Brudny, który podszedł bliżej, aby przyjrzeć się konkretnym miejscom.

– Wszędzie widać krwawe podbiegnięcia, a do tego tkanka jest mocno poszarpana – wyjaśnił Gołąb. – Nie widać cięć na tkance łącznej, zwłaszcza tłuszczowej i włóknistej, choćby takich, jakie robię skalpelem podczas oględzin.

W mojej ocenie morderca po uprzednim wykonaniu kilku nacięć kolejnymi szarpnięciami po prostu zrywał z niej skórę gołymi rękoma. Nie wiem, do czego to można porównać... – Patomorfolog wykonał gest dłonią. – Może do skórowania zająca? Tak, chyba tak to wygląda. Myśliwi po prostu zdzierają skórę mocnym szarpnięciem. Podobnie musiał zadziałać morderca. I w przeciwieństwie do nich zrobił to, gdy ofiara żyła.

Brudny spotkał się już kiedyś z podobnym przypadkiem. Pamiętał doskonale opinię wydaną przez nieodżałowanego Roberta Krzywickiego, który badał zwłoki zamordowanej Oliwii Malinowskiej. Ona też miała wydłubane oczy i została pozbawiona skóry, choć nie z tułowia, ale z twarzy. Oba przypadki łączył fakt, że morderca pastwił się nad kobietami, zanim pozbawił je życia.

– Zatrzymanie akcji serca z powodu wstrząsu bólowego? – zapytał, sugerując się oceną patomorfologa z Zielonej Góry.

Gołąb odchrząknął i głośno wypuścił powietrze.

– Tak, to bardzo prawdopodobne wyjaśnienie – powiedział. – Człowiek jest w stanie znieść ból, który dla wielu z nas mógłby wydawać się niewyobrażalny, ale czysto teoretycznie, jeśli nie uszkodzi się najważniejszych narządów wewnętrznych, trudno go zabić. Wstrząs bólowy jest niejako odpowiedzią organizmu na skrajnie niekomfortową sytuację. Impuls nerwowy jest tak silny, że ten się po prostu wyłącza.

– Czy to robota tego samego sprawcy, który zabił Dąbrowską i Matejczuk? – włączył się do rozmowy Kmita.

– Obrażenia mocno się różnią, ale biorąc pod uwagę okoliczności, dałbym sobie rękę uciąć, że to ten sam człowiek. Dwie poprzednie ofiary zostały oskalpowane, ale śmierć ewidentnie nastąpiła wskutek wykrwawienia się po...

– Po ludzku, Mietek, po ludzku... – wtrącił Kmita.

– Po... no... po podejrzeniu gardeł – wykrztusił z siebie, jakby taka forma wyjaśnienia była co najmniej obraźliwa. – Do tego miały liczne rany cięte i kłute. W przypadku tej kobiety takowych nie ma, ale sam sposób obchodzenia się z ciałem ofiary jest bardzo podobny. Sprawca na pewno nie jest ekspertem w dziedzinie medycyny ani choćby utalentowanym rzeźnikiem. Cechuje go prymitywizm, nieokrzeseanie i niezwykła brutalność.

– Wypisz wymaluj Wanzreich – mruknął Krogulewski.

– Myślę też, że on szczerze nienawidził ofiar – dodał Gołąb. – Być może ma jakiś uraz do kobiet. Z dzieciństwa, z młodości. No nie wiem, może wykraczam poza swoje kompetencje, ale takie mam osobiste odczucia. Tym człowiekiem kieruje jakiś wewnętrzny gniew, nad którym nie panuje.

– Wiemy już, kim jest ofiara? – zmienił temat Brudny.

– Trudno o identyfikację, ale istnieje podejrzenie, że to jedna z mieszkanek Baligrodu – odparł Kmita. – Nazywa się Rozalia Czubaj i zaginęła dwa dni temu. Jej matka zarzeka się, że takie zniknięcia są do niej niepodobne, zwłaszcza że wyszła z domu późnym wieczorem. Chcę jednak oszczędzić jej widoku zwłok. Identyfikacji dokonamy w inny sposób.

Brudny pomyślał, że jego pierwszym krokiem po wyjściu z prosektorium będzie sprawdzenie zgłoszenia o zaginięciu. Do tej pory, co wydawało się zrozumiałe, nikt nie łączył obu spraw, więc do akt, które kilka godzin temu trafiły w jego ręce, nowy wątek mógł nie zostać jeszcze dołączony.

– Jak ma się do tego motyw seksualny? – ciągnął Brudny. Przeniósł wzrok na podbrzusze ofiary, kątem oka dostrzegając irytację malującą się na twarzy Krogulewskiego. Widać było, że facet ledwo się hamuje.

Gołąb wydawał się zupełnie nie zauważać panującego wewnątrz salki napięcia. Obszedł stół i pokręcił głową.

– Okolice intymne, jak widać po obrażeniach, wymagają dokładniejszego badania i pobrania próbek – wyjaśnił. – Ślady po pazurach są ewidentne, więc zakładam, że niedźwiedź, który dobrał się do trupa, przypadkiem rozorał łapą podbrzusze, pożywiając się tkanką z uda – dodał, wskazując skalpelem miejsce, gdzie straszły głębokie ubytki na lewej nodze denatki.

– Jakie jest pana zdanie w tej kwestii? – naciskał Brudny.

– Moje zdanie? – Gołąb poprawił okulary i spojrzał na komisarza, jakby nie był przygotowany na podobne pytanie.

– Mówi pan o gniewie, urazie do kobiet. W raporcie z oględzin poprzednich dwóch ofiar nie ma wzmianki na temat obrażeń sugerujących penetrację. Mimo to w pana ocenie pojawił się motyw seksualny, a jednym z kluczowych dowodów przeciwko Samuelowi Wanzreichowi jest jego nasienie...

Gołąb uniósł brew i wydał usta, prezentując wyjątkowo nienaturalny grymas. Podrapał się po podgardlu.

– Też mi się to jakoś ze sobą kłóci, ale w tej chwili nie jestem w stanie powiedzieć nic więcej – wyznał. – Próbkę płynów pobrane jeszcze na miejscu zbrodni trafiły już do laboratorium, a ja na pewno coś jeszcze dorzucę, gdy będę miał chwilę spokoju. Więcej będziemy wiedzieć, gdy otrzymamy wyniki.

Przez następne czterdzieści minut asystent kroił zwłoki, a Gołąb wyjmował i analizował poszczególne narządy wewnętrzne, co jednak nie przyniosło przełomowych wniosków. Wszystko wskazywało, że kobieta rzeczywiście zmarła w wyniku wstrząsu bólowego, ewentualnie wykrwawienia. Niestety, oględziny zamiast spodziewanych wyjaśnień zrodziły jedynie dodatkowe pytania. Przynajmniej w głowie Brudnego, bo Kmita i Krogulewski już dawno wydali wyrok. Jego niepokój wzbudzała też postawa aspiranta Szmajdy, który przez

blisko godzinę nie odezwał się ani słowem, ale nie mógł oderwać wzroku od zwłok. Korciło go, aby zapytać, co go tak ekscytuje, ale facet mógł się wykpić na tysiąc sposobów. Uznawszy, że nie ma sensu napinać i tak naciągniętej do granic struny w relacjach z ekipą śledczych, postanowił, że po prostu będzie robił swoje. Wbrew pozorom miał ku temu wymarzone warunki, bo po pierwsze nie musiał słuchać przełożonych, gdyż takich nie miał, po drugie miał pełny dostęp do akt sprawy, a po trzecie mógł pracować sam. Ta myśl wprawiła go w wyjątkowo dobry nastrój, mimo że za nowe reflektory musiał zapłacić więcej niż za ostatnie trzy miesiące życia w leśnej chałupie. Z tego też powodu chwilowo odpuścił wymianę dwóch bocznych szyb, które co prawda wymienić bezwzględnie należało, ale nie dało się tego zrobić od ręki, poza tym siateczka pęknięć aż tak bardzo nie przeszkadzała mu w użytkowaniu patrola.

Humor popsuł mu się, gdy dotarł do sanockiej komendy i w jego ręce trafiło zgłoszenie dotyczące zaginięcia Rozalii Czubaj. Gdy zobaczył zdjęcie poszukiwanej, od razu rozpoznał w niej zahukaną dziewczynę ze sklepu. Co gorsza, podskórnie czuł, że pośrednio przyczynił się do jej śmierci. Wydłubane oczy, odcięty język – w grupach przestępczych, zwłaszcza tych o podłożu mafijnym, w ten sposób zwykle karano tych, którzy łamali zмовę milczenia.

Czy zatem Rozalia Czubaj mogła być osobą, która podjęła takie ryzyko? Czy to ona zostawiła mu pod drzwiami liścik, a potem nie stawiała się w umówionym miejscu? Czy rzeczywiście wiedziała coś, co mogłoby pomóc schwytać mordercę, ale nie zachowała ostrożności, przez co ten zwyrodnialec ją za to ukarał?

W pierwszej kolejności chciał to natychmiast sprawdzić. Upewnić się, że się nie myli. Wystarczyło jedynie pojechać do jej domu i poprosić matkę o pokazanie mu jakiegoś zeszytu, pocztówki, pamiątnika, czegokolwiek, co pozwoliłoby porównać pismo z kartki z wzorcem. Tylko co, jeśli miałyby rację? Jak miałyby spojrzeć w oczy jej matki, wiedząc, że to przez niego cierpiała takie katusze, a na koniec została zamordowana? Przecież ona jeszcze nawet nie wiedziała o śmierci córki!

Pomyślał, że na stare lata mięknie jak zużyta gąbka, ale nie był w stanie się przełamać. Najpierw musiał się uspokoić, pomyśleć i przeanalizować wszystkie możliwości. Pomocną dłoń wyciągnęła do niego pani Halina.

– To, co zwykle? – zapytała.

– Tak.

Igor Brudny chwycił jamesona pod pachę i wyszedł ze sklepu. Żałował tylko, że w chałupie nie ma telewizora. I kolekcji starych kaset VHS z *Brudnym Harrym*. Stary dobry Clint zawsze pomagał mu odciąć się od podłego świata, ale dziś jameson musiał wystarczyć.

Rozdział 27

– Ten gnojek naprawdę zaczyna mnie irytować – oznajmił Krogulewski, poluzowując krawat.

– Ale co ja mogę? – odparł Kmita. – Dostaliśmy jasne wytyczne z wojewódzkiej.

– Wiem, kurwa! – warknął prokurator. – Nie musisz tego powtarzać za każdym razem.

Mężczyźni siedzieli w kawiarence niedaleko budynku prokuratury. Na dworze było wystarczająco ciepło, żeby właściciel wystawił kilka stolików na zewnątrz, co na początku kwietnia w Bieszczadach zdarzało się co najwyżej incydentalnie. Kawa w promieniach wiosennego słońca smakowała jednak wybornie.

– Najgorsze w tym wszystkim jest to, że ja praktycznie nie mam nad nim żadnej władzy – skarżył się dalej Kmita. – Próbowałem gadać z Hałasem, ale polecił mi, abym się nie wtrącał. Ostrzegł wyraźnie, że jeśli będę mu robił problemy, to wojewódzka się wścieknie. Ja naprawdę tego nie rozumiem. To jakaś święta krowa? Facet może i ma znaną gębę, ale nawet nie nosi odznaki.

– Nie nosi, bo ma wyjebane na system, który sam rozpierdolił od środka. Przypomnieć ci, komu zawdzięczamy zmianę jaśnie nam panującej władzy?

– W sumie...

Mężczyźni zadumali się na dłuższą chwilę. Kmita aż tak bardzo nie angażował się w politykę, a na pewno mniej niż Krogulewski. Zdawał sobie jednak sprawę, że od czasu gdy po aferze w domu Kumidora rozpisano przyspieszone wybory, a władzę ostatecznie przejęła opozycja, doszło do głębokich czystek niemal na każdym wyższym stanowisku organów ścigania. Zmiany nie dotyczyły wszystkich komend miejskich, bo to by wprowadziło trudny do opanowania chaos, ale większość wojewódzkich roszady nie ominęły. W Rzeszowie stołek komendanta komendy wojewódzkiej trafił do Ryszarda Hyżego, o którym wiedział niewiele poza tym, że stracił stanowisko siedem lat wcześniej z powodów politycznych. To oznaczało, że nie było mu po drodze z uprzednią władzą, której jednym

z prominentnych przedstawicieli był Maciej Bursztynowicz. Dziś Hyży znów był górą. Miał poparcie Wiejskiej i jednym rozkazem mógł narobić w Sanoku niemałego rabanu.

– Jebaniec panoszy się tu jak tania kurwa na wakacjach – wyrwał się nagle Krogulewski. Gniew tak go rozjątrzył, że uniósł pięść, aby rąbnąć nią w stolik, ale w ostatniej chwili się opanował. Zamiast tego upił łyk kawy. – To nie może tak wyglądać. Musi być jakieś wyjście. Jeśli ten chujek będzie dalej w tym grzebał, to prędzej czy później dokopie się do młodego Bursztynowicza, a wtedy wybuchnie afera, która zmiecie nas wszystkich. Co gorsza, Maciej nam tego nie odpuści. Jeśli pójdzie na dno, to ja i – wskazał palcem na Kmitę – ty razem z nim. – Prokurator upił łyk kawy. – Jak Brudny w ogóle zareagował, gdy powiedziałeś mu o tej próbce z nasieniem? – zapytał.

Kmita wzruszył ramionami.

– Teraz to już nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

– No po prostu nie wiem – powtórzył komisarz. – Z początku wyglądał na zaskoczonego, ale po tym, co dziś powiedział podczas sekcji...

– No tak – przerwał mu Krogulewski. – Jeszcze ten Gołąb. Debil zasrany. Musiał stary konował dołożyć swoje trzy grosze. Kretyn, kurwa!

Kmita chciał powiedzieć, że może jednak nie ma co się tak wściekać, bo mają zwyrodnialca za kratkami i tylko kwestią czasu jest, kiedy Wanzreich wyląduje w więzieniu, ale nagle odniósł nieodparte wrażenie, że wszystko, co do tej pory ustalili, jest gównem warte. Wiedział, że Krogulewski od lat znajduje się pod parasolem ochronnym Bursztynowiczów i że naciski ze strony Macieja muszą być silne, ale za tym kryło się coś więcej. Prokurator się czegoś panicznie bał, a w jego oczach tliła się jakaś forma obłądzenia. Nie umiał sprecyzować, jaka i czego dotyczy, ale facet po drugiej stronie szklanego blatu wydawał się zupełnie obojętny na fakt, że właśnie zatrzymali głównego podejrzanego o najbardziej przerażającą zbrodnię od dekad. Przez cały ten czas nawet nie wspomniał o postawieniu Wanzreichowi zarzutów. Tak jakby sam nie wierzył w jego winę. Brzmiało to absurdalnie, ale obecnie zajmował go jedynie Igor Brudny.

Przed oczami znów stanęła mu wizja utyłanego we krwi Wiktora Bursztynowicza. Czy chłopak mógł mieć z tymi morderstwami coś wspólnego? Czy Krogulewski go kryje? Nie, pomyślał. To brzmi absurdalnie. Znał Wiktora. Dzieciak miał dopiero osiemnaście lat i choć mógł być postrzegany jako rozpieszczony bachor, to przecież nie mógłby dopuścić się tak potwornych zbrodni.

– O osiemnastej zwołałem w siedzibie prokuratury konferencję prasową – przerwał jego rozmyślenia Krogulewski, który wklepywał jakąś wiadomość

w swoim smartfonie. – Będiesz mi towarzyszył i ładnie opowiesz o zatrzymaniu Wanzreicha.

– Ja?

– A masz z tym jakiś problem?

– Nie lubię przemawiać...

– Ja też nie lubię mielonych mojej starej, a ona uparcie je smaży w każdą pieprzoną niedzielę. Nie ma dyskusji. Zresztą powinieneś mi dziękować. W końcu będziesz mógł pochwalić się czymś więcej niż ściągnięciem kota z drzewa. A teraz idź do domu i odziej się jak człowiek, bo wyglądasz jak gówno.

Kmita nie spodziewał się takiego zakończenia rozmowy, ale nie zamierzał przebywać z prokuratorem ani chwili dłużej. Wstał, przy kasie zapłacił za swoją kawę i poszedł do samochodu.

Gdy jego firmowa kia zniknęła za zakrętem, prokurator z ciężkim sercem wybrał numer do Macieja Bursztynowicza. Poseł odebrał po pierwszym sygnale.

– Już możesz rozmawiać? – zapytał.

– Tak.

– Kiedy miałeś zamiar mi powiedzieć o Brudnym?

– Dowiedziałem się tuż przed zatrzymaniem Wanzreicha. Ale to chyba rozmowa nie na telefon...

– Też tak uważam. Czekam u siebie.

– Ale... – Krogulewski się zawahał. – Macieju... za dwie godziny zwołałem konferencję prasową i...

– Gówno mnie obchodzi twoja konferencja prasowa – warknął Bursztynowicz.

– Za kwadrans masz być u mnie, jasne? Kwadrans i ani minuty dłużej.

Połączenie zostało przerwane, a Krogulewski poczuł lekką panikę. Nerwowo zerknął na zegarek i zostawiwszy na stole dwadzieścia złotych, popędził do samochodu.

Rozdział 28

Nie było mu dane wypić w spokoju.

Świadomość, że przy wypale wciąż stoi radiowóz, drażniła go do tego stopnia, że nie mógł się opanować, aby przynajmniej raz na kwadrans nie wyjść na ganek i nie skontrolować sytuacji. Siedzący wewnątrz wozu gliniarze udawali, że pilnują zamkniętego terenu, ale Brudny czuł, że dostali zupełnie inne zadanie. Mieli pilnować jego, był o tym święcie przekonany. Tym bardziej irytowała go ta sytuacja, bo czuł się jak na smyczy, a tego bardzo, ale to bardzo nie lubił. Co gorsza, nie mógł zaprotestować, bo mieli wymówkę, której nie dało się podważyć.

Pozwolił sobie na jednego drinka. Wypił go na kanapie, patrząc na ogień w kominku. Odrobinę pomogło. Dręczące go myśli wyblakły, a umysł się wyostrzył. Wciąż nie miał jednak na tyle cywilnej odwagi, aby wybrać się do matki Rozalii Czubaj. Czuł się jak w potrzasku, fizycznym i emocjonalnym. Chciał, ale nie mógł. Co gorsza, jego umysł co chwila bombardowały coraz to dziwniejsze hipotezy, które nie dość, że z czasem zaczynały wydawać się wręcz absurdalne, to jeszcze często wzajemnie się wykluczały.

Tracił formę? Wypalił się? A może po prostu podszedł do sprawy zbyt osobiście, przez co jego osądy z góry były naznaczone błędną logiką? Ale czy w tym śledztwie w ogóle istniała jakaś logika?

Jeszcze nigdy nie prowadził śledztwa, w którym prawie każdy, kto stawał mu na drodze, niemal automatycznie trafiał na listę podejrzanych, ba, podejrzewał nawet osoby, z którymi do tej pory nie nawiązał żadnego kontaktu. Czuł się osaczony, a fakt, że komuś ewidentnie zależało, aby odpuścić, tylko to wrażenie osaczenia pogłębiał. Do tego ta stara, skrzypiąca przy każdym pierdnięciu chałupa, której krokwie mogły w każdej chwili zwalić mu się na łeb. Głupio-mądry Kmita, mający obłęd w oczach Szmajda, knujący coś na boku Krogulewski, sterujący z tylnego siedzenia Bursztynowicz, którego rozpieszczony bachor ma coś na sumieniu, stare legendy o ponurych smolarzach, setkach niewyjaśnionych

zaginięć, tajemnicze wydarzenia sprzed ponad pół wieku, w nich zaś element antysemicki, stary cmentarz z trupem jakiegoś Ruskiego, a do tego jeszcze niedźwiedź, któremu akurat zachciało się wygramolić z gawry i zeżreć syna sąsiada będącego głównym podejrzanym o zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem trzech młodych kobiet, i to na podstawie naprawdę solidnych dowodów. Tego było po prostu za dużo i Brudny miał wrażenie, że zaczyna się w tym wszystkim gubić. Owszem, mógłby to zwalić na wiele rzeczy, ale nigdy nie posuwał się do tak prostackich wymówek. To była jego dobrowolna decyzja. Zaangażował się w śledztwo, czego robić nie musiał, a gdy poczuł, że znalazł się w czarnej dupie, wystąpił o nieoficjalne pozwolenie dające mu dostęp do akt sprawy. Co z tego, gdy w najgorszym scenariuszu nie podejrzewał, że wiedza, jaką posiada, zamiast wyjaśnić wątpliwości, zagmatwa wszystko jeszcze bardziej. Potrzebował czegoś, co powiąże te wszystkie wątki, wspólnego mianownika, a najlepiej miecza, który przetnie ten węzeł gordyjski i ukáže, co kryje się za pajęczyną utkaną z bieszczadzskich tajemnic.

Pomyślał, że gdyby miał przy boku Julkę, to przynajmniej mógłby przegadać z nią wszystkie kwestie. Wiedział, że czasem najbardziej nieprawdopodobne hipotezy stają się realistyczne, gdy wypowie się je na głos. Sam ze sobą gadać nie chciał, bo wydawało mu się to niedorzeczne, a do tego z wolna zaczynało ocierać się o obłęd. Nagle bardzo za nią zatęsknił i znów poczuł przypływ wyrzutów sumienia. Ona tam, sama, przygnieciona tysiącem spraw, a on zbija bąki gdzieś na końcu świata, tłumacząc się potrzebą chuj wie czego. Wybrał numer, nawet nie zerkając na zegarek.

– Cześć, kochanie – przywitał się.

– No hej, kochanie. – Julka mocno podkreśliła ostatnie słowo. – Co tam u ciebie?

– Dużo się dzieje. W wiadomościach jeszcze nie gadali?

– Nie oglądałam, bo tonę w papierach. A co się dzieje?

– Dużo. Kolejny trup, a w zasadzie dwa. Kobieta obrana ze skóry i syn sąsiada pożarty przez niedźwiedzia.

– Jaja sobie robisz...

– Nie robię sobie jaj.

– Niedźwiedź? – Julka wyraźnie nie dowierzała, a w jej tonie dało się wyczuć kpinę.

– W górach czasem zdarzają się ataki na ludzi. Ten miał podstawy, bo ktoś ewidentnie zachęcił miśka, aby wybrał się na spacer. Pamiętasz ten film z Anthonym Hopkinsem? Ten, w którym doszło do wypadku na Alasce, a potem ich ścigał ten grizzly?

– *Lekcja przetrwania*. Genialne kino.

– No więc wszystko wskazuje, że pod moim nosem doszło do bliźniaczej sytuacji. Ktoś podrzucił trupa kobiety niedaleko wypału, a do tego porozwieszał skórę ofiary na gałęziach. Zapach krwi wywabił niedźwiedzia z gawry, która wedle lokalnych mieszkańców znajduje się kilka kilometrów w głębi lasu. Bartek, bo tak go pieśczośliwie nazywają, przyszedł na kolację i najprawdopodobniej natknął się na syna Wanzreicha. Chłopak nie miał szans.

– Trudno w to uwierzyć. – W tle dało się słyszeć charakterystyczne odgłosy dochodzące z korytarza komendy. – Właśnie wychodzę z fabryki, więc pewnie zaraz przejrzę wiadomości.

– A to i tak tylko mały wycinek tego bałaganu. Możesz gadać?

– Mogę, ale wiesz co... Daj mi kwadrans, bo trudno mi mówić i nieść te wszystkie graty.

– Jakie graty?

– No graty, nieważne. Jak wsiądę do samochodu, to oddzwonię, okej?

– Okej.

Julka się rozłączyła i Brudny znów został sam. Ogarnęło go nagle przygnębienie, a butelka Jamesona zaczęła się do niego uśmiechać jakby nieco szerzej. Przez chwilę się wahał, czy jednak nie nalać sobie drugiego, ale tego nie zrobił. Wstał z kanapy i wyszedł na werandę. Radiowóz wciąż stał w tym samym miejscu, w nim zaś tkwiło dwóch funkcjonariuszy. Ten od strony pasażera chyba coś jadł, a drugi palił papierosa, bo z okna co rusz wydobywała się chmurka białego dymu. Brudny też zapalił. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w widok górskich szczytów, wtedy poczuł, jak coś łaskocze go w ucho. Odwrócił się i dostrzegł, że zaczął się pajączką sieć. Strzepnął z siebie jedną z nici i przyjrzał się nienaturalnie dużej pajęczynie. Rozciągała się od jednej z kolumn podtrzymującej zadaszenie nad gankiem i niknęła gdzieś pomiędzy spróchniałymi krokwiemi. Ogromny krzyżak dumnie siedział niemal w samym jej centrum. Jedną nogą wciąż przestępował z jednej nici na drugą.

Brudny uśmiechnął się do pajaka i pomyślał, że ten to przynajmniej nie ma podobnych problemów. Zeżre sobie muchę, pierdnie – jeśli pajaki pierdzą – wydali ją i dalej będzie sobie siedział w swoim królestwie, mając wszystko i wszystkich głęboko w dupie. Wtedy kątem oka dostrzegł cień przelatującego orła, a chwilę później zdał sobie sprawę, że przy paśniku stoi potężny rogacz. Jeleń patrzył wprost na niego, w spokoju przeżuając wsypane kilka dni wcześniej ziarno.

– To wszystko takie nierealne... – mruknął do siebie Brudny. Wtedy przed oczami stanęła mu Klepacka. Aż się wzdrygnął, gdy przypomniał sobie jej słowa.

– Lokalni mieszkańcy widzieli w ciotce szeptuchę – zdradziła mu, gdy zastanawiał się nad przeprowadzką do opuszczonej wówczas chałupy. – Miała

w okolicy ogromne poważanie, bo potrafiła leczyć beznadziejne przypadki. Odwiedzali ją wszyscy, w tym biskupi czy ludzie władzy. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale z zaawansowanego raka wyleczyła podobno starego Leopolda Bursztynowicza, który od niepamiętnych lat był tu prawie Bogiem.

Szeptucha, pomyślał. W aktach natknął się na wzmiankę, że Gracjan Wanzreich zaraz po zaginięciu Małgorzaty Dąbrowskiej i Eweliny Matejczuk spędził na leczeniu u niejkiej Sławy Muchowej trzy dni. Wynikało z nich, że przez lokalnych mieszkańców też była uważana za szeptuchę, a wizyta u niej miała być wyjaśnieniem podejrzanej nieobecności Wanzreichów na wypale. Wtedy nie uznał tej informacji za istotną, bo bardziej zajmowały go choćby wyniki z laboratorium, ale w świetle słów Klepackiej poczuł, że mógł popełnić istotne niedopatrzenie. To jednak były Bieszczady. Tu wciąż folklor mieszał się z legendami, a religia katolicka z wierzeniami przodków. Smolarze, szeptuchy, dzika natura, przesady – na tych terenach ludzie wciąż wierzyli w zabobony, w coś więcej niż to, co można zobaczyć i czego można dotknąć. A jeśli u świętej pamięci Stefanii leczył się sam Leopold Bursztynowicz, to może i Sława miała równie „dostojnych” gości. Albo pacjentów. Może klientów? Zwał, jak zwał, ale Brudny poczuł nagłą potrzebę odwiedzenia starej szeptuchy, która wedle protokołu liczyła sobie niewiarygodne sto sześć lat. Jeśli zatem wciąż nie tylko była na chodzie, ale mogła leczyć, to z pewnością miała też sporo do powiedzenia. Tylko gdzie ona mieszkała? Przez chwilę szukał w pamięci momentu, gdy przeglądał protokół z przesłuchania. Miał to na końcu języka, ale w końcu się poddał. Posłał ostatnie spojrzenie jeleniowi i wyjął z kieszeni smartfon. Wybrał numer do Klepackiej. Ona mogła wiedzieć.

– Cześć – przywitał się.

– Cześć, Igor. Jak miło cię słyszeć. Dawno się nie odzywałeś.

– No jakoś tak wyszło. Jesteś na bieżąco?

– Co masz na myśli?

– Trochę się tu narobiło. W wiadomościach już powinni mówić.

– Oj, nie, niestety. Od tygodnia jestem na urlopie w Turcji. Z moim nowym chłopakiem. Nazywa się Michał i chyba coś z tego będzie. Spotykamy się od dwóch miesięcy. Fajny jest. Przystojny i taki, no wiesz, porządny. Pochodzi z Krakowa. Pracuje w firmie ubezpieczeniowej na stanowisku menedżera od... w sumie to nie wiem dokładnie. Ale...

Klepacka wypluwała z siebie słowa jak karabin maszynowy. Brudny dał jej się wygadać. W słowach przyjaciółki słyszał wielką ekscytację. Wydawała się szczęśliwa. Po tym wszystkim, co zgotował jej los, cieszył się, że odżyła, i nie chciał jej tego zabierać, a tym bardziej psuć urlopu. W tym czasie dowiedział się o panującej w Turcji pogodzie, temperaturze i przejrzystości wody, wycieczce na zapierające dech wapienne tarasy Pamukkale, niezapomnianym locie balonem,

pierwszych próbach nurkowania w basenie, wtopie z niedobrym kebabem, po którym miała rozstrój żołądka, i jeszcze kilku innych przygodach Justyny i jej nowego faceta, które niespecjalnie go obchodziły, ale na swój sposób cieszyły. Gdy w końcu opróżniła cały słowny magazynek, przypomniała sobie, że połączenie może jednak kosztować dzwoniącego więcej, niż mógłby się tego spodziewać.

– Ale czekaj, mówiłeś coś o wiadomościach? Że coś się porobiło?

– Nic takiego. Odpoczywaj. Mam tylko jedną prośbę.

– Dla ciebie wszystko, Igor. Wiesz o tym.

– Tak, wiem. Znasz może adres niejakiej Sławy Muchowej? To podobno taka szeptucha, trochę jak twoja ciotka.

– Oczywiście, że wiem, gdzie mieszka. Ciocia Stefania się z nią przyjaźniła i przez długie lata pobierała u niej nauki. Pani Sława jest niesamowita. Ty wiesz, że ona ma już ponad sto lat?

– Tak, wiem. Potrzebuję tylko adresu.

– Pani Sława mieszka... cóż... w lesie.

– A dokładniej?

– Ma piękną starą chałupę nad równie cudną, zwłaszcza o tej porze, Wetliną. Kiedyś była tam wieś o nazwie Ług, która dziś już istnieje co najwyżej na starych mapach. Trochę jak Tyskowa, w której mieszkasz.

Brudny na poczekaniu wbił nazwę w Google Maps, ale zasięg był na tyle słaby, że grafika nie chciała się załadować.

– To daleko ode mnie? – zapytał.

– Nie. Piechotą trochę by zeszło, ale samochodem nie więcej niż godzinę. Jest tam droga szutrowa, więc w zasadzie możesz podjechać pod drzwi.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. A powiesz, co cię skłoniło, aby się do niej wybrać?

– Powiedzmy, że zainteresowały mnie legendy – skłamał w nadziei, że Klepacka nie zacznie grzebać w internecie. Naprawdę nie chciał psuć jej wypoczynku.

– Nikt nie wie na ten temat więcej od pani Sławy. No i fajnie, że się zainteresowałaś. Bieszczady naprawdę mają niezwykle ciekawą historię. Koniecznie ją ode mnie pozdrów. Znaczą się panią Sławę.

– Pozdrowię.

– Aha... tylko wiesz... – Klepacka się zawahała. – W sumie akurat tobie nie powinnam mówić takich rzeczy, ale innych zawsze ostrzegam, że pani Sława jest... no wiesz... specyficzna. Przypomina trochę... no wiesz...

– Kogo?

– Babę Jagę.

– Brzmi wspaniale. A teraz muszę kończyć, bo pewnie się nie wypłacę. Dzięki wielkie. I bawcie się dobrze.

– Pozdrawiamy.

– Pa.

Brudny od razu wyszedł na ganek, a następnie obszedł chałupę i wspiął się jeszcze kilkanaście metrów na wzniesienie. Tam zwykle sygnał działał bez zarzutu. Raz jeszcze wbił nazwę miejscowości, o której wspominała Justyna. Ług znajdował się niecałe trzydzieści kilometrów od Tyskowej, a sugerowany czas dojazdu wynosił czterdzieści osiem minut. Za godzinę, jak trochę wywietrzeje, pojedzie do pani Sławy.

Gdy wyszedł z Google Maps, dostrzegł, że ktoś próbował się z nim skontaktować. Oddzwonił do Julki.

– Już w samochodzie? – zapytał.

– Tak, jadę do domu. Opowiadaj, co tam się dzieje.

Gdy Brudny referował Julce wydarzenia z ostatnich kilkunastu godzin, Samuel Wanzreich popadał w areszcie w coraz głębszą apatię, Bartek próbował wygryźć z zadu strzałki ze środkiem usypiającym, a w rezydencji posła Macieja Bursztynowicza trzech mężczyźni debatowali, jak rozwiązać niekorzystną dla nich sytuację. W ich ocenie groźny morderca był już za kratkami, ale teraz sen z powiek spędzał im Igor Brudny. Obawiali się, że jego niezachwiany upór w grzebaniu przy sprawie już wkrótce może ujawnić mroczną prawdę z dalekiej przeszłości, i teraz to rozwiązanie tego problemu stanowiło dla wszystkich największe wyzwanie.

Rozdział 29

Chałupa Sławy Muchowej wyglądała, jakby ktoś wyciągnął ją wprost z *Baśni braci Grimm*. Wykonana z grubych bali, ze spadzistym dachem pokrytym równo ułożoną strzechą i kolorowymi okiennicami, skrywała się na polanie pomiędzy niewielkim stawem a meandrującą Wetliną w cieniu koron potężnych buków, pękatych lip i muskających jej ściany wierzb płaczących. W oknach odbijały się refleksy powoli niknącego za niewysokimi szczytami słońca, a na gałęziach otoczonych zaniedbanym płótem drzew grzechotały i brzęczały najróżniejsze amulety i talizmany. Najwięcej było tych zdobionych piórami, ale wisały też medaliony z drewna i brązu, woreczki wyglądające jak małe sakiewki, krzyże i coś, co przypominało mu łapacze snów. Większość nawiązywała do ludowych wierzeń, często starosłowiańskich, ale także odwołujących się do szeroko pojętej natury. Na grawerunkach bądź ręcznie dłubanych obrazkach dominowały zwierzęta, liście, drzewa, słońca i księżyce oraz dziwne symbole i podobizny pradawnych bogów, jak Perun czy Swaróżyc.

Brudny nie znał się na tych wszystkich zabobonach, ale musiał przyznać, że całość tworzyła niezwykle efekt. Na swój sposób niepokojący, ale również wabiący i skłaniający do ryzyka niczym kusząca dzieci piernikowa chatka Baby Jagi z bajki o Jasiu i Małgosi. Pomyślał, że jeśli gdziekolwiek miałyby pomieszkiwać duchy, to właśnie tu, po czym nacisnął poluzowaną klamkę i pchnął furtkę do królestwa szeptuchy Muchowej. Zaskrzypiała jak w kiepskim horrorze, a z grubego konara pobliskiego dębu zerwała się gromada obsiadających go kruków. Dwa przysiadły na zawieszanej pod gałęzią huśtawce, a kilka sfrunęło na drewniane ławy i pniaki okalające sporych rozmiarów palenisko. Krakąły i stroszyły piórka, przechadzając się pomiędzy licznymi niedopalonymi świecami i od czasu do czasu posyłając mu kose spojrzenia. Nie lubił patrzeć im w te małe czarne ślepia, bo kojarzyły mu się ze złem i przypominały ponurą przeszłość w przeklętym klasztorze hieronimek, gdzie się wychował. Wzdrygnął się na to wspomnienie. Tam też gniazdowało mnóstwo kruków.

Sam kamienny krąg sprawiał wrażenie często używanego, ale okolica wokół prezentowała się schludnie. Podobnie prowadząca do domu wysypana żwirem ścieżka, która w kilku miejscach się rozwidła. Boczne odnogi kierowały do zarośniętej bluszczem altany, wiekowej studni czy podniszczonej obory, z której w pewnym momencie dobiegło przeciągłe muczenie. Czyli żyją tu nie tylko duchy, pomyślał przekornie Brudny. Nigdy w nie nie wierzył, ale uważał, że świat jest pełen demonów. Nie tych z rogami, karykaturalnymi obliczami i nadprzyrodzonymi mocami. Najgorsze były te prawdziwe, obleczone ludzką skórą, karmiące się cierpieniem innych, wiecznie nienasycone. Walczył z nimi od dawna, ale coraz częściej odnosił wrażenie, że walka ta przypomina pojedynek z Hydrą. Odrąbiesz jedną głowę, a w jej miejsce wyrastają dwie następne. I tak w nieskończoność.

Słumił ponure myśli i ruszył w stronę drzwi wejściowych. Znajdowały się pod zadaszeniem, kilka stopni wyżej, podobnie jak w jego chałupie. Niechętnie przemknął obok jednego z ptaków, który przysiadł na balustradzie werandy i śledził każdy jego krok. Gdy stanął przed drzwiami i chwycił za ucho mosiężnej kołatki z wizerunkiem wyjącego wilka, w ostatniej chwili kątem oka dostrzegł przemykający przy ścianie cień. Spiął się, ale zanim się obejrzał, cień wystrzelił jak z procy w kierunku balustrady, a kruk głośno zakrakał i zerwał się do lotu. Brudny aż podskoczył, ale gdy czarny kot chwilę później czmychnął po nieudanym ataku pod werandę, natychmiast skarcił się w myślach.

Ulegasz durnym urojeniom, pomyślał. Zaraz otworzy ci Baba Jaga, skusi piernikiem, następnie wsadzi cię do pieca, usmaży i zje, dodał z rozbawieniem.

Wciąż jednak nie było mu do śmiechu.

Odetchnął i trzykrotnie uderzył kołatką w stare dębowe drzwi.

– Otwarte – poniosło się z wnętrza chałupy.

Kobięcy głos wydobywał się z gardła z trudem i był szorstki jak papier ścierny. Brudny nacisnął kłankę, drzwi ustąpiły. Do jego nozdrzy wdarł się zapach palonej kory, kadzideł i czegoś, co zawsze kojarzyło mu się z dostojną starością.

Przekroczył próg, szukając wzrokiem gospodyni. Czuł się dziwnie, nienaturalnie, jakby tym jednym krokiem przeszedł na drugą stronę lustra. Nigdy nie miał większego problemu z nachodzeniem ludzi, którzy oficera policji często przyjmowali z niechęcią, a nawet z nieskrywaną wrogością, teraz jednak chodziło o coś innego, czego do końca nie był w stanie wytłumaczyć. Za progiem domu szeptuchy Muchowej znalazł się w innym świecie. Czy lepszym? Wcale nie był tego taki pewien.

W izbie panował przyjemny półmrok. Rozejrzał się po wnętrzu, które nie licząc nieprzebranej liczby świec, kilku kwiatów doniczkowych i masy wszelkiej maści bibelotów, wydawało się stosunkowo surowe. Po prawej stała sękata ława z sześcioma drewnianymi krzesłami, w części kuchennej stary piec pełniący

funkcję kuchenki, a na przytwierdzonych do beli hakach wisiały patelnie oraz warkocze czosnku, papryki i kilku przypraw bądź ziół, których nie potrafił nazwać. W przeciwległym rogu izby znajdował się kamienny kominek, w którym dopalał się żar, a na ścianie obok wisiały półki, na których piętrzyły się pokryte kurzem książki. Wiele z nich miało grubość encyklopedii, a eleganckie grzbiety sugerowały, że zostały wydane grubo przed jego narodzinami, część z nich być może nawet przed wojną. Jego uwagę przykuły też cztery obrazy. Każdy przedstawiał odziane w ludowe stroje kobiety pracujące kolejno przy sianokosach, przy mieleniu ziarna, przy wyciąganiu wody ze studni i przy skubaniu kur z pierza. To pod tym ostatnim znajdował się zwrócony do niego tyłem drewniany fotel. Bujał się nieznacznie, od czasu do czasu poskrzypując, a przez poręczę przewieszony był koc w czarno-czerwonej kratę. Z początku Brudny pomyślał, że jest pusty, ale w pewnym momencie spod nakrycia wysunęła się rachityczna dłoń. Szeptucha uniosła ją ospale, po czym wystawiła palec wskazujący i gestem zaprosiła gościa, aby się zbliżył.

– No chodźże tu bliżej. Nie gryzę – zaskrzybiała jak długo nienaoliwiana cmentarna brama. Kobieta mówiła powoli, a każde wypowiedane słowo zdawało się przeciskać przez tchawicę z najwyższym trudem, mimo to jej głos brzmiał bardzo przekonująco.

– Dzień dobry – przywitał się Brudny. Atmosfera tego miejsca sprawiła, że czuł się jak uczeń, który spóźnił się na lekcję i teraz będzie musiał się tłumaczyć.

Podłoga pod jego butami skrzypiała przy każdym kroku. Te kilka metrów do fotela dłużyło się, jakby nagle cały świat zwolnił. Wystawiony palec szeptuchy wciąż powtarzał ten sam gest. Zginał się i prostował. Brudny wzdygnął się, gdy dostrzegł długi na kilka centymetrów, lekko zagięty pazur. Bez wątpienia nie był to efekt wizyty w studiu manicure czy robienia tipsów. To był szpon.

– Arghh... – stęknęła kobieta, gdy zbliżył się do niej na wyciągnięcie ręki. Wciąż nie widział jej twarzy, tylko kościstą dłoń i kawałek przedramienia. Ona sama napięła się w fotelu, jakby się przed czymś wzbraniała.

– Nazywam się Igor Brudny – przedstawił się. – Przyszedłem tu, bo...

Nie dokończył, bo kobieta gwałtownie rozprostowała rękę i rozczapierzyła wszystkie palce. Przekaz był jasny – ani kroku bliżej.

– Wybacz – wychrypiała. – Twoja aura jest niezwykle silna. Bardzo, bardzo silna...

Brudny zatrzymał się, przełknął ślinę. Spodziewał się, że stara może bredzić coś o tego typu sprawach, ale nagle poczuł, że w tych słowach nie ma nic z kurtuazji. Wiedziony ciekawością próbował przyjrzeć się twarzy starej

szeptuchy. Ta jednak wciąż skrywała się pod szaroburą chustą. Kobieta oddychała ciężko, wydając z siebie chrapliwe dźwięki.

– Przyniosłeś do tego domu zło. Bardzo dużo zła... – dodała. – Stąd moja reakcja. Czuję twój ból i twoje cierpienie. Czuję zło, które w tobie mieszka. Jest potężne. Jeszcze chyba nigdy... nigdy...

Kobieta zapowietrzyła się, następnie powoli opróżniła płuca, wydając przy tym przeciągłe gardłowe stęknienie. Brudny nie odpowiedział. Nie miał pewności, jak powinien zareagować. Tak osobisty zarzut mocno zbił go z tropu. Postanowił, że lepiej nie powiedzieć nic, niż palnąć jakieś głupstwo. Kolejna nauka, którą wyniósł z sierocińca.

– Twoje myśli też krążą wokół zła. Nawet teraz – oznajmiła szeptucha. – Widzę je. I czuję.

– Zło jest w każdym z nas – odparł, dziwiąc się samemu sobie, że dał się wciągnąć w grę kobiety. Chciał jeszcze coś dodać, ale ugryzł się w język.

– Mądryś jest, a przynajmniej nie głupi. – Palec szeptuchy znów nieznacznie się poruszył. – Każdy w sobie nosi ziarno zła, ale to od człowieka zależy, czy pozwoli mu wykiełkować. Ty hodujesz je w sobie od dawna. Od bardzo, bardzo dawna...

Szeptucha znów zgięła szpon w geście zaproszenia. Brudny zrobił dwa kroki i stanął na wysokości jej ramienia. Wtedy kobieta przekręciła głowę.

– Daj dłoń – rozkazała.

Komisarz przez chwilę się wahał. Przyglądał się pomarszczonej skorupie i zaszytym na stałe oczodołom. Kobieta była kompletnie ślepa i to nie ulegało żadnej wątpliwości. Usta, wąskie i popękane, skóra na twarzy przypominała tę oblekającą czaszki dobrze zakonserwowanych trupów, a rzadkie śnieżnobiałe kosmyki sięgały aż do ud. Długie uszy poprzekłuwane nadmierną liczbą kolczyków i wyjątkowo spiczasty nos dopełniały wizerunku starej wiedźmy, która casting na Babę Jagę wygrałaby w cuglach. Przez dłuższy czas nie mógł oderwać od niej wzroku, zafascynowany tym, co widzi.

– Daj dłoń – powtórzyła Muchowa.

Tym razem sama wyciągnęła do niego szponiaste palce, a w tonie pojawiła się sugestia, że w przeciwnym wypadku rozmowa dobiegnie końca. Brudny pomyślał, że to mogłoby mieć najwięcej sensu, mimo wszystko spełnił jej polecenie. Starucha chwyciła go za nadgarstek. Miała niespodziewanie silny uścisk. Chwilę później drugą dłonią nakryła jego rękę. Wzdrygnęła się kilka razy, wydając przy tym trudne do zidentyfikowania odgłosy. Wzdychała, syczała, stękała, kilka razy gwałtownie przekrzywiła głowę.

– Pani Muchowa... – zaczął Brudny, któremu wydało się to głupie i niepotrzebne. Szeptucha jednak nie przestawała, mocno ściskając go za

nadgarstek. Nie chciał zabierać ręki, bo miał wrażenie, że gdyby postanowił ją wyszarpać, to mógłby zrobić kobiecie krzywdę.

– Dlaczego przyszedłeś do starej szeptuchy? – zapytała, nagle przerywając ten absurdalny w ocenie Brudnego spektakl.

– Chciałbym porozmawiać – odparł.

Kobieta delikatnie uniosła głowę. Brudny nie mógł oprzeć się wrażeniu, że pomimo zaszytych oczodołów Muchowa widzi więcej, niż mogłoby się wydawać. To „spojrzenie” było wręcz hipnotyzujące. Pomyślał, że nie ma sensu brnąć w uniki.

– Jestem policjantem i ścigam mordercę młodych kobiet, a być może także setek innych zaginionych na tych terenach osób – powiedział zgodnie z prawdą. – Wiem, że ma pani ogromną wiedzę na temat tego, co działo się tu na przestrzeni ostatnich dekad. Wiem też, że niedawno pod pani opiekę trafił Gracjan Wanzreich, syna Samuela Wanzreicha. Niestety, chłopak nie żyje, a jego ojciec został zatrzymany i najpewniej zostanie oskarżony przynajmniej o trzy zabójstwa. Osobiście nie wierzę w jego winę. Nie wiem czemu. Po prostu to czuję. Tak jak pani mam pewien dar, instynkt, a może jeszcze coś innego, co sprawia, że rzadko się myślę. Prawie nigdy. A czuję, i to bardzo wyraźnie, że w tych lasach od lat dzieje się coś bardzo niedobrego.

Muchowa słuchała uważnie, a on odnosił wrażenie, że przewierca go wzrokiem mimo zaszytych powiek. Przestała drżeć, wzdrygać się, syczeć i jęczeć, jak robiła to jeszcze przed chwilą. Teraz wyraz jej pomarszczonej twarzy przypominał maskę. Gdy Brudny skończył, szeptucha trwała w tej samej pozycji jeszcze przez kilkadziesiąt sekund. W pewnym momencie przeciągnęła zakrzywionym pazurem po wewnętrznej stronie jego dłoni, następnie puściła jego nadgarstek i z powrotem opadła w bujany fotel. Stary mebel lekko zaskrzypiał i znów wprawił się w ruch.

– Trzeba dołożyć do kominka – mruknęła, jakby nagle straciła zainteresowanie rozmową. – Ale drewna trzeba narąbać, bo dziś nikt ze wsi nie przyszedł do starej szeptuchy. Siekiera jest w pniaku przy południowej ścianie. Napiłabym się też wywaru z krwawnicy. Czajnik stoi na piecyku. Tam też drewna trzeba dołożyć.

Zabrzmiało jak zaproszenie do dyskusji, więc Brudny wyszedł na zewnątrz i narąbał pół kubika drewna. W przerwie dorzucił do kominka i piecyka robiącego za kuchenkę. Nastawił wodę, odszukał zioło o nazwie krwawnica, a potem słoiczek z mieloną kawą. Gdy już wszystko było gotowe, chwycił jedno z krzesel i przeniósł je obok bujanego fotela. Wywar dla Sławy postawił na stojącym obok stoliku. Kobieta podziękowała i przez kilka minut milczeli.

– Takie zło utrzymać w ryzach może tylko człowiek o wyjątkowo dobrej i serdecznej duszy – rzekła, przerywając ciszę. Jej głos nagle stał się bardziej

dźwięczny, tak jakby te kilka łyków złagodziło efekt problemów z wysłużonymi strunami głosowymi. – Ty to potrafisz, Igorze. Jesteś dobrym człowiekiem. Ale powiedz mi o sobie więcej. Powiedz mi o bólu i cierpieniu, które trawi twoje serce. Powiedz mi o bliznach, które w sobie nosisz. Widzę wiele, czuję jeszcze więcej, ale chcę to usłyszeć od ciebie. Powiedz mi wszystko, bo muszę wiedzieć, czy jesteś odpowiednią osobą. Osobą, na którą czekałam tyle lat...

W pierwszej chwili Brudny pomyślał, że znalazł się w ukrytej kamerze i zza winkła zaraz wyskoczy jakiś klaun, który ze złośliwą satysfakcją mu to ogłosi. Czy wiedziała, kim jest, i tylko udawała starą i ślepa? Teoretycznie to było możliwe, bo ktoś ze wsi mógł jej o nim opowiedzieć, mimo to wątpił w złe zamiary Sławy. Tę kobietę otaczała niespotykana aura. Nawet jeśli w oczywisty sposób kłóciło się to z jego pojęciem realizmu, intuicja podpowiadała mu, aby jej zaufał. Komu jak nie stusześcioletniej kobiecie? Czy mogła mieć wobec niego jakieś złe intencje? Dawno z nikim nie podejmował tematu ponurej przeszłości. Udawał przed samym sobą, że to zamknięty rozdział, i unikał go nawet w rozmowach z Julką. Demony, jak nazwała je szeptucha, czasem jednak do niego przychodziły, a on nie potrafił się z nimi uporać. To dlatego wyjechał w tę dzicz, dlatego znów uciekł od świata, dlatego być może znów na własne życzenie niszczył sobie życie. Nagle zrozumiał, że potrzebuje tej rozmowy jak nigdy wcześniej. Że pragnie się wygadać, wyrzucić z siebie całe to trawiące go zło, gniew, nienawiść. Pomyślał też, że być może i on czekał na taką okazję całe swoje życie.

Gdy skończył swoją opowieść, poczuł się wolny jak nigdy wcześniej. Oczyszczony. Jak nowo narodzony. Po raz pierwszy w życiu nie wstydił się łez. Gdy wrócił do równowagi, stara szeptucha też opowiedziała mu historię. Swoją i innych. Była długa, okrutna i naznaczona niewyobrażalnym cierpieniem wielu ludzi. Brudny stracił rachubę czasu i gdy skończyła, okazało się, że wskazówka na wielkim ściennym zegarze właśnie przekroczyła północ.

– A teraz pomóż mi wstać – poprosiła. – Chcę ofiarować ci coś, co być może pomoże ci ująć tego demona.

Brudny spełnił prośbę starej szeptuchy. Podał jej laskę i chwycił pod drugą rękę. Ważyła tyle co nic. Wtedy stara Muchowa poprowadziła go do swojej biblioteczki. Uniosła rachityczną dłoń i zaczęła niespiesznie, po omacku macać zakurzone oprawy kolejnych ksiąg. W końcu wcisnęła palce pomiędzy dwa grube tomiska i wyjęła spomiędzy nich niewielki, obłożony szarą tkaniną pakunek. Wręczyła go Brudnemu, który powoli odwinął materiał.

– Dostałam go od Stefanii – oznajmiła. – Nie czytałam, bo jestem ślepa jak kret. Nie wiem też, do kogo należał, bo wręczyła mi go w czasie równonocy, gdy wraz z dziećmi ze wsi paliliśmy ognisko. Tego wieczoru było tu wiele

ciekawskich oczu i uszu, a ona bardzo bała się świadków. Dwa dni później Stefania umarła.

Brudny przesunął palcami po zakurzonej oprawie. Miała niespotykaną, miękką, ale lekko chropowatą fakturę. Otworzył na pierwszej stronie. Pożółkła, wyraźnie nadgryziona zębem czasu kartka przy rogach była częściowo zgniła, ale sam tekst, choć pisany odręcznie i częściowo wyblakły, wydawał się czytelny. Przeczytał pierwsze zdanie.

Nazywam się ja naprawdę Dima Konowałow i pierwsze, co pamiętam ja, to smak ludzkiego mięsa.

Komisarz nerwowo przełknął ślinę. Przed oczami stanął mu wyryty na grobie napis, a w uszach wybrzmiały wszystkie zasłyszane legendy. Spojrzał niepewnie w zaszyte powieki starej szeptuchy. Kobieta nawet nie drgnęła. Wtedy poczuł na opuszkach palców nieprzyjemne mrowienie. Igor Brudny zrozumiał, że wiekowy pamiętnik, który trzyma w dłoniach, jest oprawiony w ludzką skórę.

Rozdział 30

– I co? Jak to widzisz? – zapytał jednego z techników aspirant Łukasz Szmajda. Pokręcił wąsikiem i poprawił przylizane na bok włosy.

Ubrany w biały kombinezon facet skrzywił się, jakby zjadł coś wyjątkowo nieświeżego. Trudno było ocenić, czy zareagował tak na pytanie, czy powoli zaczynał się dusić odorem rozkładających się zwłok. Przeniósł wzrok na spuchniętą twarz trupa.

– Za wcześnie, żeby cokolwiek powiedzieć, ale na moje oko facet po prostu zachlał się na śmierć – powiedział w końcu. – Widziałem już takich, co przesadzili z denaturatem. Ten wygląda dokładnie tak samo.

Szmajda ponownie omiół wzrokiem wnętrze cuchnącego baraku. Mógłby przyznać technikowi rację, gdyby nie jeden szczegół. Na zapaćkanym blacie stał nie jeden kieliszek, lecz dwa.

– Może się zachlał, a może nie – burknął, ewidentnie podważając opinię technika. – W pierwszej kolejności chcę mieć wyniki daktyloskopijne. I nie lekceważcie innych dowodów. Każda szklanka, pet czy niedojedzona kiełbacha mają trafić do laboratorium.

– Nikt tu niczego nie ma zamiaru lekceważyć – rzucił drugi z techników, który buszował w ganku. W jego tonie pobrzmiwała uraza.

– Tak tylko mówię.

– Ja też tak tylko mówię. Moi ludzie to profesjonaliści. Nie musisz im przypominać o oczywistych oczywistościach.

– No to do roboty.

Miron Gołdapski był szefem techników kryminalistycznych i na robocie zjadł zęby. Nie lubił Szmajdy, w jego ocenie był antytezą dobrego gliny. Prosty chłop, którego ktoś kiedyś oderwał od pługą i któremu wmówił, że nadaje się na policjanta. Facet awansował tylko dzięki koneksjom, ale zachowywał się, jakby pozjadał wszystkie rozumy. Mieli okazję pracować zaledwie kilka razy, ale to wystarczyło, aby wyciągnąć wnioski. Szmajda miał wyraźne zaburzenia,

niespotykanie rozbuchane ego, lubił – zwłaszcza pod nieobecność Kmity – rozstawiać ludzi po kątach, a do tego był nadęty jak sam Hindenburg. Gołdapski miał nadzieję, że przyjdzie dzień, kiedy ktoś lub coś w końcu sprowadzi go na ziemię.

– Wyrobicie się z paluchami w dwadzieścia cztery godziny? – nie odpuszczał Szmajda. Gołdapski usunął mu się z drogi, aby aspirant mógł jak najszybciej opuścić barak. Nie dość, że jego obecność była tu bezcelowa, to dodatkowo działał mu na nerwy.

– Jak dasz nam pracować, to może wyrobimy się po świętach – rzucił złośliwie.

– Chyba żartujesz.

– Mamy już piątego trupa w ciągu tygodnia. Trzy bestialskie morderstwa, jeden atak niedźwiedzia i jeszcze to. Jak myślisz, która sprawa w tej chwili jest dla twojego szefa priorytetem?

– Jeszcze się, kurwa, zdziwisz...

– Że co?

– Nic.

Szmajda minął szefa techników i opuścił barak. Miał ochotę trzasnąć drzwiami, ale zdołał się opanować. Gołdapski wkurwiał go tak samo jak większość ludzi, z którymi musiał pracować. Kmity też go wkurwiał. Może nawet najbardziej z nich wszystkich. Traktował go jak chłopca na posyłki albo półgłówka. Irytowało go to, bo w głębi ducha rozumiał, że po części jest to prawda. Nigdy nie był zbyt bystry, a do policji poszedł tylko dlatego, że nie miał innego pomysłu na życie.

– Gdy włożysz mundur, ludzie będą się z tobą liczyć – namawiał go Tomasz, ojciec, który był przygranicznym kombinatorem i wiedział, że syn udał mu się co najwyżej średnio i w jego w ślady raczej nie pójdzie. – Wiesz, że znam ludzi. Pomogą ci się odnaleźć, szybko awansujesz. Zobaczysz, będzie dobrze. Poza tym mieć syna gliniarza to powód do dumy – mówił, poklepując go po ramieniu.

Plany ojca oczywiście były trochę inne i zdecydowanie bardziej długofalowe, bo jako stary i cwany przemytnik towaru wszelkiej maści chciał mieć bezpośredni wgląd w działania operacyjne policji. Jako że miał posłuch u kilku liczących się w okolicy ludzi, kariera syna niemal od początku rozwijała się należycie. Najpierw drogówka, potem prewencja, dochodzeniówka. Łukasz z czasem zadomowił się w policji, a praca spodobała mu się na tyle, że postanowił podejść do sprawy bardziej ambicjonalnie i choć niespecjalnie się do tego nadawał, dzięki protekcji trafił do wydziału kryminalnego. Pod swoje skrzydła wziął go Marian Kmity, mąż Walerii, siostry Macieja, z którym Tomasz kiedyś robił różne interesy, a któremu teraz po prostu służył, bo Bursztynowicz został posłem, nawet

ministrem, a on dalej tylko odwalał czarną robotę. Dochodową, owszem, pod szczelnym parasolem ochronnym, czemu też nie mógł zaprzeczyć, ale w przeciwieństwie do starego kompana to on musiał sobie brudzić ręce. Kmita od początku wyczuł, że Łukasz nie jest zbyt lotny, nie miał jednak większego wyboru, bo naciski były silne, także ze strony żony, w związku z czym po prostu machnął ręką, bo po co walczyć z wiatrakami.

Szmajda zapalił papierosa. Nie lubił myśleć o sobie w ten sposób. Nie był wcale taki głupi, jak widział go ojciec czy Kmita. Znał swoje mocne i słabe strony, a także ograniczenia. Mimo to często z trudem panował nad wzbierającą w nim irytacją, a odgrywany przed innymi teatrzyk, w którym grał niedorozwiniętego, z każdym dniem zaczynał go drażnić coraz bardziej. Miał nadzieję, że ta sprawa w końcu pozwoli mu się wybić. Miał pełne wsparcie i w końcu musiało się udać. Gdyby nie ten jebany Igor Brudny...

Zaklął szpetnie pod nosem. Samo wspomnienie tego cwaniaczka budziło w nim najgorsze instynkty. Stłumił te myśli i przez dłuższą chwilę z nieskrywaną wyższością przyglądał się pracującemu przy baraku trzeciemu technikowi. W świetle jasnych reflektorów wyglądał jak grzebiący w ziemi kosmita. Korciło go, aby kopnąć go w dupę, tak dla zabawy, ale ostatecznie podjął jedyną rozsądną decyzję i odszedł w kierunku wygaszonych retort. Przez jakiś czas na zmianę palił, pluł i patrzył w rozgwieżdżone niebo. Tu trupi odór nie docierał, a powietrze było świeże. Pomyślał, że pewnie dlatego żaden turysta nie domyślił się, że coś jest nie tak. W wygaszonych piecach nie było nic atrakcyjnego. Miastowi pojawiali się, zerkali na retorty, a do baraku nawet nie zaglądali. I tak miał szczęście, że pojawiło się zgłoszenie od kobiety prowadzącej na skraju wsi niewielki pensjonat. Przy okazji interwencji dotyczącej awanturującego się lokatora zwróciła funkcjonariuszom uwagę na dziwnie długo unoszący się nad koronami drzew niebieski dym. Znała się z Kozoburą i wiedziała, że przy tej okazji piece szybko były wygaszane. Posterunkowi zlekceważyli jej słowa i nie zajrzeli na wypał. Zrobili to dopiero dziś wieczorem i tylko dlatego, że Szmajda wydał polecenie ludziom w terenie, aby znów przepytac lokalnych smolarzy w związku ze śmiercią kolejnej kobiety. Wypał Kozobury znajdował się najbliżej, więc teoretycznie smolarz mógł coś widzieć. Teoretycznie, bo wyszło na to, że zamiast na potencjalnego świadka trafili na kolejnego trupa.

Z zamyślenia wyrwał go sygnał brzęczącego w kieszeni telefonu. Najbardziej znieawidzony dzwonek został przydzielony bezpośredniemu przełożonemu. Szmajda zdziwił się, bo nie sądził, że Kmita będzie chciał się w to angażować.

- I co z tym trupem? – zapytał prosto z mostu komisarz.
- Co szef ma na myśli?

– Cholera, Łukasz. Jestem już tym wszystkim zmęczony, więc może chociaż ty mnie nie wnerwiał. Naprawdę mam ci tłumaczyć jak krowie na rowie?

W tonie Kmity znów wybrzmiała ta wyższość, której Szmajda tak nie znosił. Tak bardzo chciałby mu w końcu wszystko wygarnąć, ale sytuacja była na tyle skomplikowana, że regularnie musiał gryźć się w język. Stary nie tylko miał wyższy stopień, ale przede wszystkim był mężem Walerii z domu Bursztynowicz.

– Nie chciałem być złym prorokiem, ale na moje oko ktoś mu pomógł – powiedział, tłumiąc trawiącą go pogardę do rozmówcy.

– Jeszcze przed chwilą była mowa o tym, że facet się zachłął...

– Tak to wygląda, ale wszystko wskazuje, że miał gościa. Na stole stały dwa kieliszki.

– Chryste... – Kmita westchnął ciężko. – Krogulewski dojechał?

– Czekam na niego.

– A lekarz?

– Tradycyjnie poza zasięgiem. Ale tu i tak nie ma raczej nic do roboty. Ofiara nie ma żadnych widocznych obrażeń. Ani śladów walki. Trzeba zrobić sekcję.

– Technicy?

– Pracują. Materiału jest sporo, więc będą mieli co robić, ale Miron już marudzi, że będzie duży poślizg.

– Nie dziwię im się. Mają roboty po pachy.

– Ja bym ich jednak docisnął. Tak jak wspomniałem, moim zdaniem śmierć tego faceta nie jest taka oczywista. Mam nadzieję, że Krogulewski stanie...

– Dobra, wystarczy – uciął Kmita. – Jest prawie północ, a ja jestem padnięty i mam tego wszystkiego powyżej uszu. Ogarnij temat i jutro opowiesz mi na komendzie.

– Wszystkiego dopilnuję. Niech szef się nie obawia.

– Dobranoc.

Chuj ci w dupę, które wymknęło się z ust Szmajdy chwilę po rozłączeniu rozmowy, nie dotarło już do uszu Kmity, który odłożył smartfon na stolik nocny i nie bacząc na pytające spojrzenie żony, naciągnął na siebie kołdrę i zgasił światło. Gdy usiłował zasnąć, zdał sobie sprawę, że w tonie podkomendnego usłyszał coś zupełnie nowego, wyjątkowo wrednego i obłudnego. Długo nie mógł zasnąć, a gdy w końcu zmęczenie go zmoгло, przyśnił mu się teatr lalek. Grał w nim główną rolę. Był ciąganą za sznurki szmacianą kukielką.

Rozdział 31

Brudny dotarł do chałupy po drugiej w nocy. Nie znalazł pod drzwiami kolejnego rozprutego ptaka czy kota, nie dostrzegł też oznak, że jest śledzony, co na wąskich i krętych górskich drogach byłoby bardzo łatwe do wykrycia. Księżyc wisiał już wysoko, oświetlając dolinę i opuszczony wpał Wanzreicha. Panowała niemal głucha cisza.

Po wejściu do środka w pierwszej kolejności dołożył do kominka i zasłonił wszystkie okna. Nie chciał zastanawiać się, czy jest podglądany, gdy pograży się w lekturze. Co prawda po rozmowie z szeptuchą był wyeksploatowany psychicznie i fizycznie, ale wiedział, że jeśli nie przeczyta chociaż kilkunastu stron, adrenalina nie pozwoli mu zasnąć. Wyjął jeszcze z lodówki paczkę kabanosów, nalał sobie szklaneczkę jamesona i wygodnie ułożył się na sofie. Bose stopy wystawił w kierunku płonącego ognia i otworzył stary pamiętnik.

6 kwietnia 1946

Nazywam się ja naprawdę Dima Konowałow i pierwsze, co pamiętam ja, to smak ludzkiego mięsa. Dobre jest, smaczne i brzuchy dobrze napełnia. Gotowane najlepsze mi się zdaje, bo miękkie i gryźć nie trzeba, ale smażone też smaczne, choć twarde czasem i gryźć trzeba, a jak się nie ma zębów albo te zęby małe i wypadają, to ciężko je gryźć, dlatego wolę ja gotowane.

Dlaczego o tym piszę ja, to nie wiem, bo to dowód przecież niedobry na mnie i mogę ja kulę w łeb dostać albo na widłach mnie ludzie rozedźgać mogą, albo psami poszczuć, albo i jeszcze coś gorszego zrobić mi, gdy się tego dowiedzieć by im udało i tę moją bazgraninę znaleźliby. Ale piszę ja to, bo jakoś tak czuję, że muszę, coś mi tak serce mówi, że muszę ja, nie wiem dlaczego, pewnie głupi ja jestem i jednak na tych widłach ludzie mnie kiedyś rozedźgają. Może nawet zjedzą? No nie wiem ja sam, może mi się należy, ale Lachy to chyba ludzkiego mięsa nie jadają, bo nie wiedzą, co to głód, a ja wiem, bo Hołodomor straszny przeżyłem ja i jadłem ja wszystko, koty, psy, szczury, trawę, korę i dzieci też, no niestety, nie chciałem ja, ale jak już tych kotów, psów i szczurów nie było, bo

sąsiady zjedli, to dzieci ja też jadłem. Ile miałem ja wtedy lat, to nie pamiętam ja, ale mało jakoś, dwa albo trzy, słaby i wątki ja byłem i jeszcze srałem ja pod siebie i gadać ja nie potrafiłem, tylko jeść, jeść, jeść wołałem ja, bo brzuch bolał, mały i wzdęty jak piłka albo czyjaś głowa.

Głód to takie coś, że nie ma nic gorszego, i mówię to ja, że tak jest na pewno, to nie sprawa wiary, tylko fakt. Jak brzuch pusty od tygodni, to człowiek już tylko umierać chce i prosi boga o to, aby go zabrał, nawet jak jest taki mały, że gównem o życiu wie, tylko cyca matki chce ssać, a że nie ma mleka w cycu, to beczy. Tak, piszę ja boga z małej, bo już teraz wiem ja, że bóg nie istnieje, bo gdyby był bogiem wszechmogącym, jak to po cerkwiach uczą popy, toby przecież na to nie pozwolił, ale to wyjaśnienie chyba niepotrzebne, bo każdy mądry człowiek wie, że boga nie ma i już, i kropka.

No więc znam ja głód bardzo dobrze, bo wychowałem się ja gdzieś na polach Ukrainy, w małej wsi, której nie pamiętam ja nazwy, a ojciec zakazał gadać, bo czasy w Polsce też złe i Ukraińców tu nie lubią, i już mi z głowy wyleciało. Może i dobrze, bo po co do tego wracać, że człowiek bestią był i dzieci jadł, gotował ich ciała w garach i piekł na patykach ich udka, tak jak się piecze udko zająca albo kury. Skąd te dzieci były, to ja nie wiem, ale to chyba kłamię ja trochę, bo chyba trochę jednak wiem, bo już smark nie jestem i myśleć ja umiem, dwa do dwóch dodać to przecież prosto, a to wystarczy, żeby wiedzieć, że ojciec je zabierał od innych ojców i matek, które zdechły gdzieś pod płotem albo w polu, szukając korzonków, aby brzuchy swoim pociechom napełnić. Tamte dzieci miały pecha, a ja szczęście miałem, bo mój ojciec drwal był, duży zawsze jak dęby, które rąbał, wysoki, żyły na rękach miał i bronić swoich umiał, choć potem też zrobił się z niego trup chodzący i oprócz żył na rękach to wszystkie żebra mu wyszły na wierzch i zęby powypadały. O matce jeszcze wspomnę ja, bo chyba wypada, w końcu rodzicielka, co mnie pod sercem nosiła, i ta matka mała była, skromna, delikatna jak liść na wietrze, z włosami jak słoneczniki, co na polach rosły, zanim brat Stalin Józef, niech go piekło pochłonie, przysłał swoich zbirów, by te słoneczniki wykosili i ludziom zabrali, bo mu się kolektywizacji zachciało, co by Moskwa i inne ruskie kurwy co żreć miały, chuj z nim zresztą, bo jak o nim piszę, to tylko bluzgi chce mi się pisać, chuj pierdolony, jebał go pies.

I teraz już nie wiem ja, bo gdzieś w tych nerwach się zgubiłem i nie wiem, co dalej pisać, ale napiszę ja może, że te dzieci jadłem i mi smakowały. Potem jakoś tak niewiele pamiętam, tylko różne takie obrazki w głowie: słońce oczy oślepiające, drzewa w uszach szumiące, płatki śniegu spadające na moje chude rączki, domy opuszczone, trupy w rowach, których jeść się już nie dało, ptaki, które jeść się chciało, ale przecież latały wysoko i też się nie dało, ćwierkanie

ich złośliwe, a potem rzekę pamiętam ja i zimno straszne, gdy przez nią brnęli my, ojciec mój, matka moja, brat i siostra i ja niesiony na rękach ojca. Potem pamiętam ja gęste lasy i smak jagód, pysznych, oj, pysznych jak nic innego na świecie, pamiętam ja też smak grzybów, które matka w garnku nad ogniem gotowała, paprocie też pamiętam, bo się w nich chowałem przed bratem i siostrą, i jeszcze wilki, które chciały nas zjeść, ale ojciec je odgonił pochodnią i krzykiem jakimś takim dzikim, jakby sam zwierzem był, a nie człowiekiem. Od tego momentu to pamiętam ja już coraz więcej i wyraźniej i to, jak patyki na nowy dom nosiłem i jak już w nim mieszkali my i było co do gara włożyć, a brzuchy były pełne. Potem jak mchu szukałem, aby retortę przez ojca wybudowaną uszczelnić, bo przecież ojciec drwał był, więc wymyślił, że będzie te drzewa polskie rąbał i wypał robił, gdzie węgiel dla innych ludzi będzie wypalać, wtedy może go polubią i w głębokim lesie mieszkać długo nie każą. Czy polubili, to chyba nie do końca, bo jednak w tym lesie mieszkali my długo, aż wojna przyszła, a potem tragedia jedna i kolejne, bo wojna taka jest, że ludziom się w głowach przestawia i rozum odejmuje. Ale rozpędzam ja się chyba za bardzo, bo do opowiedzenia dużo, a ja już o tragediach, a przecież był też w tej Polsce czas dobry, gdy brzuchy mieli my pełne i dzieci jeść ja nie musiałem.

A więc pamiętam ja czasy dobre, gdy chodziłem ja z bratem i siostrą na jagody, jeżyny i grzyby, gdy matka chleb do chałupy przynosiła, a ojcu żebra znów w ciało weszły i ich widać nie było. Czarny za to był jak diabeł, bo ciągle ten węgiel robił i na twarzy miał sadzę i czasem smołę, no jak diabeł, ja mówię i czasem trochę mi się śmiać chce, gdy to sobie przypominam, bo jak dzieci małe są, to głupie przecież i wierzą we wszystko, a ojciec sobie rogi z gałęzi robił, widły w graby brał i nas czasem straszył, że naprawdę tym diabłem jest, i jak grzeczni nie będziemy, to nas do piekła zabierze i usmaży na rożnie albo ugotuje w garze ze smołą gorącą. I tak sobie żyli my całą rodziną. Pracy było dużo, bo węgiel rzecz konieczna, zwłaszcza w zimie, gdy w tych górach mroźno strasznie, więc pracowali my ciężko, ale nigdy my nie marudzili, bo brzuchy pełne my mieli i jeść innych dzieci my nie musieli. Rosłem ja jak na drożdżach, silny się ja zrobiłem, nawet jak na smarka, co siedem czy osiem wiosen miał, bo bele urzniętej przez ojca bukowiny nosiłem ja codziennie i przy wypale się nie opieprzałem, tylko harowałem ja jak wół. Zbierałem ja drewno, ojciec rąbał je na pniaku, a te małe kawałki to po kilka do pieca wrzucałem, chociaż wrzucałem to chyba złe słowa, bo je układać trzeba było równo, aby wyszedł z tego dobry węgiel, a nie jakiś byle jaki. Pamiętam ja też, że byłem ja odpowiedzialny za noszenie wody ze strumienia, gdy taki piec trzeba było wygaszać. Wiadra były duże i ciężkie, ale miałem ja krzepę, tak jak brat, bo

między nami tylko dwie wiosny różnicy były i ciągle rywalizowali my o uwagę ojca. Węgiel już zrobiony pakowałem ja do jutowych worów łopatą większą nawet ode mnie, a potem przyjeżdżały Lachy i za ten węgiel płaciły, a my mieli brzuchy pełne i innych dzieci jeść my nie musieli. I jakoś tak zapomnieli my chyba wszyscy o tym, co działo się na ukraińskiej ziemi, o tym głodzie strasznym i tych trupach ludzkich gnijących pod płotami, i wielu innych okropnych rzeczach, których już wymieniać nie chcę ja, bo mnie od tego głowa boli. Ojciec mój znów był silny jak dąb, poważanie u Lachów zdobył, bo sam widziałem ja, jak odbierając węgiel, mu graby ściskali, matka zaś też chyba we wsi piętnowana nie była, bo słyszałem ja, jak wieczorami z ojcem gadali pod kocem, zanim nie zaczynali się tam, no wiecie, na golasa gzić we dwoje, co mnie zawsze wtedy ciekawiło, ale wstyd mi było pytać i nawet z bratem tego tematu ja nie podejmowałem. Chciałem powiedzieć ja ogólnie, że z matką też było dobrze, bo ludzie ją pozdrawiali we wsi, bo i mnie kilka razy do tej wsi zabrała i sam to widziałem ja na własne oczy, aż się miło na duszy robiło. Pewnego razu matka do chałupy przyprowadziła też miłą kobietę, która za pieniądze uczyć nas zaczęła języka polskiego. Wyszło jak wyszło, jakoś tam piszę tutaj te słowa, więc chyba robotę zrobiła dobrą, choć nie mnie to oceniać. Pamiętam ja w każdym razie, że miała ona długie czarne włosy i to będzie tak do łydków albo i dłuższe, nosiła też suknie w kwiaty i miała jeszcze na szyi i rękach korale i inną biżuterię, a jej skóra miała kolor kory dębu. Jej głos był melodyjny, śpiewny i gdy mówiła, to przypominała mi świergolące na konarach ptaki, a do tego to jeszcze raz jeden uleczyła mnie z maligny, gdy rozchorowałem się ja okropnie, że mnie całe ciało bolało i aż się cały trząsałem. Pamiętam ja jakiś taki gorzki wywar, co to go zrobiła i do ust zaczęła wlewać. Nie chciałem ja go pić, ale matka mi kazała, więc w końcu wypilem, bo i ojciec na mnie srogim okiem z kąta spoglądał, a ojciec choć dobry był i o rodzinę dbał, to gdy coś ja albo mój brat czy siostra nawywijali, to pasem skórę na dupie przetrzepać umiał i z tym nie ma co dyskutować. Gadała, ta kobieta znaczy się, wtedy jakimś takim dziwnym językiem, że go nic nie rozumiałem, bo ni to polski, ni ukraiński czy nawet ruski. Potem, gdy dorosłem ja trochę i zmężniałem, to dowiedziałem się ja, że ona nie Polka, tylko Cyganka, co to nie bardzo wśród Lachów lubiana była i tak jak my w lesie sobie żyła z zajęcami, wilkami i ptakami, a mówiła też nam, że rozumie ich mowę i nawet że drzewa do niej gadają, ale w to to już jej nie wierzyłem ja, bo przecież głupi nie jestem. Wtedy też, znaczy się, gdy już smarkiem zasranym nie byłem, ojciec powiedział mi też coś jeszcze, bo ja trochę chciałem do innych dzieci ze wsi, a ojciec zawsze powtarzał, że nie. Powiedział mi więc ojciec, że my do wsi na stałe iść nie możemy, bo mamy różne tajemnice, których lepiej nie pokazywać, a Lachy podejrzliwe i czujne jak psy tropiące

i mogą zwęszyć, że my nie tylko Ukraińcy, ale i Żydy, a ani jednych, ani drugich tu za bardzo nie lubią. Nic z tego wtedy nie rozumiałem ja, bo przecież co to za różnica, czy kto Ukrainiec, czy jakiś Żyd, skoro po polsku gada i węgiel robi, a Lachy dają za niego pieniądze i nawet ręce ściskają, ale potem się dowiedziałem ja wszystkiego, oj, wszystkiego się ja dowiedziałem, że bycie w Polsce pół-Ukraińcem i pół-Żydem to już chyba gorzej trafić nie można, zwłaszcza że tam, gdzie słońce zachodzi, żył taki człowiek, co się nazywał Adolf Hitler, i on chciał wszystkich Żydów do pieców powsadzać i z dymem puścić aż do nieba. Ale o tym to ja się dowiedziałem jednak później, gdy już krzepę w rękach miałem i sam retortę napakować bukowiną potrafiłem, nawet bez pomocy ojca i brata, choć przecież wciąż młody byłem wtedy, gdy ta wojna okropna się zaczęła i przyszli Niemcy, skurwysyny, niech ich piekło pochłonie i chuj im na grób.

I znowu klnę ja jak szewc, ale inaczej nie mogę, bo tylko takie słowa mi do głowy przychodzą. Do tego znów boli mnie ta głowa, gdy sobie to wszystko przypominam, te obrazy złe, potworne, takie, że nie mam już siły pisać, bo jak je piszę, to widzę, a nie chcę ich widzieć, ech, po co to wszystko, no po co, pytam się ja sam siebie, jak jakiś idiota. Mam ja dość na dziś, bo retorty trzeba uszczelnić, węgiel wyjąć, bukowinę zapakować, a nie pisać te niepotrzebne rzeczy, w sumie nie wiem po co, bez sensu chyba to moje pisanie, skoro i tak nikt tego nie przeczyta, bo jak przeczyta, to na widły mnie weźmie i taki będzie koniec mój, na widłach Lacha.

Brudny zgasił peta w popielniczce i spojrzął na zegarek. Obie wskazówki dawno przekroczyły trzecią nad ranem, a butelka whisky była opróżniona do połowy. Ziewnął przeciągle. Musiał się przespać, bo nawet jeśli od lektury pamiętnika trudno się było oderwać, to organizm wyraźnie dawał mu do zrozumienia, że najwyższy czas na odpoczynek. Zamknął pamiętnik i raz jeszcze przeciągnął palcami po oprawie z ludzkiej skóry.

Do kogo należała? Czy jej właściciel padł ofiarą autora? Czy to on jest legendarnym smolarzem pożerającym niegrzeczne dzieci? Brudny westchnął i odłożył pamiętnik na stół.

– Kim jesteś, panie Konowałow? – mruknął pod nosem i raz jeszcze przeciągle ziewnął.

Poszedł umyć zęby, dołożył do kominka, po czym ściągnął spodnie i nakrył się kocem. Pomimo zmęczenia długo nie mógł zasnąć. Rozsypane puzzle powolutku zaczynały układać się w całość i choć wciąż wiele z nich nie pasowało do obrazu, który sobie stworzył, podskórnie czuł, że właśnie nastąpił przełom. Zanim ostatecznie go zmogło, sięgnął po pamiętnik i wcisnął go sobie pod jasek. Tak na wszelki wypadek.

Rozdział 32

– Nie, nie, nie. Błagam, nic nie powiem. Proszę nie robić nam krzywdy. Błagam pana...

Przestrzeń znów wypełnił rytm jednej ze skocznych piosenek Michaela Jacksona. Była z tego pokolenia, że znała każdy jego singiel, a słynny *Thriller*, w którym piosenkarz walczył z armią zombie, należał do jednego z jej ulubionych.

– Dlaczego pan to robi? Ja zrobię wszystko. Wszystko. Tak bardzo pana proszę...

Mężczyzna wyszczerzył zęby, a jego koślawo pomalowane usta ułożyły się w złośliwy uśmiech, przez co przypominał wrednego klauna. Chwilę później odskoczył i zaczął tańczyć w rytm muzyki. Robił to fatalnie, ale najwyraźniej świetnie się przy tym bawił, od czasu do czasu naciskając na włącznik trzymanej w ręku wiertarki. Kobieta znów zalała się łzami. Ten facet był kompletnym psychopata. Dlaczego to spotkało właśnie ją?

On patrzył na nich, obserwował z dowolnej perspektywy. Czasem z bliska, czasem z oddali, mógł też unieść się i lewitować, samemu kryjąc się w mroku. Tak jakby sam był niewidzialny, jakby posiadał moc kamuflażu idealnego. Zoom na twarz szaleńca, zoom na twarz ofiary. Pełna sterowność. Jakie to było niesamowite! I przerażające...

Patrzył dalej.

Kobieta przeniosła wzrok na siedzącego obok młodego mężczyznę. Miał na imię Andriej i był jej partnerem. Poznali się w Łodzi, gdzie przyjechał na wymianę studencką i został na stałe. Zapowiadał się na świetnego programistę i już na trzecim roku zarabiał więcej niż jej rodzice i ona sama razem wzięci. Do tego czuły, opiekuńczy, kochający. Jeszcze przy żadnym innym facecie nie czuła się tak wyjątkowo. Teraz Andriej siedział półprzytomny na krześle pełnym ostrych kolców, z przybitymi do niego dłońmi i z licznymi ranami po wiertle. Jego ciało było nimi usiane. Z ust bezwiednie spływała krwawa płwocina.

Dlaczego, dlaczego, dlaczego ja? To pytanie nieustannie dźwięczało w głowie dziewczyny, a zatem i jego własnej. Jego – obserwatora. Jego – wszechwiedzącego. Jego – czytającego myśli. Przecież nic nie zrobiła, nie zasłużyła na taki los. To miała być jedynie romantyczna wycieczka w Bieszczady. Mieli spacerować z plecakami i podziwiać widoki, a wieczorami wtuleni w siebie liczyć gwiazdy na niebie. Kilka dni wędrówki popularnymi szlakami, bez szaleństw i ekscesów, co przecież w Łodzi czasem im się zdarzało. Wzięli najpotrzebniejsze graty i ruszyli na spotkanie z przygodą. Drugiej nocy ktoś brutalnie wdarł się do ich namiotu, a potem obudziła się w tym miejscu.

– Andriej... – szepnęła, ale jej słowa utonęły w głośnych rytmach piosenki króla popu. – Przepraszam, Andriej, tak bardzo przepraszam...

Mężczyzna z wymalowaną twarzą wciąż skakał i wymachiwał rękami w takt muzyki, rechocząc i strojąc głupie miny. Co jakiś czas przystawiał sobie wiertarkę do krocza i poruszał lędźwiami, pozorując stosunek płciowy. Wystawiał przy tym język i uruchamiał urządzenie, którego grube wiertło natychmiast wchodziło na wysokie obroty. Jego świdrujący dźwięk upiornie mieszał się z wypluwanymi w muzycznej ekstazie słowami Jacksona.

*Cause this is thriller
Thriller night
And no one's gonna save you
From the beast about to strike
You know it's thriller
Thriller night
You're fighting for your life
Inside a killer
Thriller tonight, yeah*

Nagle, zupełnie znienacka, mężczyzna doskoczył do kobiety i przytknął urządzenie w okolice jej żeber. Napał na przycisk i wydał z siebie dziki ryk, gdy wiertło wwierciło się w ciało. Krzyknęła z bólu, a oprawca je wyrwał i dalej zaczął pokracznie tańczyć. Patrzyła z przerażeniem, jak z rany zaczyna wylewać się krew. Król popu wciąż śpiewał, a bas dudnił im w uszach.

*You hear the door slam
And realize there's nowhere left to run
You feel the cold hand
And wonder if you'll ever see the sun
You close your eyes*

*And hope that this is just imagination, girl
But all the while
You hear a creature creepin' up behind
You're out of time*

Lament nic nie dał. Mężczyzna co rusz nawiercał jej ciało, a gdy po czwartej zwrotce z rozdziawionymi ustami zbliżył wiertło do oka, marzyła już tylko o tym, aby świder wszedł jak najgłębiej.

On to czuł, słyszał jej myśli. Była skrajnie przerażona, ale już nie bała się śmierci. Teraz pragnęła jej jak niczego wcześniej.

Dziesięć centymetrów, osiem, sześć, cztery, trzy, dwa, jeden...

Chłopak zerwał się z łóżka i po omacku zaczął wzbraniać się rękoma przed nieistniejącym wiertłem. Przez kilkanaście sekund krążył po pokoju, nie będąc w stanie oddzielić koszmaru od rzeczywistości. W pewnym momencie zahaczył o kant łóżka i wyrznął głową w podłogę. Wtedy oprzytomniał.

Dotknął palcami pulsującego bólem miejsca na skroni. Skóra była lepka od krwi i potu. Mokre włosy posklejały się w strąki, koszulka przykleiła się do ciała. Jego serce waliło, jakby zaraz miało wyrwać się z piersi. Oddychał płytko, szybko, przed oczami wciąż przewijały się koszmarnie obrazy. Mężczyzna z wiertarką. Nawiedzony, obłąkany, kompletny świr. Spętana kobieta na kozetce, cała we krwi, obok zmasakrowany partner, w tle śpiewający Michael Jackson. Co za pieprzona groteska!

– To nie może być prawda, to nie może być prawda, to nie może być prawda...

Chłopak powtarzał te słowa niczym mantrę, ale w głębi serca wiedział, że jakakolwiek negacja tego, co nawiedza go każdej nocy, to czcze życzenie, a senny koszmar nie jest tylko chorym wytworem jego umysłu. To wszystko wydarzyło się naprawdę. Psychopata z wiertarką. Torturowana młoda para. Śmierć w takt *Thrillera* Michaela Jacksona.

Pomyślał o dwóch pięknych turystkach. Ich imiona nieustannie go prześladowały.

Małgorzata Dąbrowska i Ewelina Matejczuk.

– Co ja, kurwa, narobiłem...? – jęknął, a potem pięściami ścisnął skronie, jakby chciał zmiażdżyć własną czaszkę. Chwilę później Wiktor Bursztynowicz wydał z siebie niemy krzyk.

Rozdział 33

Igor poupychał w pralce ostatnie brudne skarpety i uruchomił urządzenie. Rzadko z niego korzystał, ale kompletna izolacja nie zwalniała go z dbania o higienę, w związku z czym musiał się przyzwyczaić do pewnych niedogodności. I choć zamieszkał w chałupie z twardym przekonaniem, że będzie prał ręcznie, to po kilku próbach na tarce wkurwiony na siebie wsiadł w samochód i kupił tanią kompaktową pralkę wirnikową. Po pierwszym razie odetchnął z ulgą. Agregat dostarczył wystarczającą ilość prądu, a upačkane błotem po pierwszych górskich spacerach spodnie były czyste i pachnące. Pralka, którą nazwał „Mała”, choć była głośna jak startujący F-16, dzielnie służyła mu do dziś.

Zanim „Mała” na dobre odpaliła silniki odrzutowe, Brudny zdążył jeszcze ogarnąć poranną toaletę. Po wyjściu spod własnoręcznie zmontowanego prysznicza, na który składał się przytwierdzony do stropu dziesięciolitrowy baniak z zimną wodą, poczuł się ostatecznie oczyszczony z emocji dnia wczorajszego. Pod czaszką przewalało mu się tysiące myśli, począwszy od wrażeń po nocnym czytaniu pamiętnika Konowałowa, przez dziesiątki wykluwających się w jego głowie teorii dotyczących potencjalnego mordercy, a kończąc na jego totalnym uzewnętrznieniu przed starą szeptuchą, o które komisarz w najśmielszych snach by się nie podejrzewał. Z łazienki wyszedł jedynie z ręcznikiem na głowie. Stał przy kominku, do którego dołożył zaraz po przebudzeniu, i napawając się przyjemnym ciepłem, zaczął się wycierać. Wtedy usłyszał przeciągłe skrzyknięcie. Zastygł w miejscu i wstrzymał oddech, bo doskonale wiedział, skąd dobiegał dźwięk. Czwarty schodek od dołu w drodze na ganek. Ktoś właśnie zakradał się pod jego drzwi.

Na szczęście walther znajdował się w zasięgu ręki, na kamiennej półce przy kominku. Powoli chwycił go w dłonie, przeładował i wycelował w drzwi. Pożałował, że zaraz po przebudzeniu nie odsłonił okien, ale szybko odgonił tę myśl. Wtedy klamka gwałtownie zaczęła poruszać się w górę i w dół. Zareagował instynktownie, bo tym razem nie chciał dopuścić do tego, że potencjalny

prześladowca znów się wymknie. W kilku susach doskoczył do drzwi, przekręcił zamek i otworzył je na oścież, celując wprost w głowę nieproszonego gościa.

– Chryste, Igor! – Julka odruchowo zrobiła dwa kroki wstecz.

– Ja pier... – Brudny opuścił broń.

Przez chwilę patrzyli na siebie, jakby zamiast długo niewidzianego partnera naprzeciwko stał duch.

– To teraz ganasz z pistoletem bez gaci? – Pierwsza odezwała się Julka. Przeniosła wzrok na dyndającego penisa. Na jej twarzy wykwitł dwuznaczny uśmiech.

– Tak wyszło – odparł Brudny. – Myślałem, że to...

– Ty już lepiej nie myśl.

Zbliżyła się do niego i jedną ręką nakryła dłoń, w której trzymał walthera. Druga powędrowała na jego krocze.

– W sumie takie przywitanie to mi się nawet podoba – mruknęła mu do ucha. Poczowała, jak członek partnera gwałtownie pęcznieje jej w palcach. – I jeśli koniecznie chcesz dziś sobie postrzelać, to wolałabym, żebyś najpierw użył tej drugiej lufy – dodała, wpychając go do chałupy.

Zatrzasnęli za sobą drzwi, nie przestając się całować. Namiętnie, ale zarazem dziko, niemal brutalnie, łaknąc każdego centymetra swojego ciała. Brudny odłożył broń z powrotem na półkę i wsunął dłoń pod jej ramoneskę. Jęknęła z rozkoszy i odchyliła głowę, wtedy przyssał się do jej szyi, jakby pragnął wgryźć się w tętnicę.

– Jak ja, kurwa, tego potrzebowałam... – syknęła i pozwoliła, aby ściągnął jej kurtkę, która chwilę później wylądowała na podłodze. Sama przez głowę zerwała T-shirt i gdy przed nią ukłękął, błyskawicznie rozpięła rozporek i zsunęła spodnie do kostek. Nie pozwolił jej na więcej, bo od razu zacisnął dłonie na pośladkach i przywarł twarzą do jej krocza. Docisnęła jego głowę, gdy jego język drapieźnie pieścił wewnętrzną stronę ud, wzgórek łonowy, w końcu nabrzmiała z podniecenia łechtaczkę. Nie chciała, aby przerywał, ale w końcu zmusiła się, aby ściągnąć czarne, skórzane botki i ostatecznie pozbyć się z kostek spodni. Brudny jednym gwałtownym ruchem obrócił ją i lekko pchnął na sofę. Oparła się rękami o mebel, wypinając pośladki, wtedy znów zanurkował językiem w jej wnętrzu. Trwało to kolejnych kilkanaście uderzeń serca, po których Brudny zerwał się z kolan, chwycił kochankę za biodra i wszedł w nią mocno, energicznie, bez pardonu.

Przez następny kwadrans kochali się dziko, szaleńczo, jakby to miał być ich ostatni raz. Gdy w końcu obojgiem targnęły spazmy intensywnego orgazmu, runęli na sofę i przez kilka minut wtuleni w siebie ciężko dyszeli, ciesząc się swoją bliskością. Julka nieustannie muskała palcami bliznę na piersi partnera, tuż przy

sercu, skąd lata temu lekarze wyjęli kulę przeznaczoną dla niej. On delikatnie gładził jej plecy.

- Też tego potrzebowałam – przerwał ciszę Brudny.
- Tylko tego? – zapytała, przygryzając mu sutek.
- Typowa baba. – Zaśmiał się.
- Typowy samiec. Tylko ruchanie ci w głowie.
- Sama zaczęłaś...
- Gdybyś nie przywitał mnie na golasa z pukawką w dłoni, to...
- To co?

Julka aż się zapowietrzyła. Brudny potrafił być naprawdę nieznośny, ale właśnie to w nim lubiła. Potrafili się droczyć, co często tylko dodatkowo wzajemnie ich nakręcało.

- Spadaj na drzewo – bąknęła, udając obrażoną.
- Też cię kocham – odparł i najpierw ją pocałował, a potem raz jeszcze mocno ścisnął palcami jej pośladek. Uwielbiała to.
- Ej! – zaprotestowała mimo to.
- Mam ochotę na jeszcze.
- Taki z ciebie ogier? – Julka spojrzała mu w oczy i przesunęła dłoń w okolice jego krocza. Ewidentnie znów był gotowy. Ale jak się droczyć, to się droczyć, pomyślała. Pocałowała go w zarośnięty policzek.

– Okej – rzuciła i zeszła z kanapy. – Ale najpierw zrób mi kawę i jakieś śniadanie, bo tarabaniłam się tu prawie całą noc i umieram z głodu. Mógłbyś się też ogolić, bo wyglądasz jak małpiszon. Potem możemy się bzykać do woli.

Brudny zaparzył kawy i ugotował osiem białych kiełbasek. Julka w tym czasie wzięła prysznic. Podśmiechiwał się, słysząc jej złorzeczenia, bo woda, którą musiał przynieść z dworu, była naprawdę lodowata. Koniec końców partnerka wyszła z łazienki odświeżona i pomimo przespania w poprzedni wieczór zaledwie kilku godzin pełna energii na nowy dzień. Zjedli, zapalili, pokochali się przy kominku i nasyceni sobą wyszli na werandę. Poranek był rześki, ale słoneczny i zachęcający do wyjścia z domu. W powietrzu unosił się zapach mchu, żywicy i pierwszych polnych kwiatów, a do tego było ono tak przejrzyste, że dało się dostrzec naprawdę odległe szczyty. Usiedli z dwoma kubkami parującej herbaty. Przez jakiś czas milczeli, ciesząc się chwilą. Julka wystawiła twarz do słońca.

- Nawet ci się nie dziwię, że nie chcesz wracać – powiedziała, bawiąc się torebką earl greya. – To miejsce jest naprawdę piękne. Te góry, lasy, cisza, spokój, natura.
- Gdyby nie buszujący w tych lasach psychopata...
- No tak... – bąknęła z wyrzutem. – I nastrój prysł jak bańka mydlana.

Zawadzka sięgnęła na leżącego na stoliku IQOS-a. Wsadziła wkład i uruchomiła urządzenie. Brudny zapalił tradycyjnego papierosa.

– Co mówią w telewizji? – zapytał, gdy wydmuchał dym w kierunku zadaszenia.

– Skupili się na tym ataku niedźwiedzia – odparła Julka. – Prokuratura mądrze pokierowała tematem. Ten cały...

– Krogulewski?

– Krogulewski, tak. Na konferencji gadał prawie wyłącznie o tym niedźwiedziu i chyba zdołał odwrócić uwagę mediów, bo te błyskawicznie podchwyciły temat. A to, że to czas ich przebudzenia ze snu zimowego, a to, żeby trzymać się bezpiecznych szlaków. Przypominają też ataki z lat ubiegłych. Takie tam pitolenie w bambus. O samych morderstwach coś tam niby piszą, ale wiesz... dla dobra śledztwa nie możemy ujawniać szczegółów ble, ble, ble. Rozwarty ryj niedźwiedzia w każdej telewizji robi robotę.

– Widać niegłupi ten Krogulewski.

– A miałeś o nim inne zdanie?

– Wiem tylko, że kawał z niego chuja i coś kombinuje. Myślę, że to on stoi za tą maskaradą z rozprutymi ptakami i kotami. Coś ukrywa, to pewne. Zresztą nie tylko on. Mam wrażenie, że tu każdy ma jakieś tajemnice i czegoś się boi.

– Jak to w małych społecznościach. Ludzie nie lubią gadać o sąsiadach.

– To coś innego, Julka. To nie zwykła zмова milczenia. Podejrzewam, że wielu ludzi żyje tu z piętnem czegoś, co wydarzyło się lata temu. Czegoś, co nigdy nie zostało rozliczone. A te morderstwa mają z tym jakiś związek.

– Chyba nie myślisz, że te legendy mają z tym coś wspólnego...

– Ja nie myślę, Julka. Ja to wiem. Poczekaj chwilę.

Brudny zgasił peta w popielniczce i zniknął w chałupie. Wrócił z niewielką książeczką. Wręczył ją Julce.

– Co to jest? – zapytała, sondując ją w dłoniach.

– Przeczytaj pierwsze zdanie i... zresztą po prostu przeczytaj.

Julka otworzyła pamiętnik Konowałowa. Zmarszczyła brwi, a na jej twarzy wykwitł grymas obrzydzenia.

– Skąd to masz?

– Od starej szeptuchy. Kobieta ma sto sześć lat. Wyobrażasz sobie?

– Grubo... – Julka przewertowała kilkanaście stron. W pewnym momencie znów się skrzywiła z niesmakiem. – Kuźwa, co ten facet tu pisze? Ty to już przeczytałeś?

– Wczoraj zacząłem, ale padłem. Dzisiaj planowałem kontynuować.

– I naprawdę myślisz, że te zapiski mogą naprowadzić cię na jakiś sensowny trop?

– Przyjrzyj się oprawie...

Julka posłała mu dwuznaczne spojrzenie i zamknęła pamiętnik. Powiodła palcami po okładce, na której brzegach widać było gruby ścieg. Przyjrzała się z bliska, po czym gwałtownie rzuciła książeczkę na drewniany blat.

– Kurwa! – zaklęła. – Czy to jest to, co myślę?

– Ludzka skóra, Julka. Ten pamiętnik jest oprawiony w ludzką skórę, a w pierwszym zdaniu facet pisze, że jest smolarzem i pierwsze, co pamięta, to smak ludzkiego mięsa. Potem robi się jeszcze ciekawiej.

Julka pokręciła głową z niedowierzaniem. W jej życiu jako policjantki przydarzyły się różne dziwne historie, ale ta zaczynała się wyjątkowo upiornie. Nie była pewna, czy chce w to brnąć. Legenda o ponurym smolarzu, który porywa turystów, a następnie torturuje ich i zabija? Albo zjada niegrzeczne dzieci? Przecież to był jakiś absurd!

– To autentyk? Nie jakaś fałszywka? Sprawdziłeś to? – dopytywała.

– Nie sprawdzałem, ale pamiętnik, i tu uwaga, bo to kolejny ciekawy moment, przekazała mi stara szeptucha, która otrzymała go od innej szeptuchy, a ta druga krótko po jego przekazaniu dostała zawału i zmarła. Wiesz, jak się nazywała?

– No mów.

– Stefania Klepacka.

– O cholera!

Szach i mat, pomyślała. Wtedy kątem oka dostrzegła na polanie jakiś ruch. Aż się wzdygnęła.

– To Klara i Baśka – oznajmił Brudny, zerkając na buszujące przy paśniku sarny. – Często tu przychodzą i nawet tak bardzo się nie boją. Czasem towarzyszy im Wojciech, piękny rogacz.

– One mają imiona?

– Sam je nadałem.

– Nie poznaję cię...

– Czasem sam się nie poznaję. – Brudny wstał i się przeciągnął. Chwycił paczkę papierosów i wcisnął ją w kieszeń spodni. – Muszę skoczyć tam, gdzie król chodzi piechotą. W tym czasie nadrób zaległości w lekturze, a potem poczytamy razem. Intuicja mi podpowiada, że w tym pamiętniku znajdziemy odpowiedzi na wiele pytań.

– Czy to ta słynna intuicja Igora Brudnego?

– Żadna inna.

– No to chyba nie mam wyjścia.

– Nie masz.

– No dobra. Przekonałeś mnie. – Julka z lekkim obrzydzeniem wzięła w ręce skórzany wolumin. – Idź robić tę kupę, a ja poznam bliżej ponurego smolarza. Do

której strony przeczytałeś?

- Na pewno zdążysz nadrobić.
- Nie wątpię.

Julka przez chwilę znów zastanawiała się nad jedną z największych zagadek wszechświata. Skąd u facetów ta niepoohamowana potrzeba ugniatania deski klozetowej dłużej niż to konieczne? Dlaczego srają do momentu, aż drętwieją im nogi? Westchnęła, zrozumiałwszy, że to jedna z tych tajemnic, które najprawdopodobniej nigdy nie zostaną rozwiązane, i jeśli do tej pory nie zdołali jej rozwikłać nawet słynni „amerykańscy naukowcy”, to zapewne to pytanie już na zawsze pozostanie bez odpowiedzi. Julia Zawadzka raz jeszcze zerknęła na podążającego do wychodka partnera, po czym otworzyła pamiętnik i zaczęła czytać.

Rozdział 34

Wizyta w śmierdzącym wychodku zajęła Brudnemu dokładnie osiemnaście minut. Może nie był to jego rekord, ale wynik oscylujący wokół średniej większości facetów. Poczekala, aż doprowadzi się do porządku, a gdy powiedziała mu, na jakim jest etapie, wykorzystał czas, aby jeszcze dołożyć do paśnika. Gdy zatrzymała się w miejscu, gdzie skończył, usiadł obok i zaczęli czytać wspólnie.

16 sierpnia 1946

Długo nie pisałem ja, bo dużo zmian w życiu moim zaszło takich gwałtownych i chyba jakoś tak mnie to ubodło w serce, no znaczy się te Niemcy, co tu przyszły, gdy ta wojna straszna się zaczęła. Myślałem ja, że nie ma gorszych od Ruskich, ale pomyliłem się bardzo, oj, bardzo. I najgorsze to w tym wszystkim jest to, że człowiek tak myślał sobie, że znalazł swoje miejsce na tym padole, a tu wszystko jebać się poszło, ot tak, z dnia na dzień, bo jakiś Hitler sobie wymyślił, że kraj obcy sobie napadnie i go rozwali, a Żydów powystrzela jak kaczkę albo do pieców powsadza, żeby spłonęli i tylko proch z nich pozostał.

A ja Żyd jestem, no pół-Żyd jestem, taki Żydo-Ukrainiec, a w tym kraju to tak trochę jak robak, co to czasem wyłazi spod kamienia, bo kryć się na co dzień musi. I kryłem ja się te całe lata, przez to, że ojciec do szkoły puścić nie chciał, bo te małe siusiaki mieli my z bratem obrzezane i gdyby któryś z małych Laszków to zobaczył, to pewnie od razu problemy by były, do ojca albo matki by poleciał, a w czasie wojny to już w ogóle, pewnie do Niemca by od razu polecieł i nagadali, że Żydy w lesie żyją, a wtedy Niemcy by przyszli i kule w łeb wpakowali i do rowu, i tak by się zakończył żywot Konowałówów. No więc kryłem ja się w tym lesie dalej, nawet jak te Niemcy przyszły, skurwysyny, pies ich jebał, dalej węgiel ja z ojcem i bratem wypalałem, udając, że ja nie Żyd czy tam pół-Żyd albo Żydo-Ukrainiec, że ja Polak albo przynajmniej pół Polak, pół Ukrainiec. Gówno to dało, niestety, bo Niemcy to takie są jak te psy myśliwskie, co węch dobry mają, wyczuć Żyda potrafią na odległość, albo sprawa miała się dużo prościej i Lachy nas zadenuncjowały, czego nie wykluczam, a nawet myślę

ja, że to bardziej prawdopodobne, bo Lachy też podejrzliwe i Żydów zwęszyć potrafią. Młodzian ja już byłem, chyba trzynaście wiosen miałem, gdy przyszli do ojca mego i za fracz z chałupy wyciągnęli, matkę za włosy wytargali, a mnie, brata i siostrę na bok postawili pod lufami karabinów. Ojciec klęczał i o litość ich błagał, matka krzyczała i lamentowała, a my staliśmy, bojąc się tych wielkich Niemców w grubych zimowych płaszczach, z hełmami na głowach i psami na smyczach, co warczały wściekle, jakby chciały nas zezreć, tak jak te wilki kiedyś, co je ojciec przegonił i nam wszystkim życie uratował. Tamtego dnia to jednak dziki krzyk nie wystarczył, bo tylko by sytuację pogorszył. Pamiętam ja, że naprawdę myślałem ja wtedy, że zginę, i tylko modliłem się do boga, w którego wtedy jeszcze wierzyłem, żeby od kuli w głowę, a nie od psich kłów, którymi Niemcy szczuli, bawiąc się przy tym i śmiejąc, jakby to była najlepsza rozrywka na świecie. Modliłem się ja bardzo żarliwie i chyba wymodliłem ja życie dla całej rodziny, bo jeden z tych Niemców, co to najwięcej miał na pagonach, popatrzył na wory z węglem i dymiące retorty, a potem do ojca zaczął coś gadać, a ojciec klaniać się zaczął i buty żołnierskie mu całował, a potem Niemcy odeszli.

Teraz to wiem ja już, że to nie bóg zadziałał, a moje modły pewnie w eter pofrunęły, bo niby gdzie indziej, jak boga nie ma i każdy normalny to wie. To ojciec nas uratował po raz kolejny, bo jak tak błagał i kajał się przed tymi Niemcami, to przekonał ich jakoś, że najlepszy węgiel wypala, a przecież zimy srogie tu strasznie i nie ma czym grzać, bo prawie wszystko na front wschodni jedzie, żeby żołnierzy walczących grzać. Prawda to była, ukryć się nie da, bo zimy najsroższe od lat były i wielu na kość zamarzało, a że na froncie zapotrzebowanie było coraz większe, to nawet na posterunkach tutejszych, od cywilizacji oddalonych, nieprzywykłym do takich warunków Niemcom dupy co noc odmarzały. I chyba tylko to, znaczy się ten węgiel, cośmy całą rodziną wypalali, życie nam uratował, bo od tego dnia do rejestru niemieckiego trafili my, a Niemcy nam w tym rejestrze jeszcze złośliwie nazwisko zmienili na takie, żeby nas z Ukraińcami nie mylono, ale rejestr ten dawał nam szansę na przetrwanie, tylko musieli my Niemcom cały ten węgiel oddawać, aby te niemieckie dupy sobie grzali.

W zamian za ten węgiel bukowy miałem ja i moja rodzina spokój, no taki spokój, co to można mieć na wojnie, gdy dookoła się zabijają, denuncjują, a takich jak ja i rodzina moja od razu do pieców wysyłają. Żyli my więc dalej w tym lesie, harowali my przy wypalaniu węgla, który Niemcom w całości prawie oddawali i też głodowali, chociaż nie tak, żeby dzieci zjadać, bo jednak czasem jakiś kawałek chleba udało się matce kupić albo coś tam we wnyki wpadło, jakiś zając albo inne stworzenie, co je można było zezreć, aby brzuch

napełnić. Unikali my kontaktu z Lachami, bo i sprawy między Polską i Ukrainą zrobiły się zaognione i słyszało się, że jedni drugich mordują tu i tam, zwykle Ukraińcy Lachów rzną, i to tak, żeby cierpieli jak najbardziej, zanim ducha ostatecznie wyzioną, w tym kobiety i dzieci też. Mieli my już jednak w rejestrze inne nazwisko, a to dawało chyba też ochronę od Niemców, a tak mi się przynajmniej wydaje, bo ojciec tego przed śmiercią nigdy nie wyjawiał. W każdym razie do nas nikt ze złymi zamiarami nie przyłaził i chyba nawet nie dlatego, że my w leśnych ostępach i daleko od wszelkiej cywilizacji mieszkali, ale właśnie dlatego, że ten węgiel my wypalali dla Niemców i Lachy się bały z Niemcami zadzierać, bo to wiadomo, że wtedy to ich czekałaby kula w łeb albo jeszcze gorzej.

Nic jednak nie trwa wiecznie, tako gadają, i w tym sporo prawdy jest, a może i cała prawda się za tym kryje, bo pamiętam ja, że pewnego dnia przyszedł ojciec i powiedział nam, że Niemcy wojnę przegrywają i jak bóg pomoże, to sobie pójdą i wojna się skończy. Niewiele rozumiałem ja z tego wtedy, bo byłem niewydukowany ani trochę i brałem ja życie, jakie było, a było takie, że trzeba było harować, żeby żyć, i nie narzekać, bo z narzekania brzuchów się napełnić nie dało. Coś tam sobie ja w głowie jednak wymyślałem, że to chyba lepiej, że Niemcy sobie pójdą, i jakoś tam mi się radośniej na sercu zrobiło i do pracy miałem ja też więcej energii, no generalnie to szczęśliwy zrobiłem się, a szczęśliwy przez ostatnie lata to raczej ja nie byłem. To moje niby szczęście trwało jednak krótko, bo pewnego śnieżnego dnia wydarzyło się coś strasznego, że po tym już myślałem ja, że nigdy szczęśliwy nie będę, ale to dopiero początek nieszczęść był, bo później to już nie nieszczęścia, tylko prawdziwy horror był.

Ręce drżą mi od tego pisania i nie wiem ja, czy dalej pisać, czy nie pisać, bo jak myślę ja o tym, to tylko okropne przekleństwa na język mi przychodzą i taka straszna żądza krwi we mnie płonie, taka co to trudno nad nią zapanować. Ale spróbuję, może dam ja radę, może muszę ja to napisać, a wtedy na sercu mi się zrobi lżej. No więc tego śnieżnego dnia przyszli Niemcy, ale tacy Niemcy, co to takich nigdy wcześniej nie widziałem. Mieli dziurawe buty i poszarpane mundury, twarze czerwone od mrozu, wynędzniali prawie jak my albo i jeszcze bardziej, jeden był ranny w rękę, bo miał ją na temblaku. Przestraszyłem się ja ich trochę, ale chcieli tylko jedzenia, więc ojciec dał im to, co mieli my pochowane, czyli w sumie niewiele, bo tylko resztkę chleba i kilka kawałków zajęczego mrożonego mięsa, a oni to zjedli i już mieli iść, gdy jeden z nich kazał ojcu pokazać dokumenty. Ojciec pokazał i żołnierz zaczął srogo na dokument patrzeć, wtedy ojciec zaczął tłumaczyć, że my tu węgiel dla niemieckich żołnierzy wypalamy i że mamy od nich gwarancję bezpieczeństwa i żyjemy z nimi w zgodzie, ale Niemiec ten wyjął pistolet i strzelił ojcu w głowę tak, że

trup na miejscu. Pamiętam ja, że huk był wtedy potworny i echem się po lesie rozniósł, ptaki się wszystkie z gałęzi zerwały i Niemcy się kłócić zaczęli, a o co, to nie rozumiałem ja, ale potem się ja domyśliłem, bo amunicji mieli mało, a i wystrzał pewnie ściągnął uwagę, której nie potrzebowali, a to akurat wiem, bo krótko później przyszli Ruscy i się o ten wystrzał pytali.

I tak ostatni raz w życiu widziałem ja niemieckiego żołnierza, a pech chciał, że ten ostatni niemiecki żołnierz memu ojcu w łeb wypalił, mimo tego że chleb mu ojciec dał i mięso z zająca też i pewnie uratował go przed śmiercią głodową. Potem Niemcy uciekli w gęstwinę, a po nich przyszli Ruscy w uszankach i już nam nic złego nie zrobili, tylko zapytali o ten wystrzał i poszli śladami tych Niemców, i mam nadzieję, że ich dopadli i też zabili. Tak sobie myślę ja, jaka to ironia losu straszliwa, że ostatni Niemiec zabił mi ojca, a Ruscy nam żadnej krzywdy wtedy nie zrobili, choć mojego ojca i matkę, i mnie małego grzdyla zresztą też do jedzenia dzieci kiedyś na Ukrainie zmusili, ale tak właśnie było, że wtedy Ruscy nam nic złego nie zrobili.

Nie mam ja już sił więcej pisać, bo ja wcale nie taki twardy i łzy mi po polikach płyną i przerwać muszę ja to pisanie, bo to i tak przecież bez sensu i nikt tego nie przeczyta. Poza tym pisałem ja, że to dopiero początek nieszczęść, a w zasadzie horroru straszliwego, bo ten przyszedł dopiero po wojnie, gdy już myślałem ja, że ci, co się mieli powyrzynać, to już się powyrzynali i nic gorszego rodziny mojej nie spotka. Byłem ja naiwny, oj, bardzo naiwny, a co gorsza, horror ten miał przyjść ze strony moich krajanów, którzy do tej ziemi sobie prawa rościli terrorem i krwią, ale teraz nie mam ja już siły o tym dalej pisać, muszę ja iść sprawy pozałatwiać urzędowe, bo pisałem ja, że życie moje się zmieniło, węgla nie wypalam ja już, tylko brat tam siedzi, ja teraz urzędnik jestem i mieszkanie mam ja prawidłne, i w lesie mieszkać ja już nie muszę. Praca jednak ważniejsza niż to bazgranie, bo po co to, ja nie wiem, chyba naprawdę głupi jestem...

– Potrzebuję przerwy – rzuciła Julka, odchylając się w krzesło. Rozprostowała kark i kilka kostek chrupnęło. – Ciężkie to jak cholera. Może jakiś spacer? Pogoda jest piękna, a przy okazji opowiedziałbyś mi więcej, bo przyznam, że jestem tym trochę skołowana.

– W sumie... – Brudny zamknął pamiętnik Konowałowa i dopił chłodną już herbatę. Wciąż nie powiedział Julce wszystkiego, co usłyszał od szeptuchy. Ale opowieść Muchowej wydawała się tak niewiarygodna, że najpierw musiał sam się z nią oswoić. Pomyślał, że spacer pozwoli mu trochę przewietrzyć umysł. – Tylko... – Omiótł spojrzeniem najbliższą okolicę. – Zabrałaś ze sobą laptopa?

– Tak.

– To zapakuj go do plecaka.

– Myślisz, że ktoś może próbować wejść do chałupy pod naszą nieobecność?
– Zamek w drzwiach otworzyłby każdy dzieciak, który choć raz w życiu był na szabrze. A ja nie ufam tu nikomu.

– Naprawdę mocno się zaangażowałeś...

– Nie prosiłem się o to. Te dziewczyny same do mnie przyszły. A potem stało się to, co się stało.

– I nie odpuszczisz?

– Już o to pytałaś. – Brudny wcisnął pamiętnik w tylną kieszeń dzinsów. Wpasował się, jakby były szyte na miarę. – I jeśli przyjechałaś, aby gadać takie pierdoły, to... – zawahał się – może lepiej chodźmy na ten spacer.

Brudny odwrócił się i chwilę później zniknął w chałupie. Julka westchnęła i pomyślała, że się wygłupiała. Znała go. Wiedziała, że potrafi być uparty jak osioł i jeśli podejmie się rozwikłania danej sprawy, to prędzej jej kaktus na głowie wyrośnie, niż on się podda i zrezygnuje. Ale czy za to właśnie go nie kochała?

Wstała, rozprostowała kości i nabrała w płuca powietrza. Wybór był prosty. Pomóc mu albo wyjechać. Wybrała to pierwsze.

Rozdział 35

Słońce powoli kryło się za wzgórzami, gdy Sława Muchowa zbliżyła się do niewielkiego drewnianego krzyża. Znała drogę na pamięć i choć była całkiem ślepa, nie miała najmniejszych trudności, aby odszukać dojście do skromnego grobu skrytego pomiędzy muskającymi go gałęziami rosnącej obok wierzby płaczącej. Wysłużona laska drżała jej w dłoni, w drugiej trzymała płonący znicz. Przysiadła na grubym pniaku i złożyła dłonie do modlitwy.

Nie pamiętała, kiedy jej serce było tak pełne nadziei. Przeżyła wystarczająco dużo i widziała jeszcze więcej, aby zrozumieć, że świat nie jest sprawiedliwy, a rządzą nim nie anioły, ale demony. Wbrew pozorom można to było bardzo łatwo zbadać empirycznie. Bo ile aniołów spotkała w ciągu stu czterech lat życia? Nie tych figurek ustawianych w kościołach czy cerkwiach, ale tych prawdziwych, których czyny dało się zweryfikować na podstawie zmysłów, widząc, słysząc i czując płynące od nich dobro, tych, co dają ludziom nadzieję, chronią ich i im pomagają? Sława Muchowa, choć przeżyła na tym świecie ponad sto lat, nie spotkała takiego anioła ani razu. Spotkała za to wiele demonów. Też nie tych, które straszą ze świętych malowideł, z rogami, widłami i długimi kosmatymi ogonami. Ona widziała te prawdziwe, słyszała je i poczuła ich czyny na własnej skórze. W ich istnienie Sława Muchowa nie wątpiła.

Postawiła przy krzyżu płonący znicz. Teraz naprawdę miała nadzieję. Może była stara i głupia, ale musiała w coś wierzyć, aby odejść z tego świata w spokoju. Jej czas powoli dobiegał końca. Zdawała sobie z tego sprawę. Bo nic nie trwa wiecznie.

Tylko czy aby ten mężczyzna był tym, na kogo czekała tyle lat? Bardzo tego pragnęła. Nie żeby był aniołem, bo już dawno temu przywykła do tego, że anioły nie istnieją. On po prostu był dobrym człowiekiem. Aura, jaką roztaczał, była absolutnie wyjątkowa. Jeszcze nigdy nie spotkała na swojej drodze osoby, w której ścierało się ze sobą tyle sprzeczności, która doświadczyła i nosiła w sobie tyle zła, mimo to potrafiła je ujarzmić, poskromić, utrzymać demony

w ryzach. Dzięki darowi, jakim sama została obdarzona, przez chwilę mogła poczuć każdą z kotłujących się w nim emocji, ale choć przed martwymi oczami co rusz przemykały złośliwe maskary, jego serce było wolne od wszelkiego zła. Nie czyste, ale wolne. Tak jakby to zło nie było w stanie przebić się przez kokon, którym się oblekł, pomimo usilnych prób nie było w stanie go zainfekować, zatruć i tak już mocno pokaleczonego serca. A gdy mężczyzna w końcu się przed nią otworzył, zrozumiała, że to na niego czekała. Że tylko on jest w stanie stawić czoło demonom od lat panoszącym się w bieszczadzskich lasach i zrobi to nie dla własnej bądź czyjejkolwiek korzyści, ale bezwarunkowo. Bo tego wymaga ludzka przyzwoitość. Po prostu.

– Odpoczywaj, córeczko – wyszeptała, a potem wykonała znak krzyża, chwyciła laskę i podniosła się z ławeczki. – Kocham cię bardzo i już niedługo do ciebie dołączę. Daj mi jeszcze tylko kilka dni. On się dowie. Czuję to. Jeszcze tylko kilka dni, kochana – dodała i powolnym krokiem podreptała z powrotem do chałupy.

Rozdział 36

Spacer zamienił się w niemałą wyprawę. Brudny obrał kierunek na stary cmentarz w Łopience, po drodze zachodząc do kapliczki, gdzie dzień przed śmiercią namioty rozbiły Małgorzata Dąbrowska i Ewelina Matejczuk. Opowiedział Julce o swoich odkryciach.

– Wiesz, ile ludzi pali teraz te elektroniki? – pytała, wskazując na własnego, którym się zaciągała.

– Domyślam się, ale patrzysz na to z perspektywy mieszkanki miasta – odpowiedział. – Tu w promieniu kilkudziesięciu kilometrów ich nie kupisz, a właścicielka sklepu zasugerowała, że pali je jedynie syn Bursztynowicza. Spojrzenie stojącej w kolejce ciotki, czyli żony Kmity, i reakcja na nie sprzedawczyni też nie pozostawiły złudzeń. On ma z tym coś wspólnego i niewątpliwie go kryją.

Brudny następnie przedstawił partnerce kolejne tropy. Nie omieszkał wspomnieć o rozprutych ptakach, kotach, podrzuconej pod drzwi wiadomości i wizycie nad wodospadem. Pomiął jedynie wątki z opowieści Muchowej. Musiał niechętnie przyznać, że irytuje go fakt, iż nie może spokojnie się nad tym wszystkim zastanowić.

– Dziś planowałem pojechać do matki tej zamordowanej dziewczyny, ale...

– Ale przyjechałam i zawracam ci dupę?

– Wiesz, że nie, i przestań gadać takie rzeczy – rzucił tonem, w którym dało się wyczuć rozdrażnienie. – Cieszę się, że jesteś. Bardzo się cieszę i naprawdę zaczynają mnie wnerwiać te twoje szpilki.

– Masz rację, przepraszam. – Julka się przytuliła. – Nie wiem, co ostatnio we mnie wstąpiło. Jestem zestresowana i chyba... – zawahała się – chyba trochę się boję.

– Czego?

– Że... – znów zrobiła krótką pauzę – no, że cię stracę.

Ta deklaracja trochę go zaskoczyła, choć uczciwie musiał przyznać, że przez głowę przemykały mu różne scenariusze. Kochał Julkę, ale czasem czuł, że nie nadaje się do długotrwałych relacji. Kobiety zwykle miały inne spojrzenie na związek. Potrzebowały poczucia bezpieczeństwa, wsparcia, ale też odrobiny romantyzmu i przeświadczenia, że wiązanie się z mężczyzną ma szansę przynieść w przyszłości coś więcej niż wspólne bieganie za najróżniejszej maści świrami zakończone wieczornym seksem i oglądaniem Netfliksa. On wciąż miał wątpliwości, czy będzie mógł sprostać takim oczekiwaniom, nawet jeśli Julka miała dużo większe pokłady zrozumienia zarówno dla jego trudnego charakteru, jak i codziennej rutyny. Poczucie bezpieczeństwa w tym zawodzie było jedynie zaklinaniem rzeczywistości, romantyzm u niego wyraźnie kulał, a pomysł, aby spłodzić potomka, wciąż jawił mu się jako coś absurdalnego. Nie chciał jej ranić, ale też nie chciał, aby od niego odeszła. Brzmiało banalnie, wręcz idiotycznie, ale tak właśnie było. W poważnym związku czuł się trochę jak słoń w składzie porcelany.

Brudny trochę zbyt długo zwlekał z odpowiedzią, w końcu przytulił Julkę i wyszeptał jej do ucha kilka słów, po których odzyskała wigor. Ruszyli dalej, trzymając się za ręce, a gdy droga zwężyła się na tyle, że stało się to niemożliwe, wysforował się na przód. Na cmentarzu znów zrobili sobie odpoczynek, w czasie którego przedstawił swoje hipotezy. Julka wciąż wykazywała się sporym sceptycyzmem, ale wyryte na grobie litery były twardym dowodem, że historia, jaką spisał w swoim pamiętniku wciąż niezidentyfikowany Dima Konowałow, nie jest jedynie bujną na resorach.

– Wychodziłoby na to, że tu leży ojciec tego całego Dimy – mruknęła, wycierając w spodnie brudne od mchu ręce.

– Facet, który stworzył legendę – zgodził się Brudny. – Plotki nie wzięły się znikąd, a to, że przeobraziła się w mit o ponurym smolarzu pożerającym niegrzeczne dzieci, to już zupełnie inna bajka. Ale ludzie w jakiś sposób musieli dowiedzieć się o tym, co Konowałowie przeżyli podczas Hołodomoru. Historia tej rodziny z pewnością jest tu znana, tylko dziwnym trafem prawie wszyscy udają, że nie wiedzą, o co chodzi. Musiało wydarzyć się coś jeszcze. Coś, co zamknęło im usta.

– Sześćdziesiąty ósmy?

– Tak uważam. – Brudny upił łyk wody. – W pierwszej kolejności wspomnieli mi o tym ten smolarz, z którym chlałem denaturat. Sam był wtedy dzieckiem i jedynie powtarzał, że miało to jakiś związek z ówczesną nagonką na Żydów. Kojarzysz ten wątek z historii?

– W sześćdziesiątym ósmym wyrzucono z Polski kilkanaście tysięcy Żydów. Całą tę aferę rozkręcił chyba Gomułka, czy tak?

– No mniej więcej. Zaczęło się od wojny sześciodniowej pomiędzy Izraelem a krajami arabskimi. Jeśli dobrze pamiętam, to Syrią, Egiptem, Jordanią i Irakiem. Wtedy ZSRR mocno obstawał przy koalicji, a cały zachodni świat, szczególnie USA, popierał państwo żydowskie. Polska ze zrozumiałych względów oficjalnie musiała działać pod dyktando Ruskich, więc przywództwo PZPR, oczywiście na wniosek Breżniewa, rozkręciło nastroje antysemickie. Co ciekawe, w strukturach władzy Polski Ludowej funkcjonowało wówczas wielu partyjniaków żydowskiego pochodzenia, ale będący pierwszym sekretarzem Gomułka wyczuł szansę, aby raz na zawsze się z nimi rozprawić. Zaczęły się prześladowania. Zwalniano Żydów z wojska, milicji, organów bezpieczeństwa i innych instytucji państwowych, no powiedzmy, że zapanowało generalne przyzwolenie na to, aby im dokopać. W związku z tym wielu zdecydowało się opuścić Polskę, ale cóż... niektórzy niekoniecznie chcieli poddać się tej nagonce.

– Jak to ma się do naszej sprawy?

– W rozmowie z niejakim Gruchołą, chyba ci o nim wspominałem... – Julka przytaknęła. – Więc ten Gruchoła powiedział mi, że w Stężnicy mieszkała taka jedna rodzina żydowskiego pochodzenia, Goldmannowie. Podobno byli bardzo wpływowi. Ich pozycja zrodziła wiele plotek, począwszy od tych, że jeszcze przed wojną znaleźli jakiś skarb, po takie, że w zamian za przechowanie jakiegoś rannego gestapowca w czasie marszu Armii Czerwonej przez te tereny ten obiecał im nagrodę w postaci zrabowanego złota. Tak czy siak, nie byli tu lubiani, bo dotarłem nawet do informacji, że czynnie współpracowali z ubecją. Ile w tym prawdy, to nie wiem, w każdym razie według Gruchoły ludzie wykorzystali nagonkę i dokonali na nich linczu. Sam też był wtedy dzieciakiem i niczego na własne oczy nie widział, więc twierdzi, że tylko powtarza zasłyszane słowa. Klął za to na tych, którzy krótko po tym porobili kariery. Według niego wszyscy tutejsi sołtysi, wójtowie, burmistrzowie, księża czy bogaci przedsiębiorcy to ludzie, którzy w jakiś sposób na tamtych wydarzeniach skorzystali. Na czele z...

– Bursztynowiczem.

– Bingo, Julka. Według Gruchoły on zyskał na tym najwięcej. Mało tego, zamieszkał w pałacyku po Goldmannach, którzy po prostu wyparowali. Cała siedmioosobowa rodzina.

– Brzmi jak klasyczna opowieść o ludowej zemście.

– Co ciekawe, w linczu prawdopodobnie brał udział ojciec Samuela Wanzreicha, zresztą po nazwisku można zakładać, że też Żyd. On również był smolarzem i podobno po wydarzeniach z sześćdziesiątego ósmego pomieszało mu się w głowie i kilka lat później zastrzelił żonę, a następnie sam sobie palnął w łeb.

– Co się stało z dziećmi?

– Trafiły do sierocińca, ale Samuel po osiągnięciu pełnoletności wrócił na ojcowiznę i odbudował wpał.

Julka przez dłuższą chwilę próbowała połączyć wątki, ale miała wrażenie, że te puzzle nijak do siebie nie pasują.

– Z tego, co mówisz, to Wanzreich mógłby mieć jakiś powód do zemsty, ale dlaczego miałyby mordować jakieś dwie zupełnie obce mu turystki?

– No to właśnie nie ma najmniejszego sensu. Poza tym tu nie chodzi tylko o nie. Wanzreich wrócił na te tereny na początku lat osiemdziesiątych, a niewyjaśnione zaginięcia turystów trwają praktycznie nieprzerwanie od lat pięćdziesiątych. Korzenie legendy też sięgają okresu, gdy Samuela jeszcze nie było na świecie.

– Mordercą mógł być jego ojciec – zauważyła Julka. Ta hipoteza nagle stała się w jej mniemaniu stosunkowo sensowna. – Facet był odludkiem, brał udział w linczu na tych Goldmannach, a potem, według tego, co mówisz, popadł w obłąd. Może dopadły go wyrzuty sumienia? Może ktoś go nakrył i gość wolał odebrać sobie życie, niż wpaść w ręce milicji albo samemu zostać zlinczowanym? Może jego syn odziedziczył geny po ojcu i po powrocie też zaczął zabijać?

– Myślałem o tym, ale to nie tłumaczy, dlaczego w okresie pomiędzy śmiercią ojca Samuela a powrotem tegoż Samuela na ojcowiznę ta statystyka w ogóle się nie zmieniła. Ba, według twoich ustaleń liczba zaginięć nawet wzrosła.

– Musiałabym raz jeszcze zajrzeć do tych danych...

– Sprawdziłem to. W latach siedemdziesiątych nastąpiła wręcz eksplozja niewytłumaczalnych zniknięć. No może eksplozja to trochę przesadzam, ale było ich zdecydowanie więcej niż w latach sześćdziesiątych czy na przykład drugiej połowie osiemdziesiątych, czyli mniej więcej wtedy, gdy na wpał powrócił Samuel.

Julka znów na chwilę zamilkła, próbując przetrwać wszystkie te informacje. Ale jeśli w pewnym momencie jej hipoteza zaczęła nabierać realnych kształtów, tak teraz tworzący się obraz znów rozpadł się w drobny mak.

– Zostawmy to na chwilę, bo chyba za bardzo odbiegliśmy od tematu – zasugerowała, wyraźnie poirytowana. – Jak ma się do tego cała ta historia z Konowałowem?

– Mam pewną hipotezę, ale chwilowo wolałbym jeszcze w tym garze nie mieszać.

– No mów.

Brudny wyciągnął z kieszeni pamiętnik.

– Najpierw to – rzucił sugestywnie.

– Chcesz czytać oprawiony w ludzką skórę pamiętnik Konowałowa nad grobem jego ojca? W miejscu, gdzie znaleziono dwie zamordowane młode dziewczyny?

– A dlaczego nie?

– Myślałam, że zdążyłam poznać wszystkie twoje fetysze.

– Jeśli to miał być żart, to jest do dupy.

– Wiem.

– Ale co do fetyszy... – Brudny posłał jej szelmowskie spojrzenie. – Kiedyś chciałybym poznać szczegóły historii tej twojej szpicruty.

– Chciałybyś – prychnęła.

– No chciałybym.

– Jak będziesz bardzo niegrzeczny, to może kiedyś ją wyciągnę.

Julka zbliżyła się do Brudnego i chwyciła go za pośladek. Ścisnęła go, a jej druga ręka powędrowała na jego krocze.

– Naprawdę? – zapytał. – Nad grobem faceta, który jadł dzieci? Myślałem, że zdążyłem poznać wszystkie twoje fetysze.

– Spadaj, głupku.

Brudny wybuchnął śmiechem, a następnie odskoczył, gdy próbowała chwycić go za koszulkę. Odbiegł kilka metrów i przysiadł pod znajomą sosną z upiornie poskręcanyimi konarami. Julka pokręciła tylko głową, po czym się dosiadła. Odgarnęła włosy i położyła głowę na ramieniu partnera. W cieniu gałęzi znów zatopili się w lekturze.

27 września 1946

Znów ja piszę, choć długo ja nie pisałem i trochę nie pamiętam ja, gdzie skończyłem, bo roboty mam tyle, że nie wiem, w co ręce mam ja włożyć. Skończyłem ja chyba jednak na tych moich krajanach nieszczęsnych, co to terror na te lasy sprowadzili, i od razu powiem ja, że to Ukraińcy byli, bo ich tu jednak mieszkało sporo, choć nie tyle co Lachów. Wielka wojna skończyła się, gdy Ruskie przyszły i Niemca przegoniły, ale nie tutaj, nie na terenie tym, co wybrał ojciec na to, żeby osiedlić się i żyć w spokoju, bo tak to mówią Lachy, że wpadli my jak z deszczu pod rynną. Gdzieś tam w Warszawach i innych miastach może i ten pokój już był, ale tu ciągle krew lała się strumieniami, za co wstyd było mi, że hej, wstyd za tych moich krajanów tępych i głupich, co z siekierami po lasach biegali i Lachów ze skóry obierali, oczy im wyjmowali, języki odcinali i głowy rąbali i nieważne, czy to chłop tęgi był, czy kobieta wątła, czy dzieciaczki malutkie, rąbali wszystkich tymi siekierami albo rznąli nożami lub dźgali widłami. Nie czułem się ja już jako Ukraińiec, bo co ja się miałem czuć, skoro całe życie, co pamiętam ja, to tu w Polsce przeżyłem, a z Ukrainy to pamiętam ja tylko ten smak ludzkiego mięsa i jakieś tam kruki czy słoneczniki, czy leżące przy płotach powleczone skórą trupy. Nic mi do tej Ukrainy już nie było, nie lubiłem ja jej chyba w ogóle, polski znam ja solidnie, więc jestem ja bardziej Polak niż Ukraińiec, no i może trochę ten Żyd też jestem. Ale coś

odbiegam ja znów od tematu i jakieś wtrącenia tu urządzam ja niepotrzebne, bo rozchodzi mnie się o to, że żyli my z matką, bratem i siostrą w tej naszej chałupie i ten węgiel robili my i myśleli my, że już gorzej nie będzie, bo ta wojna to się skończyła już i może w tych lasach też się uspokoi. I tak pewnego dnia pakowałem ja węgiel do jutowych worków, gdy przyszedł mój brat, co do wsi okolicznej poszedł, nie wiem ja po co, ale chyba tam babę jakąś miał, i powiedział, że popy cerkiewne znów judzą, aby Lachów rznąć, bo to ukraińska ziemia jest i trzeba ją wziąć, a Lachów pogonić, najlepiej wyrznąć w pień, żeby ich nie było. No i stało się tak, że tych Lachów wyrznęli, i to już drugi raz, bo rok wcześniej w tym Baligrodzie też wyrznęli ich chyba ze czterdziestu, a do tego jeszcze w Stężnicy też porąbali kilku, więc on chce do garnizonu polskiego wstąpić, żeby bronić ludzi, ale sądzę ja, że głównie to myślał o tej babie swojej, bo ona w sobie ukraińskiej krwi nie miała w ogóle. Trochę pokłócili my się o to, bo jak to miałem ja ten węgiel dalej robić bez niego, jeśli roboty po pachy, ale uparł się ten mój brat i poszedł w chuj. Co on tam robił, to nie wiem ja, ale chyba niewiele, bo bandy tych dzikusów po lasach biegały bezkarnie i nawet raz czy dwa na wypał zaszły, ale że my po ukraińsku gadali, to nas zostawili w spokoju. Tak minęło lato, a potem jesień, i to już było w kolejnym roku, to coś, co trudno mi pisać, ale napiszę ja, bo jakoś muszę i nie mogę ja nad tym zapanować.

Pamiętam ja, że to styczeń był mroźny, śniegu po pas, roboty mniej i dużo czasu w bunkrze spędzali my z matką i siostrą, no w tym bunkrze, co to wykopał ojciec mój na srogie zimy i chyba na wszelki wypadek, a o którym wspomnieć zapomniałem ja chyba, coś mi się tak zdaje. W każdym razie bunkier ten to taki lichy był, niemurowany, ale ojciec drwał przecież, więc drzewem narąbanym wzmocnił, coby się nie zawalił łatwo i grobem dla nas się nie stał zamiast schronieniem. I tak w te tęgie mrozy spali my tam na dole, ogień palili my, bo ojciec mądry i nawet taki komin zrobił, coby ten ogień palić można było. I tak siedzieli my, ale zachciało się mi wiadomo co i wyszedłem ja na ten mróz, żeby to zrobić i bunkru małego nie zasmrodzić, wtedy z gęstych krzaków wyszły trzy chłopcy w kufajkach podartych, uszankach, zarośnięci i potargani, z krwią na brodach, z nożami przy pasach. Patrzyłem ja na nich z dupą gołą, oni na mnie, w końcu podciągnąłem ja gacie i pytam się ja, czego chcą, a oni do siebie po ukraińsku, że ja Lach i zabić trzeba, więc ja do nich też po ukraińsku, że nie Lach, tylko Ukrainiec, i żeby mnie nie zabijali. Oni wtedy podeszli i zapytali, czy mam ja coś do jedzenia, a wiedzieli, bo my zajęca piekli w tym bunkrze i zapaszek przez komin z dymem ulatywał, a poza tym paluchy mają poodmrażane i chcieliby się ogrzać. Nie chciałem ja ich zapraszać, bo wiedziałem ja, że to ci od Bandery, ale bronić się ja nie mogłem, bo tylko

wysrać się wyszedłem ja i nic do obrony nie miałem, a oni mieli noże i pistolety, a jeden nawet przewieszony przez ramię karabin targał. Zaprosiłem ja więc ich niechętnie do tego bunkra, bo myślałem ja, że się nażrą, ogrzeją i pójdą w chuj. Niestety, pomyliłem ja się bardzo, ale to bardzo, i do tej pory ja tylko ich różnąc pragnę, skurwysynów, niech ich wszystkich piekło pochłonie.

Palce drżą mi znowu, gdy to piszę ja, ale jakoś piszę, bo tak czuję ja, że jak tego nie zrobię, to chyba oszaleję. Płaczę ja i piszę, bo inaczej nie mogę, muszę ja się biczować, bo jakoś tak mi lżej, gdy te myśli mroczne na papier przelewam. No więc te chłopcy przedstawiły się jako Szasza, Kirył i Dmytro, a potem weszli do tego bunkra i się tam rozsiedli, a matka z siostrą żreć im dały i zaczęły żreć. Żarli i gadali o rżnięciu Lachów w nieodległej Cisnej i o tym, jak jednemu skórę z głowy zdzierali na żywca dla zabawy, a innych na kawałki rąbali, a innych jeszcze palili, kobiety i dzieci też, i teraz muszą tu przeczekać, bo stało się tak, że Lachy ich ostatecznie przegoniły, a oni uciekali po ćmoku przez gęsty las i resztę grupy zgubili, a teraz się boją wyjść, bo Lachy szukają zemsty i po lasach się czają. Matka moja i siostra tego z przerażeniem słuchały i nic nie gadały i zrobiło się tak niezręcznie, że oni wyczuli, że my chyba nie za bardzo te ich zbrodnie pochwalamy, wtedy tak jakoś dziwnie zaczęli się na nas gapić, to na siostrę moją, to na matkę, to na siebie, a potem na mnie, ale nie reagowałem ja, bo się bałem, że coś mi zrobią, i wierzyłem ja głupi, że jednak sobie pójdą.

Oj, głupi, głupi byłem ja, a może strach obleciał mnie, że nic nie zrobiłem, a oni zrobili, bo zaatakowali mnie i pobili, że zemdlałem. Obudziły mnie jęki i potem to już taki horror był, że znów łzy mi lecą i palce mi drżą, w każdym razie oni chędożyli moją siostrę i matkę i nie mogłem ja nic zrobić, bo spętany byłem ja i gębę też miałem ja zatkaną na amen. Ale to i tak był tylko początek, bo styczeń ten był mroźny, a Lachy rzeczywiście po lasach zemsty szukać chodzili, więc oni w tym naszym bunkrze zostali, aby najgorsze przeczekać. Zakazali wychodzić, więc srali tam i szczali wszyscy, a że żarcia nie mieli my więcej niż tego zajęca i jednego chleba, to po tygodniu matce mojej rękę urznęli i ją zeżarli, przy życiu jednak zachowali, żeby świeża była, a potem drugą rękę zeżarli i potem nogi i resztę, nawet wątrobę i serce, a gdy z matki już prawie nic nie zostało, to tak samo zeżarli moją siostrę i mi też na siłę mięso jej do gęby wpychali, bo i mnie zeżreć chcieli, ale na końcu, bo mnie ruchać to już nie to samo, więc mnie na końcu. I pewnie zeżarliby i mnie, gdyby nie to, że mrozy w końcu odpuściły i mój brat przyszedł, bo przepustkę z garnizonu w Baligrodzie dostał. Brat mój bystry jest, więc szybko wyczuł, że jakaś tragedia się stała, a że teren znał, krzepę miał i strzelać się nauczył, to trzech upowców fortem ubił i mnie uratował.

Nie wiem ja, po co ja to piszę, nie wiem, oj nie wiem, bo potem on zapytał, gdzie matka i siostra, a ja, no co mogłem ja powiedzieć, nic nie mogłem ja powiedzieć, bo wściekłość taka mnie opanowała i pewnie jeszcze wstyd i hańba, że nie uratowałem ja matki i siostry, i pewnie jeszcze opętanie jakieś albo obłąd, że do gardła mu się rzuciłem ja, żeby go zagryźć jak psa. Bili my się strasznie, ale on silniejszy był i wygrał, a potem zobaczył ten horror, te kości matki i siostry rzucone w kąt w worku jutowym obleczone robalami, co te resztki z nich obżerały, i powiedziałem mu ja wszystko, i że nas zostawił też mu powiedziałem ja, i że gdy on zajadał się chlebem i wódkę w garnizonie pił z Lachami, to matkę i siostrę gwałciły Ukraińce, a potem je żarły na żywca. Oszalał mój brat wtedy ze zgryzoty i sam ukraińskie truchła porozkrywał i serca im powyrywał, i żreć je zaczął jak jakiś dziki zwierz, a potem padł, i myślałem ja, że umarł, że wyrzuty sumienia go zabiły, ale okazało się, że nie, i on oddychał i w końcu się obudził.

I tak to było, taka ironia losu, że gdy głód był na Ukrainie i my żarli ukraińskie dzieci, to potem Ukraińcy mi matkę i siostrę zezarli, ale na polskiej ziemi, która miała być dla rodziny Konowałowów wybawieniem, a okazała się śmiertelną pułapką. Brat mój nie uniósł tego, co los mu zgotował, i zapadł się w sobie kompletnie, obłąd go jakiś opanował i sam te wszystkie rzeczy sprzątać musiałem, bo przecież prawda wyjść na jaw nie mogła, bo my z pochodzenia Ukraińcy, to by nas jeszcze Lachy o wszystko oskarżyły, a poza tym wstyd i hańba okrutna, nawet gdyby prawdę z ust moich usłyszeli i w nią uwierzyli. Poupychałem ja więc te upowskie ścierwa w retortach, podpaliłem ja wszystko i w proch się obróciło, bunkier ja wysprzątałem, a kości matki i siostry zakopałem ja w tym bunkrze, żeby ludzie grobów nie widzieli i o szczegóły nie pytali, a wersja była taka, że matka i siostra poszły gdzieś w świat szukać lepszego życia, i tyle.

Mijały dni, tygodnie i żyli my jak duchy na tym wypale, po brata przyszli wojskowi, ale jak go zobaczyli, to zostawili, bo trupa tylko widzieli, a nie człowieka, nie gadał on nic, jakby mu język wycięli, a w oczach miał pustkę taką, że duszy próżno w niej było szukać, tak jakby go ta dusza opuściła. We mnie zaś rosła taka nienawiść straszna do całego świata, do ludzi wszystkich, nawet do tych drzew i ptaków, więc gdy przypadkiem ja zobaczyłem kryjącego się w lesie Ukraińca, to nie pytałem ja o nic, tylko zaciukałem go ja siekierą i serce mu wyżarłem od razu. Jakoś tak mi się wtedy dobrze zrobiło, tak jakbym nakarmił demona, co we mnie zamieszkał na stałe, i zaczęłem ja czasem chodzić po tych lasach i szukać innych ludzi, i ich zabijać, a potem wyżerać ich serca i spalać ścierwa w retortach, żeby śladów nie było, ale raz zabiłem ja w amoku Polaka i przyszli pytać, ale że spaliłem ja wszystko i śladów nie było żadnych,

to mi uwierzyli, że nie widziałem go ja i nic wspólnego z jego zaginięciem nie miałem.

Rósł we mnie ten gniew każdego dnia, a był on nienasycony i coraz większy, więc pomyślałem ja, że dalej to tak być nie może, bo mnie w końcu złapią i zabiją, a poza tym nie mogłem ja patrzeć na tego mojego udręczonego brata, co tylko leżał jak kłoda i ślina mu z gęby kapłała, a nawet czasem srał pod siebie, więc dupy wycierać ja mu nie chciałem. Pomyślałem ja więc, że trzeba coś zmienić, a że szukano ludzi do nowej struktury, co to się nazywała Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego i co to miała wyłapywać szpiegów niemieckich, banderowców i różnych innych bandytów, to zgłosiłem się ja na ochotnika, do partii ja wstąpiłem pod nazwiskiem, co mi Niemcy nadali, czyli Wanzreich, i to był dobry ruch, bo mogłem ja w końcu dać upust tej swojej nienawiści do świata, bo praca ta była stosunkowo prosta i należało bić ludzi, łamać im ręce, wory ukrecać, a jak trzeba, to zarzynać w świetle prawa, i ja to robiłem z największą przyjemnością. I nieważne dla mnie było, czy to Ukrainiec, czy Polak, czy jakiś inny, gównu mnie to obchodziło, bo nienawidziłem ja wszystkich, katowałem ja ich więc bez wyrzutów sumienia, a nawet czerpałem satysfakcję, a nawet rozkosz taką podniecającą, gdy darli te japy, a ja ich po mordach lałem zapamiętałem, a potem wymyślałem różne tortury, coby były jak najbardziej bolesne i żeby darli te japy jeszcze głośniej. Ta moja zawziętość chyba się tym na górze spodobała, bo awanse dostałem ja szybko, imię i nazwisko ja znów zmieniłem, coby mnie ludzie za mocno z tym węglem nie kojarzyli, mieszkanie ja dostałem we wsi i pieniądze lepsze też dostałem, i jeszcze różne dodatki takie, co mogłem ja tylko pomarzyć, gdy węgiel ja wypalałem, więc o wypale zapomniałem ja i brata też zapomniałem, bo to przecież wszystko przez niego było, że naszą matkę i siostrę zezarły upowskie ścierwa, i to na moich oczach.

Papier mi się kończy i chyba na razie dalej pisał ja nie będę, bo ten żal trochę już odszedł, a w celi czeka taki jeden delikwent, co to podobno ukraińska krew w nim płynie, a to dla mnie jak najlepszy deser czekoladowy, że mam ja wolną rękę, aby mu pazury powyjmować i jajca prądem przysmażyć albo zrobić coś jeszcze innego, aż mnie trzęsie z podniecenia. Kończę ja więc to pisanie, chyba mi lepiej, zresztą sam nie wiem, ale chyba jednak lepiej, ważne, że delikwent czeka i będę miał z nim parę godzin, żeby z tym banderowcem potaćzyć tak, jak na to skurwysyn zasługuje. Kończę ja więc to pisanie, kończę, wystarczy tego, teraz nowe życie przede mną, narzekać już nie będę, kończę ja to pisanie, bo idzie nowe, żyć jakoś trzeba.

Brudny przewertował kilka ostatnich stron, ale były puste. W końcu zamknął pamiętnik i spojrzał na Julkę. Na jej twarzy malowała się cała gama emocji,

począwszy od przygnębienia, przez gniew, kończąc na niedowierzaniu. Przez dłuższy czas oboje nie byli w stanie wydusić z siebie słowa.

– To pamiętnik dziadka Samuela Wanzreicha? – zapytała w końcu Zawadzka.

– Albo jego wuja... – Brudny wyraźnie się zawahał. Historia powoli zaczynała układać się w jedną całość, a opowieść Muchowej tylko to wszystko uwiarygadniała. Rozejrzał się po okalających cmentarz zaroślach i wcisnął stary pamiętnik do kieszeni. – Ale może być, jak mówisz. Może tak być – mruknął.

– To... to... ja pierniczę, Igor, no brak mi słów...

– Też się tego nie spodziewałem – skłamał.

– Przecież ta historia jest... Chryste Panie, przecież to jakiś horror. Jeśli to prawda, to... – Julka nerwowo pokręciła głową. – Ja po prostu nie jestem w stanie w to uwierzyć. To mnie przerasta.

– Przynajmniej już wiemy, skąd wzięła się ta legenda. I dlaczego ludzie wolą do tego nie wracać.

Brudny podniósł się i otrzepał z resztek mchu i igliwia. Musiał znaleźć dowody na poparcie swojej hipotezy. Raz jeszcze rozejrzał się po okolicy, po czym wyciągnął rękę w stronę partnerki, a gdy ta ją uchwyciła, pomógł jej wstać.

– Myślisz, że mieszkańcy o tym wiedzą? – zapytała, też pozbywając się ze spodni igliwia.

– Myślę, że zdążyli poznać autora. – Brudny pomachał pamiętnikiem. – I to, do czego był zdolny, gdy przyjął fuchę jako rzeźnik ubecji.

Trzask gałązki sprawił, że oboje natychmiast zwrócili się w stronę, skąd dobiegł odgłos. W gęstwinie mignął im rudy lisi ogon.

– Ja pieprzę... – Julka z ulgą wypuściła powietrze. Zdała sobie sprawę, że instynktownie wyjęła broń z kabury. Brudny położył dłoń na lufie jej glocka i powoli opuścił sztywne w łokciach ręce.

– Jest jeden sposób, aby przekonać się, czy to wszystko jest prawdą – oznajmił, sięgając po butelkę z wodą.

– Czyli?

Komisarz upił słuszny łyk i wytarł usta wierzchem dłoni. Kilka kropel spadło mu na brodę. Przeczesał ją palcami, przytknął dłoń do czoła i spojrział w stronę gęstej sieci poskręcanych konarów, przez które przenikały ostre promienie słońca. Zerknął na zegarek, a następnie na wyraźnie rozdrażnioną partnerkę.

– Trzeba znaleźć ten bunkier – stwierdził z rozbijającą szczerością.

– I niby gdzie chcesz go szukać? – Julka schowała broń do kabury.

– Brzytwa Ockhama.

Julka zmarszczyła brew. To nagle wydało się zbyt oczywiste.

– Że niby na wypale Wanzreicha? – zapytała.

– Wiesz, jak to jest, Julka. Często najciemniej jest właśnie pod latarnią.

- To kawał terenu...
- Na którym stoją cztery retorty. I jeśli ja chciałbym ukryć taki bunkier, to...
- Postawiłbyś na nim retortę.
- Właśnie.

Brudny chwycił partnerkę za rękę i pociągnął ją za sobą. Do domu mieli półtorej godziny marszu, podczas którego mogli raz jeszcze wrócić pamięcią do ponurej historii rodziny Konowałowów. Historii, która stworzyła potwora, a potwór legendę.

Już wkrótce oboje mieli się przekonać, że bieszczadzkie lasy kryją w swych ostępach jeszcze jedną mroczną tajemnicę, przy której legenda o ponurym smolarzu rzeczywiście jest jedynie bajką dla niegrzecznych dzieci.

Rozdział 37

Komisarz Marian Kmita był tego wieczoru w wyjątkowo kiepskim humorze. Gorzej, był wściekły. Nie mogło być inaczej, skoro jego plany diabli wzięli. Dziś wszystko miało wyglądać inaczej. Jego brat miał urodziny, które jednocześnie były tradycyjnym powitaniem wiosny. Zwykle spędzali je w ten sam sposób. Andrzej zapraszał ich do swojego domu w Zawozie z bezpośrednim dostępem do pięknego nabrzeża Jeziora Solińskiego, gdzie stawiał na zewnątrz długi na pięć metrów stół z widokiem na taflę wody. Jeśli była pogoda, to rezygnował z namiotu, aby goście mogli ucztować pod gwiazdami, a że był myśliwym i w kwestii gościnności wyznawał tradycyjne wartości, to stół zawsze był suto zastawiony. Obok nieodzowny grill, na którym zawsze opiekał się kompletny dzik, dla chętnych przygotowane na pomoście wędkę, dla dzieciaków dmuchane pałace, trampoliny i małe boisko do piłki nożnej. Na stole sarnie udźce, mięso z jelenia, zająca czy bażanta, pieczone, smażone, w galarecie, w pierogach, przynajmniej kilkanaście wymyślnych sałatek, ryby, ogóreczki, grzybki, jajeczka, papryczki i tak mógłby jeszcze wymieniać godzinami. W końcu, a jakżeby inaczej, nieprzebrane ilości zmrożonej polskiej wódki i dla koneserów – kubańskie cygara. Andrzej zawsze miał gest i nawet jeśli nie był lokalnym krezusem, to urodzinowe party urządzał z bizantyjskim rozmachem.

Dzisiejszego wieczoru Kmita siedział jednak zupełnie gdzie indziej. Zamiast pieczonego dzika, zmrożonej wódeczki i grzybków na stole stała czarna lura, a towarzystwo ewidentnie nie miało ochoty na zabawę do białego rana. W zatęchłym gabinecie naczelnika Ferdynanda Hałasa oprócz niego siedzieli jeszcze prokurator Krogulewski i jego podkomendny, aspirant Szmajda.

– Dlaczego ja dowiaduję się o tym ostatni? – zapytał Kmita, rzucając na stół dokument z laboratorium. Jego irytacja wzrosła jeszcze bardziej, gdy dostrzegł szyderczy uśmieszek pod wąsem Szmajdy.

– Miałem przecucie – bąknął aspirant.

– Ty i przecucie, kurwa jego mać...

– Ej! Nie pozwolę sobie, żeby...

– Po co te nerwy? – przerwał Szmajdzie prokurator, po czym dodał, tym razem adresując swoje słowa do wszystkich: – Łukasz zadzwonił do mnie i powiedział, że dostał cynk. Podobno samochód Brudnego był widziany przy wypale mniej więcej w czasie, w którym według patomorfologa doszło do zgonu. Poprosił więc, abym trochę docisnął laboratorium w kwestii paluchów. Zrobiłem to. Tyle w temacie.

– Ale że co? To teraz tak to ma wyglądać? – Kmita przeniósł wzrok na Szmajdę. – Teraz będziesz wydzwaniać za moimi plecami do prokuratorów? Może jeszcze...

– Wystarczy! – Hałas podniósł głos. – Nie zebraliśmy się tu po to, aby sobie dopierdalać. Łukasz się uparł i nie ma się co go czepiać. Rozumiem, że śmierć tego smolarza nie wyglądała, zwłaszcza w obecnej sytuacji, jak coś, czym powinniśmy zająć się natychmiast, ale właśnie dlatego jest nas tu kilku. Nie ma co się wkurwiać, tylko trzeba pomyśleć, co z tym teraz zrobić.

– Zgarnąć chujka – rzucił Szmajda.

– I co dalej? – zapytał Hałas. – Jarek ma mu postawić zarzuty? Oskarżyć go o zabójstwo smolarza? Zdajesz sobie sprawę, co się stanie, gdy sprawę zwęszą media?

– Przynajmniej przestałby bruździć.

– Jasne... – Kmita niemal parsknął śmiechem, ale Szmajda zupełnie go zignorował.

– Ale co on niby może jeszcze nabruździć?

Pytanie naczelnika zawisło nad stołem niczym miecz Damoklesa. Wszyscy co do jednego w jakiś sposób byli powiązani z rodziną Bursztynowiczów, wszyscy też mniej lub bardziej skorzystali na tym, co wydarzyło się w roku 1968. Nawet jeśli nie było ich jeszcze na świecie.

– Ten facet jest kurewsko uparty – odezwał się Krogulewski. – Nikt z nas nie wie, do jakich informacji zdołał dotrzeć, ale powinniśmy zakładać, że prędzej czy później dokopie się do wszystkiego. Oczywiście mamy już sprawcę morderstwa tych turystek i prawdopodobnie tej oskórowanej kobiety oraz mocne dowody, aby wsadzić Wanzreicha do więzienia. To w zasadzie formalność. Niestety, wszyscy tu obecni wiemy, że z pełną premedytacją pominęliśmy w śledztwie wątek Wiktora Bursztynowicza. Wszyscy wiemy też, dlaczego jego nazwisko nie pojawiło się w oficjalnych aktach...

– Ech... – westchnął Hałas.

– Jakakolwiek wzmianka o synu posła byłaby jak wybuch bomby atomowej – kontynuował Krogulewski. – Media nie dałyby nam żyć, a kariera Macieja na pewno ległaby w gruzach. My prawdopodobnie poszlibyśmy na dno razem z nim.

Nawet nie chcę myśleć, co by się stało, gdyby jakiś domorosły dziennikarzyna zaczął grzebać jeszcze głębiej i dotarłby do wydarzeń z sześćdziesiątego ósmego.

– To już nie jest do udowodnienia – wtrącił Kmita.

– Tak ci się tylko wydaje.

– Brudny też nie jest głupi – dodał Szmajda. – Łazi po wsi, przepytuje. Ktoś prędzej czy później puści farbę, jeśli już tego nie zrobił.

– Dlatego mając to wszystko na uwadze, wyobraźcie sobie, panowie, co mogłoby się wydarzyć, gdyby, dajmy na to, w czasie procesu taki Brudny nagle postanowił przypomnieć opinii publicznej, że jednak o czymś, a w zasadzie o kimś, zapomnieliśmy...

– Na to też nie miałyby żadnych dowodów.

– Powiedzmy, że wolę dmuchać na zimne. Zresztą chyba wszyscy znamy jego dokonania. Ten facet mnie irytuje, ale nie można odmówić mu skuteczności. Poza tym nie muszę przypominać, że wystarczył jeden jego telefon, aby wojewódzka nakazała dopuścić go do śledztwa. Tak naprawdę on może wparować tu w każdej chwili.

– Dlatego ja bym go zgarnął – ponowił propozycję Szmajda. – Nawet jeśli nie ma ze śmiercią tego smolarza nic wspólnego, to jako jeden z podejrzanych bezwarunkowo straci dostęp do akt. Pozbędziemy się go raz na zawsze.

– Ale zwalimy sobie na łeb wszystkie dziennikarskie hieny od Ustrzyk Dolnych po Szczecin. Rozerwą nas na strzępy. – Hałas pokręcił głową. – Nie zgadzam się na to, a przynajmniej jeszcze nie teraz. Musielibyśmy mieć naprawdę niepodważalne dowody jego winy, w którą ja najzwyczajniej nie wierzę.

– Odciski na butelce denaturatu, na kieliszkach, na ławie w baraku. Czego chcieć więcej? – Szmajda nie odpuszczał. – Świadków, którzy zeznawaliby, że jego samochód znajdował się wtedy w pobliżu wypału, też się znajdzie. To od jednego z nich dostałem cynk, że...

– Odciski to za mało – mruknął prokurator. – Trudno będzie udowodnić jego winę. Poza tym Ferdynand ma rację. Niby dlaczego Brudny miałby zabijać jakiegoś smolarza?

– Nieumyślne spowodowanie śmierci? Na każdego znajdzie się paragraf.

– Najpierw musimy poznać wyniki sekcji, w tym toksykologiczne. No i może wyjdzie coś z tych mikrośladów. Mimo to też jestem przeciwny, aby próbować go zatrzymać.

– A co, jeśli dowie się o śmierci smolarza i zażąda dostępu do akt? – naciskał Szmajda.

– A co ty taki cięty jesteś na tego Brudnego? – wtrącił się Kmita.

– Wkurwia mnie.

– Wszystkich nas wkurwia – rzucił Krogulewski. – Ale nie możemy działać pochopnie. To bardzo cwany facet. Jeśli coś spieprzymy, to Maciej nam tego nie wybaczy i wszyscy w ten czy inny sposób za to bekniemy.

Przez dłuższą chwilę cała czwórka milczała. Atmosfera zrobiła się jeszcze bardziej napięta i można było odnieść wrażenie, jakby w powietrzu zaraz miało zacząć iskrzyć.

– Jestem za tym, aby zwołać kolejną konferencję, podczas której ogłosimy i, co ważne, mocno podkreślimy fakt, że morderca dwóch kobiet został aresztowany – przerwał przedłużającą się ciszę Krogulewski. – Medialnie to ryzykowne, ale jeśli chodzi o szczegóły, to możemy zasłaniać się tajemnicą śledztwa. W każdym razie ludzie muszą usłyszeć, że sprawca został schwytany, a dowody jego winy są niepodważalne. Żadnych tam niedźwiedzi czy odwracania uwagi. W skrócie sprawa wyjaśniona, morderca schwytany, śledztwo zamknięte.

– Do czego dążysz? – Hałas oparł się o blat, złączając pod brodą palce w piramidkę.

– Wybijemy Brudnemu z ręki argumenty, żeby przestał węszyć przy temacie.

– I ty w to wierzysz? – prychnął Kmita. – Ten facet nie myśli takimi kategoriami. To jest prawdziwy pies. Cwany, owszem, ale przede wszystkim uparty. Naprawdę uważasz, że głupia konferencja prasowa sprawi, że odpuści?

– Masz lepszy pomysł?

Kmita tylko zrobił głupią minę. Nie musiał nic dodawać. Przez chwilę mężczyźni znów milczeli.

– Ale on tak sam z siebie? – przerwał ciszę Hałas. – Przecież nie jest na służbie. Z tego, co wiem, to chyba nikt mu nie płaci. Nie pojmuję jego toku rozumowania.

– Nikt go nie pojmuje – skomentował Kmita.

– Pilnujący wypału posterunkowi powiedzieli, że przyjechała do niego niejaka Julia Zawadzka – zmienił temat Krogulewski. – Sprawdziliśmy po rejestracji. To ona. Policjantka i zarazem partnerka życiowa. Do tego zaraz Wielkanoc. Wątpię, aby Brudny skupiał się teraz na grzebaniu w tym gównie, więc sugeruję, aby jednak zwołać tę konferencję, a jemu chwilowo odpuścić. Przy odrobinie szczęścia może zaraz wyjedzie i już nie wróci.

– Nie ma to jak hurraoptymizm... – bąknął Kmita.

– No ale, Marian, powiedz szczerze. Ile mógłbyś tak żyć z babą na odległość? Miesiąc, dwa, trzy? Wszystkie one są takie same i ta jego też pewnie suszy mu głowę, żeby wracał. Ale jeśli macie lepszy pomysł... – Krogulewski rozłożył ręce – to słucham.

– Wszystko to wydaje mi się kompletnie popierdolone – podsumował Hałas. – Ale moim zdaniem Jarek ma rację. Dziś go tu nie było, więc pewnie poluzował

i zabawia się z tą swoją babeczką. Wielkanoc za pasem, więc możemy założyć, że chwilowo powinien dać nam spokój, a naciskanie go może jedynie sprawić, że utknie tu na dłużej. Jestem za tym, aby poczekać kilka dni. Może po świętach temat sam się rozwiąże.

– Zatem postanowione. – Krogulewski nie ukrywał zadowolenia. – Jutro w południe zwołam konferencję prasową. Czy ktoś ma jakieś pytania?

Kmita może i nawet by miał, ale całe to śledztwo już od jakiegoś czasu powodowało u niego odruch wymiotny. Toczyło się jakby obok niego i miał wrażenie, że tak naprawdę nigdy nie miał nad nim kontroli. Do tego ten mały zdradziecki chujek Szmajda. Do tej pory trzymał gówniarza na smyczy i nagle bach, gnojek zerwał się w najmniej oczekiwanym momencie. Przecież to był kretyn. Pozer i leń. Komisarz nie wierzył w cuda i czuł, że sprawa z odciskami Brudnego ma drugie dno. Tylko czy powinien się tym teraz przejmować, gdy dzik na różnie już pewnie dochodzi, a zmrożona wódeczka czeka na zastawionym pysznościami stole?

Machnął na to wszystko ręką i pomyślał, że jeśli przez jeden wieczór odłoży zmartwienia na bok, to świat się nie skończy. A Maciej niech spierdala. I tak od lat wieje od niego chłodem. W ostatnich latach niczego mu nie dał, niczego nie zaoferował, w niczym nie pomógł. Dlaczego ma więc narażać nieodległą emeryturę dla jego rozwydrzonego synalka? Nabroił, to niech teraz ponosi konsekwencje. Jest prawie dorosły. W tym wieku powinien mieć więcej oleju w głowie. Chwilę później komisarz Marian Kmita wraz z resztą mężczyzn opuścił gabinet naczelnika. Nie udawał i od razu poszedł do swojego samochodu. W nozdrzach czuł już zapach pieczonego udźca.

Rozdział 38

Kolejne dwie doby upłynęły im na snuciu hipotez i seksie. Nie pozostawało robić nic innego, bo wypał Wanzreicha był pilnowany od świtu do nocy przez dwóch mundurowych. Co prawda przysypiali, ale trudno było oczekiwać, że przeoczą dwoje ludzi ze sprzętem, którzy nie dość, że planowali wtargnąć na zamknięty teren, to jeszcze chcieli dostać się do retort i zacząć ryć w ziemi. Pomysł spalił zatem na panewce i po drugiej w nocy Brudny z Zawadzką położyli się do łóżek. Trzeciego dnia obudził ich dudniący o dach deszcz. Jedno po drugim wzięli zimny prysznic, a następnie znów dali upust swoim żądzom. Po śniadaniu wyjrżeli na ganek. Radiowóz wciąż stał przy palisadzie ogradzającej teren Wanzreicha.

– I jaki masz plan? – zapytała Julka, rozczesując potargane włosy.

– Poczekamy do wieczora. Może w końcu ich odwołają.

– A do tego czasu?

– Myślałem, żeby pojechać do komendy w Sanoku, ale to chyba strata czasu. To, co chciałem zobaczyć, już zobaczyłem, a czego nie ma w papierach, to i tak się w aktach nie znajdzie. Oficjalnie więcej się nie dowiem.

Wypalili po papierosie i wrócili do chałupy. Brudny dołożył drewna do kominka. Przez godzinę próbowali rozmawiać o neutralnych tematach. Nie było to łatwe, zwłaszcza że komisarza nieustannie męczyła jedna sprawa. Trochę na siłę umniejszał sens odwiedzenia matki zaginionej dziewczyny, ale podświadomie czuł, że powinien to zrobić. Fakt, że do tej pory nie została oficjalnie potwierdzona tożsamość ofiary porzuconej nad rzeczką, wydawał się co najmniej podejrzany. Oczywiście mógł zwalić to na lenistwo śledczych albo niepoważne podejście do tematu, zwłaszcza że dziś był Wielki Piątek i wszyscy szykowali się do świąt Wielkiej Nocy, co na tych terenach bezsprzecznie było celebrowane inaczej niż w innych zakątkach kraju. Podskórnie czuł jednak, że to postępowanie ma inne podłoże, a zdrowy rozsądek podpowiadał, że takie zbiegi okoliczności się nie zdarzają. Tym bardziej obawiał się wizyty u pani Czubaj. Najzwyczajniej

w świecie czuł się winny śmierci jej córki. To nawet nie było przeczucie. On to po prostu wiedział.

– Pojedziesz ze mną w jedno miejsce? – zapytał, siadając obok partnerki.

– A co to za dziwny ton? – zdziwiła się.

– Miałem to zrobić już wczoraj, ale przyjechałaś i... – westchnął – nawet się ucieszyłem, że nie muszę tam jechać.

– Do matki tej dziewczyny?

– Nazywa się Czubaj. Bogumiła Czubaj.

– Pewnie, że pojedę, tylko... hmm... czego ty właściwie chcesz tam szukać?

Brudny odgarnął włosy, które już od dawna domagały się wizyty u fryzjera. Cmoknął, westchnął.

– Nie wiem. Masz legitymację, więc byłoby łatwiej. Może byś ją zagadała, a ja poszperałbym w pokoju jej córki. Jeśli coś widziała, to może zostawiła jakiś ślad. W tej chwili liczy się każdy trop.

– Jesteś pewny, że to ta, którą znaleźli przy strumieniu?

– Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

– No to jedźmy.

Do chałupy Bogumiły Czubaj dotarli po kilku minutach jazdy, bo znajdowała się na skraju wsi, w linii prostej nie dalej niż trzy kilometry od nich. Brudny zatrzymał patrola przy połamanym płocie. Ryk silnika sprawił, że drepczące po podwórzu kury rozpierzchły się, a następnie pochowały w kurniku. Wciąż padał deszcz, więc nie wysiedli od razu i przez dłuższą chwilę przyglądali się domostwu. Wyglądało na mocno zaniedbane, ale teren wokół budynku nie był zapuszczony. Znajdowało się na nim kilka drzewek owocowych, stały huśtawka dla dwojga i kolorowa buda dla psa. W rogu najwyraźniej przeznaczono miejsce na grządki, bo ziemia była luźna, a teren przygotowany pod uprawę pomidorów. Ich wizyta nie została niezauważona. Już kilka sekund po tym, jak Brudny zgasił silnik, w oknie pojawiła się krucha postać. Nawet stąd widział, że na twarzy kobiety maluje się cierpienie.

Założyli kaptury, wysiedli z samochodu i podeszli pod furtkę. Deszcz wzmógł się jeszcze bardziej, więc Brudny nacisnął klamkę i szybko pokonali podwórze. Gdy tylko weszli na zadaszony ganek, gospodyni uchyliła drzwi.

– Dzień dobry – przywitała się Julka.

– To nie jest dobry dzień – odparła kobieta. – Ale szczęście Boże.

– Szczęście Boże – poprawiła się. Wyciągnęła legitymację. – Nazywam się Julia Zawadzka i jestem komisarzem policji. To mój partner, komisarz Igor Brudny. Chcielibyśmy porozmawiać z panią o zaginięciu córki.

– Ja już wszystko policji powiedziałam. – Kobieta mówiła wolno, jakby każde jej słowo wymagało od niej mobilizacji resztek sił.

– Mimo to nalegamy. Czasem zdarza się, że coś może umknąć, a dla nas liczy się każdy, nawet najmniejszy drobiazg. Zwykle to one decydują o tym, czy uda się odszukać zaginioną osobę.

Brudny czuł się jak szmata. Nie chciał dawać kobiecie jakiegokolwiek nadziei. Podczas pracy operacyjnej zdarzały się śledztwa, gdy policjanci – choć dzięki uzbieranym materiałom mieli podejrzenie, a nawet przeświadczenie, że dana osoba nie żyje – czasem musieli robić dobrą minę do złej gry. Nigdy jednak nie mijał się z prawdą, czując na barkach taki ciężar. Chwilę później kobieta wpuściła ich do środka.

W sieni panował zaduch, a w powietrzu unosił się zapach gotowanej kapusty. W oczy od razu rzuciły im się powieszzone krzyże i obrazy przedstawiające Maryję, Chrystusa czy Jana Pawła II. W izbie, która najwidoczniej pełniła funkcję pomieszczenia, gdzie gospodyni przyjmowała gości, dewocjonaliów było jeszcze więcej. Ręcznie dłubane figurki i krzyżyki, cukrowe baranki, czekoladowe zajaczkę, kolorowe palemki – wszystko to wyglądało, jakby pani Czubaj szykowała się do obchodzenia Świąt Wielkanocnych. Można było tylko domniemywać, że wciąż wierzy w powrót córki.

– Zrobię herbaty – powiedziała półgłosem. – Na dworze ziąb, więc herbata rozgrzeje.

Podziękowali i gdy gospodyni zniknęła w kuchni, zaczęli taksować pomieszczenie. Oprócz masy dewocjonaliów, półki z książkami i małego telewizora nie natrafili na nic, co mogłoby wzbudzić ich zainteresowanie. Gospodyni wróciła z tacką, na której stały trzy porcelanowe filiżanki oraz zdobiony talerzyk z ciastkami.

Brudny bacznie przyjrzał się kobiecie. Jej dłonie drżały, mimo to w ruchach nie brakowało swoistej gracji. Siwe włosy spięła w niedbały kok, a poorana zmarszczkami twarz wyrażała wszystkie odcienie smutku i melancholii. Odziana była w rozpinany, grubo dziergany sweter, który wisiał na niej jak na sklepowym manekinie, dresowe spodnie były mocno zmechacone, a przy nogawkach poszarpane. Na stopach nosiła plastikowe kapcie z siatką dziurek, przez które przebijały grube czerwone skarpety. Brudny odebrał od niej paterę i postawił ją na stole. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że dotarły do niej plotki o zamordowanej przy strumieniu dziewczynie. Nawet jeśli nie wychodziła z domu, to przypuszczalnie znalazła się jakaś „uprzejma” dusza, która doniosła jej o wydarzeniach na wypale u Wanzreicha.

– Czy mają państwo jakieś nowe informacje na temat mojej córeczki? – zapytała, moszcząc się w wysłużonym fotelu. W jej tonie wybrzmiała bolesna dla nich nutka nadziei.

– Wciąż jej szukamy – skłamała Zawadzka. Brudny zaczął żałować, że w ogóle tu przyszli.

– Mówiła pani, że już rozmawiała z innymi funkcjonariuszami. Czy mogłaby pani powtórzyć wszystko jeszcze raz?

– Tak, tak, rozmawiałam – westchnęła. – Przyszedł tu taki jeden. Też nie był w mundurze.

– Jeden? – upewnił się Brudny.

– Jeden. Chudy, wysoki, z kocią bródką. Znam ja go. Łukasz Szmajda się nazywa. Łobuz był z niego zawsze. Pamiętam, że do kur mi z łuku strzelał i żaby dmuchał. A jednak policjantem został.

Zabrzmiało co najmniej podejrzenie. Do tej pory Szmajda i Kmita byli nierozłączni. Brudny wątpił, aby ten drugi wypuścił młodego na przesłuchanie matki potencjalnej ofiary. Poza tym w aktach, które przeglądał, nie było nawet wzmianki o jakiegokolwiek rozmowie z Bogumiłą Czubaj. Oczywiście mogli podpiąć je pod nowe śledztwo, co w sumie byłoby nawet logicznym posunięciem, ale nie w tym wypadku. Tutaj trudno było domniemywać, że policjanci z takim stażem automatycznie nie połączyli tropów.

– Powie nam pani, o co pytał? Wtedy nie będziemy musieli się powtarzać.

– O kasety. Najbardziej interesowały go jakieś kasety. Nie moja córka, tylko kasety.

– Jakiego typu kasety?

– No te, co się na nich filmy ogląda. Albo płyty? Ja już nie wiem. Pytał, czy ja wiem coś o tych płytach i kasetach. I czy wspominała o nich Rozalka. Powiedziałam mu, że ja nic o żadnych płytach nie wiem i żeby pytał mnie o inne rzeczy.

– Mówił, co mogło być na tych płytach? Albo kasetach?

– Horrorzy jakieś. Ale moja Rozalka nigdy takich rzeczy nie oglądała. Zresztą nawet tego magnewi... magatew...

– Magnetowidu – pomogła Julka.

– Tak. Magnetowidu. Nie mamy tego magnetowidu i nigdy nie mieliśmy, więc po co jej niby były jakieś kasety?

Brudny posłał Julce wymowne spojrzenie.

– Czy mój partner mógłby obejrzeć pokój pani córki?

– Łukasz już wszystko sprawdził. Bałaganu tylko narobił. A ja nie mam siły sprzątać. Nogi szybko drętwieją i kręgosłup już sztywny. Schylać mi się trudno.

– Nie zaszkodzi sprawdzić jeszcze raz...

– Jeśli to konieczne. Pokój Rozalki jest na pierwszym piętrze. Po schodach i w prawo.

Spadzisty dach w pokoju Rozalii drastycznie ograniczał powierzchnię użytkową. Tak naprawdę było tu miejsce jedynie na łóżko, biurko i niewielką szafę. Uwagę Brudnego natychmiast zwrócił odbity na biurku ślad po laptopie i podobny po czymś, co wisiało obok lustra. Obie te rzeczy na pewno zostały zabrane przez Szmajdę. W takich sytuacjach było to rutynowym działaniem, więc skupił się na pospiesznym przejrzeniu ubogiej zawartości szafy z ubraniami, następnie zaczął przeszukiwać szuflady. Rzeczywiście nie wyglądały, jakby należały do uporządkowanej kobiety. Panował w nich kompletny chaos, dlatego skupił się na głównym celu, dla którego tu przyszedł. W końcu znalazł to, czego szukał. Ujął w dłonie jeden z dwóch barwnych zeszytów. Otworzył go. W środku znajdowały się ręcznie przepisane fragmenty Biblii. Przełknął ślinę, bo już wiedział, że przecucie znów go nie zawiodło. Musiał się tylko upewnić, dlatego wyjął z kieszeni zwinięty świstek papieru, rozłożył go i przytknął do jednej z zapisanych kartek.

Pismo było identyczne.

Ostatnie wątpliwości uleciały i poczuł, jak gwałtownie przytłacza go potężne poczucie winy. To Rozalia Czubaj przyszła pod jego drzwi i zostawiła mu wiadomość. To Rozalia Czubaj napisała, że ma informację na temat mordercy, i to Rozalia Czubaj chciała się z nim spotkać przy wodospadzie. Niestety, wszystko wskazywało też na to, że to Rozalia Czubaj zapłaciła za próbę kontaktu najwyższą cenę.

Gdy opuszczali starą chałupę, w środku aż się gotował. Przysięgł sobie, że bez względu na okoliczności odnajdzie mordercę tej dziewczyny. Choćby i on miał zapłacić za to najwyższą cenę.

Rozdział 39

– Dołożysz do kominka? Zimno mi.

Julka podciągnęła kołnierz swetra aż pod brodę. Poprawiła koc i napiła się gorącej herbaty. Gdy Igor dorzucił dwa grube polana, przysiadł obok i spojrzął na ekran jej laptopa.

– Mogłaś mi powiedzieć, że jest coś takiego jak wzmacniacz sygnału – mruknął, zerkając na niewysoką antenę, którą postawiła na blacie stołu. – Nie musiałbym wiecznie biegać na szczyt wzgórza, żeby złapać wi-fi.

– Podobno przyjechałeś tu odpocząć od zgiełku tego świata...

– Ale miałbym przynajmniej lepszy kontakt z tobą...

– Nie przymilaj się teraz. Potrafiłeś nie dzwonić tygodniami. Do tego nie potrzeba tej anteny.

Brudny sięgnął po kubek z kawą, a następnie po papierosa. Nie widział sensu, aby kontynuować tę dyskusję. Nie był w humorze, a Julka miała stuprocentową rację. Wyszedł na ganek. Spojrzął na zegarek. Dochodziła północ. Głęboko odetchnął świeżym, górskim powietrzem. Tym razem noc była cicha i ciemna. Lekki wiatr poruszał koronami drzew, a nad głową co jakiś czas przelatowały nietoperze. Z oddali poniósł się wilczy skowyt. Gdy jego echo wybrzmiało pomiędzy szczytami, za plecami usłyszał kroki.

– Przepraszam. – Julka objęła go w pasie. – Czasem naprawdę nie mam wyczucia.

– Nic się nie stało – odparł, nie przestając gapić się w mrok. Zaciągnął się i wydmuchał dym, który porwał lekki podmuch wiatru. – Zresztą masz rację. To moja wina. Nie powinienem cię zostawiać. W ogóle nie powinienem tu przyjeżdżać. Może wtedy ta dziewczyna by żyła. Może nawet żyłyby wszystkie trzy.

– Nie możesz się obwiniać. To nic nie zmienia.

Brudny nie odpowiedział. Jego wzrok wciąż taksował skąpany w ciemności wypał Wanzreicha. Radiowóz odjechał tuż przed zmrokiem i do tej pory w jego

miejsce nie pojawił się żaden inny. Nie mógł brać tego za pewnik, ale najwyraźniej pilnujący terenu funkcjonariusze zostali odwołani. I jeśli chciał znaleźć ostateczny dowód na poparcie swojej hipotezy, to był ten moment.

– Już pora – rzucił, gdy wrócił do chałupy. Z kamiennej półki kominka zdjął leżącego walthera, sprawdził magazynek i wcisnął sobie broń za pasek spodni. – Odjechali prawie pięć godzin temu i do tej pory nie wrócili. Nikt nie powinien nam przeszkadzać.

– Jesteś pewny, że chcesz to zrobić? Jak nas przyłapią, to zrobi się chryja.

– Mam to w dupie. Idziesz?

Pięć minut później oboje powoli schodzili ze wzgórza w kierunku wypału. Brudny niósł na ramieniu niewielką drabinę, a w ręce trzymał wyjętą z patrola saperkę. Julka miała nożyce do cięcia prętów i łom. Poruszali się ostrożnie, bo ścieżka była dość stroma, teren momentami nierówny, a wieczorna mżawka sprawiła, że dodatkowo zrobiło się ślisko. Chmury niemal całkowicie odcięły światło księżyca, co jeszcze bardziej utrudniało orientację, ale akurat to Brudny wziął sobie za dobry znak. Im ciemniej, tym lepiej, myślał, stawiając kolejne kroki.

Po zejściu pod wypał skontrolowali jeszcze okolice. Gdy upewnili się, że są sami, Brudny podszedł do przepasanej taśmą policyjną bramy. Wisiał na niej łańcuch z kłódką. Z początku myślał, aby otworzyć ją wytrychem, ale ostatecznie jeszcze w chałupie podjął decyzję, aby w niej nie grzebać. Wystarczyła drabina, więc przystawił ją do okalającej wypał palisady i wspiął się, a następnie przeskoczył na drugą stronę. Poczekał na Julkę, która po pokonaniu przeszkody z jego pomocą przeciągnęła ją do wewnątrz. Dopiero wtedy włączyli latarki.

– Od której zaczynamy? – zapytała półszepem.

– Ene due rabe... Liczę na kobiecą intuicję.

– Nie podlizuj się.

– A ty nie marudź. Która?

– Pierwsza z lewej.

Zakradli się do stojącej obok traktora retorty. Podobnie jak brama też była zamknięta na kłódkę. Na wszelki wypadek Brudny obszedł wszystkie pozostałe piece, ale każdy zabezpieczono w ten sam sposób.

– Tniemy czy otwieramy? – zapytała Julka.

– Daj mi chwilę.

Kłódką nie okazała się większym wyzwaniem. Brudny otworzył ją w kilka sekund. Wystarczyło wcisnąć wytrych w miejsce na kluczyk, wyczuć mechanizm rygla i go nacisnąć. Pałak natychmiast odskoczył.

– Niepotrzebnie targałeś tę drabinę – szepnęła.

Brudny nic nie odpowiedział, bo nie było sensu tego komentować. Powoli zdjął kłódkę i starając się nie narobić hałasu, poluzował łańcuch. Uwolniony rygiel trzeba było mocno szarpnąć, ale gdy w końcu odskoczył, wrota stanęły otworem. Poświecili latarkami do wnętrza pieca. Wyglądał dość klaustrofobicznie. W środku walały się resztki węgla, w rogu leżała czarna szmata, a przy otworze kominowym pogrzebacz. Ścianki pokrywała gruba warstwa sadzy i smoły, w niektórych miejscach wyraźnie naruszona przez pobierających próbki techników. Brudny przekroczył próg i kucnął, aby przyjrzeć się podłożu. Dotknął go palcami, a następnie wbił w nie łopatę. Ostrze saperki zagłębiło się zaledwie na kilka centymetrów.

– I co? – zapytała Julka. Niespecjalnie chciała wchodzić do środka, bo od zawsze bała się małych i ciemnych pomieszczeń. Z klaustrofobią walczyła całe życie i choć kilkakrotnie podczas ratowania tyłka partnerowi miała nieprzyjemność znaleźć się w naprawdę mrocznych, ciasnych i mokrych miejscach, nie była w stanie pozbyć się lęku, który ją wtedy ogarniał. Od razu zaczynała się pocić, tętno i oddech przyspieszały, a dłonie zaczynały drżeć. W takich chwilach zawsze w myślach przeklinała ojca, którego o ten paniczny strach oskarżała.

– Ziemia jest twarda jak skała – odparł, badając saperką grunt w kilku innych miejscach. – Ale chyba pod wierzchnią warstwą powinno być luźniej.

– „Chyba” nie brzmi obiecująco...

– Zacznę kopać, a ty obejdz wypał. Może się na coś natkniesz. – Brudny wygrzebał z kieszeni wytrych i przekazał go Julce. – Wszystkie te kłódki powinny być takie same, więc nie powinnaś mieć problemu. Jak skończysz w baraku, to otwórz pozostałe i mnie zawołaj.

– Nie mieliśmy w planach węszenia po całym wypale.

– Ale jak już tu jesteśmy, to chyba nie zaszkodzi.

Przez kolejny kwadrans Brudny kopał w pocie czoła. Na szczęście po przebiciu się przez około dwudziestocentymetrową warstwę zbitej i twardej nawierzchni grunt rzeczywiście stał się luźniejszy. W tym czasie Julka sprawdziła okolicę i barak. Nie natknęła się jednak na nic, co mogłoby wzbudzić jej większe zainteresowanie. Najwyraźniej wszystko, co istotne dla sprawy, leżało już w magazynie dowodów. Pozostałe trzy retorty chwilowo zostawiła zamknięte, aby sprawdzić, jak idzie partnerowi. Wsadziła głowę do pieca. Brudny kłęczał i oburącz rył saperką na głębokości kilkudziesięciu centymetrów. Obok rosła górką bryłowatej ziemi.

– Jak ci idzie? – zapytała, kierując światło latarki na ziejący czernią otwór. Brudny wstrzymał pracę i z trudem się wyprostował. Od czasu operacji miał ustawiczne problemy z odcinkiem lędźwiowym kręgosłupa. Wytarł pot z czoła.

– Jakoś idzie – odparł i odłożył saperkę. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów.
– Oby intuicja cię nie zawiodła, bo jak mam tak ryć cztery retorty, to padnę tu trupem.

– Mogę cię na chwilę zastąpić.

– Nie trzeba. Dam radę. A co u ciebie?

– Nic specjalnego. Technicy porządnie wyczyścili teren.

– Otwierałaś pozostałe retorty?

– Jeszcze nie.

W tle znów dało się słyszeć wilczy skowyt. Brudny dostrzegł, jak Julka się wzdryga. Od czasu śledztwa dotyczącego kanibala z Zielonej Góry drapieżniki te budziły w niej wyraźną niechęć, chyba nawet strach. Poczęstował ją papierosem, ale odmówiła. Sama wyjęła podgrzewacz do swoich heetsów. Zapalili.

– Do jakiej głębokości chcesz kopać? – zapytała, przysiadając na progu retorty.

– Metr, może półtora? – odparł. Wstał i rozprostował kręgosłup. Jęknął z bólu. Raz jeszcze przetarł czoło wierzchem dłoni. – Musiałem przebijać się przez jakąś wykładzinę. Nie wiem, po jaką cholereę ktoś ją tu zakopał.

– Może tak się po prostu robi?

– Nie wiem, może.

Wymienili się jeszcze kilkoma uwagami, a gdy wypalili papierosy, ponownie się rozdzielili. Aby bardziej nie narażać kręgosłupa, Brudny położył się na brzuchu i zaczął ryć dalej. Słyszał własny oddech i brzęk ściąganych przez Julkę łańcuchów. W ciszy niósł się aż za bardzo i zaczynało go dręczyć złe przeczucie. Gdy przy kolejnym dźgnięciu ziemi usłyszał metaliczny brzęk, wszystko to jednak przestało mieć znaczenie. Zebrał saperkę jeszcze trochę ziemi i resztę pospiesznie odgarnął palcami. Poświecił wciśniętą w usta latarką. Jego oczy otworzyły się szerzej, jakby właśnie ujrzał skrzynię z długo poszukiwanym zaginionym skarbem. Poczł, że jego serce gwałtownie przyspiesza. Jakieś osiemdziesiąt centymetrów poniżej gruntu, pomiędzy grudkami ziemi przebijała zardzewiała blacha. Wystający uchwyt nie pozostawiał złudzeń, że trafił na pokrywę albo klapę, którą można było otworzyć.

– Julka – rzucił półgłosem, gdy wystawił głowę z dziury. Jego głos zadudnił w stalowym piecu. Na czworakach podszedł do wyjścia i raz jeszcze zawołał partnerkę. – Julka, chodź tu. Chyba na coś trafiłem.

– Idę, idę – poniosło się z mroku. Gdy usłyszał jej pospieszne kroki, z powrotem schował się we wnętrzu retorty.

Przez następnych kilka minut pracowali wspólnie. On rył saperką, a ona zgarniała i wyjmowała na zewnątrz zebraną ziemię. Gdy w końcu długa blisko na metr i szeroka na siedemdziesiąt centymetrów pokrywa ukazała się w całej okazałości, Brudny poprosił o łom. Podważył wieko i napał całym ciałem.

Puściło z paskudnym zgrzytem, po którym usłyszeli przeciągły syk, który Julce skojarzył się z tym, jaki wydobywa się z nieotwieranego od wieków grobowca.

– O ja pieprzę... – Julka odruchowo odwróciła głowę. – Chryste, co to za smród?

– Zaraz się dowiemy.

– Chyba ty. – Poczwała, że zbiera się jej na wymioty. Jeszcze nigdy nie czuła tak odrażającej woni. Miała wrażenie, że mieszanka uwolnionych woni dosłownie wżera się w płuca, jakby chciała je przepalić. – Ja tam nie wejdem, Igor. Nie ma mowy – dodała, gdy opanowała wzbierające torsje.

– Rzeczywiście cuchnie – stwierdził, zatykając nos palcami. Uniósł kłapę wyżej i poświecił w głąb czarnej otchłani. – A wiesz, co to znaczy, gdy tak cuchnie? – Zerknął na nią, szczerząc zęby w triumfalnym uśmiechu. Pomyślała, że wygląda jak nakręcony szczeniak, który właśnie odkrył skarb piratów.

– Cokolwiek tam leży, nie chcę tego oglądać – odparła, zerkając na drewnianą drabinę prowadzącą w dół jamy.

– Ja tam zejdem. Ty mnie ubezpieczaj. Na dole może być mało tlenu, więc w razie gdybym przestał się odzywać, to... – Brudny podciągnął spodnie i wsadził sobie latarkę w usta. – To wiesz, co robić – dodał ledwo zrozumiale.

Julka pokręciła głową z niedowierzaniem. Milczała, czując, że jej żołądek znów zaczyna się buntować. Wytrzymała jednak kolejny atak i przejęła od partnera uniesioną kłapę, aby Brudny mógł zsunąć się niżej. Już przy pierwszym kroku jeden ze spróchniałych szczebli pękł i Igor musiał się asekurować, żeby nie spaść na sam dół. Instynktownie chwyciła go za rękę. Wtedy usłyszeli zgrzyt i stalowe drzwi pieca się zamknęły.

– Julka! – krzyknął Brudny, ale zanim policjantka zdążyła zorientować się, co się stało, rozległ się zgrzyt przeskakującej zasuw.

Dopiero po chwili dotarło do nich, że znaleźli się w pułapce. I na łasce i niełasce tego, kto ich zatrzasnął w środku pieca.

Mężczyzna odetchnął z ulgą. Drzwi zatrzaśnięte, rygiel zablokowany i dodatkowo spięty łańcuchem z kłódką. Miał ich w garści.

– Nie rób głupstw, człowieku! – Głos Brudnego brzmiał, jakby dochodził z podziemi. Kilka uderzeń w grube stalowe drzwi poniosło się stłumionym echem. – Kimkolwiek jesteś, robisz poważny błąd. Otwórz i się dogadajmy.

– Otwieraj! – W głosie kobiety wybrzmiewała panika. – Otwieraj, bo...

Korciło go, aby za nią dokończyć, ale się powstrzymał. Bo co? Bo co mi zrobisz? Teoretycznie nie miało to już większego sensu. I tak nie miał zamiaru

wypuścić ich stąd żywych. Oni byli zagrożeniem, które należało wyeliminować, a zbędne dyskusje tylko by go spowolniły. Nie mógł sobie na to pozwolić, bo ich krzyki, choć stłumione przez grube stalowe ściany, niosły się po dolinie kilometrami. Musiał działać szybko i skutecznie.

Rozejrzał się po najbliższej okolicy. Już w momencie, gdy zakradł się pod bramę, wiedział, co zrobi. Nie chciał zostawiać śladów, a tym bardziej doprowadzić do bezpośredniego starcia, z którego – nawet mając w zanadru efekt zaskoczenia – mógł wyjść przegrany. Dlatego zanim otworzył kłódkę i bramę wejściową na wypał, przygotował w głowie wstępny plan. Zadziałał znakomicie i teraz należało jedynie dokończyć dzieła.

Brudny wciąż próbował negocjować, ale mężczyzna nie miał zamiaru wchodzić z nim w jakąkolwiek dyskusję. Obawiał się, że któreś z nich może wpaść na pomysł, aby spróbować przestrzelić rygiel, ale komisarz na szczęście miał na tyle oleju w głowie, że powstrzymał panikującą partnerkę. Słyszał każde ich słowo. O tym, że ściany są z grubej na trzy centymetry stali i kula na pewno ich nie przebije, że prędzej któreś z nich oberwie rykoszetem, że pewnie on chce ich tylko nastraszyć, bo przecież nie jest na tyle głupi, aby ich zabić. Mężczyzna w tym czasie przyniósł drabinę i przystawił ją do jednej z zewnętrznych ścian pieca. Sięgnął po stojący obok kanister i walające się w pobliżu szmaty. Kilka z nich polał benzyną, napełnił nią też dwie znalezione butelki po piwie. W pewnym momencie pochwyceni w pułapkę musieli poczuć zapach paliwa, bo ich próby nawiązania kontaktu stały się najpierw bardziej nachalne, w końcu paniczne. Kobieta zaczęła kopać w drzwi, komisarz groził i nalegał, aby się dogadać. On jednak nic sobie z tego nie robił. Działał metodycznie. Ignorował ich, choć niepokoiło go niosące się po dolinie echo. Wątpił, aby ktoś zapuszczał się w te tereny o tej porze, mimo wszystko nie mógł ryzykować bardziej, niż to było konieczne. W końcu wsadził wszystkie rzeczy do wiadra i zaczął wspinać się po drabinie na szczyt retorty. Wtedy usłyszał, że znajdujący się w pułapce policjanci ucichli. Pomyślał, że musi działać ostrożnie. Nie może lekceważyć przeciwnika. I trzeba dalej działać metodycznie.

Drabina nie była stabilna, co trochę wytrąciło go z równowagi. Ustawił ją najlepiej, jak mógł, ale namokły po deszczu grunt z jednej strony lekko zapadł się pod jego ciężarem. Pewnie by spadł, gdyby nie chwycił się sklepienia pieca. Na szczęście opanował sytuację, złapał równowagę i teraz mógł uspokoić oddech. Postawił wiadro przy włączniku, upewnił się, że nie zsunie się po łukowatym sklepieniu, i wyjął butelkę z benzyną i częściowo wciśniętą do środka szmatą. Pomysł z koktajlem Mołotowa wydał mu się genialny. Znajdujący się w środku nie miałby żadnych szans. Trochę krzyku i po wszystkim. Spłonęliby albo ulegli zaczadzeniu. Potem otworzyłby piec i dołożył bukowego drewna. Znał

specyfikację tego typu retort. Wiedział też, że temperatura w środku może osiągnąć nawet tysiąc stopni Celsjusza, a kości spopielają się przy ośmiuset. Po obojgu nie zostałyby żaden ślad.

Złapał za pokrętło, aby sprawdzić, czy się nie zapiekło. Napiął mięśnie, przekręcił. Zgrzytnęło, puściło. Z wnętrza retorty poniosły się dźwięki. Musieli coś kombinować, ale właz znajdował się prawie cztery metry nad ich głowami. Nie mieli prawa go dosięgnąć. To było niewykonalne. Jeden pełny obrót wystarczył, aby otworzyć wieko. Teraz należało szarpnąć, zapalić szmatę i wrzucić butelkę do środka, potem dla pewności ewentualnie dorzucić drugą. Przy odrobinie szczęścia wszystko skończy się w ciągu minuty, góra dwóch. Wtedy dokończy dzieła.

Z oddali znów poniósł się wilczy skowyt. Odebrał to jako dobry znak, jako sygnał, że najwyższy czas zrobić to, co do niego należy. Odetchnął, wytarł pot z czoła. Szarpnął za wieko. Uniosło się z lekkim zgrzytem. Korciło go, aby zerknąć do środka, ale wolał nie ryzykować. Oboje zapewne rzadko rozstawali się z bronią, więc mogli go postrzelić, a wtedy wszystko by się bardzo skomplikowało. Tylko dlaczego siedzieli tak cicho? Dlaczego przestali walczyć o życie? Nie był pewny, ale chyba kopali jakąś dziurę. Tyle zdążył dostrzec, zanim napał na drzwi i zamknął za nimi zasuwę. Ta niepewność drażniła go, ale nie mógł dłużej czekać. Wyjął zapalniczkę i podpalił wystające z butelek szmaty. Jedna z nich zapłonęła bardzo gwałtownie i w obawie, żeby zmontowany w biegu koktajl Mołotowa nie wybuchł mu w dłoni, natychmiast wrzucił ją do środka. Wtedy stało się coś, czego się nie spodziewał.

Najpierw zarejestrował eksplozję iskier, a jego bębenkami wstrząsnęła seria ogłuszających grzmotów. Wystrzelona kula trafiła w butelkę, przebiła ją, następnie zrykoszetowała od na wpół otwartej pokrywy i choć, podobnie jak trzy kolejne, poleciała gdzieś w las, zamaszysty ruch, który wykonał ręką, aby ratować równowagę, sprawił, że rozbiła się druga butelka. Zdążył jeszcze zarejestrować oślepiający rozbłysk ognia i swąd palonych włosów. Spadając z drabiny, czuł, że płonie.

Rozdział 40

Brudny zatrzasnął pokrywę, czując żar rozlewający się na dłoni. Płonęła niczym pochodnia, ale gdy tylko osunął się w dół jamy, Julka błyskawicznie nakryła ją zdjętą wcześniej skórzaną kurtką i mocno zacisnęła, aby jak najszybciej odciąć dostęp tlenu. Płomień został zduszony, ale swąd spalenizny nie pozostawiał złudzeń, że obrażenia są poważne.

Zaciskanie zębów niewiele dało i Brudny w końcu musiał wyrzucić z siebie całą złość. Wiązanka wyjątkowo wulgarnych przekleństw też nie ukoła cierpienia. Ból był dojmujący.

– Nie mogę trzymać zbyt długo – oznajmiła. – Skóra może się przykleić, a wtedy będzie jeszcze gorzej.

– Ściągaj – rozkazał, sycząc przez zęby.

– Może zboleć.

Komisarz tylko skinął na zachętę. Złapał się za nadgarstek i ponownie zacisnął zęby. Julka powoli odwinęła materiał kurtki, spod której wyłoniła się oparzona dłoń. W ostrym świetle latarki mieniła się jasnymi odcieniami czerwieni. Drżała, a w kilku miejscach zaczęły tworzyć się pęcherze.

– Trzeba ją schłodzić, bo...

Julka nie dokończyła, bo Igor bez ostrzeżenia wcisnął dłoń w ziemię. Była mokra i zimna, co sprawiło, że poczuł chwilową ulgę.

– Sukinsyn – jęknął, zerkając na pokrywę ponad ich głowami. Charakterystyczny szum płomieni tylko się wzmagił. – Ale chyba go trafiłem – dodał, krzywiąc się z bólu. – Jak stąd wyjdziemy, to...

– To się nim zajmiemy – dokończyła za niego. – A teraz musimy zachować się racjonalnie. Tak jak mówiłeś, tu pewnie jest mało tlenu, a w tej klapie widziałam dwa małe otwory, przez które ogień może dodatkowo wyssać jego resztki. Postaraj się uspokoić oddech.

W tej samej chwili na ramię Brudnego spadła kropla płonącej benzyny. Zaklął i przeczołgał się kilkadziesiąt centymetrów w głąb wąskiego tunelu. Julka

przecisnęła się obok i wzięwszy w garść kawał gliny, zalepiła oba otwory w pokrywie. Lekko się przy tym oparzyła.

– Chwilę potrwa, zanim się wypali – mruknął Brudny. – Wykorzystajmy ten czas, żeby sprawdzić, co jest w środku bunkra.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – rzuciła, oblizując piekące palce.

– A masz lepszy?

Nie uzyskawszy odpowiedzi, Brudny po prostu ruszył w głąb tunelu. Musiał się mocno schylić, bo jego wysokość nie przekraczała półtora metra. Za to wyglądał na solidnie wzmocniony, bo ściany i strop w większości były podparte drewnianymi belkami. Mniej więcej po dziesięciu metrach wąski podkop przeobraził się w całkiem przestronne pomieszczenie, na oko trzy na cztery metry, również porządnie zabezpieczone przed ewentualnym zawalem. Gdyby nie potworny smród, który niemal palił płuca, byłby całkiem znośnym miejscem na przeczekanie najgorszego.

Brudny usłyszał, jak Julka wymiotuje. Jemu też zrobiło się niedobrze, ale pulsujący ból w oparzonej dłoni przysłaniał inne dolegliwości. Spojrzał na umorusaną rękę i zebrał trochę świeżej ziemi. Znowu poczuł chwilową ulgę. Niestety, dłoń wyglądała gorzej niż jeszcze kilkadziesiąt sekund temu, a bąble rosły w oczach. Postanowił nie skupiać się na ranie. Tak naprawdę nie była poważna, a jedynie bolesna. Z bólem zaś nauczył się radzić lata temu.

Odsunął te myśli. Wstał z kucek. W pomieszczeniu strop był na wysokości, która pozwalała mu się wyprostować. Omiótł światłem latarki wnętrze bunkra. Wokół wisiało mnóstwo pajęczyn, a elementy drewniane szczelnie pokrywała pleśń. Na jednej ze ścian wisiała półka z kilkoma ręcznie wyrzeźbionymi figurkami, a trzy poniższe zawaliły się pod ciężarem słoików, które – teraz w większości porozbijane – leżały przy ścianie. Wokół nich buszowało mnóstwo robactwa, w tym karaluchy, różnego rodzaju wiję i wielonogie stwory, których nawet nie potrafił nazwać. Na środku znajdowało się palenisko, nad którym postawiono trójnog z czymś, co przypominało ręcznie poskręcane pręty naśladujące grill. Nad nim na łańcuchu wisiał zardzewiały garnek, a na ziemi wały się blaszane kubki, wysłużona manierka, dwie kanki na mleko i kilka zardzewiałych sztuczków. W paru miejscach przy ścianach umiejscowiono koce, spod których wylaniało się siano, dziś już przegniłe i usiane pełzającym robactwem. Oprócz tego stare narzędzia w postaci dwóch siekier, młota, piły do drewna, cęgów, grabi, sporo rozsypanych gwoździ i bukowych polan, pozwijane konopne liny, dwa wiadra, pogrzebacz i jeszcze kilka innych przedmiotów, które mogły służyć mieszkańcom bunkra. Wszystko albo było pokryte pleśnią, albo pajęczynami, czarne, zbutwiałe.

– Chyba mamy dowód, że historia Konowałowa nie została wyssana z palca – mruknął pod nosem Brudny, gdy dostrzegł, że Julka w końcu do niego dołączyła. – Popatrz. Tu można było mieszkać tygodniami, a może nawet miesiącami.

– Ja tu jestem kilka minut i już kręci mi się w głowie od tego smrodu – odparła, nieustannie chroniąc nos wierzchem ręki.

– Od lat nikt tu nie zaglądał. Ba, pewnie od dekad. Ten smród to zwykła zgnilizna. Tylko że mocno skondensowany.

– No nie wiem... – Julka przeniosła wzrok na rozbite słoiki. Zawartość kilku z nich wyraźnie budziła jej wątpliwości.

– Przekonajmy się.

Brudny chwycił pogrzebacz, zbliżył się do kupy śmieci i zaczął rozgrzebywać zawartość. Z początku trudno mu było ocenić, z czym ma do czynienia, bo wszystko było pokryte kilkucentymetrową warstwą pleśni, ale gdy w końcu oskubał z grzyba jeden z elementów, zrozumiał, że Julka ma rację. To była kość. Ludzka kość.

Westchnął ciężko, po czym wstał i bez słowa ruszył do przeciwległej ściany. Próbował bronić się przed obrazami, które nachalnie pojawiały mu się przed oczami. Przeżył to już kilka lat temu, tropiąc kanibala w zielonogórskich lasach. Pamiętał każdy szczegół tamtego śledztwa i długo je odchorowywał. Julka chyba jeszcze bardziej, choć nigdy się do tego nie przyznała. Wiedział jednak, ile musiała poświęcić, aby uratować mu skórę. Pomimo zaawansowanej klaustrofobii wczłgała się do nory kanibala i tylko dlatego dziś tu był. A gdzie był? W jamie kolejnego kanibala. Co za ironia losu, pomyślał.

– Mam pieprzone *déjà vu* – rzuciła Julka, jakby czytała mu w myślach.

– Zerknij na to. – Brudny zmienił temat. Nachylił się nad jakąś książką. Starł pogrzebaczem wierzchnią warstwę pleśni i podniósł znalezisko. – To... Dostojewski. *Zbrodnia i kara* – dodał, ale w pewnym momencie książka po prostu rozpadła mu się w dłoni. Wytarł rękę w spodnie.

– Tam są kolejne. – Julka skinęła w miejsce, gdzie skierowała strumień światła ze swojej latarki.

Podeszli bliżej. Przy grubym pniaku, który kiedyś mógł być siedziskiem, leżało kilka rozrzuconych zeszytów. Niestety, odczytanie ich zawartości było niemożliwe. Papier dosłownie rozpływał się w dłoniach.

Przez kilka kolejnych minut przeszukiwali pomieszczenie. Brudny poddał się, gdy zdał sobie sprawę, że z coraz większym trudem łapie powietrze. Nie był ekspertem od survivalu, ale wiedział jedno – jeśli płomień jego niezawodnej zapalniczki przygasa, to trzeba natychmiast spieprzać na powierzchnię.

Pospiesznie ruszyli z powrotem. Gdy dotarli do wjazdu, w pierwszej kolejności pozbyli się gliny, która zalepiła dwa centymetrowe otwory w pokrywie. Ta wciąż

była gorąca, ale wszystko wskazywało, że ogień w retorcie zdążył się wypalić. Brudny uniósł kłapę, pomagając sobie waltherem, a gdy uznał, że jest bezpiecznie, oboje wygramolili się z jamy. W środku retorty cuchnęło spaloną benzyną, a powietrze było zadymione, ale tlenu nie brakowało, bo właz u szczytu pieca wciąż był otwarty na oścież.

– Damy radę? – zapytała Julka, zerkając w górę.

Brudny obejrzał swoją dłoń. Pęcherze zdążyły już wypełnić się surowicą i bolały jak cholera. Mimo to poprosił Julkę, aby pomogła mu ściągnąć koszulkę, którą następnie owinał sobie wokół oparzonej ręki.

– Zrobię ci koszyczek i cię podsadzę. Otwór jest dość wąski, ale powinnaś się zmieścić – zaproponował.

– Nigdy nie byłam dobra na drążku.

– Akurat na drążku to ty nie masz sobie równych.

Julka z początku nie złapała sensu wypowiedzi. Dopiero po chwili skierowała strumień latarki na twarz partnera. Jego szelmowskie spojrzenie nie pozostawiało pola do domysłów.

– Ciebie to chyba jednak tak bardzo ta ręka nie boli, co?

– Boli.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Naprawdę jestem kiepska w podciąganiu. Na egzaminach zawsze wolałam robić pompki.

– Dasz radę. Będę cię asekurował.

– Hmm...

Julka przeniosła strumień światła na otwarty właz. Uniosła głowę. Skrzywiła się nieznacznie, ale wyglądało na to, że nie mają wyboru. No chyba że przez kolejne godziny chcieli robić podkop pod jedną ze ścian retorty. To zdecydowanie jej się nie uśmiechało. Pragnęła świeżego powietrza. Już. Teraz. Pragnęła wyjść z tego pieca.

– No to dawaj – rozkazała.

– Zuch dziewczyna.

Brudny złożył dłonie. Starał się chronić tę oparzoną, ale jeśli chcieli wyjść, musiał przygotować się na odrobinę więcej cierpienia. Jęknął z bólu, gdy jej but wylądował mu na rękach. Zaciśnął zęby, a następnie wyniósł partnerkę w górę. Złapała się palcami krawędzi przy pierwszej próbie, ale natychmiast ją puściła i zeskoczyła z powrotem. Przeklęła swoją głupotę. Zdjęła kurtkę, sweter i top.

– Mówiąc o tym drążku, to sobie żartowałem – usprawiedliwił się Brudny.

– Żartowałeś, tak? – Spojrzała na niego z ukosa.

– To znaczy nie żartowałem, tylko...

– Oj, Brudny, Brudny. Pograżasz się. – Julka rozdarła materiał topu na dwa kawałki i owinęła sobie nimi dłonie.

– Przecież wiesz, co miałem na myśli...

– Masz szczęście, że wiem. – Z powrotem nałożyła na siebie sweter. – A teraz rób ten koszyczek, bo chcę stąd wyjść. Dawaj!

Brudny znów złożył dłonie, a Julka, jakby z premedytacją, naparła butem z większą siłą. Jęknął, ale zaraz wyniósł ją w górę. Ponownie złapała się krawędzi włazu, ale tym razem już nie puściła. Mocno przywarła owiniętymi materiałem palcami do rozgrzanej stali i się podciągnęła.

– Uważaj na siebie. On wciąż może tam być – ostrzegł Brudny, ale miała już w głowie tylko jedno. Poprosiła, aby postarał się wypchnąć ją jeszcze trochę mocniej.

– Na trzy – zakomenderował, a potem podrzucił ją czubkami palców jak najwyżej.

Powiew świeżego powietrza był dla niej niczym łyk tlenu dla duszącego się pod wodą nurka. Poczła wiatr we włosach, usłyszała szum drzew, skrzek buszującego w nieodległym lesie ptaka. Napięła wszystkie mięśnie i... w końcu przecisnęła się przez otwór. Ocierając się o gorące ranty, poparzyła sobie lekko przedramiona i plecy, ale nawet nie zwróciła na to uwagi. W końcu była na zewnątrz. Wolna.

Długo nie napawała się tą chwilą. Wyjęła z kieszeni podręczną latarkę i omiotła strumieniem światła okolice dookoła retorty. Niewiele zmieniło się od ich poprzedniej wizyty. Z jednym wyjątkiem. Gdy oświetliła zarośla, w których leżała połamana drabina, uśmiechnęła się szydrczo. Chwilę później ostrożnie zsunęła się po dachu pieca i zeskoczyła na ziemię. Otrzepując się, czuła, jak buzuje w niej adrenalina. Pomyślała, że teraz pogawędzą sobie we trójkę.

Rozdział 41

– Powinniśmy wezwać karetkę.

– Wezwiemy, ale... hmm...

Brudny wycelował wiązkę światła z latarki w kierunku leżącego na wznak mężczyzny. Nagle zapragnął sprawić temu człowiekowi jak najwięcej bólu. Powstrzymał się jednak. Przesunął strumień światła w lewo, w prawo, w górę i w dół. Obok leżała drabina i kilka przydymionych kawałków rozbitej butelki. Jedna z nóg rannego była wykoślawiona w wyjątkowo paskudny sposób. Mężczyzna jednak nie krzyczał. Nawet nie jęczał. Jakby w ogóle nie czuł bólu. Po prostu leżał z szeroko otwartymi oczami, próbując łapać kolejne hausty powietrza. Na dnie jego ciemnych tęczołek krył się strach.

– Jest mocno poparzony – nalegała Julka. – Jeśli nie zrobimy tego natychmiast, to może nie przeżyć.

– Widziałem gorsze przypadki... – mruknął, chwytając za osmoloną kurtkę mężczyzny. Ogień musiał się wypalić dopiero niedawno, bo materiał wciąż lekko dymił.

– Igor! To nie są żarty!

Komisarz zlekceważył słowa partnerki. Zerknął pod wierzchnią odzież i odchylił podkoszulek. Skóra była pokryta pęcherzami i w kilku miejscach przykleiła się do materiału, ale płomienie w zasadzie nie zdołały narobić poważnych szkód. Następnie przyjrzał się złamanej w stawie kolanowym nodze. Dotknął palcem rzepki, ale mężczyzna w ogóle nie zareagował. Poczł ukłucie rozczarowania, bo to mogło oznaczać tylko jedno. Facet upadł tak niefortunnie, że złamał kręgosłup i stracił czucie w dolnej części ciała, a biorąc pod uwagę fakt, że najwyraźniej nie odczuwał też bólu po poparzeniach, prawdopodobnie od szyi w dół.

– Słyszałeś – zwrócił się do rannego. – Jeśli nie wezwiemy karetki, to najprawdopodobniej niedługo umrzesz. Moja partnerka jest za tym, aby ci pomóc

już teraz, ale ja... cóż... – zawahał się. – Ja mam co do tego lekkie wątpliwości. Jak myślisz? Jak powinienem postąpić?

– Proszę... – wycharczał mężczyzna.

– Poparzenia są poważne. Powiedziałbym nawet, że okropne. Noga też wygląda kiepsko. Otwarte złamanie, do tego mocno krwawi. Nie wiesz tego, bo prawdopodobnie przy upadku złamałeś kręgosłup i nie odczuwasz bólu. Może w szpitalu by cię jeszcze poskładali, może mógłbyś chodzić, ale... cóż... – Brudny teatralnie podrapał się po brodzie. – Sam nie wiem, czy na to zasługujesz.

– Igor! – ryknęła Julka.

– Uspokój się i zrób sobie spacer. Tu i tak nie ma zasięgu.

– Spróbuję. Dzwonię po karetkę!

Wyjęła smartfon, ale Brudny wyrwał jej urządzenie z dłoni. Zaskoczona, próbowała mu go odebrać, ale ją odtrącił. Podczas szamotaniny latarka wypadła mu z ręki.

– Ten facet chciał nas spalić w piecu! – warknął, podnosząc ją z ziemi. – I tak łatwo się z tego skurwiel nie wywinie. – Skierował strumień światła wprost na jego twarz. Źrenice przypominały główki od szpilki. – Jeśli chce żyć, to najpierw wszystko nam wyśpiewa. Jeśli nie, to trudno. Zdechnie tu, wykrwawiając się. Mam to w dupie.

– Ty mówisz poważnie?

– A wyglądam, kurwa, na zgrywusa? – Brudny wymownie uniósł oparzoną rękę.

Julka wzruszyła ramionami w geście rezygnacji.

– Nie chcę brać w tym udziału – rzuciła.

– Dlatego idź na spacer. Jeśli facet będzie współpracować, to po wszystkim możesz sobie dzwonić do samej Matki Teresy. Jeśli nie, to umrze. Nikt nas za to do odpowiedzialności nie pociągnie.

– Nie poznaję cię, ale... – prychnęła z odrazą. – Zresztą... – Machnęła i odeszła w mrok.

Nad głową dwójki mężczyzn przeleciało kilka nietoperzy, a zza palisady poniosł się trzask gałązki. Gdzieś w oddali zawył wilk, ale tym razem obaj odnieśli wrażenie, że wataha jest jakby bliżej. Brudny odchrząknął, cmoknął, wyjął papierosa. Zapalił go i wsunął w usta leżącego mężczyzny. Ten od razu łapczywie się zaciągnął.

– Widzisz, kolego – mruknął, zabierając papierosa. – Od początku wydawałeś mi się podejrzany. Te rozprute ptaki, koty. Patrola też pewnie ty mi rozjebałeś. Myślę, że najwyższy czas, aby odpowiedzieć sobie na pytanie, czy dalej chcesz w to brnąć.

– Nie... nie mogę...

– Nie możesz... – Brudny się zaciągnął. – Myślę, że nie do końca ogarniasz sytuację, w której się znalazłeś. Jesteśmy tu sami. Tylko ty i ja. Zakładam, że z konkretnego powodu, bo jednak miałeś trochę czasu, aby zadzwonić po pomoc. Nie zrobiłeś tego nie dlatego, że tu nie ma zasięgu, ale dlatego że... – Brudny przeniósł strumień światła na przednią kieszeń jego džinsów – nie możesz ruszać rękami. – Znow się zaciągnął. – Trochę chujowa sytuacja, nieprawdaż?

– Przepraszam. Ja... nie mogę...

– Nie skończyłem – przerwał mu Brudny. – Nie znam się na medycynie, ale na moje oko kość naruszyła tętnicę udową, co znaczy, że wykrwawisz się za kilka minut. Ile zajęłoby karetce dotarcie na to zadupie? Poczekaj, nie mów! Stawiam na dwadzieścia, może trzydzieści. Tak czy inaczej, kicha. Jeśli zaraz nie założę ci opaski uciskowej, to po prostu umrzesz, a to i tak z mojej strony wobec takiej kurwy będzie najwyższy objaw humanitaryzmu. I wiesz co? Nikt się o tym nie dowie. Mało tego, będę miał dużo czasu, aby wyjąć ci z kieszeni ten telefon i przejrzeć sobie listę połączeń, wysłane wiadomości, a nawet zdjęcia twojej gołej baby. Z tą wiedzą pojedę do tych, dla których pracujesz. Wtedy ich dopadnę i albo zabiję, albo... – obrócił się przez ramię – albo moja partnerka ich zapuszkuje. Cokolwiek się z nimi stanie, ty i tak będziesz trupem. Zdechniesz tu jak pies i niczego to nie zmieni. Niczego. No ale jeśli będziesz chciał ze mną jednak porozmawiać, to wyjmę ci ze spodni pasek i założę opaskę uciskową, a następnie zadzwonię po ambulans. Ratownicy zawiozą cię do szpitala, a lekarze być może poskładają do kupy. Pewnie trafisz do pierdła, ale będziesz żył. Może nawet chodził, ale... – Brudny znow spojrzał na nogę mężczyzny. – Chyba za bardzo się rozgadałem. Czas na męską decyzję. Będziesz mówił?

W ostrym świetle latarki twarz faceta wyglądała, jakby rzeczywiście odpłynęła z niej cała krew. Gdyby nie mrugał, a jego klatka piersiowa się nie unosiła, można by odnieść wrażenie, że nie żyje. Przełknął ślinę i skinął na znak, że chce współpracować.

– W takim razie pytanie numer jeden. – Brudny zaciągnął się mocno. – Czy to ty zabiłeś te dziewczyny?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Czy to ty zabiłeś Rozalię Czubaj?

Mężczyzna wykonał ten sam ruch. Brudny przełknął ślinę, zamknął oczy i ponownie otworzył, głęboko odetchnął.

– W takim razie kto i dlaczego to zrobił? – zapytał.

Po kolejnych dziesięciu minutach wiedział wystarczająco dużo, aby zawołać Julkę. Podeszła i przybili sobie piątkę.

– Policjant, który dał się złapać na dobrego i złego glinę. Tego jeszcze nie grali. – Zarechotała.

– Wciąż się zastanawiam, czy go tu nie zostawić. Wilki podobno są w stanie wyczuć krew z odległości...

– Daj już spokój. – Julka przeniosła światło latarki na twarz leżącego mężczyzny. Był skrajnie przerażony. – Facetowi pewnie puściły już wszystkie zwieracze – dodała, pociągając nosem.

– Skurwiel brał w tym wszystkim udział...

– Zapłaci za to. Zapłaci za wszystko. Poza tym...

– Pasek... – wtrącił się mężczyzna. Jego wzrok był skierowany w dół tułowia.

– Zapomniałbym – bąknął Brudny. – Masz ewidentnie strzaskane kolano, ale tak się składa, że nie krwawisz. Mógłbyś tu leżeć do rana albo i dłużej.

Mężczyzna chrząknął nerwowo, ale albo nie miał już sił, albo pomysłu, aby naubliżyć obojgu, bo nic więcej nie dodał. Brudny i Julka zostawili go i odeszli kilkanaście metrów. Schowali się za traktorem.

– I co? To on? – zapytała podekscytowana.

– Nie. On jest na to za głupi. Ale jeśli powiedział prawdę, to musimy to rozegrać w odpowiedni sposób.

– Kto jest mordercą?

– I tak nie uwierzysz. Ta historia jest po prostu... no niewiarygodna. Umoczeni są prawie wszyscy, dlatego bezwzględnie trzeba to załatwić z wojewódzką.

– Igor...

Gdy komisarz Igor Brudny ujawniał Julce prawdę o ponurym smolarzu, aspirant Łukasz Szmajda zdruzgotany zaistniałą sytuacją gapił się w czarne niebo, Samuel Wanzreich próbował skrócić z prześcieradła stryczek, żeby się powiesić, a młody Wiktor Bursztynowicz znów śnił swoje potworne wizje. Za każdym razem, gdy budził się zlany potem, ponownie uświadamiał sobie, że to nie koszmar, a te dziewczyny umarły w męczarniach z jego winy.

Rozdział 42

Ryszard Hyży był inspektorem od pięciu lat, a komendantem Komendy Wojewódzkiej Policji w Rzeszowie od blisko roku. Pomimo różnych zawirowań politycznych potrafił piąć się po szczeblach kariery bez względu na okoliczności, bo jego wieloletnie doświadczenie, skuteczność w łapaniu groźnych przestępców i autorytet, jakim cieszył się u podwładnych, skutecznie odstraszały partyjnych funkcjonariuszy od prób ingerencji w jego metody działania. Wszędzie był chwalony, zwłaszcza w Krakowie, gdzie po latach udręki związanej z krwawą wojną pseudokibiców Wisły i Cracovii mieszkańcy miasta w końcu mogli odetchnąć z ulgą, gdy większość bossów grup przestępczych operujących na terenie stolicy Małopolski dzięki jego działaniom operacyjnym finalnie wylądowała w więzieniach. Co prawda w ostatnim roku pojawiło się nowe zagrożenie związane ze wzrostem działalności mafii handlującej żywym towarem, głównie zaś szturmującymi wschodnie i południowe granice kraju nielegalnymi imigrantami, ale udało się rozpracować największe szajki przemytnicze i opanować sytuację do poziomu, który góra uznała za satysfakcjonujący. Sam Kraków był natomiast uważany za stosunkowo bezpieczny i gdyby nie wieczne psujące mu renomę paskudny smog i koszmarne korki – za całkiem przyjemne miejsce do życia. Sukcesy w walce z szajkami przemytników sprawiły, że wobec braku wakatu w Krakowie Hyży otrzymał propozycję zajęcia stołka komendanta w Rzeszowie. Województwo podkarpackie od lat zmagало się z tym problemem, więc pozyskanie eksperta było nieodzowne. Hyży i tu poukładał sprawy, ale skupienie się na problemie nielegalnej imigracji najwyraźniej trochę go uspiło, bo niekoniecznie widział to, co dzieje się na innych polach przestępczej działalności. Tym bardziej zaskoczył go telefon, który ośmielił się zadzwonić w Wielką Sobotę o drugiej trzydzieści nad ranem. Mimo to, ze względu na szacunek, jakim darzył osobę, której imię i nazwisko wyświetliły się na ekranie smartfona, ściągnął z siebie kołdrę, wyszedł z sypialni i odebrał.

– Cześć, Rysiek – przywitał się mężczyzna po drugiej stronie.

– Cześć, Romek. Ty wiesz, która jest godzina?

– Wiem i przykro mi, że zawracam ci głowę, ale nie dzwoniłbym, gdyby sprawa nie była naprawdę poważna.

– Tak czułem, że tamtą decyzją zwałę sobie problem na głowę. O to chodzi?

– Pośrednio. Sprawa jest natomiast dużo poważniejsza, niż mogłem przypuszczać. W związku z tym będę chciał cię prosić o kolejną przysługę.

– Żebym wdepnął w jeszcze większe gównno? Romek, zlituj się...

Hyży otworzył lodówkę i wyjął z niej colę zero. Otworzył ją i upił łyk. Rozmówca odczekał, aż przełknie, jakby widział każdy jego ruch.

– Myślę, że jeszcze będziesz mi za to dziękował.

– Nie wątpię. Opowiadaj.

Romuald Czarnecki powtórzył wszystko, co usłyszał od Brudnego i Zawadzkiej. Z początku Hyży zaczął mieć poważne wątpliwości, czy aby przyjaciel nie pomylił Wielkiej Soboty z niedawno minionym prima aprilis, ale już po kilku minutach zaczął pozbywać się pizamy, a colę zero zamienił na mocną kawę. Żonie, która rozbudzona jego energicznie rzucanymi do słuchawki „kurwami” wychyliła się z za rogu, pokazał, że może wracać do łóżka, zjadł też dwie parówki i koślawo zapisał co najmniej trzy kartki w notesie. Przez krótką chwilę miał nawet nadzieję, że to wyjątkowo realny koszmar, ewentualnie stary przyjaciel upił się i bredzi, ale gdy uświadomił sobie, że to jednak nie sen, a głos Czarneckiego brzmiał tak samo jak zawsze, Hyży poczuł, że zaczyna się obficie pocić.

– Nie wiem, co powiedzieć, Romek – rzekł, gdy przyjaciel skończył relację. – To wydaje się absolutnie niewiarygodne. Nieprawdopodobne. Jesteś pewny, że temu Brudnemu można zaufać?

– Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. To najuczciwszy glina, jakiego poznałem w życiu.

– Ale czy jest jakakolwiek szansa, że się myli?

– Każdy się czasem myli...

– Nie wiem, Romek. Naprawdę nie wiem. To słowa jednego skorumpowanego gliniarza. Mógł powiedzieć wszystko, zwłaszcza jeśli za mocno walnął się w głowę. Mógł bredzić albo próbować się wybielić.

– Zbyt wiele innych dowodów świadczy na korzyść hipotezy Brudnego. Niełatwo mnie przekonać, czego ten facet doświadczył niejednokrotnie. Ale zawsze wychodziło na jego. To po prostu dobry glina.

– Tylko nie na służbie...

– To tylko świadczy na jego korzyść. Nikt mu tego nie zlecał, nikt go do tego nie przymuszał. Mimo to i tak rozpoczął prywatne śledztwo. Nie odpuścił nawet

w momencie, gdy zniszczyli mu prywatny samochód i wysuwali groźby pod jego adresem. On po prostu taki jest. Ryje, dopóki nie dokopie się do prawdy.

– Ta jego teoria nie brzmi realnie. Wybacz, ale prędzej uwierzyłbym w lądowanie kosmitów.

– Życie potrafi zaskakiwać i dobrze o tym wiesz...

Trudno było z tym stwierdzeniem polemizować. W czasie blisko trzydziestoletniej kariery w policji Hyży widział rzeczy, na które nie wpadliby najbardziej wyuzdani fantaści. Wszyscy nosili jakieś tajemnice, począwszy od pani Jadzi z warzywniaka po prominentnych polityków. Takie życiorysy zwykle komplikowały się w zależności od stopnia zamożności, pozycji, popularności czy władzy, jaką delikwent sprawował. Zależność wydawała się prosta. Im wyżej człowiek znalazł się w hierarchii społecznej, tym więcej miał za uszami. Pieniądze i władza zwykle psuły ludzi. Pozwalały na rzeczy, których normalnie nigdy by nie zrobili, oferowały pokusy i spełnienie skrytych fantazji, na które nie było ich wcześniej stać, prowokowały do czynów, które wcześniej uważali za godne potępienia. Wielu tonęło w końcu w oceanie hedonizmu, wciąż obsesyjnie szukając nowych podniet. Podobne przykłady można było mnożyć nie tylko na świecie, ale także na własnym podwórku. Jedni kupowali wyspy i urządzali tam pedofilskie orgie, inni opłacali polskie celebrytki, aby mieć się do czego wypróżniać, a jeszcze inni organizowali potajemne dark party, gdzie wyżywali się na ofiarach handlu żywym towarem. Mając władzę i pieniądze, tak naprawdę wszystko zależało od perwersyjnej wyobraźni skażonej nimi jednostki. Prawo dla takiego człowieka przestawało istnieć, a jeśli nawet, to wydawało się abstrakcyjną formą czegoś, co jego samego nie dotyczy. Bo on jest lepszy, bo jest ponad to, bo może wszystko.

– Jeśli ty mu ufasz, to i ja spróbuję mu zaufać – oświadczył po dłuższej chwili namysłu.

– Nie pożałujesz.

– Ale najpierw wyślij mi do niego numer. Żebym podjął ostateczną decyzję, muszę to usłyszeć jeszcze raz. Bezpośrednio od Brudnego.

Piętnaście minut później w karetce sunącej drogą krajową numer osiemset dziewięćdziesiąt trzy w kierunku nieistniejącej już wsi Tyskowa jeden z ratowników odebrał telefon z dyspozytorni. Otrzymana informacja niespecjalnie nim wstrząsnęła, mimo to pouczył pozostałych członków ekipy, że sparaliżowany policjant może być niebezpieczny, a cała akcja zostaje objęta klauzulą najwyższej tajności. Wszyscy co do jednego pokornie przyjęli tę informację do wiadomości.

Rozdział 43

Trzy godziny snu przerywanego atakami piekącego bólu sprawiły, że rano Brudny nie był w najlepszej formie. Oparzona ręka dopiero teraz naprawdę zaczęła o sobie przypominać. Wcześniej, gdy działał na adrenalinie, łatwiej było zapomnieć o dolegliwościach. Co prawda ratownicy, którzy przyjechali po sparaliżowanego Szmajdę, zasugerowali, że najlepszym wyjściem będzie wizyta w szpitalu, ale odmówił. Nie chciał tracić czasu na użeranie się z lekarzami, poza tym miewał gorsze kontuzje jeszcze jako dzieciak i nie dość, że musiał wtedy radzić sobie sam, to jeszcze bez środków przeciwbólowych. Dlatego grzecznie im podziękował i pozwolił jedynie na to, aby opatrzyli mu dłoń, po czym wspólnie z Julką wrócili do chałupy. Zgodnie uznali, że najwyższy czas zadzwonić do Czarneckiego. Inspektor nie zawiódł ich i już po kilkudziesięciu minutach otrzymali telefon od komendanta Komendy Wojewódzkiej w Rzeszowie, Ryszarda Hyżego.

– To, co pan opowiada, brzmi jak science fiction, ale jeśli ufa panu Romuald Czarnecki, to i ja panu zaufam – oznajmił, gdy Brudny wyłożył karty na stół. – Natomiast pana pomysł na zdobycie dowodów wydaje się co najmniej ryzykowny.

– Wolałbym określenie „nieszablonowy” – odparł Brudny. – Ale wie pan, jak to jest w tej branży. Czasem takie działania są nieodzowne.

– Trudno się z panem nie zgodzić.

– Cieszę się, że w tej kwestii się rozumiemy.

Ustalili plan działania, a potem Brudny przyjął końską dawkę środków przeciwbólowych i położył się do łóżka. Kilkakrotnie budził się zły potem, ale czując bliskość partnerki, łatwiej mu było znosić cierpienie. Za każdym razem smyrała go palcami po plecach do czasu, aż zaczynał cicho pochrapywać. Od kiedy zostali parą, bardzo lubił tę pieśzczołę. Czuł się wtedy bezpieczny.

Pierwsza z łóżka wygramoliła się Julka. Igor dał sobie jeszcze kwadrans, aby połknięte tabletki przeciwbólne zaczęły działać. Wziął się w garść i spuścił nogi na podłogę, a następnie wyszedł z pokoju na piętrze.

– Kawa stoi na ławie – oznajmiła Julka, gdy zszedł ze schodów. – Ja właśnie kończę robić jajecznicę, więc jak chcesz wziąć prysznic, to może po jedzeniu.

– Dzięki – odparł, siadając na kanapie. Kątem oka dostrzegła, że skrzywił się z bólu.

– Jesteś pewny, że z tą ręką...

– To tylko ból, Julka. Nic mi nie jest.

– Tak tylko pytam, bo... no wiesz...

– Jestem praworęczny – przerwał jej, kładąc na blat walthera.

– Ech...

Plan nie przewidywał użycia broni, ale doskonale wiedziała, że rzadko kiedy wszystko wychodzi tak, jak powinno. Zwłaszcza gdy do akcji wkracza Igor Brudny. Nie oceniała możliwości strzeleckich partnera, bo te bez wątpienia były na wysokim poziomie, ale fakt, że praktycznie nie mógł operować jedną dłonią, dość mocno ograniczał go na różnych polach. Postanowiła jednak nie drążyć tematu. Wiedziała, że to mija się z celem, a próby wpłynięcia na partnera, zwłaszcza jeśli już podjął decyzję, to jak kopanie się z koniem.

Zjedli, wymieniając zaledwie kilka zdań. Oboje nie chcieli wracać do tego, co widzieli w bunkrze pod retortą. Historia Konowałowa była tak przytłaczająca, że potrzebowali czasu, aby się z nią oswoić. Na rozprawianie o tym, co było, czas miał dopiero nadejść. Teraz musieli dokończyć to, co zaczęli.

Pół godziny po śniadaniu byli już gotowi. Brudny włożył dżinsowe spodnie i białą koszulę, do tego wiązane na sznurowadła półbuty, na wierzch narzucił swój ulubiony czarny prochowiec. Julka poszła jego śladem, nawet nie dlatego, że chciała, ale ponieważ nie miała żadnych ciuchów, które bardziej nadawały się na tę okazję. Półbuty zamieniła na czarne kozaki na niskim obcasie, a koszulę na kremowy golf, na który narzuciła swoją ramoneskę.

– Będziemy się tam wyróżniać – oznajmiła, poprawiając partnerowi kołnierz koszuli.

– I właśnie o to chodzi – odparł, krzywo się uśmiechając.

Na parking przylegający do terenu kościoła pod wezwaniem Jana Pawła II dotarli w momencie, gdy większość wiernych zdążyła już zniknąć w środku świątyni. Bryła budynku w zamyśle architekta miała najwyraźniej wzorować się na budowlach gotyckich, ale finalny efekt przypominał bardziej wariację łączącą wiekową tradycję z nowoczesnością. Dwie strzeliste wieżyczki, jedna od frontu, druga z tyłu, zaledwie kilka witraży oraz wizerunek Jezusa Chrystusa nad drzwiami. Nic poza tym. Żadnych rzeźb wyrytych w kamieniu, zdobień na gzymsach, przesiadujących na dachu wron. Kościółek wydawał się przesadnie schludny, wręcz sterylny. Otoczony eleganckim ogrodzeniem teren również wpisywał się w ten styl. Zero drzew, fontann, nawet ławeczek dla wiernych. Tylko

chodnik okalający budynek oraz ziemia, przez którą przebijały się świeżo zasiane żdźbła trawy.

– Gotowy? – zapytała, zerkając na Brudnego. Partner tępo wpatrywał się w wizerunek Chrystusa.

– Gotowy – odparł po chwili zawieszenia i nie czekając na kolejne pytania, żwawo ruszył do przodu.

Kościół był wypchany po brzegi. Wierni siedzieli w ławach obu naw ściśnięci jak sardynki, a niektórzy z mieszkańców musieli zadowolić się miejscami stojącymi. Zdecydowana większość była ubrana odświętnie. Mężczyźni mieli na sobie marynarki, spora większość z nich krawaty, kobiety przysły ubrane w zakłady albo suknie częściowo skryte pod eleganckimi płaszczami. Starszych mieszkańców można było rozpoznać w tłumie po kolorowych moherowych beretach i bardziej stonowanych kaszkietach, a dzieci, jak to dzieci, koniecznie musiały trzymać w rękach wypełnione potrawami wiklinowe koszyczki, w których ich mamy i babcie poupychały pomalowane jajka, chleb, kiełbasę, sery, ciasta, chrzan, sól i inne dary, mające już wkrótce zostać przez księdza Bartłomieja spryskane wodą święconą, aby tradycji zadośćuczynić. Brudny skrzywił się, omiatając wzrokiem to stado owiec. Dokładnie tak przed chwilą nazwał swoich wiernych mężczyzna w czarnej sutannie. Stadem owiec. Doprawdy nie znosił tego określenia. Bycie owcą zawsze mu się źle kojarzyło. Z zależnością i podległością. Tak jak w sierocińcu Gwidony. Ona też chciała kiedyś zrobić z niego jedną z bezbronnych i usłużnych Bogu owiec.

Komisarz poszukał wzrokiem ludzi, na których najbardziej mu zależało. Tak jak zakładał, w większości siedzieli w pierwszych rzędach. Mężczyźni trzymali swoje małżonki za ręce, kobiety dyskretnie strofowały nudzące się dzieci i wnuki. Patrzył na te rozmodlone twarze z obrzydzeniem i zastanawiał się, ilu z nich ma krew na rękach. Ilu z nich przyłożyło się do tego, co wydarzyło się wiosną 1968 roku, i ilu z nich na tym skorzystało. Gardził takimi ludźmi. Gardził hipokrytami. Dlatego dziś miał zamiar wyłożyć karty na stół i powiedzieć: sprawdzam.

W momencie gdy ksiądz ruszył święcić koszyki, Brudny przemknął pomiędzy filarami i wszedł na ambonę. Niewielu zwróciło uwagę na mężczyznę w czarnym prochowcu, a gdy w końcu w głośnikach wybrzmiało jego „szczęść Boże”, było już za późno. Chwilę trwało, zanim zaafierowani wierni zdołali zrozumieć, co się dzieje. W końcu ksiądz Bartłomiej też zaprzestał święcenia i z nieskrywanym niesmakiem przeniósł wzrok na ambonę.

Brudny przemknął wzrokiem po wiernych w pierwszych rzędach. Ich nerwowe reakcje tylko utwierdziły go w przekonaniu, że nie powinien okazywać litości.

– Nie zajmę wam wiele czasu – zaczął, wystawiając na widok owiniętą bandażem dłoń. Obawiał się, że ktoś może spróbować go usunąć albo wyłączyć

mikrofon, ale nic takiego się nie wydarzyło. Wszyscy stali i w osłupieniu wpatrywali się w nieproszonego gościa. – Nazywam się Igor Brudny i przyszedłem tu, aby ogłosić, że Samuel Wanzreich, wbrew temu, co głosi lokalna prokuratura i policja, nie jest winny śmierci żadnej z kobiet, o których zamordowanie został oskarżony. Odnalazłem na to twarde dowody, które już wkrótce mam zamiar przekazać prokuraturze w Rzeszowie. Prowadząc śledztwo, dotarłem też do informacji na temat tego, co wydarzyło się w kwietniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku na wypale Tarasa Wanzreicha, ojca Samuela Wanzreicha. Wiem, że w tej sali znajdują się osoby bezpośrednio odpowiedzialne za ten barbarzyński lincz, który przez lata tak skrzętnie ukrywano, lub ich potomkowie, którzy na śmierci państwa Goldmannów skorzystali. Chciałbym...

– Hańba! – krzyknął starszy mężczyzna z ogoloną na łyso głową.

– Świątokradztwo! – dorzucił ktoś w drugiej nawie.

– Wypierdalaj!

Podniosło się kilka kolejnych krzyków. Chwilowo wytrąciły Brudnego z równowagi, ale uciszył je, podnosząc głos na tyle, że aż zapiszczały głośniki.

– Wiem też, że w tej sali znajduje się osoba, która od samego początku jest kryta przez policję i prokuraturę, a która miała swój udział w zamordowaniu Małgorzaty Dąbrowskiej oraz Eweliny Matejczuk – dodał, nie dając szansy tłumowi, aby ten się rozkręcił.

Ludzie w jednej chwili umilkli i zaczęli spoglądać po sobie ze zdumieniem. Przypominało to moment, gdy ksiądz podczas liturgii nakazuje przekazać sobie znak pokoju, z tą różnicą, że teraz na twarzach wiernych nie malował się sztuczny uśmiech, ale grymasy bliższe pogardzie, obrzydzeniu i przerażeniu. Brudny dokładnie analizował reakcje w pierwszym rzędzie. Kmita, Krogulewski, Bursztynowicz zachowywali się inaczej. Wszyscy oni stali nieruchomo niczym zaklęte w kamień posągi, z twarzami bladymi jak marmur, zdumieni, zaskoczeni, zszokowani. Ich kobiety z niedowierzaniem czekały na jakąkolwiek reakcję mężów, ale i im zabrakło odwagi, aby chociaż dołączyć do chóru kilku pokrzykujących z tylnych rzędów mężczyzn. I pośród nich ten jeden, z którego twarzy odeszła wszelka krew, a na którym wzrok Brudnego zatrzymał się na dłużej. Młody chłopak w garniturze i ciemnych okularach na czole z początku złapał z nim kontakt wzrokowy, ale po kilku uderzeniach serca wbił spojrzenie w wyłożoną płytami podłogę i tak już pozostał. Brudny dostrzegł, że na jego skroni zaperliły się krople potu. Kontynuował:

– Nie wątpię, że wielu z was doskonale zdaje sobie sprawę z tego, o czym mówię, i wie, a przynajmniej podejrzewa, kto jest za to wszystko odpowiedzialny. Zdaję sobie sprawę, że niektórzy z was boją się mówić. Tego jednak nie da się

zatrzymać i prawda, choć straszna i dla mieszkańców tych okolic na pewno wstydliva, już wkrótce ujrzy światło dzienne. Zastanówcie się, czy chcecie być współodpowiedzialni za nie swoje zbrodnie.

Chwilę później Brudny zszedł z ambony i nie niepokojony przez nikogo przemknął wzdłuż murów wschodniej ściany kościoła w kierunku wyjścia. Po drodze zgarnął Julkę, a gdy tylko wyszedł na zewnątrz, od razu sięgnął po papierosa. Zapalił. Zaciągnął się i wypuścił dym. Pomyślał, że w sumie poszło lepiej, niż mógł się spodziewać. Teraz wystarczyło poczekać, kiedy mur milczenia zacznie pękać. Bo to, że bieszczadzka omerta już wkrótce zostanie jedynie wspomnieniem, było więcej niż pewne.

Rozdział 44

Miał wrażenie, że zaczyna tracić grunt pod nogami. Nie w przenośni. On dosłownie czuł, jakby ziemia się rozstępowała, a on coraz szybciej opadał w niekończącą się otchłań. Słyszał głosy, które rezonowały nienaturalnym echem, wydawały się niewyraźne, wykoślawione, mętne, jakby dochodziły spod wody albo spod ziemi. Nie był w stanie podjąć decyzji, nie miał odwagi zareagować. Po raz pierwszy od niepamiętnych lat poczuł się kompletnie bezbronny.

– Maciej!

Poczuł szarpnięcie. Głosy się wyostrzyły, obraz przed oczami przestał pływać.

– Maciej! Rusz się! Maciej! Zrób coś, do jasnej cholery.

Maciej Bursztynowicz wrócił do rzeczywistości. Spojrzał żonie w twarz. Była wypudrowana jak u lalki, ale nagle wydała mu się o dekady starsza niż w rzeczywistości. Głębokie bruzdy poprzecinały czoło i okolice wokół ust, jakby nagle miała popękać i rozsypać się niczym rozbita porcelanowa figura.

– Obudź się i idź to załatwić – syknęła przez zęby. – Tu chodzi o naszego syna!
– dodała półszepem.

Poseł przeniósł na niego wzrok. Był równie blady jak Łucja, choć w przeciwieństwie do matki nie nałożył na skórę ani grama podkładu. Powiódł spojrzeniem po twarzach osłupiałych Krogulewskiego, Kmity i jeszcze kilku innych ważnych person w pierwszej ławie. W oczach wszystkich tliło się skrajne przerażenie.

– Ile jeszcze będziesz tak stał, kurwa mać? – naciskała żona. – Bierz bandę tych jełopów i idźcie to odkręcić.

– Zamknij się! – warknął, gdy odzyskał pełną świadomość. Wycelował palec wskazujący w kierunku Krogulewskiego, jakby siłą woli chciał mu go wepchnąć prosto między oczy, ale ostatecznie opuścił go i wyrwał w stronę podtrzymujących sklepienie filarów.

Nie miał pojęcia, co robić. Czuł na sobie wzrok setek par oczu. Słyszał, jak stękają, jak syczą z oburzenia, jak wzajemnie się szkalują. Ilu z nich pamiętało

wydarzenia sprzed blisko sześćdziesięciu lat? Nie miał pojęcia, ale na pewno były tu osoby, które miały krew na rękach. Dziś przygarbieni, pomarszczeni, powykęceni reumatyzmem mogli wydawać się żalnymi cieniami samych siebie. On jednak wiedział, że to tylko maski. W głębi duszy byli wyjątkowo wrednymi sukinsynami. Leopold mógłby być z nich dumny.

Usłyszał kroki za plecami. Nie obejrzał się, ale był niemal pewny, że należą do tych idiotów – Krogulewskiego i Kmity. Poszli za nim jak psy. Albo jak te cholerne owce. Pomyślał, że przyjdzie czas, aby ich ukarać. Za niesubordynację, za bezmyślność, za głupotę. Teraz jednak musiał ratować rodzinę i dobre imię.

Wybiegł, nie zważając na wołania księdza. Bartłomiej próbował uspokajać poruszony tłum, który aż kipiał od niezdrowych emocji. Mieszanka starych i nowych mieszkańców przypominała teraz bombę z opóźnionym zapłonem. Jedni byli przerażeni, inni zszokowani i wystraszeni. Maciej musiał nad tam jakoś zapanować. Oni tego od niego oczekiwali. Nazwisko Bursztynowicz zobowiązywało i teraz musiał zapracować na szacunek obywateli.

– Komisarzu! – zawołał za Brudnym, który właśnie opuszczał teren kościoła. Igor odwrócił się, ale go zignorował. Zatrzymał się dopiero przy swoim wozie. – Komisarzu Brudny. Musimy porozmawiać – dodał, lekko zdyszany.

– Ja niczego nie muszę – odparł Brudny.

– Postąpił pan niemądrze.

– To się jeszcze okaże.

Maciej nie był przyzwyczajony do takiej postawy swoich rozmówców. Jedynym człowiekiem, przed którym musiał się kajać, był szef partii, który zresztą dziś był już cieniem samego siebie. Poza tym, jeśli już musiał zgiąć kark, zwykle robił to w ciszy gabinetów stolicy i nikt tego nie widział. Tutaj, zwłaszcza w rodzinnym Baligrodzie, od zawsze był bogiem. A impertynencja i pewność siebie tego pieprzonego gliniarza wydawały się przekraczać wszelkie granice. Przez myśl przemknęła mu wizja tego, co by mu zrobił, gdyby ten facet trafił na jego warsztat.

– Zanim poczyni pan kolejne kroki, musi pan wiedzieć, że nie wszystko wygląda tak, jak się panu wydaje – powiedział, starając się utrzymać nerwy na wodzy. – Chciałbym zaprosić pana na kawę. Porozmawiamy.

Brudny przeniósł wzrok na Julkę, która pokręciła głową. Bursztynowicz mógł tylko podejrzewać, do czego finalnie się dokopali. Ta świadomość dopiero do niego docierała, wraz z ewentualnymi konsekwencjami, które będzie musiał ponieść. Zdawał sobie sprawę z reputacji, która się za nim ciągnęła. Rządził tu twardą ręką i przez wielu rodowitych mieszkańców mógł być postrzegany jako człowiek mający szerokie kontakty, niebezpieczny, który przez te wszystkie lata mógł stworzyć na tych terenach szczelny układ polityczno-mafijny. Do tej pory taki

system działał jak dobrze naoliwiona maszyna. Poza tym nie tylko on taki stworzył. Był zaledwie jednym z wielu baronów, którzy budowali swoją pozycję na strachu. W jego ocenie ludzie mieli się go bać, bo tylko strach przed przełożonym wymuszał na podwładnych bezwzględne posłuszeństwo. Wiedzieli to już starożytni Rzymianie, którzy wychodzili z założenia, że żołnierz bardziej musi lękać się dowódcy niż wroga. A jeśli dodatkowo ci gliniarze zdołali dotrzeć do prawdy sprzed ponad półwiecza, zapewne rozumieli też, że skoro zmowa milczenia przetrwała na tych terenach ponad pół wieku, to reputacja Bursztynowiczów nie jest wyssana z palca. Mimo to – i to zaczęło go przerażać coraz bardziej – ten gliniarz wydawał się tym w ogóle nie przejmować.

– Porozmawiamy, ale bez nich – odparł Brudny, przenosząc wzrok na maszerujących za nim Krogulewskiego i Kmitę. – Oni wystarczająco już nakłamali i tak czy siak, nie wywiną się z tego.

– To wszystko nie tak, jak się panu... – Maciej zamilkł, zdając sobie sprawę, że się powtarza. – Pan po prostu źle interpretuje pewne fakty. Pan nie rozumie...

– Rozumiem wszystko – przerwał mu Brudny. – Rozmawiamy w cztery oczy albo w ogóle.

Bursztynowicz przeniósł wzrok na opartą o maskę Zawadzką. Chyba była równie zaskoczona jak on.

– W cztery oczy? – upewnił się.

– Moja partnerka poczeka na zewnątrz.

Kątem oka poseł ujrzał, jak kobieta nerwowo się wzdryga. Poczł na sobie jej palące, wściekłe spojrzenie, które chwilę później spoczęło na mężczyźnie w czarnym prochowcu. Nie doczekawszy się reakcji, wyrzuciła chwilę wcześniej palonego heetsa i otworzyła drzwi patrola. Zamknęły się z trzaskiem, wystawiając konstrukcję auta na test, którego inny model mógłby nie przetrwać.

– Zatem proszę za mną – oznajmił Bursztynowicz i skinąwszy Brudnemu, skierował się do samochodu. – A wy, kurwa, za to odpowiecie – warknął do doszłusowujących do niego Krogulewskiego i Kmitę. – Macie opanować ten burdel. Nie wiem jak. Po prostu to zróbcie. Nikt nie może wyjść z tego kościoła ze świadomością, że to, co powiedział Brudny, może mieć w sobie choć ziarno prawdy. Zrozumiano?

Ani komisarz, ani prokurator nie mieli odwagi zaprotestować. Niczym zaprogramowane roboty skierowali się z powrotem do świątyni. Tylko co dalej? – pomyślał Maciej. W uszach wciąż dźwięczały mu słowa Kmitę. Że Igor Brudny nie ma ceny. Że dlatego jest taki dobry, taki nieprzewidywalny i dlatego zawsze osiąga zamierzony cel. Cokolwiek by mówić, to on poznał go najlepiej ze wszystkich. Ze wszystkich...

Dopiero w tym momencie poseł Maciej Bursztynowicz uzmysłowił sobie, że nie widział w kościele tego trzeciego. Nie widział w kościele aspiranta Łukasza Szmajdy. Gdy zrozumiał, co może być tego przyczyną, poczuł ucisk w żołądku. Po wejściu do samochodu od razu wybrał odpowiedni numer.

Rozdział 45

– Co ty odpierdalasz?! – zjeżyła się Julka.

– Chciałem, żeby wypadło naturalnie.

– Zaplanowałeś to?

– Gdyby przy tej rozmowie było nas dwoje, jedno z nas stałoby się świadkiem.

Wtedy na pewno nie powiedziała by niczego, co może mieć jakąkolwiek wartość.

Brudny wcisnął wsteczny i zaczął wycofywać. Odczekał, aż Bursztynowicz przejedzie mu przed maską, a następnie wrzucił jedynekę.

– On może być niebezpieczny, a ty masz tylko jedną rękę – rzuciła Julka z wyrzutem, gdy komisarz ruszył.

– Przesadzasz – burknął.

– Nie wkurwiał mnie, Igor. Nie znoszę, gdy tak sobie ze mną pogrywasz.

– Będzie chciał mnie przekonać, abym odpuścił jego synowi. Zapewne przekupić.

– Albo zabić.

– Nie, jeśli ty będziesz poza jego zasięgiem. Poza tym dobrze wiesz, że gdybyś usiadła obok, miałyby bardzo ograniczone pole manewru. Nie mógłby powiedzieć tego, co by chciał. W cztery oczy negocjacje prowadzi się inaczej. A tylko to mu pozostało.

– Jak zwykle jesteś zbyt pewny siebie. I do tego naiwny.

– Wybrałem najkorzystniejszą opcję. Jeśli Bursztynowicz zaprasza mnie do domu, to na pewno dobrze się na taką ewentualność przygotował. Każdy wysoki rangą polityk, zwłaszcza jeśli kiedyś był ministrem i kręcił tak gigantyczne wały jak ten ze zbożem z Ukrainy, musi mieć w swojej rezydencji gabinet zabezpieczony przed podsłuchem. Dlatego numer z zapalniczką na pewno nie przejdzie.

Brudny wyjął i obrócił w palcach niewielkie urządzenie, które kiedyś pomogło mu oszukać, a następnie wymusić przyznanie się do winy jednego ze skorumpowanych policjantów. Sprytny fortel spowodował, że detektor nie wykrył

podśluchu, dzięki któremu dowódca czekającej na odpowiedni moment grupy uderzeniowej słyszał każde słowo niejakiego Kłosa.

– Nie dość, że chcesz iść tam sam, to jeszcze bez żadnego kontaktu? – Julka nie dowierzała. Nawet nie chciała myśleć, jak na tę zmianę planów zareaguje Hyży. Mieli być na łączach od momentu, gdy wyjdą z kościoła. Myślała, że Brudny podczas przypalania papierosa włączył podsłuch, ale najprawdopodobniej tego nie zrobił. Czuła, jak pęcznieje w niej coraz większy gniew. Przecież ta decyzja mogła sprawić, że cała akcja zostanie odwołana! – Skąd wiesz, że Bursztynowicz nie ma w domu jakiejś ochrony? Albo, no nie wiem, nie opłaca jakichś bandziorów, do których właśnie dzwoni?

– Pewnie jakichś opłaca. Dlatego ty zostaniesz na zewnątrz i będziesz mnie ubezpieczać, pozostając w kontakcie z ludźmi Hyżego. – Brudny wciąż mówił nadzwyczaj spokojnie. – Maciej to nie jest facet, który biega z klamką po ulicach. Może i jest bandytą i pojebem, ale sam nic mi nie robi. Tacy jak on, jak sama zdążyłaś zauważyć, mają od tego ludzi. Ale nawet jeśli złamałby umowę i przyprowadził obstawę, to dziś w kościele widziało i słyszało mnie za dużo mieszkańców. Gdyby coś mi się stało, nigdy by się z tego nie wytłumaczył. On nie będzie próbował zrobić mi krzywdy. On będzie chciał się dogadać.

– Ty zawsze wszystko musisz wiedzieć najlepiej.

– Wszyscy oni są tacy sami. Myślą, że za pieniądze można kupić wszystko i wszystkich.

Logika, którą kierował się Brudny, mogła się bronić. Nie zmieniało to jednak faktu, że była na niego wściekła. Czy zawsze musiał traktować każdą sprawę tak osobiście? Czy zawsze musiał się narażać, żeby przymknąć tego czy tamtego zbira? Dlaczego nie potrafił odpuścić?

Wciąż nie mieli wszystkich odpowiedzi, zwłaszcza że Szmajda był jedynie pionkiem i wiedział tyle, co kot napłakał. Facet zdążył jednak zarysować szkic czegoś, co nawet Igorowi wydawało się mało wiarygodne. Co prawda przytoczona historia wpisywała się w jedną z jego licznych hipotez, ale wciąż wiele rzeczy do siebie nie pasowało. Dlatego aby uniknąć wątpliwości, musiał od Bursztynowicza wyciągnąć prawdę osobiście. Tylko Maciej mógł klarownie wyjaśnić, co wydarzyło się naprawdę, jaką rolę w zamordowaniu Małgorzaty Dąbrowskiej i Eweliny Matejczuk odegrał jego syn Wiktor i dlaczego te niewinne dziewczyny zostały potraktowane w tak bestialski sposób. A przecież według tego, do czego zdolali się dokopać, śmierć tych turystek to tak naprawdę był czubek góry lodowej. Niestety, to, co wyciągnął od Szmajdy, w świetle prawa było bezwartościowe. Nie mógł nawet nagrać jego spowiedzi, bo sam wpakowałby się na minę. Wyciąganie zeznań pod groźbą nieudzielenia pomocy, przymuszanie do rozmowy z pozycji siły, złamanie wszelkich procedur.

Dysponujący armią najdroższych kancelarii prawnych Bursztynowicz wykorzystałby to natychmiast, podważył prawdziwość słów Szmajdy i jeszcze zrobił z niego i siebie ofiarę, a sam Brudny w najgorszym wypadku mógłby trafić na ławę oskarżonych. Trudno było też liczyć na to, że aspirant powtórzy to samo przed sądem. Igor potrzebował dowodu. Niepodważalnego świadectwa, dzięki któremu byłby w stanie połączyć historię Konowałowa, wydarzenia z roku 1968, legendę o ponurym smolarzu i ostatnie morderstwa.

– Kiedyś zginiesz – bąknęła Julka, nie mając już żadnych argumentów.

– Jak każdy z nas – odparł oschle.

Zakłęła pod nosem. Brudny w wielu kwestiach miał rację, ale nie mogła pogodzić się z tym, że znów z własnej, nieprzymuszonej woli naraża się na niebezpieczeństwo. To był jednak toksyczny typ. Nienormalny. I – co w jej ocenie było w tym wszystkim najgorsze – kompletnie niereformowalny.

Do rezydencji posła dotarli po kilku minutach jazdy. Mieściła się na wzgórzu w północnej części Stężnicy, otoczona licznymi rozłożystymi dębami i wysokim na ponad dwa i pół metra murem. Brama wyposażona w nowoczesny monitoring i czujniki ruchu otworzyła się, zanim jeszcze właściciel do niej dotarł. Minęli ją, a następnie wjechali na drogę wewnętrzną, która wyłożona była śnieżnobiałym żwirem. Piękny zielony trawnik, nawet o tej porze roku, wyglądał, jakby został pomalowany farbą, fikuśne marmurowe fontanny przedstawiające starożytne postaci z greckich mitów dodawały miejscu arystokratycznego sznytu, podobnie jak kolumny podtrzymujące balkon nad drzwiami wejściowymi do głównej bryły budynku. Odnowiony pałac z drugiej połowy osiemnastego wieku mógł budzić podziw i przypominał rezydencje znane z filmów o starych brytyjskich czy francuskich rodach. Bursztynowicz żył jak krezus i w oczach lokalnych mieszkańców rzeczywiście na tych terenach mógł dysponować niemal boską władzą.

Zatrzymali się przy podjeździe, tuż obok Bursztynowicza. Odczekali chwilę, sprawdzili broń, po czym wysiedli z samochodu. Poseł spojrzał na komisarza, następnie na jego partnerkę, po czym gestem dłoni wskazał Brudnemu drzwi wejściowe.

– Zamknij bramę wjazdową – polecił Brudny. Chwilę wcześniej ocenił, że w razie problemów nie powinna być większym wyzwaniem dla jego patrola, a wolał nie ściągać sobie na głowę nieproszonych gości.

Maciej posłał mu nie do końca czytelne spojrzenie, po czym wyjął z kieszeni marynarki pilota i wcisnął guzik. Chwilę później brama się zamknęła.

– Zapraszam – powiedział. – Jestem przekonany, że się dogadamy – dodał i po kilku sekundach zniknęli za wielkimi, dębowymi drzwiami pałacu.

Julka odprowadziła ich wzrokiem. Była zła jak osa i podskórnice czuła, że to wcale dobrze się nie skończy. Zaklęła pod nosem i wsiadła z powrotem do patrola. Otworzyła paczkę paluszków. Chrupanie zawsze ją uspokajało.

Rozdział 46

Brudny wszedł do przestronnego i elegancko urządzonego pomieszczenia. Oba te słowa nie oddawały jednak prawdy o wystroju wnętrza gabinetu posła Bursztynowicza. Bizantyjski przepych aż kłuł w oczy. Meble z czarnego grenadilu ściągane z dalekiego Mozambiku, ogromny żyrandol zdobiony setkami kryształów, królewski kominek, przy którym leżała niedźwiedzia skóra, na ścianach liczne poroża jeleni, łosi, antylop i bawołów. Pomiędzy nimi, w centralnym punkcie, tuż nad skrzyżowanymi ciosami i starą rosyjską dubeltówką, wisiła podobizna seniora rodu Leopolda Bursztynowicza ubranego w strój myśliwego, w kapeluszu z szerokim rondem, opartego o sztucer, z nogą na potężnym cielsku słonia afrykańskiego. Przyjrzał się bliżej, następnie zwrócił wzrok na oprawione zdjęcia stojące na okazałym kredensie. Na części z nich Leopold pozował nad truchłami tygrysa syberyjskiego, lwa, a nawet nosorożca, na kilku z synem, ale zawsze z tym samym sztucерem. W powietrzu unosiła się woń drogich kubańskich cygar pomieszana z zapachem drzewa sandałowego i palonej bukowiny.

– Mój ojciec był zapalonym myśliwym – przerwał ciszę Maciej. – Zaraził mnie swoją pasją lata temu. Jeździł pan kiedyś na polowania?

– Brzydę się kłusownictwem – uciął Brudny, nic więcej nie dodając.

Kątem oka dostrzegł, że twarz posła wykrzywiła się w gniewnym grymasie. Bursztynowicz jednak szybko zapanował nad negatywnymi emocjami.

– To... kłusownictwo, jak pan to nazywa, dla jednych jest zbrodnią, a dla drugich szansą na przeżycie – powiedział z emfazą. – Cena, którą trzeba zapłacić za takie polowanie, pozwala wyżywić całą wioskę przez rok. Świat nie jest biało-czarny, komisarzu.

– Gównu mnie to obchodzi.

Brudny miał na tę rozmowę swój plan. Znajdował się w jaskini lwa, ale to on trzymał wszystkie asy w rękawie. A przynajmniej tak to musiało wyglądać z perspektywy gospodarza. Aby wzmocnić ten przekaz, należało się z nim trochę

podrażnić, zmanipulować go, pokazać siłę, a najlepiej wyprowadzić przeciwnika z równowagi. Komisarz miał w tym wieloletnie doświadczenie, ale najwyraźniej jego rozmówca również. Bursztynowicz nie dał się sprowokować. Jedyne uniósł brew, a następnie wskazał Brudnemu okazały fotel. Obite czarną skórą meblarskie arcydzieło też pewnie musiało kosztować fortunę.

– Przejdziemy zatem do negocjacji? – zapytał Maciej, siadając po przeciwnej stronie kunsztownej czarnej ławy. Tu wszystko było do siebie idealnie dopasowane.

– Nie przyszedłem tu negocjować – odparł Brudny.

– A jednak pan tu przyjechał...

– Chcę poznać prawdę.

– Tutaj każdy ma swoją. Zresztą nie tylko tutaj. Prawda to pojęcie względne, komisarzu. Ale przejdźmy do konkretów.

– Jestem za.

Ta krótka wypowiedź sprawiła, że Bursztynowiczowi zaświeciły się oczy. Brudny od razu to odnotował. Facet pomyślał, że załatwi to szybko i skutecznie.

– Wiem, że nie ma pan podsłuchu, więc myślę, że możemy grać w otwarte karty – oznajmił Bursztynowicz, powstając w kierunku kredensu. Za zdobionym szkłem stało kilkanaście najdroższych alkoholi, ale poseł sięgnął po kryształową karafkę bez żadnej etykiety. Następnie zdjął z półki dwie szklanice z grubego szkła i bez pytania do obu nalał whisky na dwa palce. Wrócił do stołu i postawił jedną naprzeciwko Brudnego. – Pięćdziesięcioletnią single malt ze Strathspey podaje tylko na wyjątkowe okazje – oznajmił, po czym wskazał na owiniętą bandażem dłoń komisarza. – No i na pewno pomoże na pański uraz. Proszę mi wierzyć, nic nie uśmierza bólu tak dobrze jak pięciocyfrowa szkocka.

– Wolę irlandzką. – Brudny palcem odsunął szklanicę na środek stołu.

– Uparty pan, komisarzu. Nalegać jednak nie będę. Może zatem cygaro?

Bursztynowicz sięgnął po pudełko z wygrawerowanym napisem Arturo Fuente Opus X Ltd. Na oko samo opakowanie musiało kosztować fortunę, a co dopiero zawartość. Zaoferował Brudnemu jedno z cygar, ale komisarz i tym razem odmówił.

– Ponad dwa tysiące dolarów za sztukę – oznajmił z dumą Bursztynowicz, po czym specjalistyczną obcinarką pozbył się tytoniowego kapturka.

– Dobrze wiedzieć, na co idą moje podatki – zadrwił Brudny, ale tym razem Maciej nie zareagował. Przypalił cygaro, pyknął kilkakrotnie, a następnie rozsiadł się w fotelu.

– Ile chce pan za milczenie w sprawie mojego syna? – zapytał, wbijając wzrok w komisarza.

– Wolę prawdę.

– Ile? – powtórzył Bursztynowicz. Jego ton stwardniał. – Sto tysięcy? Milion? Dziesięć milionów? – Upił łyk whisky. – Mogę zapłacić panu tyle, że ustawi się pan do końca życia. Wyjedzie pan z tego dziadowskiego kraju na jakąś rajską wyspę i do końca życia będzie pił tę swoją irlandzką whisky, poklepując śniade kelnerki po tyłkach.

– Ostatnio byłem w Egipcie i średnio mi się podobało.

To była gra. W to, kto pierwszy pęknie. Facet zdecydowanie nie był amatorem, skoro tyle lat utrzymywał się na powierzchni, nawet po zmianie władzy, która mając pełne przekonanie o tym, że zarobił krocie, wpuszczając do Polski miliony ton zboża z walczącej Ukrainy, do tej pory nie postawiła mu żadnych zarzutów. Brudny zastanawiał się, czy w takich miejscach przyjmował, a następnie korumpował polityków z nowego rozdania. W tym towarzystwie rzeczywiście wszyscy byli do kupienia, a on bezsprzecznie posiadał dar przekonywania. Dlatego komisarz musiał rozegrać to inaczej. Wzbudzić w nim emocje, najlepiej negatywne i odpowiednio silne. Musiał wyprowadzić go z równowagi.

Na twarzy Bursztynowicza wykwitł grymas irytacji. Zapewne rzadko spotykał się z jakąkolwiek odmową. Brudny dostrzegł jednak, że poczuł się silniejszy. Tak jakby whisky i cygaro obudziły w nim pewność siebie, którą emanował na co dzień. O to mu chodziło.

– Ja pana szanuję, komisarzu – powiedział po dłuższej chwili. – I mówię to bez grama złośliwości. Jest pan świetnym policjantem, chociaż z tego, co wiem, obecnie nie na służbie. To chyba jednak nie ma w tej chwili żadnego znaczenia, prawda?

Brudny nie odpowiedział. Wpatrywał się w rozmówcę z pokerowym wyrazem twarzy. Poseł upił łyk szkockiej i założył nogę na nogę.

– Zawsze zastanawiało mnie, skąd biorą się tacy ludzie jak pan – kontynuował. – Nie zależy im na pieniądzech, na sławie, na życiu w luksusie. Po tym wszystkim, co pan w ostatnich latach nawywijał, to wnioskuję, że chyba nawet w ogóle na życiu. To rzadka cecha. W moim świecie niespotykana.

– Zawsze jest ten pierwszy raz – odparł Brudny.

– No tak... – Bursztynowicz westchnął ciężko i pyknął cygaro. – W moim świecie, komisarzu Brudny, trzeba być twardym i bezwzględny. Tu nie ma zmiłuj. Albo ty ograsz przeciwnika, albo przeciwnik ogra ciebie. Porażki zaś zawsze kończą się tak samo. Upadkiem na samo dno, a to i tak w najlepszym razie. A wie pan, co jest w tym najgorsze? – Poseł zamilkł na chwilę, ale nie doczekawszy się odpowiedzi, kontynuował: – Najgorsze jest to, że wtedy na dno idzie się z całą rodziną. Ma pan dzieci?

– Dobrze pan wie, że nie.

– Zatem nigdy pan nie zrozumie, co kryje się za tymi słowami. Można być skurwysynem dla innych, ale nigdy dla rodziny. Zwłaszcza własnych dzieci. – Bursztynowicz znów na chwilę zamilkł. Wyraźnie oczekiwał jakiegoś komentarza, ale Brudny nie zamierzał tego puentować. Wtedy, wyraźnie zdegustowany, zaczął mówić dalej: – Rodzinę się kocha i szanuje, komisarzy Brudny. Rodzinę się chroni. Za wszelką cenę. I ja jestem gotów ponieść tę cenę. Rozumie pan, komisarzy?

– Szczerze? – Brudny wyjął zza paska walthera i położył go na ławie. – Szczerze, to nic a nic nie rozumiem z tego pierdolenia. I teraz ja coś panu wytłumaczę, panie Bursztynowicz. Ja wyznaję odmienne zasady. Jak ktoś łamie prawo, a do tego zabija młode, niewinne dziewczyny, to należy go odseparować od społeczeństwa. Bez względu na to, czyj to syn i ile pieniędzy ma jego zdegenerowany tatuś.

Twarz Bursztynowicza oblała się rumieńcem. Widać było, że w środku wszystko się w nim gotuje. Na skroniach wypełzły niebieskie żyły, a na czole zaperliły się krople potu. Nie wytrzymał i na ułamek sekundy jego wzrok powędrował na leżącą na ławie broń. Znalazł się w potrzasku i zaczynał tracić argumenty. Brudny wybijał mu je z ręki jeden po drugim.

– Ale jestem skłonny wysłuchać prawdy – dodał, dalej grając swoją grę. – A wtedy postaram się, aby wyrok nie był dla syna aż tak nieznośny. Dzięki temu, co tam nawywijałem, jak pan to słusznie zauważył, mam pewne znajomości, dzięki którym jestem w stanie pomóc, aby po procesie pana syn trafił do miejsca, gdzie regularne czyszczenie komina mu nie grozi. Poza tym Wiktor jest młody. Głęboko wierzę, że sędzia to też weźmie pod uwagę. Oczywiście jeśli się dogadamy. Ma pan minutę na decyzję.

Poseł nie był w stanie zapanować nad wzburzeniem. Jego twarz zdążyła przybrać kolor purpury. Gdy już miał wyrzucić z siebie cały gniew, Brudny go uprzedził. Chwycił swój pistolet i wstał z fotela, a następnie wzdłuż długiego na kilka metrów stołu ruszył w kierunku centralnego punktu z majestatycznym obrazem seniora rodu. Jeden szczegół od początku tej konwersacji nie dawał mu spokoju.

– Mój syn nikogo nie zabił – syknął przez zęby Bursztynowicz. – Myli się pan. Nawet pan nie wie, jak bardzo się pan myli.

Brudny nic nie odpowiedział. Zerknął tylko przez ramię, czy poseł nie wykonuje żadnych podejrzanych ruchów. Był prawie pewny, że nie odważy się na żadną głupotę, ale w tej branży „prawie” czasem robiło dużą różnicę. Stał pod ścianą z obrazem Leopolda Bursztynowicza. Raz jeszcze przyjrzał się wąsatemu mężczyźnie w stroju myśliwego, a następnie przeniósł wzrok na wiszącą podeń dubeltówkę. Zmrużył oczy.

– Należała do pana ojca? – zapytał, wyciągając rękę po wysłużoną dwururkę.
– Co to za pytanie? – Maciej z trudem panował nad wzbierającym gniewem.
– A może do dziadka?
– Nie pańska sprawa. I w co pan gra, do jasnej cholery?
– Piękna broń. – Brudny ściągnął strzelbę z haków. Zważył ją w dłoniach i raz jeszcze zerknął na obraz, następnie na broń. Pokręcił głową z niedowierzaniem, a kąciki jego ust zauważalnie się uniosły. – Naprawdę piękna broń, tylko... – przeniósł wzrok na Bursztynowicza – tylko wyryte na kolbie inicjały chyba jakieś inne. Mam rację, panie Konowałow?

W jednej chwili powietrze w pomieszczeniu zgęstniało, jakby ktoś podgrzał je o dziesięć stopni. Brudny wypatrywał reakcji posła, którego rysy zaczęły przybierać coraz bardziej diaboliczne kształty. Jego oczy niemal zapłonęły żywym ogniem. Komisarz położył dubeltówkę na blacie stołu i pchnął ją w kierunku Bursztynowicza. Strzelba zatrzymała się niemal dokładnie przy dłoni Macieja.

– S.D.K. – mruknął Brudny. – Serhij Dmytrowicz Konowałow. Pański dziadek, jak mniemam – dodał i na wszelki wypadek z powrotem wyjął zza paska walthera.

Bursztynowicz zastygł w miejscu, a dym z cygara oplótł go niczym macki fantasmagorycznej ośmiornicy. Wpatrywał się w Brudnego, jakby nagle sobie ubzdurał, że jego spojrzenie może powalić rozmówcę trupem. Trup na podłogę jednak nie runął, a komisarz nie dość, że stał niewzruszony, to wyjął z kieszeni pamiętnik Konowałowa i rzucił go na blat. Oprawiony w skórę notes wylądował w połowie drogi pomiędzy nim a gospodarzem pałacu. Bursztynowicz zamknął powieki, nerwowo oblizał, a następnie przygryzł dolną wargę.

– Długo nie mogłem tego poskładać w sensowną całość – zaczął Brudny. Obandażowaną ręką odciągnął jedno z krzeseł i położywszy pistolet na stole, wygodnie się rozsiadł. – Ale przyznaję. Dobrze pan to sobie wykombinował. Pytanie tylko, ilu poza panem jeszcze w tym siedzi – dodał z przekąsem.

Bursztynowicz prychnął, następnie położył dłoń na drewnianej kolbie. Przemknął po niej palcami, po czym odwrócił się i sięgnął po szklanę z whisky. Upił łyk. Odetchnął.

– Pan ma bardzo bujną wyobraźnię, panie Brudny – powiedział w końcu.

– Kiedyś, jako dzieciak, rzeczywiście sporo sobie wyobrażałem. Ale... cóż... panie Bursztynowicz. Ale nie tym razem.

Posła sięgnął po cygaro, po czym sam rozsiadł się na jednym z krzeseł. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Nie ma pan żadnych dowodów, że ktokolwiek z mojej rodziny ma ze śmiercią tych kobiet coś wspólnego – stwierdził w końcu. – Ta strzelba to antyk, tak samo pamiętnik. Co najwyżej wzbudzą sensację i wykreuje pan kilka nowych teorii

spiskowych. Legenda znów zacznie żyć swoim życiem. I przyciągnie więcej turystów.

– Myli się pan, panie Bursztynowicz.

– Sędziego nie będą interesować pańskie domysły. Wryte w drewnie literki i bujdy starego pierdziela to żadne dowody. – W głosie gospodarza dało się wyczuć skrywaną nerwowość. – Moi adwokaci obśmieją je i sprowadzą do nic nieznaczących fantazji nadgorliwego gliny, któremu z nudów odbiło, przez co włączył się w coś, czego nawet nie próbował zrozumieć. Być może, gdy jakimś cudem uda się panu przebić do mediów z tym pamiętnikiem, moja reputacja zostanie nadszarpnięta, wszak historia moich przodków rzeczywiście nie jest chwalebna, ale na tej podstawie żaden sędzia nie oskarży mojego syna o morderstwo. Przecież pan o tym wie, prawda?

– Po co pan dalej brnie w te brednie?

– Bo to są brednie.

– No... – Brudny zrobił krótką pauzę. – W pewnym sensie ma pan rację. Przecież obaj wiemy, że pana syn ma z tym wszystkim niewiele wspólnego. I jeśli rzeczywiście chce pan, aby Wiktor nie został zmuszony odpowiadać za nie swoje czyny, to myślę, że powinien pan zacząć w końcu mówić prawdę.

Bursztynowicz parsknął niedorzecznym śmiechem. Wypił do dna i odstawił pustą szklanicę na komodę. Oparł dłonie o stół i przez chwilę wpatrywał się w blat. Odetchnął, przeniósł wzrok na widok za oknem, następnie wyjął z kieszeni stary klucz i otworzył nim jedną z szuflad. Przez dłuższą chwilę namiętnie w niej grzebał, w końcu w jego palcach błysnęły łuski dwóch nabojuów kalibru dwanaście. Zabrawszy je, usiadł przy stole, postawił na blacie i raz jeszcze przesunął dłońmi po starej dubeltówce ojca.

– Gównu pan wie o życiu, komisarzu Brudny – powiedział po dłuższej chwili.

– Gównu pan wie, ale... cóż... muszę przyznać, że jest pan naprawdę świetnym detektywem. Tylko jak my teraz rozwiążemy tę jakże niefortunną sytuację, skoro jest pan taki... nieludzko uczciwy?

Ostatnie słowa Bursztynowicz wysyczał przez zęby niczym wąż, po czym podniósł wzrok i wbił go w rozmówcę. Igora mimowolnie przeszył lekki dreszcz. W oczach Macieja tliło się teraz coś demonicznego. Mógłby przysiąc, że gdy poseł mrugnął, na ułamek sekundy jego źrenice przyjęły kształt gadzich.

Reakcja Brudnego, a raczej jej brak, też była swoistą odpowiedzią. Na wszelki wypadek komisarz położył dłoń na uchwycie walthera. Chwilę później Maciej Bursztynowicz zaczął mówić.

Rozdział 47

Pół godziny ciągnęło się jak flaki z olejem. Julka zdążyła zjeść całą paczkę paluszków, wypalić cztery papierosy i przynajmniej sto razy wyobrazić sobie własne zwolnienie ze służby. Oczywiście z wpisaną naganą i cofnięciem emerytury. Dlaczego się na to zgodziła? Kolejne zaćmienie umysłu? Pomroczość jasna? Przecież, jakkolwiek ta sprawa się zakończy, nie wytłumaczy się ze swojej decyzji i na pewno poniesie surowe konsekwencje. Brudnemu łatwo było mówić. Nie był na służbie i mógł działać poza procedurami. Ona jednak, choć wydawało się, że partner w ogóle tego nie zauważa, wciąż była policjantką. Czasem sama nie rozumiała swojego postępowania. Tak łatwo mu ulegała. A może podświadomie wierzyła w tę jego nieomyślność? Tylko ile razy musiała ratować mu dupę!

Kurwa mać, zakłęła w myślach. Odblokowała smartfon i po raz enty jej palec zawisł nad zieloną słuchawką przy numerze inspektora Hyżego. Ponownie jednak stchórzyła i odłożyła telefon. Znów szpetnie zakłęła. Co powinna zrobić? Do tej pory nic nie wskazywało, że dzieje się coś złego. Brudny robił swoje. Tylko co, jeśli...?

Z zalewu ponurych myśli wybił ją szczęk otwieranej bramy. Znajdowała się dobrych pięćdziesiąt metrów dalej, mimo to odgłos był wyraźnie słyszalny. Przy wjeździe stał masywny SUV, którego kształty sugerowały, że to jedna z luksusowych limuzyn Audi.

Julka odłożyła paczkę z reszką paluszków. Znów zakłęła pod nosem. Mogła się tego spodziewać, ba, czuła, że to wszystko właśnie tak się skończy. Było już jednak za późno i należało improwizować. Nie spuszczać wzroku z pojazdu, odczekała do momentu, gdy ten zatrzymał się obok patrola. W środku dostrzegła dwie kobiety. Jedną z nich kojarzyła, co do drugiej – podejrzewała, kim może być. Na twarzach obu z nich malowały się silne emocje. Ta od strony pasażera, w której rozpoznała wygooglowaną wcześniej Łucję Bursztynowicz, otworzyła

drzwi i niemal wypadła z pojazdu. Klnąc i potykając się na wysokich szpilkach, dziarsko ruszyła w jej kierunku.

– Kim pani jest? I co pani tu robi? – ryknęła, gdy znalazła się przy drzwiach kierowcy, a gdy nie dostrzegła reakcji z jej strony, złapała za klamkę w drzwiach patrola. Julka zdążyła zamknąć zamki. – Proszę natychmiast stąd odjechać. To teren prywatny! – naciskała kobieta, szarpiąc za uchwyt, jakby to miało sprawić, że drzwi jednak się otworzą. Jej fryzura była w nieładzie, a purpurowy żakiet i tona podkładu, jaki nałożyła sobie na twarz, w aktualnej sytuacji zamiast zadawać szyku, upodabniały ją do rozjuszonej psychopatki.

Julka uchyliła okno.

– Proszę się uspokoić – oznajmiła, czym sprowokowała kobietę jeszcze bardziej. Jej palce zaostrzone purpurowymi szponami wcisnęły się w szparę pomiędzy szybą a karoserią.

– Otwieraj te drzwi! – warknęła.

– Otworzę, jak pani się uspokoi. Nerwy w niczym tu nie pomogą, a dodam od siebie, że złość bardzo na urodę szkodzi.

– Otwieraj, kurwo!

Tego było jednak trochę za wiele. Julka wyjęła legitymację i przycisnęła ją do szyby.

– Jestem na służbie, proszę pani – powiedziała, próbując przekrzyczeć rozjuszoną kobietę. – Poza tym nie uważam, aby pani zachowanie pomogło w rozwiązaniu problemu. Myślę, że może jedynie pogorszyć i tak trudną dla państwa sytuację.

– Nie ma pani prawa! To mój dom!

– Do którego mojego partnera zaprosił na rozmowę pani mąż. Teraz zapewne omawiają, jak wybrnąć z tych komplikacji, więc jeśli pani się nie uspokoi, to ustalenia mogą wziąć w łeb, a wtedy... – Julka wymownie uniosła brwi. – Wtedy to już sama pani wie...

Kobieta przestała się szarpać, złapała się za głowę i zrobiła kilka kroków w tył. W tej wytwornej garsonce wyglądała teraz jak dzikuska z cyrku. W jej głowie bez wątpienia szalała burza, ale wszystko wskazywało, że nie jest uzbrojona, zatem niegroźna. Przez chwilę chodziła od prawej do lewej, mrużąc coś pod nosem, wyglądała, jakby popadła w obłęd. Po chwili dołączyła do niej druga kobieta. Próbowała ją uspokoić, nawiązać jakiś kontakt, ale Łucja wydawała się nie do końca kontrolować to, co się wokół niej dzieje. W pewnym momencie odepchnęła ją i wydarła się do nieba niczym człowiek, który właśnie zdał sobie sprawę, że już nic od niego nie zależy. Że stracił wszystko, że nie ma już żadnej nadziei.

Julka obserwowała ją z coraz większym niepokojem. Kobieta zachowywała się jak niespełna rozumu. Pamiętała podobny przypadek. Tamta prawniczka również potrafiła ukrywać swoje prawdziwe ja. Na co dzień opanowana, zrównoważona, zimnokrwista, nosiła gustowne garsonki i perfekcyjny makijaż. Gdy jednak cały jej misterny plan posypał się jak domek z kart, władzę nad nią natychmiast przejęła druga osobowość. Dzika, prymitywna, nieokrzesa, postępująca wbrew jakiegokolwiek logice. Julka nie mogła oprzeć się wrażeniu *déjà vu*. Łucja Bursztynowicz z pewnością nie była do końca zdrowa psychicznie.

Jej podejrzenia potwierdziły się, gdy kobieta, bez uprzedzenia, zdjęła jedną ze szpilek i uderzyła nią koleżankę w skroń. Zaatakowana runęła na żwir, a w miejscu, gdzie padł cios, pojawiła się krew. Wtedy żona posła rozłożyła ręce i w geście bezsilności znów wydarła się jak odarta z godności dzikuska. Julka pomyślała, że musi zareagować, dlatego otworzyła drzwi i powoli wysiadła z samochodu. Wyjęła z kabury swojego glocka, ale nie wycelowała go w Łucję, która nagle rzuciła w nią trzymanym w dłoni butem. Zaskoczyła ją, ale Julka zdążyła się uchylić, a szpilka wylądowała na nadkolu patrola. Chwilę później druga uderzyła w szybę.

Wtedy, zupełnie zniecka, okolicą wstrząsnął potężny grzmot. Julka aż podskoczyła, a wszystkie ptaki obsiadające dach pałacu poderwały się do lotu. Po sekundzie z wnętrza pałacu do jej uszu dobiegł brzęk tłuczonego szkła. Poczowała, jak po kręgosłupie spłynął jej lodowaty dreszcz. Zanim się obejrzała, Łucja Bursztynowicz już zniknęła w drzwiach swojej rezydencji.

Rozdział 48

Brudny opuścił pistolet i zamknął oczy. To nie tak miało się skończyć. Odetchnął ciężko, zły na siebie, że nie zareagował bardziej stanowczo. Niepotrzebnie pozwolił mu załadować nabój do komory. Wcisnął broń za pasek i podszedł do leżącego na dywanie trupa Macieja Bursztynowicza. Jego krwawe truchło spoczywało dziwnie wykręczone obok przewróconego krzesła, jedna dłoń lekko podrygiwała w śmiertelnych spazmach, obok zaś leżała wciąż dymiąca z jednej lufy dwururka. Z głowy powyżej żuchwy nie zostało nic poza krwawą miazgą, która udekorowała ścianę, sufit i kryształowy żyrandol.

– Niech to szlag – zaklął pod nosem komisarz.

Przez chwilę wpatrywał się w to, co jeszcze kilka sekund temu było wybrańcem ludu, miało twarz, oddychało i mówiło. Nic z tych rzeczy już nigdy więcej się nie wydarzy. Były minister rolnictwa, Maciej Bursztynowicz, ostatecznie odszedł do historii, prawdę o ponurym smolarzu zabierając do grobu.

Z zamyślenia wyrwał go trzask drzwi. Spodziewał się, że Julka wpadnie do pokoju jak huragan, ale zamiast partnerki ujrzał bosą i rozczochraną kobietę w garsonce. Gdyby zamiast niej miała na sobie koszulę nocną, można by ją pomylić z popularnymi niegdyś postaciami z japońskich horrorów o kobietach ze studni.

Łucja przystanąła nad ciałem męża, wtedy nogi się pod nią ugięły. Przyklęła i wyciągnęła drżące dłonie w stronę ciała Macieja, a następnie przytuliła się policzkiem do krwawej miazgi. Z początku Brudny nie chciał reagować, ale jej zachowanie wstrząsnęło nim na tyle, że zrobił krok do przodu, aby ją powstrzymać. Było już jednak za późno. Łucja ryknęła jak dziki zwierz i niczym wściekła tygrysica błyskawicznie się na niego rzuciła. Brudny zdołał tylko dostrzec umazaną we krwi twarz i zaostrome szpony, które chwilę później wbiły się w skórę na jego karku.

Zaskoczyła go i nie utrzymał równowagi. Runęli we dwoje na posadzkę, a Łucja dosiadła go niczym dżokej, za wszelką cenę próbując wkuć się pazurami

i zębami w jego oczy i szyję. Brudny próbował się bronić, ale kobieta, pomimo szczupłej postury, wydawała się niezwykle silna. Zakleszczyła uda na jego biodrach, utrudniając mu poruszanie. Drapała i gryzła, jakby opętał ją sam diabeł, pluła śliną i krwią, jęcząc i warcząc jak wściekła hiena. Komisarz w końcu zdołał opanować sytuację, złapał oba nadgarstki napastniczki, a następnie odepchnął ją na bezpieczną odległość. Przez ułamek sekundy mógł się jej przyjrzeć. Była w amoku. Cała we krwi męża. Włosy skołtunione i posklejane, makijaż rozmazany, a do tego nieustannie próbowała się wyrwać, aby dorwać się zębami do jego szyi. Gdy w pewnym momencie wbiła dwa szpony w jego dłoń, zrzucił ją z siebie. Łucja nic sobie z tego nie zrobiła, mało tego, chwyciła fragment strąconego z żyrandolu kryształu i zamasztywym ruchem ostry koniec wbiła mu w udo. Brudny jęknął z bólu, ale rana nie była głęboka. Nie spanikował, kopnął ją drugą nogą i rakiem wycofał się kilka metrów, w końcu wstał. Sięgnął po walthera i wycelował w Łucję.

– Nie chcę go użyć, ale...

Kobieta zareagowała błyskawicznie. Rzuciła się na niego jak wściekła. Nie strzelił. Nie mógł. To byłoby nadużycie. Nie miała żadnej broni, jedynie swoje odpicowane w studiu manicure szpony. On był mężczyzną, wyszkolonym do użycia siły wobec napastnika, obezwładnienia go, sprowadzenia do ziemi. Uchylił się, złapał ją za przedramię i przepuścił, aby chwilę później znaleźć się za jej plecami. Obezwładnił ją, wtedy kątem oka dostrzegł, że do pomieszczenia wbiegł ktoś jeszcze. Odetchnął, widząc, że to Julka.

– Ona jest kompletnie pojebana – rzucił, gdy partnerka zwolniła kroku.

– Mnie to mówisz? – Zawadzka trzymała w dłoni paczkę trytytek, ale nagle gwałtownie się zatrzymała. – O kurwa! – zaklęła, gdy jej wzrok spoczął na truchle Bursztynowicza. – To chyba nie twoja ro... – Zamilkła, widząc wciąż dymiącą lufę. Obrażenia, jakich doznała ofiara, ułożenie na podłodze ciała i strzelby już na pierwszy rzut oka nie pozostawiały wątpliwości, że facet się zastrzelił. – Co tu się stało, Igor?

– Możemy pogadać o tym później?

Kobieta nie zamierzała się poddać i po kilku nieudanych próbach w końcu uderzyła Brudnego potylicą prosto w nos, a gdy poluzował uścisk, wgrzyzła się w jego przedramię. Zacisnęła szczęki najmocniej, jak potrafiła. Komisarz puścił ją i instynktownie odskoczył. Nie spodziewał się tak silnego oporu z jej strony, ale teraz to już nie miało żadnego znaczenia. Ich przewaga była niepodważalna.

– Niech się pani uspokoi, bo...

– Pierdol się! – syknęła przez skrwawione zęby. – Pierdolicie się oboje! – dodała, przenosząc wzrok na Julkę, która wycelowała w nią swojego glocka.

– Pani naprawdę się opanuje – ostrzegła Julka. – To koniec, pani Łucjo. Teraz tylko od pani zależy, jak to się zakończy.

– Gównu się zakończy! – warknęła kobieta, po czym odwróciła się i pobiegła na koniec pokoju, szarpnęła za klamkę i wybiegła przez drugie drzwi.

Julka z Igorem spojrzeli po sobie zupełnie zdezorientowani. Kobieta zachowywała się jak wariatka, ale nie stanowiła już poważnego zagrożenia. Zgodnie uznali, że mogą chwilę odetchnąć.

– Nic ci nie jest? – Zawadzka omiotła wzrokiem partnera.

– To nie moja krew – odparł, wycierając dłonią czoło.

– A ręka?

– Tylko mnie ugryzła. Przeżyję.

– Co tu się stało?

– Sama widzisz. Będzie z tego straszny gnój, ale przynajmniej... – Igor zrobił pauzę. – Zresztą może najpierw złapmy tę wariatkę?

– Mówisz i masz.

Oboje ruszyli śladami Łucji, Brudny lekko kulejąc, bo choć rana na udzie nie była poważna, to jednak przypominała o sobie przy każdym kroku. Mieli łatwe zadanie, bo uciekiniarka pozostawiła mnóstwo krwawych śladów, a jej bose stopy dodatkowo znaczyły wyraźne odciski na drewnie bądź posadzce.

– Może jednak zadzwonić po Hyżego? – zagaiła, taksując otoczenie.

– Dzwon.

Julka wybrała numer i w kilku żołnierskich słowach poinformowała o zaistniałej sytuacji, ale gdy trop sprowadził ich do piwnicy, połączenie zaczęło się rwać, a w końcu zupełnie straciła sygnał. Nie przejęła się tym zbyt. I tak miała już przejebane.

– Czyli to oni? – podpytała półszepem. Ciekawość zżerała ją od środka.

– Bursztynowicz to syn Konowałowa.

– Jak to?

– Leopold Bursztynowicz to tak naprawdę Dima Konowałow. Syn Serhija Dmytrowicza Konowałowa zastrzelonego przez Niemców. Pamiętasz, gdy w pamiętniku wspominał, że zmienił nazwisko?

– Coś było...

– Najpierw Konowałowów Niemcy przechrzcili na Wanzreichów, a potem bracia się rozdzielili. Dima, czyli autor pamiętnika, poszedł do ubecji, a jego brat wrócił na wypał. To mocno skomplikowana historia. W każdym razie po otrzymaniu roboty w UB Dima raz jeszcze zmienił personalia. Nie chciał być kojarzony z bratem i tym, co wydarzyło się w bunkrze. I tak stał się Leopoldem Bursztynowiczem. Później to już... dobra, Julka. Nie teraz.

Partnerka przytaknęła, bo nagle znów zrobiło się dość upiornie. Znajdowali się już trzy piętra pod ziemią, a schody wciąż opadały w dół. Na ścianach wykutych w skale co kilka metrów wisały na kablu żarówki dające trochę żółtawego światła. Zrobiło się znacznie chłodniej, a w powietrzu unosiła się nieprzyjemna woń stęchlizny i czegoś niekoniecznie łatwego do sklasyfikowania, ale co Igor doskonale kojarzył. Smród niewietrzonych katakumb. Odór strachu i śmierci. Znajdowali się w lochach.

– Dlaczego wszystkie szumowiny wiją sobie gniazdo w takich miejscach? – zapytała półszepem Zawadzka, wcale nie oczekując od partnera odpowiedzi. Pierwszy napotkany szczur tylko wzmocnił jej dyskomfort.

– Przynajmniej tym razem mamy światło – odparł Brudny, ale niemal dokładnie w tym momencie żarówki zgasły i otulił ich nieprzenikniony mrok.

– Możesz już nic nie mówić? – szepnęła Julka, włączając wygrzebaną z kieszeni latarkę. Poświeciła mu w twarz. Igor wykonał gest, jakby zapinał na ustach zamek błyskawiczny. Chwilę później ciemność rozproszyła druga wiązka światła.

Kroczyli ostrożnie, bo na schodach, podobnie jak na ścianach, perliły się kropelki wody. Trudno było poruszać się dyskretnie, bo akustyka tego miejsca zdawała się wzmocniać wszystkie generowane dźwięki. Brudny miał wrażenie, że echo niesie się przy każdym kroku, a nawet oddechu. Temperatura spadła o kolejne dwa stopnie, a w zagłębieniach i na półkach wykutych w ścianach kłębiło się coraz więcej szczurów. Ich popiskiwanie przywodziło na myśl najgorsze wspomnienia, a do tego tuż nad głowami zaczęły fruwać nietoperze. Jeden omal nie zahaczył o jej blond kucyk.

– Jasna cholera! – rzuciła półszepem i odruchowo pomacała okolice potylicy. Światło trzymanej przez nią latarki zatańczyło po wilgotnych skałach.

– Spokojnie, dziewczyno – mruknął Brudny. – To tylko...

– Wiesz, że nie znoszę takich miejsc – przerwała mu. – Najpierw ten ciasny bunkier, a teraz to. No kurwa, Igor! Ile jeszcze?

– To tylko nietoperze. Takie małe myszki ze skrzydełkami.

– Dobre sobie – prychnęła. – Małe myszki ze skrzydełkami. Sam to wymyśliłeś?

– Wyluzuj. Zaraz ją zgarniemy i stąd wyjdziemy.

– Jak nas szczury nie zeżrą.

– Nic nas nie zeżre.

Brudny zawiesił głos, bo schody się skończyły, a ich oczom ukazała się wmontowana w skałę brama. Przypominała te ze średniowiecznych lochów inkwizycji. Wilgotne kraty pokrywała rdza, a w niektórych miejscach jakiś rodzaj oślizgłego grzyba, który paskudnie cuchnął. Poświecili w głąb wykutego w skale

tunelu, który ciągnął się dobre kilkanaście metrów. Na wyłożonym kocimi łbami podłożu można było dostrzec ślady bosych stóp. Wrota były uchylone.

– Nie wiem, czy chcę oglądać to, co znajduje się po drugiej stronie... – szepnęła Julka.

– Możesz poczekać – odparł Brudny i pchnął jedno ze skrzydeł. Wytarł dłoń w spodnie.

– Chyba ty – bąknęła i pierwsza przekroczyła próg.

Ruszyli, ostrożnie stawiając kolejne kroki. Tunel był wystarczająco szeroki, aby mogły zmieścić się w nim dwie osoby, a do tego strop znajdował się na tyle wysoko, żeby nie musieli się schylać. Po obu stronach wisały kable z żarówkami, ale nigdzie nie mogli dostrzec włącznika. Pod nogami wciąż spacerowały szczury, które zupełnie nie reagowały na ich obecność. Brudny zobaczył, że trzymany przez Julkę pistolet lekko drży. Sama chyba też to odnotowała, bo nieco mocniej zacisnęła palce na rękojeści i usztywniła ręce w łokciach. Gdy jedna z zimnych kropel spadła jej za kołnierz, wzdrygnęła się i zakłęta pod nosem. Igor uciszył ją, przykładając palec do ust, a następnie wskazał na odległy punkt, który oświetlał strumień światła jego latarki. To była jakaś postać. Wycelowali, podeszli bliżej.

Dochodząc do skraju tunelu, nie byli w stanie ocenić, kto kryje się na końcu przestronnego pomieszczenia, zwłaszcza że postać nie reagowała. Mało tego, zuchwale się w nich wpatrywała. Dopiero po chwili zrozumieli, z kim mają do czynienia. A raczej z czym.

Na wprost nich dumnie prężyła się żelazna dziewczyna.

Rozdział 49

Brudny omiół strumieniem światła ściany wykutej w skale jamy. Pieczara była obszerna i bez wątpienia uformowana przez siły natury, a dopiero potem dostosowana przez budowniczych do obecnego wyglądu. W kilku miejscach po obu stronach grotty stały jakieś nowoczesne urządzenia, w tym wysokoprężne lampy i potężne głośniki, od których odchodziły grube kable. Ale to nie one nadawały charakteru diabolicznej całości. Na swój sposób wręcz gryzły się z tym, czym naszpikowana była cała reszta lochów. Kajdany, łańcuchy, liny, dyby, krzyże, kozły, nabijane kolcami krzesła, drabiny, krosna, drewniane koła, wiadra, kotły, zwisające z sufitu haki i klatki, w których znajdowały się ludzkie szkielety. W pełzającym świetle latarki wszystkie te potworności przybierały jeszcze bardziej przerażające kształty. Rzucaly upiorne cienie. Napędzaly wyobraźnię. Do tego zawieszony na ścianach niezliczone piły, siekiery, noże, maczety, tasaki, szczypce, nożyce, młoty, kolce, widły, a nawet oryginalnie wyglądające miecze, halabardy czy kusze. Przeznaczenie całej tej maszynierii było aż nadto oczywiste.

Igor przełknął ślinę. Pomyślał, że takiego arsenału nie powstydziliby się najbardziej zwyrodniali hiszpańscy inkwizytorzy.

– Ona gdzieś tu jest – szepnął, próbując nie skupiać się na upiornym wystroju. Przemknął strumieniem światła po kamiennej posadzce. Ślady bosych stóp prowadziły w głąb sali.

– To już koniec! – krzyknęła zniecka Julka, w jej tonie wybrzmiewał gniew. – Wyłaż i się poddaj, to może cię nie zabijemy!

Zaskoczyła tym Igora, ale uznał, że rzeczywiście nie ma powodu, aby dalej się ukrywać. To i tak nie miało w tej chwili żadnego sensu. Bez wątpienia Łucja Bursztynowicz znała to miejsce jak własną kieszeń, a oni używali latarek, więc i tak byli doskonale widoczni. Zerknął na partnerkę. Na jej twarzy zaszła ewidentna zmiana. Rysy wyostrzyły się, stwardniały, a niepokój i strach zastąpiły zdecydowanie i determinacja. Całą sobą zdawała się krzyczeć, że tym razem nie będzie szukać półśrodków. Julka chciała ją zabić.

Brudny pomyślał, że gdzieś musi znajdować się jakiś włącznik światła albo inne źródło zasilania. Przemknął strumieniem światła po ścianach przy tunelu i rzeczywiście – w niewielkim skalnym zagłębieniu znajdowała się skrzynka z wajchą. Szeptem zdradził Julce swoje zamiary i wycofał się kilka metrów, a następnie uniósł dźwignię. Dało się słyszeć pomruk generatora i chwilę później światła rozbłysły.

Wtedy zza konstrukcji przypominającej tę do łamania kołem poniósł się brzęk łańcucha, a chwilę później jeszcze jeden metaliczny dźwięk kojarzący się z odgłosem kopniętej puszki. Oboje od razu skierowali lufy swoich pistoletów w to miejsce. Jeden z wielu łańcuchów zakończonych hakiem lekko się zakołysał.

– Niech pani wyjdzie z rękami w górze – polecił Brudny. Starał się nie ulegać emocjom i zachować spokojny, acz stanowczy ton. – Stąd już nie ma ucieczki. W drodze jest grupa kontrterrorystów. Jeśli pani...

– Myślicie, że jesteście tacy genialni? – poniosło się z głębi pieczary. Kobięcy głos brzmiał wyjątkowo jadowicie, a rezonujące echo utrudniało namierzenie należącej doń właścicielki. – Możecie już odetchnąć. Wiem, że to koniec. Nie jestem głupia. Mówiłam mężowi, żeby zdusił sprawę w zarodku, ale mnie nie posłuchał.

– Proszę się pokazać.

– A jak nie?

– To dostaniesz kulkę w łeb, jebana psychopatko! – uprzedziła Brudnego Julka.

– Piękna śmierć – zarechotała kobieta, gdy echo ucichło. – Taka... bezbolesna.

– Ilu ludzi tu zginęło? – zagaił Brudny, dając gestem znać Julce, aby nieco spuściła z tonu. Pomyślał, że spróbuje grać na czas, a przy okazji wyciągnie z Łucji jeszcze więcej prawdy. Maciej nie był skory do głębokich zwierzeń i stosunkowo szybko podjął męską decyzję.

– Po pierwszej setce przestałam liczyć. – Kobieta znów zarechotała. – Ale z iloma przed nami zabawił się Leopold, to już Bóg raczy wiedzieć. Myślę, że było ich więcej. Dużo więcej.

– Leopold to wszystko zorganizował?

– Leopold był specyficznym człowiekiem. Surowy i bezwzględny, choć na starość chyba zaczął mięknąć i niewiele zabrakło, aby nasza mała tajemnica wyszła na jaw już wcześniej. Maciej to zrozumiał i pomogliśmy matce naturze. Stary zgred już tylko zatruwał powietrze.

Łucja najwyraźniej potrzebowała się wygadać. Niestety, akustyka tego miejsca nie pozwalała na jej zlokalizowanie. Brudny wątpił, aby szukała jeszcze jakiegokolwiek wyjścia z sytuacji. Znała realia i rozumiała, że to koniec. Jej mąż leżał w swoim gabinecie z głową w strzęgach, ona sama znajdowała się w pułapce, a nawet jeśli udałoby się jej zbiec jakimś nieznanym mu tunelem, to

oblawa załatwiłaby sprawę. W takich sytuacjach nawet najbardziej zatwardziali kryminaliści czy zwyrodniali seryjni mordercy zwykle czuli wewnętrzną potrzebę podzielenia się swoją historią. Wielu z nich wręcz z dumą opowiadało śledczym o swoich dokonaniach. Jedni dlatego, że chcieli się pochwalić, innym marzyło się trafienie na karty historii, a jeszcze inni widzieli siebie na wielkim ekranie. Byli też tacy, co szukali usprawiedliwienia, a nawet kary. Łączyło ich jedno – gdy zrozumieli, że ich krwawa przygoda dobiegła końca, rzadko unikali odpowiedzialności i zaczęli mówić.

– Dlaczego to robił? – zapytał Brudny, taksując okolice, z której mógł dobiegać głos Łucji. – Przecież Leopold sam przeżył piekło. Czytałem jego pamiętnik. Wiem, że...

– A to nie wystarczy, żeby stworzyć potwora? – zapytała kobieta z wyraźną drwiną.

– Nie on jeden cierpiał...

– Pewnie nie, ale mój teść po prostu nienawidził ludzi. Zwłaszcza Ukraińców i Ruskich. Dla tych drugich pracował, ale tylko dlatego, że mógł bezkarnie pastwić się nad innymi. Myślę, że wszystkich identyfikował z tamtymi dzikusami, a potem, gdy rozsmakował się w tych krwawych przygodach, zaczął polować na wszystkich. Tak dla sportu. Proszę mi wierzyć, że gdy raz zasmakuje się takiej adrenaliny, to już nie można przestać, ot tak. Coś o tym wiem.

Brzęk łańcuchów tym razem poniósł się z innej części grotu. Kilka z nich się zakołysało. Łucja musiała poruszać się jak kot, a do tego jako osłony używała poustawianych pod ścianami konstrukcji, z których część była przykryta płachtami. Igrała z nimi i Brudny zastanawiał się, czy powinien dalej toczyć tę rozmowę. Z jednej strony pragnął poznać całą prawdę, z drugiej zaczynał się niepokoić, że kobieta coś kombinuje. Nawet jeśli nie mógł dopatrzeć się broni palnej, to jednak miała tu całkiem spory arsenał i tak naprawdę nic do stracenia. Ta kombinacja dla każdego stróża prawa brzmiała jak najgorszy koszmar.

– Od kiedy bierze pani w tym czynny udział? – postanowił zaryzykować.

– Od kiedy przypadkiem w moje ręce wpadły kasety z filmami – odparła, wzdychając. – Wie pan, komisarzu. To była złota era VHS, Leopold zaś wszystko nagrywał. My byliśmy wtedy z mężem jeszcze dzieciakami. To znaczy jeszcze nie byliśmy małżeństwem, chyba nawet nie narzeczeństwem. Ale zawsze lubiliśmy na ostro. Chyba takie geny.

– Po prostu jesteście kompletnymi pojebami! – nie wytrzymała Julka, ale Łucja w ogóle nie wzięła tej obelgi do siebie. Zaczęła mówić dalej, zanim echo słów Zawadzkiej ostatecznie wsiąkło w skały.

– Z początku myśleliśmy, że to jakieś dziwaczne horrory. W tamtych czasach jakość pozostawiała wiele do życzenia, a Leopold często się przebierał i zakładał

maski. Lubił odgrywać scenki, gdy oprawiał swoje ofiary. Raz udawał, że jest dzikim zwierzęciem, innym razem inkwizytorem albo jakimś tam wikingiem. W końcu jednak go rozpoznaliśmy. Na początku był szok, a potem cóż... tego nie dało się przed nim ukryć. Chyba nawet się nie wzbranialiśmy, jak zabrał nas na dół. Maciej od początku był chowany na podobieństwo ojca. Leopold był dla niego bardzo surowy. Do tego często z ojcem polowali, więc wypatroszenie jakiegoś turysty nie było dla niego wielkim novum. Ja też nie spanikowałam. Moją pierwszą ofiarą był jakiś bezdomny, który podobno obnażał się przed dziećmi. Tak mi przynajmniej powiedział Leopold. Wbiłam mu nóż w serce.

Trudno było tego słuchać, a tym bardziej próbować sobie wyobrazić, że w tej kaźni mogło zginąć nawet kilkaset osób, a te walające się w zasięgu wzroku szkielety to dowód, że ta kobieta nie zmyśla. Ludzka wyobraźnia w zadawaniu bliźniemu cierpienia nie zna granic i Brudny doskonale o tym wiedział. Sam po części był ofiarą takich zdegenerowanych jednostek, które dla zaspokojenia swoich chorych żądz potrafiły zniszczyć życie setek niewinnych dzieci. O ile jednak w sierocińcu z zasady nikt nikogo nie zabijał, a tortury ograniczały się do bicia, upokarzania i gwałcenia, o tyle tutaj sadystyczne praktyki zawsze kończyły się tak samo – śmiercią w niewyobrażalnym cierpieniu.

Co się stało z umysłem młodej dziewczyny, że się w to wszystko zaangażowała? Była chora psychicznie? Potwornie skrzywdzona w młodości? Nie znał przeszłości Łucji, nie wiedział, co ją ukształtowało, ale nawet jeśli była córką sadystycznego ubeka, który latami ją lał i gwałcił, to w najmniejszym stopniu jej to nie tłumaczyło. Takich rzeczy po prostu wytłumaczyć się nie dało i choćby Igor spędził kolejne pół roku w odosobnieniu na próbach zrozumienia ludzkiej natury, wiedział, że nigdy tego nie pojmie.

– A wie pan, komisarzu Brudny, co jest w tym najzabawniejsze? – ciągnęła Łucja. – Że dokładnie w ten sam sposób o naszej małej tajemnicy dowiedział się mój syn.

– I też go w to wciągnęliście...

– No właśnie nie. – W głosie Łucji dało się wyczuć wyraźny zawód. – Wiktor zawsze był mięczakiem. To chyba moja wina, że tak go wychowałam. Zawsze najbardziej interesowało go, żeby wyrzeźbić brzuch i dobrze nażelować włosy. Nigdy nie musiał o nic zawalczyć, nigdy nie musiał się o nic martwić, nigdy nie miał konkretnego celu w życiu. Miał za to wszystko, o czym inni mogą jedynie pomarzyć. I to go zgubiło. Zmiękczyło go. Zrobiło z niego ofiarę dzisiejszych czasów. A gdy pod naszą nieobecność sprowadził do domu te dwie lafiryndy, wpadł dokładnie na taki sam pomysł jak przed laty ja z mężem: dorwał się do naszej kolekcji filmów. Nie wiem, skąd ten pomysł, bo przecież dziś wszystko jest w sieci. Może dlatego, że mamy małą salę kinową i chciał tym dziewczynom

zaimponować? Sam nie potrafił tego do końca wytłumaczyć, w każdym razie zapalili po joincie i rozgrzebali nasze kasety, a następnie Wiktor przez przypadek pokazał na wielkim ekranie nasze harce. Możecie się domyślić, co było potem...

– Zabiliście je.

– Mało brakowało, a by uciekły. Wiktor zgłupiał, spanikował, nie wiedział, co robić. Na szczęście ostatecznie zadzwonił i wszystko nam opowiedział. Dopadliśmy je na skraju wsi. Miały ze sobą tylko jeden telefon i akurat w sieci, która nie łapie tu zasięgu. Przyznały się potem, że natknęły się po drodze na jakąś kobietę, ale chyba uznała je za pijane albo naćpane, bo odjechała. Nie były w stanie podać marki samochodu, zresztą koloru też nie. Uznaliśmy więc z mężem, że damy tej osobie przykład, co może ją spotkać, jeśli spróbuje pójść z tym na policję, cokolwiek tam od nich usłyszała. A przy okazji raz na zawsze pozbędziemy się tego przegrywa Samuela.

– Wanzreicha?

– Syn Tarasa, brata Leopolda, bruździł tu od dłuższego czasu. Mogliśmy pozbyć się go wcześniej, ale Maciej, który zawsze był przezorny i zapobiegliwy, uznał, że ten obdartus może się kiedyś przydać, choćby w tego typu sytuacji. Wydawał się solidną tarczą na złe czasy. Ale... – Łucja na chwilę się zatrzymała – ale jednak nie przewidzieliśmy, że w opuszczonej chałupie starej wiedzmy zamieszka wścibski gliniarz, który na dodatek ugości te dwie gówniary w dzień, kiedy mój głupi syn robi to, co zrobił.

– Jak pech, to pech – zadrwił Brudny.

Wiedział już wszystko, czego potrzebował. Poza tym zaczął czuć coraz większy niepokój. Łucja mówiła nadzwyczaj spokojnie, zbyt spokojnie, tak jakby próbowała uspić ich czujność. Jej opanowanie nijak miało się do ataku furii w gabinecie Macieja. Julka też dyskretnie zwróciła Igorowi na to uwagę. Nie mógł zaprzeczyć. Nawet jeśli psychopaci potrafili przywdziewać skrajnie różne maski, to w tym wypadku chodziło o coś więcej niż zwykłe wygadanie się. Łucja ewidentnie coś kombinowała.

Gdy tylko to sobie uzmysłowił, powietrze przeszył cichy świst.

Rozdział 50

Julką szarpnęło jak szmacianą lalką. Broń wypadła jej z dłoni, zaniemówiła. Dotknęła wystającego nad prawą piersią kawałka drewna zakończonego struganą lotką. Brudny od razu zorientował się, co się stało. Wystający daleko poza łopatkę skrwawiony grot bełtu nie dawał pola do domysłów. Dосkoczył do partnerki i osłonił ją własnym ciałem.

– Co to? – zapytała, jakby chwilowo straciła kontakt z rzeczywistością.

– Musisz się ukryć – rzucił Brudny i pchnął ją w kierunku korytarza, z którego przyszli. Poczł, że ugięły się pod nią nogi, i chyba tylko to uratowało ich przed drugim trafieniem. Gdy instynktownie pochylił się, aby ją podtrzymać, powietrze przeciął drugi bełt, który o włos minął jego szyję.

– Czy ta suka... mnie trafiła? – jęknęła Julka, gdy Igor układał ją na kamiennej podłodze.

– Ma kuszę, ale... – Przyjrzał się miejscu, gdzie tkwiła lotka. – Bełt chyba ominął płuco. Możesz oddychać?

– Zajebię ją...

– Łapiesz oddech? – powtórzył. Julka skinęła głową. – W takim razie leż tu i się nie ruszaj. Nie próbuj go wyciągać. Póki tkwi w ciele, to hamuje krwawienie. Jeszcze raz, możesz oddychać?

– Tak.

Brudny zdjął płaszcz i ściągnął koszulkę, a następnie przyłożył materiał do rany pod łopatką. Na pierwszy rzut oka nie krwawiła mocno, ale wolał nie ryzykować. Upewnił się, że Julka oddycha w miarę sprawnie, nakazał jej przytrzymać koszulkę i ułożyć się w pozycji bocznej bezpiecznej. Wykonywała jego polecenia, nie skarżąc się na ból. Być może była w takim szoku, że nawet go nie czuła. Adrenalina potrafiła działać cuda.

– Wytrzymasz? – zapytał, patrząc jej w oczy.

– Gdzie mój pistolet? Zabiję tę sukę – mamrotała, jakby rzeczywiście była na granicy świadomości.

Igor wyrzał z za rogu. Pomiędzy drewnianymi konstrukcjami dostrzegł przemykającą postać. Łucja rzeczywiście w dłoniach trzymała podręczną kuszę. Pomyślał, że dali się omamić, zlekceważyli ją, a on jest za to odpowiedzialny. Pomyślał też, że nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby ten błąd kosztował Julkę życie. Przyjrzał się partnerce. Trochę zbladła, oddychała płycej niż zwykle, ale nie pluć krwią. Płuco na szczęście nie zostało naruszone.

– Wytrzymasz? – powtórzył pytanie. Julka spojrzała na niego, następnie na wystające z piersi lotki, w końcu znów na niego.

– Pierwszy raz dostałam kulkę – powiedziała, nienaturalnie mrugając. Najwyraźniej wciąż była w lekkim szoku.

– To nie kulka, tylko bełt – wyjaśnił Brudny. – Nie robi takich szkód jak pocisk, poza tym na szczęście ominął kluczowe narządy wewnętrzne. Co nie znaczy, że można takie obrażenia lekceważyć.

– Nawet nie boli...

– Jeszcze zacnie, ale nic ci nie będzie. Przeżyjesz. Tylko nie możesz się stąd ruszać, okej?

Julka przytaknęła i tym razem wydawała się już w pełni świadoma swoich gestów. Brudny złapał ją za wolną dłoń, uśmiechnął się życzliwie, skinął głową i znów wyrwał z za winkła. Tym razem nie dostrzegł żadnego ruchu. Łucja znów była poza polem widzenia. Gdy już miał wybiec z za rogu, pomiędzy kotłem a zwisającymi obok łańcuchami dostrzegł pióropusz iskier. Usłyszał krzyk, metaliczny brzęk wywracanych przedmiotów i światło znów zgasło.

Poraził ją prąd, pomyślał w pierwszej chwili, ale zaraz potem z głębi grotty poniosły się dźwięki sugerujące, że Łucja jednak zachowała świadomość. Cokolwiek się stało, była w stanie się poruszać, więc wciąż stanowiła zagrożenie. Postanowił nie włączać latarki, choć zupełnie nic nie widział. Oczy, przyzwyczajone do ostrego światła reflektorów, odmówiły posłuszeństwa. Ogarnęła go nieprzenikniona ciemność.

Szepnął do Julki, aby również nie włączała latarki. Sam nie wiedział dlaczego. To był instynkt. Czysta improwizacja. Nie miał planu i to go irytowało, co gorsza, Julka cierpiała i tak naprawdę nie był pewny, jak poważna jest rana. Nagle jego własne słowa wydały mu się banalnie głupie, niemal absurdalne. Zawsze tak mówił do partnerów, gdy zostali trafieni. Tak też mówili do niego. Nic ci nie będzie, to tylko draśnięcie, będziesz żył. W życiu widział kilka postrzałów, które na pierwszy rzut oka nie wydawały się groźne, a jednak po przyjeździe karetki trzeba było człowieka podłączać do całej tej aparatury ratującej życie, czasem nawet reanimować. Miał wrażenie, że znalazł się w takiej samej sytuacji. Zaklął w myślach, bo nie mógł się z tym pogodzić. Przecież mieli tę wariatkę na widelcu. Jak mógł do tego dopuścić?

Łucja знаła teren, poruszała się w nim jak kot i miała broń, którą dodatkowo mogła razić bez zdradzania swojej pozycji. Ja mam niesprawną rękę, ryzyko jest zbyt duże, analizował.

Nastała absolutna cisza, a mrok stał się jakby jeszcze gęstszy. Niemal czuł, jak ciemność oblepia jego nagą klatkę piersiową, jak wżera się w tkanę. Słyszał jedynie płytki oddech Julki, który teraz wydał mu się podejrzenie świszczący.

– Julka... – zaczął, ale partnerka przytomnie go uciszyła. Musiała się lekko unieść, bo usłyszał jej cichy jęk, a chwilę później ciepły oddech tuż nad uchem.

– Idzie tu – szepnęła.

Skąd wiedziała? Dlaczego to powiedziała? Słyszała więcej czy...?

Brudny znieruchomiał. Wstrzymał oddech. Mrok, ciemność, cisza i chłód katakumb sierocińca wróciły, jakby nagle cofnął się o trzy dekady. Przecież rozumiał je doskonale, to w nich się wychował. W jednej chwili jego zmysły się wyostrzyły. Usłyszał kapanie wody, szelest skrzydeł nietoperzy, dreptanie szurzących łapek i bicie własnego serca. Gwidona często do niego przychodziła w kompletnej ciemności, gdy skazywała go na pokutę. Czasem, gdy się modlił, a czasem, gdy spał. Siadała wtedy za kratami i napawała się jego strachem. Wyczuwał jej obecność, niekiedy słyszał jej oddech, szmery wykonywanych gestów, przeskakujące w palcach kostki. Czuł jej zapach i drobne, ledwo wyczuwalne ruchy powietrza. Gdy w końcu się odzywała, nigdy nie był zaskoczony, choć zawsze skrajnie przerażony.

Teraz nie bał się o siebie. Bał się o Julkę. O to, co może się stać, jeśli przegra to starcie. Usłyszał cichy zgrzyt. Metaliczny. Bliżej, niż się spodziewał. Przeszył go paskudny dreszcz, gdy zdał sobie sprawę, że znów musi mierzyć się z tą starą wiedźmą. Nie mógł pozbyć się tej natrętnej myśli, tak jakby Gwidona nigdy go nie opuściła, a teraz, zaraz, miała objawić się pod postacią Łucji Bursztynowicz.

Nadstawił uszu. Jej bose stopy dotykające kamiennej podłogi wydawały ledwo słyszalny szmer. Była blisko. Bardzo blisko.

Brudny mocniej zacisnął palce na rękojeści walthera. Zamknął powieki, aby wyciszyć się jeszcze bardziej. Wtedy ją wyczuł. Usłyszał. Zwęszył. Zdał sobie sprawę, że Łucja stoi tuż za rogiem. Jej szponiaste palce wyłoniły się zza ściany. Nie widział ich, ale je wyczuwał. Niespiesznie pełzły po wilgotnej skale. Skryte w ciemności. Szpony wiedźmy. Wtedy coś kliknęło.

Kosteczka.

Igor włączył latarkę, strumień światła padł bezpośrednio na zaskoczoną twarz Łucji. Jej rozczochrane włosy opadały na ramiona, a skóra była umazana we krwi. Usta, nos, policzki, posklejane strąki. Wyglądała jak drapieźnik, który właśnie skończył posiłek. Odruchowo osłoniła dłonią oczy, w drugiej zamiast kuszy dzierżyła okazały tasak. Po ostrzu przemknął refleks.

– Nie rób tego! – ostrzegł Brudny, ale wtedy Łucja wydała z siebie dziki, gniewny wrzask i uniosła rękę. Zamachnęła się. Przez krótki ułamek sekundy Brudny ujrzał przed sobą demoniczne oblicze Gwidony. Zawahał się tylko chwilę, następnie nacisnął spust.

Grotę rozdarł huk wystrzału. Łucja została trafiona w sam środek klatki piersiowej. Prosto w swoje czarne serce.

Zanim potężne echo na dobre uwięzło w skalnych ścianach, w klatce schodowej dało się słyszeć odgłosy ciężkich buciorów.

Rozdział 51

Brudny spojrział w błękitne niebo. Po raz ostatni zaciągnął się papierosem, wypuścił dym ku górze i wyrzucił niedopałek do śmietnika. Upił łyk wody. Jaskółki latały wysoko, więc chyba nie zanosiło się na deszcz. Uśmiechnął się pod nosem. Pomyślał z rozbawieniem, że teraz dla świętego spokoju będzie musiał wyjechać na Kamczatkę. Przetarł dłonią ogolone policzki, po czym dziarskim krokiem ruszył w kierunku drzwi sanockiego szpitala.

Julka leżała na trzecim piętrze oddziału chirurgii ogólnej i naczyniowej. Zabieg wyjęcia bełtu okazał się stosunkowo prosty, a ranę w zasadzie wystarczyło jedynie oczyścić, odkazić, opatrzyć i zszyć. Przerwane tkanki nie wymagały poważniejszej ingerencji chirurgicznej i według doktora Leszka Jóźwika powinny się zrosnąć w ciągu kilku dni. Co prawda upierał się, aby została na obserwacji co najmniej tydzień, ale Julka nie zamierzała leżeć beczynn timer. Już czwartego dnia po operacji zapragnęła opuścić szpital i na nic zdały się próby ze strony lekarza prowadzącego i pielęgniarek. Zadzwo niła do Igora i pod groźbą kopa w dupę nakazała mu po siebie przyjechać. Wyjścia nie było, więc przyjechał. Gdy wszedł do salki, w której leżała, akurat kończyła robić makijaż.

– Jak się czujesz? – zapytał, gdy już dał jej całusa i wręczył bukiet róż.

– No właśnie nie wiem, czy jednak nie zosta łabym tu kilka dni dłużej...

– Coś się stało? – Brudny zmarszczył brwi.

– Trochę boli, ale czuję się dobrze. Nawet bardzo dobrze – powiedziała, poprawiając oko. – Tylko przez te trzy dni dostałam od ciebie tyle kwiatów, ile nie dostałam przez te wszystkie lata. A ja lubię kwiaty, wiesz?

Trochę go zatkało, bo przez dłuższą chwilę nie potrafił znaleźć słów. Ostatecznie nie odszukał w pamięci niczego, co mogłoby go uratować, więc objął ją w pasie i pocałował w kark.

– Obiecuję, że będziesz dostawać je częściej – mruknął jej do ucha.

– Taaak?

– Tak.

– A na randkę do kina też mnie zabierzesz? – zapytała, odwracając głowę.
– To już ewidentna eskalacja żądań...
– No to spadaj. – Wypchnęła biodro. – Zostaję tu i...
– Oj tam, oj tam. Widziały gały, co brały – uciął. – A poza tym kocham cię, moja ty...

Brudny musnął jej ucho językiem, a następnie przytulił ją mocniej. Julka nie odwzajemniła pieszczoty, zamiast tego jęknęła z bólu. Rana wciąż była świeża.

– Przepraszam – powiedział.

– Nie ma za co – odparła. – Już się przyzwyczaiłam, że za partnera mam słonia w składzie porcelany. Ale tak się składa, że kocham słonie. A tego jednego w szczególności.

– Bo ma dużą trąbę?

– Ty sam jesteś trąba.

– Ja też lubię słonice.

– Że co? – Spiorunowała go wzrokiem.

– Nic. – Igor zarechotał.

– Że niby taka gruba jestem?

– Gruba nie, ale wredna owszem. Idziemy?

– Idziemy.

I poszli. Julka podpisała papiery, wysłuchała obowiązkowego monologu na temat braku odpowiedzialności i chwilę później byli już na zewnątrz. Żałowała, że nie może odetchnąć pełną piersią, bo każdy głębszy oddech sprawiał jej ból. Zamiast tego wyjęła z torebki IQOS-a. Palenie, nawet elektroników, też nie wpisywało się w zalecenia lekarzy, ale korciło ją jak cholera.

– To gdzie mnie zabierasz na randkę? – zagadnęła, gdy się zaciągnęła.

– A na co masz ochotę?

– Na ciebie.

– Nie kuś. Najpierw coś zjedzmy, bo jestem głodny jak wilk.

Zatrzymali się w jednym z lokali, w których serwowano kuchnię polską, z wyraźnym naciskiem na lokalne specjały. Wybrał go, bo znajdował się na uboczu i nie wyglądał na przesadnie oblegany przez klientów. Usiedli w rogu restauracji i poprosili o pierogi bojkowskie oraz butelkę prosecco. Julka wiedziała, że nie powinna, ale nie przejęła się zbyt ostrzeżeniami lekarzy. Kieliszek wina jeszcze nigdy nikogo nie zabił.

– Za kolejną rozwiązaną sprawę? – Zawadzka uniosła szkło. Stuknęli się.

– Za kolejną, największą, najbardziej szokującą i głośną – te słowa Brudny wyraźnie zaakcentował – sprawę w historii polskiej kryminologii.

– Wyczuwam tu wyraźnie połączane ego... – Julka posłała mu szelmowskie spojrzenie.

– Po prostu stwierdzam fakt.

– Oj, chyba jednak nie...

– Mylisz się.

– No już nie bądź taki skromny. Widziałam w TV. Przewijają to nawet za granicą. Igor Brudny, znany polski komisarz z wydziału kryminalnego...

– Daj spokój – uciął.

– Twoja legenda rośnie. Może niedługo dostaniesz rolę w *CSI*? Albo, no nie wiem, może...

– Możemy wrócić na ziemię?

– No dobra. Niech ci będzie. Już się zamykam. To teraz opowiadaj, jak bardzo mam przejebane?

– W ogóle. – Na twarzy Brudnego pojawił się zuchwały grymas. – Mało tego, dostaniesz awans.

– Maczałeś w tym palce? – Julka uniosła prawą brew.

– Nie.

– Igor...

– No dobra. Wziąłem całą winę na siebie. Powiedziałem, że przykułem cię kajdankami do kierownicy, zabrałem telefon i pomimo twoich protestów sam poszedłem do rezydencji Bursztynowicza.

– A poważnie?

– Niewiele przesadzam. Ja nie noszę blachy, więc w zasadzie mogą mi skoczyć. Wykorzystałem to. Hyży oczywiście na początku był trochę wkurwiony, ale gdy zobaczył, co kryło się pod pałacem, to szybko mu przeszło. Pewnie Czarnecki dołożył swoje trzy grosze, podobno nawet słówko szepnął sam minister, choć ja z nim nie gadałem. Summa summarum nie dość, że nie będziesz miała postępowania dyscyplinarnego, to jeszcze dostaniesz awans.

Z jednej strony Julka podejrzewała, że nie powinno być tak źle, z drugiej zdawała sobie sprawę, że nie zostanie ulubienicą Hyżego. Spodziewała się co najmniej nagany, ale w żadnym wypadku awansu. Słyszając te słowa, poczuła się doceniona. Znów się stuknęli i wypili.

– A co z resztą? – zapytała, gdy odstawiła kieliszek.

– Jest tego trochę – odparł Brudny. Rozlał resztę butelki. – Szczerze, to nie wiem nawet, od czego zacząć – dodał.

– Najlepiej od początku.

Sprawa otrzymała kryptonim „Smolarz” i jak się okazało, była nie tylko niezwykle skomplikowana i wielowątkowa, ale rzeczywiście sięgała czasów drugiej wojny światowej. Śledczy mieli do przebadania mnóstwo materiału dowodowego, do przesłuchania setki świadków, a do tego należało przebić się przez tony papierów zalegających w archiwach policji i IPN-u. Wszystko

z pewnością musiało potrwać, być może dlatego Hyży wyluzował i odpuścił Julce, a następnie do spółki z CBS zakasał rękawy i wziął się do roboty. Śledztwo było rozwojowe, a na ścieżce czekało jeszcze wiele głów, łącznie z prokuratorem Jarosławem Krogulewskim, aspirantem Łukaszem Szmajdą, komisarzem Marianem Kmitą czy jego szefem, nadkomisarzem Ferdynandem Hałasem. Każdy z nich miał coś za uszami. Jeden więcej, inny mniej, ale to i tak był jedynie czubek góry lodowej, bo legenda, która narodziła się w bieszczadzskich kniejach, tak naprawdę żyła w świadomości ludzi od lat. To zaś oznaczało, że osób mających jakiś związek ze sprawą mogło być znacznie więcej.

W ciągu tych trzech dni Brudny zdołał ustalić całkiem sporo. Hyży z początku chciał wszystko utajnić, ale gdy do sprawy włączyło się Centralne Biuro Śledcze, nie miał wyjścia i musiał dać mu wgląd do akt. Akurat z CBS Igor żył dobrze, a jego wkład w śledztwo dotyczące Sędziego nigdy nie został mu zapomniany. Otrzymał pełny dostęp, z którego oczywiście skrzętnie skorzystał. Zaczął od przeczytania kolejnych znalezionych w rezydencji pamiętników Dima Konowałowa, w których autor dość dokładnie opisał, co działo się w kolejnych latach po wojnie. I rzeczywiście, już w połowie 1946 roku Dima zatrudnił się w nowo powstałym Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, gdzie jego głównym zadaniem było wyłapywanie niemogących się pogodzić z powojenną, jakże daleką od oczekiwań, rzeczywistością żołnierzy AK, ale także upartych Ukraińców, którzy niekoniecznie chętnie chcieli poddać się deportacji na Wschód. Akcja „Wisła” była jednak konieczna, aby uniknąć napięć pomiędzy wciąż buszującymi po bieszczadzskich lasach nacjonalistami spod znaku OUN-UPA a ludnością tych terenów, więc Dima poczuł się jak ryba w wodzie. W tamtych czasach ludzie pracujący dla nowej władzy mieli praktycznie nieograniczone możliwości, mimo to większość obywateli była zmęczona terrorem wojny i pragnęła spokoju. Wielu odmawiało więc udziału w brutalnych przesłuchaniach, a jeśli nawet nie, to niespecjalnie przykładali się do wykonywanych obowiązków. Dima nie miał tego problemu. Życie obeszło się z nim tak okrutnie, że pałał nieskończonym pragnieniem zemsty. Na Polakach, Niemcach, Ukraińcach. Na wszystkich. Przełożeni szybko dostrzegli tkwiący w nim potencjał, dlatego przychylni się do prośby o zmianę danych osobowych i wymazali z dokumentacji wszystko, co do tej pory się w niej na jego temat znalazło. Dima przyjął nowe imię i nazwisko, a służby stworzyły mu nowy życiorys. Na mapie powojennej Polski pojawił się obywatel Leopold Bursztynowicz, pochodzący z Kresów syn polskiego chłopca, zwolennik marksizmu, przodownik pracy, w skrócie kat ubecji.

– W pamiętnikach pisał, że najbardziej lubił pastwić się nad Ukraińcami – ciągnął Brudny. – Podobno nawet jego podwładni nie byli w stanie tego znieść, a przełożeni musieli go temperować. Czasy się zmieniały, trzeba było trochę

wyhamować, więc Leopold wziął sprawy w swoje ręce. Nie mógł wybaczyć, i w sumie mu się nie dziwię, tego, co jego krajanie zrobili jemu i jego rodzinie. Ubecka legitymacja otwierała wiele drzwi, a do tego dał się poznać jako rzeźnik z pałacu, więc ludzie schodzili mu z drogi.

– Rzeźnik z pałacu?

– Zaraz do tego wrócę. – Brudny pozwolił, aby kelnerka postawiła na stół zamówione pierogi. Poprosił jeszcze o sok z czarnej porzeczki i szybko wepchnął do ust kilka pierogów. Gdy zaspokoił pierwszy głód, kontynuował: – No więc nastroje na tym obszarze były mocno antyukraińskie, bo pod koniec wojny i zaraz po niej doszło tu do kilku rzezi dokonanych przez zwolenników Stepana Bandery. Ludzie tak szybko tego nie zapomnieli, podobnie jak Bursztynowicz, którego życiowym celem stała się zemsta. Zaczął mordować niedobitków, najpierw jednak okrutnie ich torturował. Podobno nie miał żadnej litości, a jego pomysły budziły nawet sprzeciw najsurowszych przełożonych. Miał to jednak w dupie. Szukał wszystkich odpowiedzialnych za dokonane na Polakach rzezie, zwłaszcza za atak w Cisnej, który miał miejsce jedenastego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego.

– Już po wojnie? – zdziwiła się Julka. Nie interesowała się historią tak dogłębnie, a rzezie dokonywane przez ukraińskich nacjonalistów zwykle kojarzyły jej się z krwawą niedzielą jedenastego lipca 1944 roku.

– To nie był odosobniony przypadek, bo prócz Cisnej doszło w tym czasie do jeszcze kilku innych zbrodni OUN-UPA, między innymi w Baligrodzie. Ale wracając do Cisnej. Brali w niej udział upowcy z sotni „Bira” i „Chrina”. Banderowcy najpierw podpalili urząd gminy i szkołę, a potem kilka polskich gospodarstw. W okrutny sposób zamordowali kilku policjantów oraz parę rodzin, głównie kobiety i dzieci. Atak jednak został ostatecznie odparty i napastnicy zbiegli do lasu. Kilku z nich, w ucieczce przed pogonią i zemstą ze strony wysłanej w ich ślady grupy bojowej samodzielnego pododdziału Wojska Ochrony Pogranicza, ukryło się na wypale Konowałówów. Ironią losu jest fakt, że w tym oddziale służył brat Dimy, Taras, który jednak musiał słuchać rozkazów, a te zmuszały go do poszukiwań z dala od Tyskowej, gdzie mieścił się wypał jego ojca.

– Czyli mam rozumieć, i popraw mnie, jeśli się mylę, że ojciec Samuela Wanzreicha to Taras Konowałow, brat Dimy Konowałowa vel Leopolda Bursztynowicza?

– Zgadza się, ale poczekaj. – Brudny znów wepchnął w usta kilka pierogów. Przeżuł, połknął, popił sokiem. – Banderowcy zamordowali w Cisnej w sumie trzynaście osób, głównie kobiety i dzieci – kontynuował, próbując wykałaczką wydłubać coś spomiędzy zębów. – Ci trzej z pamiętnika ukryli się na wypale

i zrobili, co zrobili, a gdy brat Dimy wrócił do domu po odbytej służbie, doznał szoku i kompletnie się załamał. Dima, pomimo że Taras uratował mu życie, nie zamierzał go rozgrzeszać i wmawiał mu, że to jego wina, że zamiast bronić rodziny, szwendał się gdzieś po lasach z Polakami. Pokłócili się na śmierć i życie, w końcu wzajemnie znenawidzili i rozstali na wiele lat. Dima zaczął pracować w ubecji, a Taras został na wypale, gdzie topił poczucie winy w alkoholu. Pozostał przy nadanym mu przez Niemców nazwisku Wanzreich, bo miał taką depresję, że było mu wszystko jedno. Odseparował się od społeczeństwa, zamknął w sobie i nawet nie wiedział, że jego młodszy brat robi karierę jako kat UB.

– Grubo. – Julka wypłała wino do dna. Odstawiła pusty kieliszek i podparła głowę na dłoniach. – Ale jeśli dobrze pamiętam, to w pamiętniku było napisane, że Taras zabił tych zwyrodnialców...

– No niby tak, ale Dimie to nie wystarczyło. Po takiej traumie nawet jestem w stanie go zrozumieć. Część z banderowców odpowiedzialnych za atak w Cisnej została wytropiona, ale części udało się zbiec. Dima nie mógł tego przeżyć i już jako Leopold postanowił ścigać ich do końca świata. Akcja „Wisła” zakończyła się dopiero w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku, więc do tego czasu nie brakowało napięć pomiędzy Polakami i Ukraińcami, a on, mając legitymację partyjną, mógł sobie pozwolić na pracę po godzinach. Mieszkańcy mu pomagali nie tylko dlatego, że się go bali. Wtedy trudno było natknąć się na rodzinę, która nie straciła kogoś w rzeziach dokonanych przez ukraińskich nacjonalistów czy to na Wołyniu, czy choćby na wschodzie nowo powstałej Polski Ludowej. Stał się kimś w rodzaju patrona wszystkich pokrzywdzonych. Chodził więc po wsiach i lasach, szukając niedobitków, rozpytując, czasem nawet przekraczał granicę. Polował na nich jak na dziką zwierzynę, ale coraz trudniej było odnaleźć oprawców z Cisnej i z czasem zrozumiał, że prawdopodobnie nigdy mu się to nie uda. Ta świadomość rozbudziła w nim jeszcze większy gniew i pewnego dnia, gdy natknął się w lesie na dwójkę wędrowców, w jakimś szale po prostu ich zamordował. To była para młodych Polaków. Chłopak i dziewczyna. Wtedy hamulce mu puściły.

– Zaczął mordować?

– Wszystkich jak leci. W godzinach pracy torturował podejrzanych delikwentów w pałacu Goldmannów, a po pracy dla przyjemności. Oczywiście musiał się trochę hamować, ale życie w lesie nauczyło go poruszać się szlakami niczym duch. Ludzie po prostu znikali, ciał nie odnajdywano. Pisał w pamiętniku, że był z siebie cholernie dumny.

– Kim byli ci Goldmannowie?

– No tak, o tym nie wspomniałem. – Brudny zjadł dwa ostatnie pierogi, popił sokiem z porzeczki i wytarł usta chusteczką. Kontynuował. – Pałac Goldmannów pojawił się w świadomości społecznej trochę później, bo zaraz po wojnie budynek stał się regionalną siedzibą Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, czytają: to tam znajdowała się katownia ubecji. Miał fatalną reputację i mówiło się, że kto trafi do pałacu, to już nigdy nie wraca. Zarządzał nim niejaki Bolesław Goldmann, stary Żyd i wysoki rangą członek PZPR. Jego zadanie polegało na sprawnym przeprowadzeniu akcji „Wisła” i wytepieniu pałętających się po lasach żołnierzy Armii Krajowej. Był przełożonym Dimy, a w zasadzie wtedy już Leopolda. Jednak nawet on nie pochwalał tego, co podczas przesłuchań robił jego podwładny. Facet przetrwał Auschwitz, więc pewnie widział w życiu wystarczająco dużo zła. Zresztą trudno ocenić, może po prostu miał sumienie. W każdym razie relacje obu mężczyzn stawały się coraz bardziej napięte. Oliwy do ognia dolał Leopold, który rozpuścił plotkę, że Goldmann przeżył obóz, bo przekupił niemieckich strażników jakimś ukrytym skarbem. Plotka jak to plotka zaczęła żyć własnym życiem i dotarła na samą górę, co zachwiało pozycją jego szefa. Goldmann był jednak solidnie umocowany i przetrwał nagonkę. Plotki głosiły, że przekupił tym skarbem najwyższych urzędników, ale jak było naprawdę, to nie wiadomo i pewnie nigdy się tego nie dowiemy, bo Bursztynowicz w sześćdziesiątym ósmym zadbał, aby wymazać Goldmannów z historii.

– Jak do tego czasu się dogadywali?

– Trudno wyczuć, ale Bursztynowicz w tym czasie dostał się do Sejmu, więc stał się w zasadzie nietykalny. W pamiętnikach potraktował ten okres bardzo oszczędnie, ale najwyraźniej musieli się jakoś dogadać. W każdym razie gdy przyszedł ten pamiętny marzec sześćdziesiątego ósmego, a Gomułka rozpętał w Polsce kampanię antysemitką, Leopold natychmiast wykorzystał okazję, aby pozbyć się odwiecznego rywala. Goldmann, w przeciwieństwie do Bursztynowicza, który w lokalnej społeczności dorobił się legendy mściciela za wołyńskie krzywdy, nigdy nie był lubiany przez okolicznych mieszkańców. Widzieli w nim komunistycznego urzędnika, którego jedynym zadaniem jest utrudnianie życia ciężko pracującym ludziom. Nie trzeba było ich długo namawiać, aby wynieśli na widłach jego i całą jego rodzinę. To był typowy lincz, a gdy ktoś zaproponował, żeby pozbyć się ciał w mogących zamienić je w popiół retortach, Leopold wpadł na makiaweliczny pomysł, aby wykorzystać do tego celu wciąż trudniącego się tym fachem brata. Taras nie miał wyjścia, bo znalazł się pod ogromną presją. Bał się o żonę i dzieci, więc zrobił, co mu kazano. Ludzie zadźgali widłami na wypale całą rodzinę Goldmannów, a potem wrzucili zwłoki do pieców, gdzie spłonęły na popiół.

– Ja pierniczę... – Julka zawołała kelnera i poprosiła jeszcze o pięćdziesiątkę wódki. Rana wciąż nie dawała o sobie zapomnieć, ale to nie ból sprawił, że podjęła decyzję, aby się napić. Całkiem na trzeźwo trudno było to wszystko objąć umysłem. Kelnerka nie kazała długo na siebie czekać. Julka wypiła, skrzywiła się, pokręciła głową z niedowierzaniem. – To naprawdę straszne, ale jak Bursztynowicz wytłumaczył zniknięcie Goldmannów?

– Na samej górze i tak trwały czystki, więc zniknięcie prominentnego urzędnika żydowskiego pochodzenia było władzy na rękę. Nikt specjalnie nie dopytywał, a oficjalna wersja była taka, że Goldmann zabrał całą rodzinę i wyjechał do Izraela.

– A Bursztynowicz? Przecież sam był w połowie Żydem...

– Dostał nowy życiorys, a od wojny minęło ponad dwadzieścia lat. Domyślam się, że zdołał to ukryć.

– A świadkowie linczu?

– Świadkowie... – Brudny prychnął. – Chciałaś powiedzieć mordercy. Zachowali się dokładnie tak jak ci w Jedwabnem. Zamilkli na zawsze. Leopold dodatkowo zadbał, aby biorący udział w linczu dochrapali się odpowiednich stanowisk, a że w pałacu rzeczywiście odkrył sporo waluty i złota, więc i to wykorzystał. Zapoczątkował zмовę milczenia, która przetrwała ponad pół wieku.

– Co się stało z jego bratem? Podobno po kilku latach zastrzelił żonę, a sobie palnął w łeb...

– Po sześćdziesiątym ósmym Leopold przestał pisać pamiętniki, a przynajmniej takowych w pałacu nie znaleziono. Ale wiem, kim była żona Wanzreicha, bo o tym wspomniał w jednym z wcześniejszych. W związku z tym przed wyjazdem będę musiał odwiedzić jeszcze jedno miejsce. Jeśli chcesz, to możesz mi towarzyszyć.

– Pewnie, że chcę.

– To może być dość specyficzne doświadczenie.

– Tylko takie lubię.

– Ostrzegałem...

Rozdział 52

Do zatopionego w dziczy domku Sławy Muchowej dotarli kilka minut po trzynastej. Okolice tętniła życiem. Daleko przy ścianie drzew wygrzewały się sarny, w oceanie kwitnących kaczeńców dostrzegli hasającego zająca, a na błękitnym niebie krążył majestatyczny orzeł. Tafla pobliskiego jeziora skrzyła się odbitymi promieniami słońca, które przyjemnie łaskotały policzki. Zatrzymali się przy drodze do furtki. Szeptucha stała w bramie wsparta o łaskę, z kwiecistą chustą na głowie, w wolnej dłoni ścisnęła bukiet własnoręcznie nazrywanych kaczeńców i Igor nie mógł oprzeć się wrażeniu, że na nich czeka. Pomimo swojej dość unikatowej prezencji wyglądała na rozpromienioną, co potwierdziła, uśmiechając się, gdy wysiedli z wozu. Julka pomyślała, że gdyby w tym miejscu przypadkiem znalazł się jakiś utalentowany malarz, to mógłby stworzyć prawdziwe dzieło sztuki.

– Dzień dobry, pani Muchowa – przywitał się Brudny, kłaniając się w pas. Nie mogła uronić łez, ale czuł, że w duchu płacze ze szczęścia.

– Dzień dobry, dzień dobry – odparła, wyciągając bukiet w kierunku młodej policjantki. Julka, lekko skonsternowana, odebrała kwiaty.

– Dziękuję bardzo. Nazywam się Julia Zawadzka – przedstawiła się. Zerknęła wymownie na Igora, ale ten tylko rozłożył ręce.

– Mnie zwą Sława Muchowa. Jestem stara i ślepa, ale widzę więcej, niż mogłoby się wydawać – oznajmiła Muchowa, czym zbiła Julkę z tropu jeszcze bardziej. – Piękny dzień, prawda?

– To miejsce jest przeurocze. Zazdroścę pani – przyznała Julka.

– Szkoda, że już nie mogę zobaczyć morza tych kaczeńców. Ale pozostały w pamięci. A teraz zapraszam. Moja chałupa jest zawsze otwarta dla ludzi o dobrych sercach. Czym chata bogata.

Brudny chwycił staruszkę pod rękę i powolnym krokiem dotarli pod drzwi. Obeznany z kuchnią szeptuchy, zaparzył dwie kawy oraz herbatę dla Muchowej. Przez kwadrans rozmawiali o tematach neutralnych, jakby przygotowując się

psychicznie do podjęcia tego najważniejszego. Nie chciał naciskać. Muchowa w pewnym momencie zamilkła i zaczęła bujać się w fotelu. Westchnęła.

– Dziękuję panu – powiedziała po dłuższej chwili. – To, co pan zrobił, nigdy nie zostanie zapomniane, a gdy ja już odejdę z tego świata, na pewno szepnę o panu dobre słowo w zaświatach.

Znów zapadła cisza, bo Brudny nie bardzo wiedział, jak to skomentować. Klasyczne „nie ma za co” jakoś średnio tu pasowało. Ona i tak potrafiła czytać w myślach.

– To była pani córka, prawda? – zapytał, zmieniając temat.

– Tak.

– Opowie nam pani o niej? Jeśli oczywiście...

– Opowiem – ucieła.

Historia Sławy Muchowej była absolutnie niesamowita. Z pochodzenia była Romką, której tabor zawitał na te tereny tuż po wybuchu pierwszej wojny światowej. Los sprawił, że akurat przechodził tędy front i trwały krwawe walki pomiędzy carską armią rosyjską a cesarsko-królewską armią austro-węgierską, a wojna – jak to wojna – rządzi się swoimi prawami. Ci pierwsi z początku odnosili zwycięstwo za zwycięstwem, ale w maju 1915 roku, po miesiącach walk podczas „krwawej zimy”, sprzymierzone siły niemieckie i austro-węgierskie ostatecznie przełamały siły Rosjan, których armii groziło okrążenie. Wycieńczeni, głodni, poirytowani i po prostu wściekli natrafili na skryty w lesie tabor. Ograbili, zgwałcili kobiety, nie oszczędzwszy nawet małych dziewczynek, a następnie wymordowali całą rodzinę. Cudem ocalała jedynie Papusza, matka Sławy, która powiła córkę dziewięć miesięcy później, ale jako że lokalna społeczność знаła jej historię, odrzuciła ją jako cygańską wiedźmę, która dodatkowo splodziła ruskiego bękarta. Papusza zamieszkała ze Sławą w lesie i przez następne dziesięć lat żyły na uboczu społeczności, a gdy zmarła na gruźlicę w 1928 roku, małą Sławę przygarnęła jedna z polskich rodzin. Oczywiście nie za darmo, bo już w wieku dziesięciu lat musiała pracować ponad siły. Sprzątała, prała, zajmowała się inwentarzem, chodziła na zakupy, a gdy trochę podrosła, to gospodarz zaczął ją molestować, co z czasem doprowadziło do ciąży. Znów została wypędzona do lasu, gdzie próbowała przetrwać. We wrześniu urodziła syna, którego nazwała Gniewomir, ale od początku wydawał się słabowitym dzieckiem. W trzecim miesiącu dostał wysokiej gorączki i zmarł.

Sława przez następne lata praktycznie nie wychodziła z lasu. Nauczyła się żyć w zgodzie z naturą. Rozmawiała ze zwierzętami, z drzewami, żywiła się jagodami, grzybami i ziołami, nauczyła się polować. Dzięki lekcjom, które odebrała od matki we wczesnej młodości, nauczyła się maksymalnie korzystać z darów lasu. Czasem dorabiała, sprzątając zagrody, dojąc krowy czy lecząc

z maligny. Wtedy też poznała rodzinę Konowałowów, z którą zżyła się, dzieląc podobne doświadczenia. Uczyła ich dzieci polskiego, czasem pomagała nabierać chrustu, w zamian dostawała chleb i mleko. Nie oczekiwała więcej od życia. Czowała się szczęśliwa, a gdy zupełnym przypadkiem spotkała na swojej drodze przystojnego ułana, trafiła ją strzała Amora. Młodzi zakochali się w sobie po uszy, ale ojciec Michała Antoniego nie był w stanie zaakceptować takiego związku. Dumnego syna z inteligenckiej rodziny z dziką dziewczyną z lasu. Pojawił się pomysł, aby uciec hen, daleko, ale wybuchła wojna i młody żołnierz musiał wypełnić swój obowiązek względem obrony ojczyzny, wobec czego plan runął jak domek z kart. Sława znów została sama z budzącym się w niej życiem.

Jagoda urodziła się wiosną 1940 roku. Była silną dziewczynką, a Sława, nauczona latami doświadczenia, wiedziała, jak uchronić córkę przed czyhającymi na nią niebezpieczeństwami. Żyła w lesie, ale coraz częściej wychodziła do ludzi. W czasie wojny wielu głodowało, przez co stawali się osłabieni i chorowali. Wtedy wzywali Sławę, która dzięki nabytym umiejętnościom uratowała przed śmiercią wiele polskich dzieci. Zdobyła tym samym szacunek lokalnej społeczności, dzięki czemu jej pochodzenie przestało być takie istotne. Niestety, wojna zabrała jej kolejną bliską osobę. Michał Antoni już nigdy do domu nie wrócił, a plotki głosiły, że najpierw został aresztowany, a następnie rozstrzelany przez Sowieców. Sława pogodziła się z tym, bo co miała zrobić, a następnie, już po wojnie, przy pomocy mieszkańców wybudowała dom nad Wetliną, gdzie mieszkała do tej pory.

– Moje kontakty z rodziną Konowałowów, potem Wanzreichów, nigdy nie ustały – tłumaczyła. Jej głos wydawał się mniej zachrypnięty, zdrowszy. – Wiedziałam, że zaraz po wojnie stało się coś strasznego, ale Taras nigdy nie chciał o tym mówić. Odwiedzałam go jednak od czasu do czasu, on zaopatrywał mnie w drewno. To był dobry człowiek, w przeciwieństwie do brata, który oszalał z nienawiści. Z Dimą, a potem już Leopoldem, straciłam wszelki kontakt. Nie chciałam mieć z nim nic wspólnego. Z Tarasem widywaliśmy się jednak regularnie, a gdy ja trochę podupałam na zdrowiu, kontakt utrzymywała z nim Jagoda. Zadurzyli się w sobie. Nie oponowałam, bo moja córka była mądrą młodą kobietą. Chyba podobnie jak ja miała małe oczekiwania od życia. Pragnęła przede wszystkim miłości i Taras jej ją dał. Spłodzili Samuela i Agnieszkę, z którą, nad czym bardzo ubolewam, kontakt zupełnie się urwał. Potem przyszedł ten straszny rok sześćdziesiąty ósmy.

– To nie była ich wina. Zostali do tego zmuszeni.

– Tak, ja wiem. Taras nie mógł się jednak z tym pogodzić. Ani sobie z tą traumą poradzić. Nie mógł też nikomu powiedzieć, bo brat był już za mocny i miał w garści całą lokalną społeczność. Obawiał się o rodzinę. Zaczął pić jeszcze

więcej. W końcu jednak nie wytrzymał i postanowił zgłosić popełnienie przestępstwa. To był błąd. Milicjant, który przyjął zawiadomienie, od razu powiadomił Leopolda, który choć nie mam na to żadnych dowodów, prawdopodobnie zamordował Tarasa i Jagodę, a następnie upozorował wszystko w taki sposób, aby wyglądało, że to Taras najpierw zabił moją córkę, a potem popełnił samobójstwo. Nigdy mu tego nie wybaczyłam, ale co ja mogłam? Już wtedy byłam tylko starą szeptuchą.

– Tak powstała legenda o ponurym smolarzu...

– Wyklęła się już wcześniej. Konowałowie zawsze byli postrzegani jako dziwni i nieobliczalni. Tacy dzicy ludzie, co to żyją w lesie. A ludzie lubią plotkować. Dodawać od siebie. Coś o tym wiem. W każdym razie to wtedy, znaczy jakoś pod koniec lat sześćdziesiątych, nawiązałam też relację ze Stefanią, która mieszkała obok wypału. Szukałam prawdy, a ona była świadkiem tamtych wydarzeń. Opowiedziała mi, jak było, ale choć nie brała udziału w linczu, nie mogła tego powstrzymać. Uwierzyłam w jej dobre intencje, dlatego nauczyłam ją wszystkiego. Po latach ona, i nie mam o to do niej pretensji, bo ja też nigdy nie wybierałam pacjentów, wyleczyła z raka Leopolda. Czyż to nie ironia losu?

Na twarzy staruszki pojawił się smutny grymas. Zamilkła na dłuższą chwilę, napiła się herbaty.

– Jak to się stało, że pamiętnik wpadł w pani ręce? – zapytała Julka.

– Nie wiem na pewno, ale myślę, że Stefania wykradła go z rezydencji Bursztynowiczów. W czasie leczenia Leopolda przebywała tam regularnie, więc może trafiła na niego przez przypadek. Wiem tylko, że gdy mi go przyniosła, była przerażona. Poprosiła mnie, abym go przechowała, bo boi się o swoje życie. Dwa dni później już nie żyła.

– Leopold się zorientował i ją zabił...

– Prędzej Maciej, bo Leopold już nie był w stanie nawet chodzić. Zresztą krótko później zmarł. Podobno spadł ze schodów, ale ja w to nie wierzę. – Muchowa na chwilę zamilkła. Teraz jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. – Nigdy bym jednak nie pomyślała, że przez te wszystkie lata obaj mogą robić te wszystkie potworności. Czułam, że w tych lasach gnieździ się zło, ale nawet nie dopuszczałam do siebie myśli, że w rezydencji dzieją się tak okropne rzeczy.

– Leopold ani Maciej z Łucją już nikogo nie skrzywdzą.

– I za to chciałabym wam, moje dzieci, serdecznie podziękować. Ja wiedziałam, że kiedyś nadejdzie ten dzień. Że odwiedzi mnie ktoś, kto sprawi, że prawda wyjdzie na jaw. Widziałam pana w snach. Chyba tylko dlatego tak kurczowo trzymam się życia.

W domu szeptuchy Muchowej spędzili jeszcze kwadrans, a następnie wspólnie poszli na skryty po wierzbą płaczącą grób Jagody. Sława porozmawiała

z duchami, raz jeszcze podziękowała im za pomoc i poprosiła, aby zostawili ją samą, bo jest już bardzo zmęczona. Brudny odniósł wrażenie, że pożegnała się z nimi. Tak jakby czuła, że jej koniec jest już bardzo bliski. Tydzień później dowiedział się, że Sławę znaleziono martwą obok mogiły Jagody. Podobno wyglądała, jakby zasnęła, a na jej twarzy malował się spokój.

Samuela Wanzreicha zwolniono z aresztu, bo choć dowody na jego udział w morderstwach były bardzo mocne, to szybko ustalono, że część z nich sfabrykowano. Okazało się, że prym wiódł tu aspirant Łukasz Szmajda, który od kilkunastu lat był protegowanym Macieja Bursztynowicza. Młody policjant przyznał się, że od lat współpracował z posłem, który wykorzystując jego błędy młodości, zabezpieczył się na wypadek, gdyby nie układała się współpraca z Marianem Kmitą.

– Jeszcze nad tym pracujemy, ale powoli wyłania się obraz niezwykle skonsolidowanego układu – tłumaczył Brudnemu podinspektor Zygmunt Papierski z Biura Spraw Wewnętrznych. – Szmajda twierdzi, że Bursztynowicz zwerbował go, gdy ten dopiero zaczynał karierę w policji. O chłopaku chodziły różne plotki, więc najpierw go zlustrował. Szybko zrozumiał, że ma skłonności do przemocy, dlatego na początku posłużył się szantażem. Podstawił mu nieletnią prostytutkę, którą chłopak brutalnie wykorzystał. Wszystko to nagrał z ukrycia, a gdy dwa dni później znaleziono jej ciało przy drodze, miał go w garści. Szmajda dostał zadanie pilnowania Kmity, którego Maciej szczerze nie znosił.

– Facet był jednak mężem jego siostry...

– Być może właśnie dlatego. Uważał go za niegodnego przynależenia do rodziny. Teraz trudno to jednoznacznie ocenić, ale prawdopodobnie kiedyś Leopold widział w Kmicie swojego człowieka. Coraz więcej ludzi zaczyna sypać, bo boją się konsekwencji, więc prędzej czy później do wszystkiego się dokopujemy. W każdym razie Leopold podobno znał się z ojcem Mariana, sołtysem Baligrodu Wacławem Kmitą, który z całych sił podżegał do zabicia Goldmannów. Ich relacje były bardzo bliskie. Ufali sobie, wzajemnie sobie pomagali. Leopold wydał nawet za mąż za jego syna swoją córkę. To było jakoś zaraz po śmierci Wacława, więc może chciał tym związkiem coś ukryć. Związać obie rodziny mocniej? To jest jeszcze do wyjaśnienia. W każdym razie matka Mariana, Bożena Kmita, chciała w zamian, aby syn trafił do służb. Młodzieniec nie bardzo się do tego nadawał, więc ostatecznie Leopold upchnął go w milicji, a następnie, chyba nie tylko z racji przyjaźni z Wacławem, ale zapewne też dzielenia wspólnej tajemnicy, postanowił pomóc zięciowi i zaproponował mu współpracę. Młody Kmita został wtyką w policji. Ale albo Leopolda zawiodła intuicja, albo coś nie zagrało, bo Marian okazał się raczej marnym gliną. Swoje robił, ale nie miał siły przebiccia. Maciejowi, który w tym czasie już pręźnie budował swoją pozycję,

bardzo się to nie podobało, więc ich stosunki zawsze były napięte. Leopold jednak obstawał przy swoim. Może na starość zmiękł? To tylko podejrzenia, ale dowiemy się tego. W każdym razie Maciej, aby się zabezpieczyć na przyszłość, postanowił dołożyć mu swojego człowieka. I padło na Szmajdę.

– Leopold o tym wiedział?

– Ustalamy to. W każdym razie Szmajda jest odpowiedzialny za spreparowanie dowodów przeciw Wanzreichowi i przynajmniej kilkakrotnie pomagał pozbyć się zwłok ofiar zabitych przez Macieja i Łucję. Sam odpowiada też za zamordowanie Augustyna Barona.

– Kogo?

– Skoro wypił pan z nim prawie litr denaturatu, to nie dziwię się, że pan nie pamięta.

To musiała być świeża informacja, bo Brudny nie miał pojęcia, że ten smolarz nie żyje. Nie znał też jego imienia i nazwiska.

– Po prostu nigdy mi się nie przedstawił – oznajmił. – Kiedy to się stało i dlaczego nie było o tym żadnej wzmianki w aktach?

– Szmajda twierdzi, że takie było życzenie szefa. Czytaj Bursztynowicza. Wyglądało na to, że facet po prostu zapił się na śmierć i Kmita mógł sprawę zamknąć na starcie, ale nie zrobił tego, bo Szmajda uparł się, że to nie był wypadek. Musiał pana obserwować, stąd wiedział, że w baraku znajdują się ślady pańskiej obecności. I były, co kilka dni później potwierdziło laboratorium.

– Cwany sukinsyn.

– Osobiście uważam, że Krogulewski, który na co wszystko wskazuje, też działał w porozumieniu z Bursztynowiczem i Szmajdą, chciał pana wrobić w morderstwo. Szykował to jednak jako ostateczność. I musi pan przyznać, że gdyby zdecydował się uderzyć wcześniej, to trudno byłoby się z tego gładko wykręcić. Nawet gdyby nie znaleziono twardych dowodów, że bezpośrednio przyczynił się pan do śmierci tego człowieka.

Kolejna nauczka, pomyślał Brudny. Nigdy więcej denaturatu.

– Wracając do Wanzreicha – zmienił temat komisarz. – Wspominał pan, że dowody przeciw niemu zostały sfabrykowane. Rozumiem, że mogli skombinować różne rzeczy, ale skąd mieli jego spermę?

Papierski uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Ta kwestia też nie dawała mi spokoju...

– No więc?

– Posłużyłem się małym fortelem. Oznajmiłem Wanzreichowi, że zostanie zwolniony z zarzutów, gdy poda jakieś sensowne wyjaśnienie tego, jak jego nasienie znalazło się na materiale namiotu Dąbrowskiej. Z początku milczał, pewnie ze wstydu. W końcu jednak zaczął mówić. Przyznał, że po zmroku poszedł

za ofiarami, bo, jak to ujął, były z nich „niezłe dupy” i „strasznie się podniecił”. Zarzekał się, że nie chciał ich skrzywdzić, a jedynie popatrzeć. Podglądał je zza drzewa, a gdy w końcu schowały się w namiocie, to podszedł bliżej i zaczął się masturbować. Krótco po tym, jak ejakulował na ściankę namiotu, usłyszał silnik samochodu.

– Przyjechał młody Bursztynowicz?

– Gdyby nie pana dociekliwość, ten wątek mógłby nigdy nie wyjść na jaw. Ale tak. To był Wiktor. Wanzreich oczywiście pospiesznie schował się w krzakach. Obserwował z ukrycia, jak młody dwoi się i troi, aby zbajerować dziewczyny. Zapalili jointa, wypili kilka piwek. Pogoda mu sprzyjała, bo zbierało się na deszcz, więc chłopak postanowił to wykorzystać. Chciał je namówić, aby poszły do niego, ale podobno niespecjalnie się do tego pomysłu paliły. Wszystko się zmieniło, gdy przy kapliczce chwilę później pojawił się Gracjan Wanzreich. Ojcu było wstyd, więc nie wyszedł z zarośli i zareagował dopiero wtedy, gdy Wiktor zaatakował jego syna. Ten podobno przyjechał, aby oddać dziewczynom przenośną ładowarkę, którą znalazł przy drodze. I apaszkę. Smarkacze od dawna mieli na pieńku, więc młody Bursztynowicz oskarżył go o kradzież i kazał spierdalać, ale Gracjan nie chciał wyjść przed dziewczynami na leszcza i się postawił. Zaczęło się od ostrej wymiany zdań, w końcu między chłopakami wywiązała się bójka. Wiktor od lat trenuje to całe MMA, więc powalił rywala błyskawicznie, a gdy zaczął robić z niego miazgę, do akcji wkroczył Samuel. Sytuacja zrobiła się dziwna, bo stary wyskoczył z krzaków, dziewczyny przestraszyły się, że to chyba jakiś zboczeniec, i ostatecznie zdecydowały się pojechać z Wiktozem do jego domu. Resztę pan zna z protokołu przesłuchania młodego Bursztynowicza.

Rzeczywiście, Wiktor w czasie przesłuchania potwierdził słowa Łucji. Przyznał się, że po bójce przy kapliczce przywiózł Małgorzatę Dąbrowską i Ewelinę Matejczuk do domu. Rodziców akurat nie było, więc liczył na to, że zdoła je uwieść. Wbrew pozorom nie było to jednak łatwe, bo dziewczyny okazały się osobami na poziomie i niełatwo było zaciągnąć je do łóżka na „furę, skórę i komorę”. Wiktor za wszelką cenę chciał im zaimponować, więc zaprowadził je do osobistej sali kinowej, a następnie odpalił jedną ze starych kaset. Przypadek sprawił, że akurat tę, na której zamiast filmu znajdował się zapis z torturowania ludzi. Skąd się tam znalazła? Wiktor nie potrafił tego wytłumaczyć, w każdym razie z początku cała trójka myślała, że to po prostu kolejny film gore. Młodzi bawili się przednio, bo kto nie lubi czasem obejrzeć czegoś mocniejszego? Z czasem jednak zaczęło się robić niezręcznie, bo produkcja była tak ekstremalnie brutalna i przede wszystkim realistyczna, że atmosfera stała się

niepokojąca, nerwowa, wręcz upiorna. Gdy Wiktor w końcu się zorientował, kim są oprawcy, spanikował, a młode kobiety uciekły...

Brudny włożył klucz do zamka, przekręcił go i schował do kieszeni. Szarpnął za klamkę, choć wątpił, aby ktokolwiek próbował włamywać się do starej chałupy. Odwrócił się i omiółł spojrzeniem rozległą dolinę. O świcie zawsze tonęła we mgle. Zerknął na paśnik, ale ten tym razem stał pusty. Zdał sobie sprawę, że akurat towarzystwa zwierzaków będzie mu brakowało, a chwilę później, że może warto byłoby sprawić sobie jakiegoś psa. Szybko jednak wyrzucił ten pomysł z głowy. Nagle wydał mu się banalnie sentymentalny.

Starzeję się, pomyślał i wyciągnął papierosa. Zapalił. Z oddali poniósł się krzyk orła, który szybował nad jaśniejącymi od promieni słonecznych bieszczadzskimi szczytami. Powiódł za nim wzrokiem, aż ptak zniknął za jednym z nich. Wciągnął w nozdrza górskie powietrze. Unosił się w nim zapach budzącej się do życia natury. Woń igliwia, świeżych pąków, żywicy i niesionego przez wiatr dymu palonej bukowiny. Retorty znów zapłonęły. Węglarze wrócili do pracy. Legenda o ponurym smolarzu już niesie się po kraju i wkrótce zwałą się tu zapewne tabuny żadnych emocji turystów.

– Jedziemy? – zapytała Julka. Siedziała już na miejscu pasażera. W jej tonie czuć było zniecierpliwienie.

– Jedziemy – odparł i powolnym krokiem podążył w jej kierunku. Niechętnie, bo w drodze powrotnej czekała go jeszcze jedna wizyta, która od dłuższego czasu spędzała mu sen z powiek i którą odwlekał tak długo, jak tylko mógł. Tylko co powie matce Rozalii Czubaj, jeśli ta nie wyrzuci go z chałupy w ciągu pierwszych sekund? Miał cichą nadzieję, że tak właśnie się stanie.

Gdy otwierał drzwi patrola, kątem oka dostrzegł we mgle jakiś ruch. Cień mężczyzny był wyraźny, a lekko kulawy chód charakterystyczny. Igor zastygł w bezruchu, nie spuszczać wzroku z nadciągającego przybysza. Gdy ten w końcu stanął naprzeciwko niego, mężczyźni spojrzeli sobie w oczy.

– Byłeś pan dobry sąsiad. To ja chuj byłem – oznajmił Wanzreich, wyciągając przed siebie zieloną whisky. Na szyi widać było ślad po nieudanej próbie samobójczej. – To w ramach podziękowania. Halina mówiła, że pan lubi tę rudą. No to się szarpnąłem.

Brudny odebrał jamesona z pokrytej sadzą dłoni smolarza i przez chwilę ważył ją w dłoni. Nie bardzo wiedział, co powinien powiedzieć. Zwykle „dziękuję” wydało mu się nie na miejscu.

– Co pan zamierza? – zapytał. Sam nie wiedział, dlaczego to zrobił. Niespecjalnie był tego ciekaw, ale posłuchał instynktu.

– A co by pan zrobił na moim miejscu? – odparł smolarz pytaniem na pytanie, a potem pociągnął nosem, odwrócił się na pięcie i zniknął we mgle.

Głupie pytanie, głupia odpowiedź, pomyślał Brudny. Mimo to w słowach Wanzreicha usłyszał coś, co zburzyło jego spokój ducha. Bo co on by zrobił na jego miejscu? Wiedział doskonale i ta świadomość była cholernie bolesna. Nagle zapragnął wyjechać stąd jak najszybciej. Cokolwiek się tu jeszcze wydarzy, on nie chciał mieć z tym nic wspólnego.

EPILOG

– Cieszę się, że wracasz – oznajmił Romuald Czarnecki. Położył na biurku odznakę i legitymację. Brudny posłał mu wymowne spojrzenie.

– Teraz naprawdę będziesz moim szefem – mruknął, przyglądając się błyszczącej nowością ośmioramienną gwiazdą.

– Podobno jestem znośny.

– To się jeszcze okaże. – Brudny uśmiechnął się i włożył blachę do kieszeni spodni. Legitymację wcisnął do tylnej. Upił łyk kawy. – Nadkomisarz Igor Brudny. – Skrzywił się. – Brzmi dziwnie. Chyba naprawdę wołałem komisarza.

Decyzję o powrocie Brudny podjął w dzień wyjazdu z Bieszczad. Nie był w stu procentach przekonany, że robi dobrze, ale nie mógł też wiecznie stać w rozkroku. Od ponad dwudziestu lat ścigał przestępców i tak naprawdę nie potrafił niczego innego. Owszem, gdyby się uparł, to mógłby zostać prywatnym detektywem, ale jego predyspozycje interpersonalne, tak potrzebne w tym zawodzie, od zawsze szorowały po dnie. Poza tym praca detektywa wbrew pozorom była najzwyczajniej w świecie nudna. W zdecydowanej większości fach ten opierał się na uganianiu się za niewiernymi partnerami albo wielogodzinnym grzaniu samochodowego fotela. Jego napędzała adrenalina, a tę zapewniała tylko praca w wydziale kryminalnym policji. No i Julka. Fakt, że podczas akcji omal nie straciła życia, poruszył go do głębi. Dlatego chciał być blisko niej.

– Podobno wspólna praca sprawia, że ludzie szybciej się sobą nudzą – rzuciła zaczepnie, gdy ogłosił jej swoją decyzję o powrocie do policji.

– Z najlepszym przyjacielem nie da się nudzić – odparł, szturchając ją w sposób charakterystyczny dla facetów. – A z przyjacielem, z którym można wskoczyć do łóżka, to już w ogóle – dodał, zerkając lubieżnie w jej dekolt.

– I tak masz mi mówić. Możesz też dodać, że...

– Dobra, dobra. Nie eskalujmy.

– Co dobra, dobra?

– No nic.

– Jakie znowu nic?

Przekomarzali się jeszcze przez chwilę, w końcu rzucili się na siebie niczym para napalonych nastolatków i zrobili to na kuchennym stole. Gdy już odetchnęli i wzięli kąpiel, Brudny nalał po drinku. Resztę wieczoru spędzili, oglądając na Netfliksie *Wikingów*, pod kocem, wtuleni w siebie.

Dziś Julka walczyła już z dziesiątkami nawarstwiających się spraw. Co prawda chwilowo była na zwolnieniu lekarskim, ale roboty miała po pachy, bo zielonogórski wydział kryminalny od czasu bezprecedensowego ataku ze strony „Zabójcy Policjantów” nie mógł pozbierać się do kupy. Ekipa, która pod nieobecność Czarneckiego została zmontowana w miejsce poprzedniej, okazała się totalnym nieporozumieniem. O dekonspirację skorumpowanych gliniarzy zadbał zresztą sam Brudny, ale gdy w końcu doszedł do zdrowia, został zawezwany przez samego ministra sprawiedliwości, co finalnie skończyło się aferą na cały kraj i jego wyjazdem w Bieszczady. Czarnecki zaś, po przyjęciu posady komendanta, za cel postawił sobie odbudowę wydziału, który ewidentnie cierpiał na niedobory dobrych i doświadczonych policjantów. On najlepiej rozumiał, jak trudno jest stworzyć dobrze rozumiejący się team, ale teraz, ku jego uciesze, jego plan zaczynał nabierać oczekiwanych kształtów. Igor wydawał się brakującym ogniwem. Teraz on, Julia Zawadzka i młody, ale niezwykle ambitny Mściwój Kruszwica mogli stać się kręgosłupem naprawdę mocarnej drużyny. Do tego zaufana szefowa techników kryminalistycznych Anna Borucka, utalentowany traseolog Aleksander Dobrowolski oraz solidna i konkretna patomorfolog Magdalena Obojko. Taki zespół mógł zostawić bez obaw, że znów coś się rypnie.

Przez głowę przemknęła mu wizja powrotu na emeryturę. Jeszcze rok, może dwa, no maksymalnie trzy, pomyślał. Niech sprawy się ugruntują, Brudny trochę się wyszumi, wtedy wciśnie mu kolejny awans i upchnie w miejsce powoli myślącego też o emeryturze naczelnika Roberta Czyża. Wydział trafi w najlepsze możliwe ręce, a on bez względu na to, kto trafi na stołek głównodowodzącego całą komendą, spokojnie będzie mógł odejść z przekonaniem, że zrobił swoje.

Czarnecki zorientował się, że wpadł w zbyt głęboką zadumę. Uśmiechnął się w stronę nowego podwładnego.

– No to co? Pan nadkomisarz gotowy do pracy? – Nie czekając na odpowiedź, otworzył szufladę i wyjął z niej chudą teczkę. Położył ją na blacie biurka i obrócił w stronę Brudnego. – Mam tu dla ciebie pierwszą robotę. Coś na rozgrzewkę.

– Bierz w ciemno.

– Cieszę się, że to słyszę.

Brudny zmarszczył brwi. W tonie Czarneckiego wyraźnie wybrzmiały niecodzienne nuty. Znał go na tyle, żeby wyczuć podstęp.

– Nie ma pewności, co się z tego urodzi, ale... – Popchnął dokumenty w stronę Igora. – Zresztą sam zobacz.

Brudny otworzył akta. Przez kilkadziesiąt sekund wertował kolejne kartki, na niektórych zatrzymując się chwilę dłużej. Z każdą następną jego brwi unosiły się coraz wyżej. W końcu zamknął teczkę, oparł łokcie na blacie i posłał komendantowi dwuznaczne spojrzenie.

– Co to w ogóle jest, Romek? – zapytał wyraźnie skonfundowany.

– Wyrzut sumienia zielonogórskiej komendy – odparł Czarnecki.

Brudny raz jeszcze zerknął na teczkę, następnie z powrotem na rozmówcę. Otworzył ją na stronie z datą wystawienia dokumentu.

– Wszystko fajnie, tylko że ja nie pisałem się na Archiwum X – zauważył.

– To nie Archiwum X. To znaczy w pewnym sensie tak, bo sprawa do tej pory jest niewyjaśniona i nikt nie chce się nią zająć.

– Nie dziwię się.

– Jak widzisz na zdjęciach, prawie niemożliwa jest identyfikacja ofiary po rysach twarzy. Ale... cóż... tak się składa, że pojawiły się nowe okoliczności i myślę, że nadarzyła się okazja, żeby wrócić do sprawy.

– Miało być na rozgrzewkę, a ty na dzień dobry wsadzasz mnie na taką minę?

– Podpisałeś cyrograf, przyjacielu, i teraz jesteś mój. – Czarnecki posłał mu serdeczny uśmiech. – Ale mówiąc poważnie, to bardzo ciekawa sprawa. Uważam, że jesteś wręcz idealnym kandydatem, aby ją poprowadzić.

– Ale że zmumifikowany N.N. z zagranicy? – Brudny skrzywił się, jakby przełknął nieświeżego pomidora. – I to sprzed czterech lat? Naprawdę nie masz niczego innego?

– Uwierz, że sprawa jest dużo ciekawsza, niż może się wydawać na pierwszy rzut oka. A biorąc pod uwagę sygnały z Interpolu, być może rozwojowa. Gwarantuję ci, że nie spędzisz przy biurku więcej niż to konieczne.

– Interpolu? – Brudny był wyraźnie zaskoczony.

– Dobrze słyszałeś. Poinformowali nas o trzech trupach. Takich jak nasz N.N. Polecisz je obejrzeć i wybadać temat. A teraz proszę, przejrzyj akta, bo muszę skorzystać z toalety. Za chwilę wrócimy do rozmowy.

Gdy Igor Brudny ze zdumieniem studiował akta dotyczące niezidentyfikowanego zmumifikowanego mężczyzny, gdzieś niedaleko ktoś nachylał się nad innym, wciąż jeszcze żywym, oddychającym, śpiącym człowiekiem. Powoli kończył przygotowania do pradawnego rytuału. Krótco później, wyraźnie poruszony, z najwyższym pietyzmem zaczął go celebrować.

PODZIĘKOWANIA

Smolarz kielkował w mojej głowie już jakiś czas. Od dawna byłem zafascynowany tym, że do tej pory istnieje taka profesja – swoisty ewenement na skalę światową. Bo komu dziś chce się harować w tak ciężkich warunkach za marne dwieście złotych od jednego pełnego pieca? Postanowiłem pojechać w Bieszczady i samemu się o tym przekonać. Najpierw trochę poczytałem, pogrzebałem w przeszłości. Tak trafiłem na historię kolejnych rzezi w Stężnicy, Baligrodzie czy Cisnej. Chwyciło, bo temat sam cisnął się na karty powieści.

Oczywiście poza historycznymi wzmiankami o zbrodniach popełnianych na polskiej ludności przez ukraińskich nacjonalistów spod znaku OUN-UPA cała reszta to fikcja. Miejsca, w których dzieje się akcja, istnieją jednak naprawdę, począwszy od okolicznych wsi, a skończywszy na wpałach węgla. Chałupę Brudnego umiejscowiłem dokładnie naprzeciwko jednego z nich, w nieistniejącej już wsi Tyskowa. Prawdziwe są też wpały na skraju Stężnicy i w Łopience, podobnie jak słynna cerkiew, stary cmentarz, kapliczka na przełęczy Hyrcza czy wodospad Czartów Młyn. Wszystkie te szlaki przemierzyłem latem z plecakiem i postarałem się odwzorować tereny jak najbardziej precyzyjnie. Z ciekawostek wartych uwagi nie mogę nie wspomnieć, że podczas podróży po wpałach na jednym z nich też zostałem poczęstowany przez smolarza denaturatem. W przeciwieństwie do Igora nie uległem pokusie i chyba to mnie uratowało J. Sami smolarze, jak zresztą wszyscy mieszkańcy bieszczadzkich wsi, to fantastyczni ludzie. Ciepłi, przyjaźni i gotowi opowiadać o swojej profesji, i nie tylko.

Pałac Goldmannów to fikcja, podobnie jak wszystkie występujące w powieści postaci. W Bieszczadach nie doszło też w 1968 roku do żadnego linczu na żydowskiej rodzinie, a przynajmniej ja o takim wydarzeniu nie słyszałem. Zmowa milczenia i polityczny układ to też jedynie skutek mojej przebudźcowanej wyobraźni.

Podziękowania chciałbym zacząć właśnie od smolarzy. Bez wizyty na ich wypałach na pewno nie zdołałbym stworzyć tej historii. Zatem w pierwszej kolejności dziękuję bezimiennemu (rzeczywiście nie chciał się przedstawić) smolarzowi, który zaprosił mnie do swojego baraku na kielicha wspomnianego denaturatu. Pan wybaczy, że nie skorzystałem, ale mam nadzieję, że *Sfora* przypadła Panu do gustu. Serdeczne podziękowania należą się też panu Józefowi z wypału w Łopience. Bardzo żałuję, że nie mogłem poznać pana Zygmunta Furdygiela, który jest legendą wśród bieszczadzkich węglarzy. Na jego wypale w Stężnicy byłem szóstego lipca i od zastępującego go kolegi dowiedziałem się, że pan Zygmunt przebywa w szpitalu. Krótco później dotarła do mnie informacja, że siedemnastego sierpnia odszedł.

Dziękuję moim rodzicom Marioli i Tomaszowi oraz babci Jadzi za wszelkie wsparcie. Dziękuję też moim dzieciom Kubie i Lence, które są moimi największymi skarbami i które nadają sens mojemu życiu.

Dziękuję mojej przyjaciółce Agnieszce, która wspiera mnie nie tylko przy pisaniu historii o Lucie, ale jest też surową recenzentką każdej z moich powieści. Dziękuję przyjaciołom Krzysztofowi Figurze i Andrzejowi Flügelowi za poświęcony czas i czytanie „surówki”. Osobne podziękowania należą się inspektorowi Romanowi Czarneckiemu, patomorfologowi Robertowi Krzywulskiemu oraz byłemu oficerowi służb specjalnych Leszkowi Adamcowi za wszelką pomoc przy pisaniu powieści.

Kłaniam się też całej ekipie Wydawnictwa Czarna Owca, która niezmiennie mnie wspiera i pomaga przetrwać na tym trudnym i niezwykle wymagającym rynku, przede wszystkim: Markowi Korczakowi, Katarzynie Słupskiej, Annie Bukowskiej, Annie Szymańskiej, Adamowi Dzikowi, Agnieszce Radzikowskiej oraz Bartłomiejowi Nawrockiemu, który co prawda pracuje już w innym wydawnictwie, ale współpraca przy serii z Igorem Brudnym układała się tak doskonale, że poprosiłem go o pomoc i tym razem, a Bartek oczywiście nie odmówił i znów dołożył swoją cegiełkę do powstania nowego tomu.

Osobne podziękowania należą się twórcy okładki Piotrowi Cieślińskiemu. Każda z Twoich okładek tej serii to dzieło sztuki, ale najnowsza to istne mistrzostwo świata.

Na koniec chciałbym bardzo gorąco podziękować Wam, Drodzy Czytelnicy i Czytelniczki. Za to, że jesteście ze mną i czytacie moje książki. Wiem, że długo kazałem Wam czekać na powrót Igora, tym większy czuję stres, jak odbierzecie *Smolarza*. Ale skoro dotarliście aż tutaj, to chyba nie jest tak źle. A przynajmniej tak to sobie mam zamiar tłumaczyć J.

Nie zdradzę Wam, nad czym obecnie pracuję, ale mam nadzieję, że nowa powieść trafi na księgarskie półki już na początku lata. Głęboko wierzę, że Was

nie zawiodę J.

Dziękuję też wszystkim, których nie wymieniłem z imienia i nazwiska, a którzy w jakiś sposób przyczynili się do powstania *Smolarza* w jego ostatecznej wersji.

Jeszcze raz Wam wszystkim serdecznie dziękuję.

Przemysław Piotrowski